

Gilński Kazimierz

ŚLUB KRWI

Powieść

I.

Jaśko Bolechowic i Danuta.

W jednej z izbie górnego Gedyminów zamku, przy oknie otwartem, siedział Jagaił Olgierdowic, krzyżacki sojusznik, zdradziecki Kiejstuta pogromca, powtórnym nawrotem Wielkie Książę Litewskie. U stóp kunigasa spoczywała ulubiona suka jego, Sojną zwana, bez której na krok się nie ruszył, nawet w wyprawach wojennych musiała być przy nim, a gdy na łożu legł w sypialnej izbie swojej, libo w namiocie obozowym, kładła się u nóg pańskich, baczenie mając na ruch każdy i szmer najlżejszy, a psim węchem poczuwszy, iż ktoś się do drzwi sypialni przybliży, ostrzegawczem warknięciem, albo muskaniem stopy kunigasowej łapą kosmatą budziła wnet śpiącego. Kunigas pewien był, że jakiś duch opiekuńczy siedział w tej psiej skórze, tak mądrze w oczy mu patrzyła, a szmergała ogonem: jeno słuchać, a ludzkim głosem przemówi.

Miało się ku wieczorowi... Słońce zachodziło powoli a
krwawo, ostatnimi blaskami
czepiając się wieńca wzgórz, otaczających stolicę litewską;
złocąc święte gaje
dalekiego Szyszkina; zarysowując się w stronie północnej
garbem wysokim;
rozpryskując się koralem nad

czarnymi lasami gór Ponarskich, za które lada chwila się
skryje, pozostawiając
jeno złoto-czerwony pas po sobie, jako ślad przejścia
królewskiego. Wierzchołki
wzgórz, opierścieniających Wilno, mieniły się barw tysiącem;
wylał się na nie
cały przepych dogasającego słońca z olbrzymim dzwonem
błękitu, który,
przepełniony powietrzem o kryształowej jasności, zdawał się
kołysać nad ziemią,
biorąc w objęcia swoje i oną pochodnię dnia i owe wzgórza o
lasach szmaragdowych
i miasto, u stóp ich rozłożone, i ten na Turzej-Górze gród
zamkowy, gdzie wyśnił
się ongi Gedyminowi sen wróżebny, dający początek grodowi
i miastu, u zbiegu
rzek Wilii i Wilejki dziś tak szeroko rozłożonemu, wróżebny
sen — o potędze i
sławie sen piękny.
Gedymin!.... Olgierd!...
Znać te imioniska nie dźwięki codziennymi zabrząkły w uchu
zapatrzonego w dal

kunigasa, bo brwi się gwałtownie ściągnęły, ciemna chmura
na czoło padła,
drgnęły bezzarostne policzki, a pierś podniosło westchnienie.
Odwrócił oczy od
gajami świętymi zarośniętego Szyszkina; przeszedł ponad
lasami gór Ponarskich,
rozzłoconych blaskami zachodzącego słońca; ku Dolnemu
Zamkowi wzrok rzucił i
zatrzymał się na zgliszczu Świętoroga, kędy wrzał ruch około
mogily wielkiej, na
której szczycie wznosił się stos sosnowy, a dalej z cieniów
dębów świętych
wyzierał czerwony dach Perkunasa świątyni. Mogiła to książąt
wielkich, dla
wielkich książąt tylko układano stos na niej. Na tej mogile
spoczął wzrok
kunigasa.
Nie słyhać było gwaru, choć mrowie ludzkie przelewało się u
stóp tego żałobnego
wzgórza, niby fala olbrzymia. Zadaleko było na gwar i szmer.

Na chwilę roz pogodzone oblicze Jagajły znów spochmurniało.
Wśród tego tłumu ludzkiego zaśnieżyło rycerskich płaszczów
kilka, znaczonych
krzyżami czarnymi.
— Sojna, widzisz? — mruknął Olgierdów syn, a wnuk
Gedyminów, palcem na one
płaszczki wskazując.
Sojna skoczyła na kolana kunigasa i mądre, czarne oczy we
wskazaną utkwiała dal.
— Psy!... — zgrzytnął Jagaił.

Jakby na potwierdzenie tych słów, Sojna szczęknęła krótko.
Słońce za Ponary się skryło, mrok zapadł, i cisza była, cisza
tak uroczysta, że
do uszu milczącego wielkiego księcia dolatywał szmer borów
i poplusk Wilejki,
śpieszącej w Wilii objęcia.
Drzwi otworzyły się cicho.
Ktoś wszedł.
Był to stary Wojszwiłł, pamiętający jeszcze Olgierdów i
Gedyminów sny potężne,
wielkich książąt sługa wierny, dziś pilnujący drzwi sypialnej
komnaty Jagaiły, i
dlatego Sojna nie poruszyła się z kolan pańskich, ani
warknięciem znak
ostrzegawczy dała.
— Szo tam? — odezwał się po białorusku kunigas, bo li tylko
już ten język był w
użyciu dworu.
— Kniahini Anna Witowdowa z wami uwidziećsa хочzet.
Niezadowolenie odmalowało się na twarzy wielkiego księcia.
— Nieradby ja był widzieć się z nią dzisia... ale trudno!... —
mruknał — paprosi
kniahinię, tylki niachaj mnoho nie haworit.
Podniósł się z ławy przyokiennej i zbliżył się do

środką izby, u stołu się zatrzymując, na którym stały naczynia
srebrne i dzban z
wodą źródlaną. Na misce polewanej leżał piękny plaster
miodu, arcydzieło pszczół
z gór Ponarskich, z którego ociekała potoka złota i wonią
słodką przesyciała

powietrze. Opodał czerniało parę kawałów chleba i nóż
połyskał.

— Paprasi, stareńki, kniahinię — powtórzył kunigas, znając
zwyczaj starego
sługi, który nie odrazu wydany rozkaz spełniał, zostawiając
zawsze chwil parę do
namysłu rozkazodawcy. — Paprasi, paprasi — powtórzył.
Wojszwił ku drzwiom się obrócił i ruchem ręki znak dał, że
wejść można.

Zaszeleściał altembas sukni, i młoda a piękna księżna Anna
Witowdowa weszła do
izby. W komnacie, pomimo zmierzchu, dość jeszcze widno
było, bo odblask łuny
zaszłego już słońca ognistą dogorywał czerwienią i chwycił
się szkarłatów
tkanin, jakimi były obwieszane ściany sypialni kunigasowej.
Księżna weszła i skłoniła się nisko. Wielki ksiązę ukłonem
odpowiedział, zezem
patrzając na małżonkę Witowda.

— Witajcie, pani bratowo!... A z czemże to do mnie o tak
późnej godzinie
przychodzicie?

— Z prośbą pokorną — odpowiedziała księżna, pochylając
znów głowę swą piękną.

— To dobrze, że z pokorną — Jagaił na to — bo wy boczycie
się na mnie, jakbym
wam krzywdę jaką uczynił.

— Krzywdząc małżonka mojego, i mnie krzywdzicie —
szepnęła.

— Czy te wymówki prośbą pokorną być mają? — przerwał
wielki ksiązę.

— Nie chcąc was drażnić, milczę!

— No, mówić trzeba, bo jakże inaczej o tej prośbie mi się dowiedzieć?

— Jutro Kiejstutowy pogrzeb — zaczęła księżna.

— Smutno, smutno! — westchnął kunigas. — Nikomu z nas tej ostateczności nie minąć... Ale siadajcie, księżno, boć to nie poddany przed wielkim księciem staje, jeno małżonka Kiejstutowica... Siadajcie, proszę!...

Księżna usiadła na podsuniętym przez Woyszwiłła krześle o poręczach złożonych,
naprzeciw niej zajął miejsce Witowda brat stryjeczny.

— Jutro Kiejstusowy pogrzeb — powtórzyła księżna.

— Smutno, smutno! — znów westchnął kunigas.

— Przyszłam z pokorną prośbą — ciągnęła Anna — byście pozwolili synowi jego, a małżonkowi mojemu, posługę ostatnią mu oddać.

— Z ciemnicy puścić?

— Na czas pogrzebu tylko.

Kunigas głową pokręcił.

— Niebezpieczno — szepnął.

— To moja prośba pokorna.

— Ja wiem, że prośba, ale nie bardzo mi się spodobająca.

— Po odbytej uroczystości Witowd znów w ręce wam się odda.

— Baj, baj, pani bratowo!

— Co chcecie dla upewnienia się? — spytała gorąco księżna.

— Rodzica mu uśmierciłem, Troki odebrałem, wypędziłem z wszystkich zamków poleskich, ty, księżno, jedna tylko zastawem przypaśby mi mogła, ale w ra-

nie czego ani skorzystać z was, ani uśmiercić niebardzoby mi się godziło. Zacny fant, a na nic.

— Zwiążecie małżonka mojego słowem rycerskiem, dotrzyma!

— Niemocny to sznur, pani bratowo, urwie się!

— Aa — odezwała się księżna z przekąsem — wy chcecie, by ten sznur był tak

mocny, jak ten, którym udusiliście Kiejstuta.

Kunigas zatrzepotał rękoma, ze stołka się porwał i krzyknął:

— Nieprawda! Razy sto powtórzę, że nieprawda!... Sprośna gadka rozeszła się, iżem się mścił śmierci przyjaciela mojego, Woydyły, którego Kiejstut

nieboszczyk obwiesić kazał. Choćbym i słuszość miał tak postąpić, nie zrobiłem

tego, pani bratowo!... Jeżeli rzekł, że rodziciela jego uśmiercił, to tylko

dlatego, że mu odebrał nadzieję zemsty i pokonania mnie, w ciemnicze

sadzając... a bez nadziei niemasz żywota! Kiejstut wielką bitwę przegrał ze mną

i z myślami swojemi, które szerokie były, jak Gedymina zamysły, jak państw

Olgierda granice, jak sny waszego małżonka, o których mi nieraz pawił po

nocach. Ale inne czasy nadeszły pani bratowo, inne czasy!...

Na Litwę wionął

dech zagłady od miecza krzyżackiego zamachu, żelazny zakon niemiecki rozsiał się

na ziemi naszej litewskich pól rumiankiem. Potrzeba się było
bronić, z nim idąc,
nie przeciw niemu. Tak też ja uczyniłem. Kiejstut bój
przegrał, wraz z
małżonkiem waszym w niewolę moją się dostał i, czując, że
nic mu już po żywocie,
na złotym sznurze od ferezyi sam się obwiesić musiał. Dyabła
kusiciela winujcie,
nie mnie, bom szczerze płakał, o tej śmierci stryjowskiej
dowiedziawszy się.

— Nie jam to zmyśliła.

— Baśń tylko powtarzacie.

— Nie wierzę, nie chcę wierzyć.

— A na cożeście mnie tym sznurem dotknęli?

— Bo żal mnie chwycił, że wam niemocną nicią wydaje się
słowo Witowdowe.

— Że tak, to wam raz jeszcze to samo powtórzę.

— Czy przekonanie to na własnym doświadczeniu opieracie?

— Własnym i niewłasnym, pani bratowo!

— Czy Kiejstut był taki?

— A na dobre to mu wyszło?...

— Tak, daliście mu glejt bezpieczeństwa... i na krewskim się
oparł zamczysku.

— Widzicie z tego, księżno, że rodzonemu bratu wierzyć nie
można.

— Więc nie pozwolicie synowi opłakać pogrzebu ojca...

— Jeżeli o łzy chodzi, to wierzcie mi, pani bratowo, że
szczerzej pogrzeb ten w
samotności ołzawi.

— Aa... tak — szepnęła księżna.
Zakryła twarz ręką, a przez palce wysunęły się dwie łzy.
Kunigas oko jedno przymrużył, a drugim patrzył na Annę.
— Jak widzę, to markotno wam bez małżonka — rzekł.
— Tyle dni niewidzenia — szepnęła księżna.
— Tyle nocy powiedzcie, a snadniej zrozumieć. Rumieńce zakwitły na twarzy Anny.
Wielki książę posunął się ze stołkiem o krok jeden do niej i rzekł:

— Poczekajcie, księżno, do czasu żałobnego obrzędu zakończenia, a już nijakiego wstrętu wam czynić nie będę i pozwolenie wam dam, że wedle woli swojej odwiedzać go będziecie.
Księżna pochyliła się do kolan Jagajły.
— Panie!...
— A widzicie, żem w sedno życzeń waszych utrafił.
— Nie miałam dziś na myśli prośby takiej — odpowiedziała
— i teraz proszę was o wysłuchanie tej pierwszej. Pozwólcie mężowi mojemu oddać ostatnią rodzicowi posługę. Wy wiecie, jak on go miłował...
Kunigas pokręcił głową.
— Niebezpieczno, nie-bez-piecz-no!
— Zawierzcie Witoldowemu słowu.
— Skazka ładna, skazka, pani bratowo!
— Dotrzyma.
— Nie wytrzyma — odpowiedział Jagajło.
— Jakżebyście wy zrobili, na miejscu jego będąc?
— Słowo dać dał, a później skrzył.

— Tak, wy nie możecie uwierzyć — rzekła księżna,
powstając.

Skłoniła się nisko i cichym krokiem opuściła izbę. Wielki
książę odetchnął. Mrok
zalał komnatę.

— Zapal kaganek! — do Woyszwiła się zwrócił. Błysnęło
czerwone światło,
oświetlając ściany, sprzęty
i łoże, pod baldachimem stojące.

Woyszwił wyszedł, Kunigas pozostał sam. Zagłębił się w
krzesło i wpadł w
zadumę. Sojna położyła się u stóp jego.

Dziejową tajemnicą pozostała śmierć Kiejstuta. Jagaił nie
przyznał się nigdy do
tej zbrodni, rodzajem

swoim dość zwykłej w czasach opowiadanych. Nienawidzący
go Krzyżacy, nieraz
obdarzający go epitetem »psa wściekłego«, snują domysły
tylko na kartach kronik
swoich, wyrzeczone zaś przez Witowda słowa o bracie:
»zgubił mi ojca«, mogły się
też dobrze stosować do śmierci Kiejstutowej, jak i do
pokonania go w walce
zdradzieckiej.

Państwo litewskie trzymało się już tylko wielkością imion
Gedymina i Olgierda,
wewnątrz było rozdarte. Dwa prądy zmogły się z sobą i
wiodły śmiertelny bój.

Były nimi: pogaństwo stare, umrzeć nie chcące, i szczelinami
wszystkimi, do

skołatanej wewnętrznymi i zewnętrznymi walkami duszy
narodu, wciskająca się
wiara nowa, odrodczą siłę z sobą niosąca. Niestety tylko
chciało, że niósł
ją albo Wschód, zdemoralizowany przez najazd mongolski,
albo Zachód przez Zakon
plugawy, w zamysłach swoich nie Chrystusowe Królestwo,
lecz urok władzy
świeckiej mający. Pod naporem żelaznych zastępów wojsk
teutońskich bogi stare i
święte gajów ołtarze usuwały się w głąb lasów nielostępnych;
nie pokój i miłość
nieśli wyznawcy Ukrzyżowanego, lecz krzyż męczeński,
grozę i przerażenie. W ony
to czas, do spełnienia wielkiego dziejowego zadania stanęło
dwóch mężów z krwi
Gedyminowej: Kiejstut, Olgierdów brat, i Jagiełło (po
litewsku Jagaił), syn
Olgierda, urodzony z Julianny Rusinki, księżniczki twerskiej.
Według
zwyczajowych praw litewskich tron wielkoksiążęcy, po
śmierci panującego,
najstarszemu z braci przypadła, ale umierający Olgierd uprosił
Kiejstuta o
zrzeczenie się praw swoich na rzecz Jagajły, ukochanego syna
swojego. I
szlachetny Kiejstut zadość prośbie braterskiej uczynił,
usuwając się do trockiej
dzielnicy swojej.

Na rękę było niemieckiemu zakonowi to usunięcie się
Gedyminowica od tronu.
Dawało to możność Krzyżakom do szczucia pogańskiego
księcia przeciw urodzonemu z
chrześcijanki synowcowi, do rozrzucenia wieści nawet o
ruskim chrzcie Jagajły;
nie omieszkali jednocześnie przebiegli w polityce swojej
wysłańcy zakonu zwracać
uwagi Wielkiego Księcia Litwy na knowania przeciw jego
władzy udzielnego Trok
pana. Rozbudzona została nieufność wzajemna, której nie
mógł nawet Witowd
pokonać, całym sercem uczuć braterskich Jagajle oddany.
Kiejstut widział, że się
w gruzy rozsypywał porządek dawny, odczuwał powiew
nowych idei i zmian z
krzyżackiego zachodu płynących, chciał bojami krwawymi
opasujący Litwę mur
żelazny rozsadzić i powrócić urok pogaństwu dawnemu. Lecz
każde zwycięstwo
podwójną się klęską kończyło, każde zdobycie grodu opłacało
się utratą
dziesięciu grodów.
To szamotanie się Kiejstuta i ciosy, jakie otrzymywał,
przerażało Jagajłę,
widzącego niemożność walki z rycerstwem mieczowem. Szedł
więc na lep żądań
krzyżackich i za namową przyjaciela swojego, Woydyłły,
związał się przymierzem z
Zakonem. Dowiedziawszy się o tem, Kiejstut pożałował
ustępstwa tronu
sojusznikowi Krzyżaków. Woydyłłę chwycił i obwiesił, sam
zaś zniecka na Wilno

uderzył, zdobył zamki oba i sprzedajnego synowca, wraz z
bratem jego, Korybutem,
i dworem całym uwięził. W skarbcu książęcym odnaleziono
dokument, potwierdzający
prawdziwość wieści o Jagajłowym spisku z Niemcami.
Przeraził się Witowd na ony
dowód zdrady oczywistej, i trwoga śmiertelna o los brata
szlachetnym sercem
targnęła. Ale wspaniałomyślny Kiejstut rozwiął obawę
młodzieńca: »Nie mnie

honor rycerski plamić — rzekł słowami, zapisanemi w
dziejach — i kogokolwiek z
rodziny mojej wygnańcem z ojczyzny czynić. Witebskie i
Krewskie księstwo mu dam
i ziemię, wszystką, jaką otrzymał ojciec jego, Olgierd, od
mojego ojca,
Gedymina«.

Wielkiej duszy Kiejstuta zawdzięczał Jagaił, że powrócone
mu zostały skarby
wszystkie i dostatki ojczyste wraz z pyszną stadniną
wielkoksiążęcą. Na Krewie
osiadł, jako Kiejstutowy hołdownik, Siewierz w udziale
Korybutowi przypadł, tron
litewski ośmdziesięcioletni objął Kiejstut.
Skorzystali z tej zmiany Krzyżacy, z tych zamieszek
wewnętrznych i wojskami
swojami zalali Zmujdź całą. Niby trwoga ich ogarnęła
podnoszącego się w osobie
Kiejstuta pogaństwa, choć w tem pogaństwie widzieli tylko
racyę swojego bytu;

wraz z przyjęciem przez Litwę wiary Chrystusowej zakon
upadał. A nie do tego
dążył, nie tego chciał. Nawracał, nie ucząc miłować wiary
nowej; bunt wzniecał,
by móżdż mordować. Chciał panem pustyni zostać, by potem
obszary bezludne
niemieckim plemieniem obsadzić, potężne państwo stworzyć
i tak »nawróconą«
Litwę Rzymowi pokazać. Groza i przerażenie padły na
Żmujdz świętą. I myśl
okropna, rozpaczna zrodziła się w sercu nieszczęśliwego ludu,
myśl porzucenia
siedzib swoich i bogów swoich i wyjścia gromadnego z ziemi
praojców i poszukania
w pustyniach wschodnich ojczyzny nowej. Miał nastąpić
nowy Exodus dla uniknięcia
niemieckiej niewoli.
Niewoli!...
Byłże ten lud wolny?
Ustrój społeczny ówczesnego państwa litewskiego zasadzał
się na niewolnictwie
straszliwym. Wielkiemu

księciu ulegali kunigasowie pomniejsi, kunigasom bojarowie,
bojarom rzesza
całego ludu, nie mająca praw żadnych. Jeżeli bojarzyn
najmniejszych przywilejów
nie posiadał, cóż kmieć litewski? Nie jego była ziemia, którą
obsiewał; nie jego
był plon, który zbierał; nie do niego należała żona, za
zezwoleńiem bojaryna

pojęta; nie do niego należały dzieci, przez nią rodzone, życie
nawet własnością
jego nie było, które lada chwila wziąć mogła wola kunigasa.
To też nie trwozę
śmierci czuł, straszniejszą mu była groza życia. Z krwią
zimną, na rozkaz
kunigasowy oplatał sobie szyję sznurem konopianym i wieszał
się na drzewie
pierwszem z brzega. I ten lud chciał przed niemiecką niewolą
uciekać. Tak, bo ta
niewola odbierała mu jedyną własność, jaką posiadał:
tajemnicze bóstwa, ukryte w
gajach świętych, mistyczną pociechę religii, ten słodki sen
duszy o zagrobomem,
lepszem życiu. Niemcy i to mu wziąć chcieli — Kiejstut
bronił tego ostatniego
ich skarbu.
Na nic umowy, na nic sojusze!... Zdradziecki wąż
krzyżackiego zakonu pokazywał
krzyż zdala, znak zbawienia, ale wnet go usuwał z przed ust,
chętnych nawet do
ucałowania ran Chrystusowych. Dowodem tego był zjazd
wrocławski. Przymuszony
Jagaił na chrzest się zgodził, którego miał nad nim dopełnić
sam wielki mistrz
zakonu. Dzień i godzina umówione. Jagaił się zjawił, ale ojca
chrzestnego nie
było, zabrakło Niemcom wody święconej. Śmiali się
Giedyminowie z niedochrzczeńca,
rozpytując go o ceremonię niemieckiego obrzędu. Lecz zakon
chciał nawracać, nie
nawracając; uporem pogaństwa tłómaczyć przed światem
chrześcijańskim zabory i

boje nieludzkie.

Do ostatniej już walki porwał się Kiejstut, lew stary.

Żmujdź w ogniu, a tu Dymitr Korybut, książę siewierskie, brat Jagaiłowy,
otrząsnął z siebie wielkoksiążęce zwierzchnictwo i niektóre zamki litewskie
podał wielkiemu kniaziowi Moskwy. Kiejstut obronę Trok i Wilna Witowdowi
poruczył, Jagaile zaś, siedzącemu na zamku krewskim, rozkaz posłał, by ruszył z
nim razem na daleką przeciwko Dymitrowi wyprawę.
Cichy bunt zrodził się w sercu Jagaiłowem — i żal. Bunt przeciwko stryjowi, że
według jego rozkazu ma miecz na rodzzonego brata swojego podnieść; żal po
wydartym tak niedawno tronie wielkoksiążęcym i sromotną śmiercią ukaranym
Woydylle. Wyruszył tedy z wojskiem, lecz nie do dalekiego Siewierza, jeno do
Wilna blizkiego, zawiązawszy wpierw potajemne stosunki z Niemcem rygajskim,
Hankiem, dowódcą zamkowej załogi, cichym przyjacielem Krzyżaków. Zaskoczone
niespodziewanym napadem, wnet oba się zamki poddały.
Witowd do Trok ruszył, lecz wieść chwyciwszy o śpieszących z pomocą Jagaile z Prus i Inflanckich Krzyżakach, do
Grodna uszedł. Ale stary Kiejstut za wygraną nie dał. Zawrócił syna do Trok z
powrotem i zamknął się w nich z pułkami żmudzkiemi.

Wkrótce je obiegł ze sprzymierzonym Krzyżactwem Jagaił.
Walka nierówna była. Zakończeniem jej mógłby być tylko
mord, znoszący
doszczętnie pułki Kiejstutowe.
Jagaił nie chciał takiego krwi bratniej przelewu. Przez
wysłanego nocą posła
skłonił przyjacielskiego sobie zawsze Witowda do rozejmu, i
Witowd przekonał
ojca o niemożebności boju. Za glejtem więc bezpieczeństwa
udali się obaj
wodzowie do namiotu Jagaiły i poddali się, prosząc tylko
życie dla ludu
zbrojnego.

Krzyżacy zgodzili się na ten niemiły dla siebie warunek. Pięć
tysięcy wojowników
Kiejstuta dostało się do niemieckiej niewoli; Żmujdź miała
być odstąpiona
zakonowi, a Jagaił zobowiązywał się do lat czterech chrzest
przyjąć. Był to
wznowiony warunek po nieudanym zjeździe wrocławskim,
kiedy to gorliwi
apostołowie zlekli się swego prozelityzmu i pozwolili czas
pewien Wielkiemu
Księciu Litwy pozostawać w błędach pogaństwa. Zamykali
niebo przed duszą ludzką,
otwierając dla siebie szerokie wrota rajy ziemskiego. Wojska
się poddały, jeńce
i oręż przypadli w udziale rycerzom Najświętszej Panny
Maryi, a Troki...

Chcieli powrócić do Trok swoich Kiejstut i Witowd, lecz ich
nie puścił
zdradziecki Jagaił. Okutego w kajdany stryja do krewskiego
wysłał więzienia,
Witowd osadzony został w wileńskiego zamku ciemnicy. Dnia
czwartego, po
uwięzieniu swoim, Kiejstut nie żył. Wieść niesie, że trzej
pokojowcy kunigasa,
z Krzyżakiem jakimś na czele, weszli w przebraniu do
więzienia Kiejstuta i
zamordowali czekaniem starego księcia, a potem złotym
sznurem, który u ferezyi
miał, zadławili. Wysłany Świdrygajło, brat Jagaiłowy, dla
sprawdzeniu tej
wieści, doniósł kunigasowi o tej śmierci Kiejstuta. Nie
pozostało nic innego,
jak zwłoki stryjowskie do Wilna sprowadzić i książęcym
uczcić pogrzebem.
Takie obrazy z lat niedawno minionych przesuwają się przez
mózg zamyślnego
kunigasa. Czasami się wstrząsał i czoło marszczył, czasami
zaciskał pięści
gniewnie, to znów przybierał nieruchomą postać posągu.
Wtem Sojna warknęła i zerwała się z pod nóg.
Kunigas w drzwi spojrział i niemieckiego dotknął

sztyletu, który w zanadrzu nosił. Sojna zjeżyła szerść i
warczała krótko,
gniewnie. Wszedł Woyszwił.
— Szo tam? — zapytał wchodzącego wielki książę.

— Zygfyrd von Zihl, komtur niemiecki, przyszow dowiedziać
sia o zdrowiu waszej
miłości.

— Zdarów, zdarów, jak woda u trockom oziary — z
podrażnieniem pewnem
odpowiedział Jagaiło. — Skaży jemu ab hetom, niechaj
radujeć sia.

— Widzieć sja choczet' z wami, kniaże!

— Ot, dziewczka ze mnie zaswatana, że zdzierzeć nie może —
mruknał kunigas. — Po

Witowdowej ten trapić będzie... a zda się, że wódz żaden
drogi mi wpoprzek

dzisiaj nie przejechał, ni zając kiwnął omykiem, chyba, gdym
jadł miód, miód z

ręki mi się wysunął i stanął storcem na podłodze. Ale Sojna
ma nos, zwierzy

smród zawsze! Trudno, wpuściliśmy Witowdową i jego więc
przyjąć potrzeba...

Papراسi go, Woyszwił...

Dzwoniąc żelazem stóp zbrojnych, a śnieżąc bielą
krzyżackiego płaszczu, na dany

znak przez Woyszwiła zarysowała się w drzwiach wyniosła
postać rycerza. Mąż to

był czterdziestoletni prawie, o pięknym zaroście twarzy,
barwy niemal złota

szczerego, oczach bystrych, a osadzonych głęboko, koloru
ochmurzonego błękitu,

który często przytulisko gromom i błyskawicom daje. Usta
pełne, jakby nabrzmiałe

nieco, ruchome i wilgotne, niby patoką słodkiego miodu
zwilżone; zęby silne i

białe, w głąb od warg uciekające sznurem perlistym; nos
wydatny o grubej

płaszczynie, mars na czole, które w tej chwili, od rycerskiego hełmu zwolnione,
błysnęło czepcem włosów gęstych, ostrzyżonych krótko na jeża

i niby kolce jeżowe sterczących. Uchylił hełmu, którego pióropusz zamiótł kurz podłogi i w kawalerskim ukłonie zbliżył się do Wielkiego Księcia. Jagaił podniósł się, skinieniem głowy witając niemieckiego rycerza, i wskazał ręką na krzesło, na którym przed chwilą księżna Anna siedziała.
— Co tam, panie komturze, słyhać? — spytał, zajmując miejsce poprzednie, a ruchem nieznacznym dwie słomki, wydobyte z zanadrza, za siebie zarzucając. — Go tam słyhać w mieście naszym, spłoszonem trochę różnymi a niespodziewanymi wypadkami?
— Nasamprzód chciałem się o zdrowie waszej miłości dowiedzieć — odpowiedział Zygfryd, z rycerską butą siadając na krześle, a dłoń żelazną na stole kładąc. — Mówiono mi, że jeszcze wasz umysł uspokoić się nie może po smutnym z Kiejstutem wypadku.
Jagaił oczy lekko przymrużył i rzekł:
— Na zdrowie się nie uskarżam, a każde strapienie ma swoje granice. Mniejszeby było, gdyby na trupie Kiejstuta lud nie widział śladów pętli.
— W tem właśnie jest trutka — rzucił Krzyżak.

— Nie dla mojego sumienia tylko, nie dla mojego sumienia —
przerwał Jagaił.

— To się rozumie!... Ale wytłómaczyć tym tłumom, ze
szmerem fal zbierającym się
na zgliszczu Świętoroga.

— Przecie w tym szmerze nie dzwoni imię moje?— z
odcieniem trwogi lekkiej spytał
kunigas.

— Nie dzwoni, ale huczy, grzmi, błyska!

— Gdy mówię: nie, to nie! — porwał się Jagaił.

— Słyszałem pomruk.

— Boś słuchał uchem ludów zachodnich nie naszej

poddańczej Litwy. Huk grom, błysk!... Wyśniło ci się, panie
komturze,
wyśniło!...

— Możem przesadził — zaczął Krzyżak — może to ucho
zachodnie źle zrozumiało
szmer płaczącego śmierci Kiejstutowej ludu, ale czyżby i oko
moje temu złudzeniu
uległo?

— Oko?...

Zygryd przysunął się z krzesłem, pochylił się i szepnął:

— Dojrzałem tajemnicze postacie, błędzące pod murami
więzienia Witowdowego.

Chodziły cicho, próbowały wrót, ze strażą coś szeptały.

— Mury są mocne, straż pewna — mruknął Jagaił.

— Mury się mogą osłabić, gdy uwagę wszystkich zajmie
uroczystość pogrzebowego
obrzędu — szepnął Krzyżak.

Palec Kunigasa na zadumanem czole spoczął... Podejrziwy
umysł Jagaiły skłonny
był zawsze do najgorszych przypuszczeń. Myśli jego nasunęło
się przyjście
księżnej Anny, jej prośba i dość harde odejście. Podejrzenie o
spisku coraz
pewniejsze przybierało formy. Trudność wykonania tylko
przedsięwziętych zamiarów
zmusiła księżnę do łatwiejszego sposobu ich wypełnienia.
Lecz zamiar nie udał
się — pozostał drugi: wykradzenie, w chwili gdy uwaga
wszystkich zajęta będzie
uroczystością pogrzebu. Palec wielkiego księcia spłynął z
czoła, siwe, wąskie
oczy zmrużyły się.
— Być może... to, być może!... — wyszeptał. Spojrzał w
twarz Krzyżaka, jakby od
niego oczekiwał słów dalszych...
— Księżna Witowdowa była u miłości waszej — ozwał się
Zygfyrd.

— Tak, była...
— Czy można wiedzieć o przyczynie jej odwiedzin?
Jagaił powtórzył prośbę księżnej Anny.
— A-ha! — głosem jakiegoś domysłu odezwał się komtur.
— Nie zgodziłem się — rzekł kunigas.
— Przezorność nie mogła nakazać inaczej — rzekł Krzyżak.
— Słowu Witowdowemu nie chciałem wierzyć.
— Któżby wierzył dźwiękom, ginącym w pustyni! — rzekł
Zygfyrd.
— Teraz mnie ostrzegłeś, i każę wzmocnić straż.

— Jaby'm na miejscu miłości waszej inaczej postąpił.
Jagaił wypatrzył się, blady przestach odmalował się na
twarzy.

— Jak? — szepnął.

— Pewniejsze są mury krewskiego więzienia...

Jagaił stanął, jak słup...

O czym ty myślisz, Krzyżaku? — przez zaciśnięte usta rzucił.

— Nie o tem, co wasza miłość ma w tej chwili na myśli —

odparł Zygfryd,

podnosząc się z krzesła i w lekkim pochylając się ukłonie, a
widząc zwrócone na

siebie badawcze wielkiego księcia spojrzenie, dodał:

— W Krewie Kiejstut umarł, Witowd żyć może...

Jagaił odetchnął, jakoby ciężar jakiś z piersi jego

spadł. Zygfryd mówił:

— Umysły, zajęte uroczystością wileńską, nie oprą się o mury
krewskiego

więzienia. Jam tylko to miał na myśli — dokończył.

— Tak, to dobra jest rada — szepnął po chwili Jagaił.

— Rada przyjaciela, którą wasza miłość usłuchać lub odtrącić
może — dodał

komtur.

— Usłuchać — rzekł kunigas, ściskając rękę Krzyżaka..

Pierwszy blask słońca

rozbudzi Witowda w baszcie krewskiego zamczyska. Tam go
odwiedzać może małżonka

jego. Jeden Wissebut stanie za całą straż wileńską...

Skrzywiły się usta Krzyżaka.

— To dziwne — rzekł — jak ja do tego Wissebuta przekonać
się nie mogę!

— Bo co?... — spytał Jagaił.

— Już to wrodzony mam wstręt do nosów zapadłych, a
pysków odętych... ale to

luźna uwaga, żadnego znaczenia nie mająca — dodał. —

Spokojniejszy teraz sen

będzie miała miłość wasza!... Dobrej nocy, miłości waszej,
dobrej nocy —

powtórzył, opuszczając Jagaiłową komnatę.

Nie skierował się jednak ku wejściu, do bramy głównej, lecz
krętymi korytarzami

w dół schodził ku zamkowi dolnemu, nie rozpytując służby o
tajemnicę przejść, o

kierunek drogi w tym labiryncie sklepień, sieni i podsieni,
schodów krętych i

prostych, jakby miejscowość owa doskonale mu znana była.

Nikt nie zatrzymywał

widzianego często na dworze wielkksiążęcym dostojnika
krzyżackiego zakonu.

Zresztą postać wyniosła, wzrok dumny, chód pewny

onieśmiały pokojowców, a

białe płaszcze szastały się bezkarnie po izbach. Ze spotkanymi
litewskimi panami

poufale się witał, szedł krokiem śmiałym i wiał płótnem

swojego płaszcza w

mrocznych korytarzach zamku i dzwonił rycerską

ostrogą, że każdy wiedział, iż szedł, nie skradał się lękliwie.

Prawdopodobnie,

omijając zakręt Turzej Góry i drogę przepaścistą, z górnego

zamku ku miastu

prowadzącą, zabudowaniami dworcowemi ku dolnej furtce się
zniżał, gdzie,
opowiedziawszy się straży, na właściwy, grodowy gościniec
wejdzie. Ale Zygfyrd,
posuwając się ku dolnym zabudowaniom zamku, krok
zwalniał. Wreszcie, blisko
kordygardy będąc, w bok skoczył; małe drzwi, znajdujące się
w ścianie, podważył;
przebiegł między murami oddzielającymi i łączącymi zarazem
dwa grody, i wbiegł
na korytarz dolnego zamku książęcego, gdzie znajdowały się
księżnej Witowdowej
pokoje.

Dolny zamek był budową drewnianą; obronny mur tylko
głazami się szczybił i
baszt wyskokami. Słysząc było miarowy chód straży, brzęk
halabardy, pohuk
puszczyka i skłęcie na Perkunasa.

Korytarz, którym szedł Zygfyrd, słabo oświetlały u ścian
zawieszane kaganki.

Wiał chłodem i pustką. Zygfyrd nie spodziewał się, nikogo
spotkać w tej części

mieszkania księżnej, ale na samym do jej komnat zawrocie
natknął się na dwóch

młodzieńców, których nierad był widzieć w tej chwili;
przynajmniej jeden, w

polskim stroju, od niedawna kręcący się u dworu księżnej
Anny, niemiłe zawsze na

nim wrażenie robił. Był to Jaśko z Bolechowic, chłop na
schwał, szukający

przygód wojennych, który w szeregach wojsk Kiejstutowych
niejednego już Niemca

uśmiercił. Po trockim pogromie zjawił się nagle na dworze
księżnej i służby jej
swoje ofiarował. Drugim był Till Eulenspiegel, hanswurszt
niemiecki, który w
Polsce, mianem sowizdrzała nazwany, nawiedzał wszystkie
dwory książąt i królów
ówczesnych, krotochwilami swojemi rycerzy bawiąc, matrony
gor-

sząc, a młódki bałamucąc. Z pomocniczem wojskiem
zakonnem na Jagaiłowy dwór
teraz przybył, lecz częściej na dworze księżnej Anny
przebywał, jako-że tam moc
była dziewic urodnych, dla których sowizdrzalstwo każde
niemało miało uroku i
ponęty. Na tych to dwóch młodzieńców natknął się Zygryd.
Till zgapił się nieco,
zobaczywszy tutaj znajomego sobie Krzyżaka, Jaśko za pas
rękę założył i bystro
spojrzał mu w oczy.

— Servus! — pierwszy odezwał się Till.

— Krotochwila na poczekaniu, heps!... — rzucił Zygryd...

— Nutki niema — odpowiedział sowizdrzał. Krew czerwona
falą zalała twarz

Krzyżaka.

— W płot kulą — mruknął.

— Dzidą w bok, a snadniej wątroby dostać — Till odparł.

— Waszmość do księżnej Anny? — wtrącił Jaśko.

— Idziem, gdzie nam się podoba — odparł Krzyżak.

— Oho! — mruknął Jaśko — a grzeczniej nie łaska
odpowiedzieć?

Krzyżak pogardliwy wzrok rzucił na Bolechowica i,
zarzucając płaszcz na ramię,
przeszedł mimo, kierując się do komnat księżnej.
— Gdzie nam się podoba! Słyszysz, Till? Carolus Magnus...
psia krew jego
krzyżacka! — zaklął Jaśko.
Po chwili zwrócił się do Tilla.
— Coś ty mu tam powiedział? — spytał.
— Cha-cha-cha!... — Till się zaśmiał.
— Szczerwieniął, niby bania wschodzącego miesiąca.
— Bom mu od dziewczek tyknął, na które łasy, jak ksiądz
każdy.
— Użyłeś liczby pojedynczej,

— Bo zórawiem patrzy na Danutę księżnej.
— Co, co, co? — brew nagle ściągając, zasapał Jaśko.
Till mlasnął językiem o podniebienie, aż klasnęło w pustym
korytarzu, i,
przymrużając lewe oko, rzucił do Jaśka:
— Mein Herr, Sie sind jetzt sehr interessant! Jaśko się
opamiętał. Wždy to nie
druh żaden przednim stoi, jeno błazen niemiecki, któremu nic
do tajemnic duszy
szlachcica polskiego. Wypogodził twarz i rzekł z uśmiechem:
— Zabawniejszy sam jesteś z domysłami swoimi!
— Ja się nic nie domyślam i o nic nie pytam, zwierzającym się
zaś wręcz mówię:
kochani moi, jeżeli już chcecie koniecznie gadać, to gadajcie,
tylko mnie o
sekret nie proście, bo żadna baba, siedząca przy straganie,
żaden garnkołuk

piekarniany, sroka żadna nie ma tak rozwichrzonego języka,
jak ja. Dlatego i
ciebie wcale nie pytam, dlaczego tak groźnego marsa, na
wspomnienie panny Danuty
imienia, postawiłeś.

— Znając już usposobienie twoje — Jaśko na to — mogę
mówić wyraźnie i spokojnie,
a z błędnych domysłów wyprowadzić. Rzuciłem trzykrotne:
co? bo u nas mnisi
żórawiem na dziewczki nie patrzą.

— A jam słyszał — rzekł Till — w Krakowie niegdyś będąc,
o jakimś dostojniku
Zawiszy, który tak do dziewczki kmiecia pewnego zagorzał był,
iż za nią na stertę
siana darł się, aż ci go chłop wraz z drabiną na ziemię zwałił
().

— To był biskup!... — odezwał się Bolechowic.

() Historyczne.

— Rezon cię nie opuszcza — zaśmiał się Till.
Rozmawiali tak o tem, to o owem, chodząc wzdłuż szyi
korytarza, oświetlonego
słabo kagankami pełgającymi. Na szarych ścianach odbijały
się postacie
młodzieńców, jeno gdy cień Jaśka miarowo się kurczył i
rozszerzał, Till, w ruchu
ciągłym będący, dawał odbicie jakiegoś młyna wietrznego.
Pomimo jednak gawędy

nieustającej, nietrudno było zauważyć, że Jaśko raz wraz
wzrok rzucał na drzwi
komnaty księżnej Anny, skąd dolatywał przytłumiony
zasłonami ciężkimi,
kradnącemi dźwięk każdy, szept cichej rozmowy. Powoli
wesoła gawęda młodzieńców
urywać się zaczynała i formy jakiegoś bezładu przybierać, bo
rozdwojona uwaga
Jaśka nie zawsze ułapiła sens pytań, mu zadawanych, wreszcie
jeden drugiego nie
rozumiał i, jako waryaci dwaj, rozmawiali już z sobą. Till
śmiał się do rozpuku,
gdy o pieczonej rzepie zaczął mu prawić, jeno głosem
smutnym, jakby o śmierci
matki rodzonej, a twarz Jaśka szczerym wyrazem melancholii
spojrzała, jakby
odczuwała cierpienia tej rzepy pieczonej, wreszcie nie
zdzierzył i bryzgnął
śmiechem tak głośnym, że Bolechowic drgnął i
wystraszonymi oczyma spojrzął na
Niemca, jakby go pytał: »czyżeś się zbiesił?«
— Gute Nacht! gute Nacht! — głosem słowicznym zaśpiewał
mu Till. — Ja idę spać, a
ty w ścianie dziurę świdruj.
Określił się na pięcie, aż do ziemi się pokłonił i skoczył w bok
na wązkie
schody, na górkę prowadzące, »locum« miał swoje. Biegł
cichy, coraz cichszy po
schodach, aż umilkł gdzieś u góry, jako wiatr, który po
trzcinach przebieży i
zamrze nagle.
Bolechowic stał chwilę i rozglądał się dokoła. Ci-

cho i szaro było; czasami zaskwierczy tłuszcz dopalającego się kaganka, czasem gdzieś tynk obłupi się na ścianie i z cichym szmerem na dół opadnie.

Nagle coś wionęło, jak wiatr, coś zaśnieżyło, jak mgła... Nie opamiętał się

Jaśko, jak ten wiatr i mgła ta na pierś jego skoczyły i zmieniły się w dwoje

ramion dziewiczych, w oddech piersi i żar całujących go ust.

— Danuta! — zawołał Jaśko.

— Tęsknotą mnie zwij, ogniem, pragnieniem, bom ci tem trojgiem jestem.

Zmogła się pierś z pierścią, usta z ustami się zlały, jako dwa złote pierścienie,

stopione w żarze ognistym.

— Miłujesz? — szepnął Jaśko, tchu nabierając.

— Ja teraz całuję... a o miłowaniu niech ci powiedzą: niemoc moja i moje oczy zamknięte.

I znowu uniesienie i grad pocałunków.

— Czekałem-ci ja na taką chwilę, czekałem! — tchnął zarem Jaśko. — A jaka mi się

jeszcze marzy, jaka się jeszcze marzy!...

— Tobie-li tylko takie marzenie dreszczem po piersi chodzi?

— szmerem fali,

bijącej o drugą pierś fali, ozwie się Danuta. — Tobie-li tylko marzą się sny,

zakończone serca pukaniem i wszystkich członków ciągotą?

Już przy pierwszym

spotkaniu się z tobą w Czersku, mój Jaśku, gdy pani moja odwiedziła dwór

Witowdowej siostrzycy, szepnęło mi coś w duszy; »ten ci jest twój, abo nikt inny«... I nikt inny nie dotknie mych ust, nie poczuje pod dłonią swoją dreszczu
mojego ciała, jeno ty, Jaśku! jeno ty!
— I jestem, tęsknoto moja, ogniu mój, nie ugaszone dotąd krwi mojej pragnienie!
— szepnął Jaśko, do siebie ją tuląc, a tulił tak mocno, tak ją przygarniał do

piersi spragnionej, że ból w gniecionych żeberkach uczuła.
Ale słodki był ten ból, bo go wywoływał gorący uścisk Jaśka, który szeptał:
jestem, tęsknoto moja,
mój ogniu, pragnienie moje, i już nie odejść mi od ciebie, jeno ślub wziąć, a miłem mianem żony nazwać.
— Trzeba się księżnej pani pokłonić — szepnęła Danuta.
— Dziś jeszcze uczynić to zamyśliłem — przerwał Jaśko... —
Wždy krzywą nie będzie mi. A gdyby przeciwko osobie mojej coś miała, to już bez nijakiego pozwolenstwa wezmę cię w gźle tem białem, którem w oczy mi śnieżysz, w tym kożuszku, który plecki twoje okrywa, w tych koralikach, czerwienią barw igrających z tchem twojej piersi. I ty pójdziesz ze mną, Danuto! nieprawda, że pójdziesz?
— A juści, choć taka uboga, tylko zakochana okrutnie!

— Nie magnat i ze mnie, choć Bolechowice to niemały ród w
Małej-Polsce. Jedni
ostali przy dobrach, a inni, jak ja, na dorobku mienia i sławy
są. W Krakowskiem
rodzonych stryjców mam, którzy o krwi swojej nie zapomną...
Ten ziemię w
dzierzawę mi puści, ów ziarno na zasiew da i lemieszów parę
na zoranie ugoru w
brózdy plenne. Nie sierotą jest ten, kto w Polsce się urodził, a
ma krewniaków
po mieczu, libo po kądzieli.
— U nas inaczej — szepnęła Danuta.
— Cości wiem o tem.
— Niewola..
Ciche westchnienie stłumiło słowo ostatnie. Lecz otrząsała się
szybko z jakiegoś
bólú cichego. Przygarnęła się do Jaśka i rzekła:

— Ale księżna to dobra pani, a jam jej posłuszna i wierna była
zawsze. Nie
uczyni nam wstrętu żadnego, a zawždy mnie wianem obdarzy,
bym nie opuszczała jej
dworu, jako sierota zupełna. Jeno nie dziś, Jaśku mów jej o
mnie... Smutna, a
podrażniona jest dzisiaj. Była u kunigasa z prośbą, by jej
małżonkowi wolność
dal na czas pogrzebu. On odmową serce jej zranił, wzbudził
gniew. Niech zaś się
uspokoi, niech gniew się ukołysze, a wtedy przyjdiesz i
pokłonisz się i prosić

będziesz o mnie, a ja to słyszeć będę i stać będę za jej
krzesłem w rumieńcach
cała.

— Nie w piękniejszych, w jakich przede mną stoisz teraz,
Danuto! w piękniejszych
chyba staniesz w noc poślubną, gdy nawet to gzło cienkie za
ciężkie ci się wyda.

— Gorzę, Jaśku!...

— I jam ci płomienny stos!...

I znów pierśmiom brak tchu, za mało ustom pocałunków.

— Żar!...

— Ogień!... brzmiał dwuspiew miłości. Jeden z kaganków
prysnął i zgasł.

— Czas już na sen — szepnęła Danuta... — czas już na sen!...

lecz jak tu spać po

takiej kąpieli gorącej?... Ale jeszcze księżna klaskaniem mnie
nie woła, a sercu

stać jeszcze na kilka uderzeń silnych. Usuńmy się stąd, Jaśku,
bo w zapomnieniu

nie w czas uskoczym, gdy się drzwi otworzą i ktobądź z nich
wyjrzy na ten

korytarz gasnący. Tu zaraz jest załom muru, a w murze
wnęka, gdzie usiąść można,

abo i położyć się, gdyby już na to przyszło. Jeszcze
chwileczka z tobą, jeden

szept tylko, jedno pocałowanie tylko, dopóki pierś wytrzyma.

Usunęli się do wnęki, przez Danutę wskazanej, na jeden szept
tylko, na jedno

pocałowanie, dopóki w pustym korytarzu nie ozwie się
kłaśnięcie dłoni księżnej

Anny. Ale nieprędko ten oklask się ozwał i mogła pierś
kochanków niejedno
jeszcze tchnienie wytrzymać.
Księżna była sama... W zadumie przechadzała się po izbie.
Miękkie kobierce
kradły odgłos jej kroków. Powłóczysta, żałobna szata,
ciężkimi fałdami opadała
na ziemię i wlokła się za nią, niby cień smutku. Ciemny welon
tkaniny lekkiej,
grzebieniem o kształcie korony, perłami nasadzonej,
przymocowany do pysznego
warkocza włosów, spływał wzdłuż całej postaci Anny mgłą
gęstą, a przezroczą. O
tej godzinie zwykle do snu się układała. Rozbierały ją panny
służebne, gasiły
światło i bez szelestu opuszczały sypialnię. Anna nie woła
dziś panien: myśl jej
w zadumie tonie, długość komnaty przymierza krok
niespokojny, czasami wzrok się
zatrzyma na drzwiach wchodowych.
Lekkie pukanie słyszeć się dało...
Znać był znajomy głos odpowiadającego, na pytanie księżnej
rzucony, bo dano
prawo wejścia, choć o tej godzinie nikt już nie mógł progu tej
komnaty
przestąpić. Ale widocznie księżna oczekiwała przybysza, a
widząc wchodzącego,
podeszła szybko i rzekła:
— Omyliliście się, komturze, w przypuszczeniu swoim, ba,
w pewności niemal!..
Mąż mój zezwolenia Jagaiłowego nie otrzymał, a na żal
Witowda, o jakim mu

mówiłam, rzekł mi: iż szczerzej łzy będą w ciemnicy
więzienia wylane.

Zygfyrd pochylił głowę ku ziemi, jakby obarczony był
ciężarem winy.

— Najtrudniejszym ze wszystkich zadań — rzekł—

jest ludzi poznanie; to też my, bracia zakonni, srogo cierpimy
na tem. Wyzyskuje

nas przewrotność ludzka, na nici cienkiej dobrej wiary wodzi
na świat

oszukańczy, a my, mnisi niepoprawni, tylko słowa miłości i
przebaczenia w

uściech mamy. Chłuba zakonu, sława i potęga jego, świętej
pamięci Winryk de

Kniprode, na pościeli śmiertelnej rzekł był te wyrazy: »Jako
źli wężowie oplotą

was i oprawcom podadzą ci, których miłujecie«... Święte
słowa! znamienne

słowa!... — dodał z westchnieniem.

Stał pochylony, z ogromnym smutkiem w twarzy.

Przez usta księżnej zły uśmiech przewinał się. Chciała rzucić
pytanie: a kogóż

to miłujecie? lecz nie wczas było drażnić potężnego komtura,
który, aczkolwiek

wraz z Jagaiłą kiejstutowe Troki oblegał, lecz z przyjaźnią
Witowdowi się

oświadczał; za jego to wpływem uniknęło rzezi pokonane
rycerstwo. Anna nie znała

polityki zakonu, który nie chciał ostatecznego pogromu Litwy,
nie chciał śmierci

jej nagłej, lecz powolnego konania. Zbliżała się chwila agonii
długiej,
męczącej, okropnej. Tymczasem się oglądano na potencie
sąsiednie, jako ten zgon
przyjmą; czy na trupie Litwy zduszonej pozwolą rozpanoszyć
się robactwu
teutońskiemu. Rzym, uświadamiany przez nienawistnej Polski
posłów, nie dawał
rękojmi błogosławieństwa dziełu bezbożnemu: przed forum
jego nieraz powoływany,
zakon przegrywał sprawę. W Polsce śpiewano dotąd:

»Nie daj, królu Kazimierzu,
Nie daj Niemcom pruskim miru,
Póki Gdańska nie odzyszczesz,
Póki oczu w głąb szafiru
Fal bałtyckich nie zanurzysz,

Nie ogarniesz znów Pomorza...
Polska musi tchnąć szeroko,
Wybić Wiśle drzwi do morza!«

Ale teraz na tronie Piastowym przyjazny zakonowi król Lois
siedział, a jedna z
jego cór miała niemieckiego Wilhelma pojąć. Chwila, jedna
chwila cierpliwości, a
inni posłowie Rzym nawiedzą, inne wieści do stolicy świata
popłyną. Wtedy krok
tylko jeden, i żelazna stopa niemiecka przydusi pierś... trupa.
Ale o tem nie
wiedziała nic księżna Anna.

— Tak — rzekła z przymuszonym uśmiechem — niełatwo poznać dusze ludzkie. A

jeżeli wy tak mówicie, cóż my, niewiasty, poczniemy?

Zygfyrd roztworzył ręce i ledwie dosłyszczanym głosem wyszeptał:

— W Bogu nadzieja! w Bogu nadzieja!... bo też On cudem Swej łaski podtrzymuje

nasz Zakon zmizerowany.

Księżna wskazała krzesło.

— Usiądźcie.

— Chyba za wyraźnem pozwoleniem — odparł pokornie Krzyżak.

— Proszę! — ozwała się Anna.

— Nie odmówić rozkazom miłości waszej. Usiadł na brzeżku prawie i pochylił się,

wzdychając, ku małżonce Witowda.

— Widzieliście dziś Wielkiego Księcia?

— Od niego wracam, miłościwa pani.

— Wspominał co o mężu moim?

— Wspominał, miłościwa księżno, i teraz rozumiem, jako serdecznie chce, by

książę Witowd opłakiwał stratę rodzica swojego.

— Gryźć będzie kraty więzienia wileńskiego — zawołała Anna.

— W Krewie, miłościwa pani — dokończył Zygfryd.

Księżna podniosła się, a biała była, jak płótno krzyżackiego płaszcza.

— W Krewie? — szept wypadł z jej ust. Zygfryd potwierdził powolnym ruchem głowy,

a zęby księżnej, jak przesypywane paciory, dzwoniły.

— Wywiozą go?

— Dziś, nocą...

Księżna skoczyła i zawołała w głos:

— Odbijcie go, komturze!...

Milczenie.

— Nie?

Zygryd ruchem głowy potwierdził ten okrzyk...

— Przyjaciel!... — wypadło ze zgrzytem z ust Anny.

Zygryd uśmiechnął się.

— Tak, przyjaciel! — z powagą odpowiedział.

Anna patrzyła na tajemniczą twarz Krzyżaka, czekając dalszych słów.

— Czy myślisz, księżno — ciągnął powoli Zygfryd — że taki skarb drogocenny jakim

jest wasz małżonek, wywozi się pod strażą bylejaką? czy myślisz, księżno, że

nam, mnichom zakonnym, godzi się podawać rękę synowi Kiejstuta, który pogaństwo

na świętej ziemi litewskiej chciał utrzymać? Nie może tego zakon uczynić, nie

może tego uczynić nawet dwóch mnichów zakonu, chyba jeden z nich tylko, który na

się potrafi wziąć grzech nie wiedzących nic o tym grzechu braci.

— Gdzież jest ofiarnik taki? — zawołała księżna.

— Tutaj — przed wami! — odparł Zygfryd, z siedzenia się podnosząc.

— Wy?

— Ja, dla przyjaźni waszej, na siebie ten grzech ciężki biorący.

— Jak? mów mi, mów, komturze!... — zawołała księżna gorączkowo.

— Oświeci mnie Duch święty, gdy przyjdzie chwila stanowcza — odpowiedział, pokornie głowę pochylając, Zygfryd.

— Krewe to straszne więzienie — szepnęła Anna siadając.

— Krewe to dobre więzienie — odparł Krzyżak.

— Czy dlatego, że może tam duch kiejstutowy po nocach się kołata?

— Dlatego, że można tam łatwiej czujność straży uśpić, niż w wileńskim więzieniu.

— Nie, nie, komturze! Znam czujność starego Wissebuta, trzymającego tam straż.

Nie przekupić go złotem, łzami nie zmiękczyć. To dziwne, że wy tak mówicie! wy,

którzy dotąd na piersi musicie mieć znak od noża

źmujdzkiego, którym dźgnął was

przed rokiem ten Wissebut, gdy samotnie podjechaliście do zamku kowieńskiego,

nocą, wracając mu jedynego syna, wziętego do niewoli, za twierdzy rysopis.

Twierdzy nie wydał, was dźgnął okrutnie, a nazajutrz, za Niemnem, na szubienicy

kołysał się trup jego dziecięcia. Czy zapomnieliście już o tem?

— Pamiętam, miłościwa księżno... pamiętam! Od tego źmujdzkiego noża dotąd się

rana jątrzy.

— Jakoże teraz do krewskiego zbliżycie się zamku?

— Wy się zbliżycie, księżno!

— Cóż ja!

— Wspomniał mi wielki książę, że dał wam prawo odwiedzania małżonka.

— Tutaj, ale nie tam...

— I tam, toć prawo ludzkie, które poparcie moje zyskało i pochwałę.

— Cóż dalej?

— Odwiedzać go będziecie, nawet i łożo małżeńskie mu zaścielać.

Rumieńce okryły twarz księżnej.

— Tak mi mówił — szepnął Krzyżak.

— Ale cóż dalej? — pytała księżna.

— Wždy nie sami to czynić będziecie?

— Do posługi dworskie panny wezmę — odpowiedziała Anna.

— A pewni jesteście posłuszeństwa, wierności tych panien?

— Dwie mam takie.

— Które to, księżno? — zapytał od niechcienia Zygfryd.

— Łajma i Danuta.

Zygfryd drgnął lekko, jakby dreszcz po ciele jego przeszedł.

— Danuta... to ta., wysoka, krępa, czarniawa.

— Nie, to ta o warkoczu złocistym, a oczach niebieskich, kibici wiotkiej, a

wiecznie z grzechotką śmiechu na ustach. Wzrostu mojego Witowda, ostatnie i

jedyne już dziecko Wissebuta.

— To ta! — wyszeptał cicho Krzyżak... — Dobrze się nawet składa, że ona jest

Wajssebuta córką. Księżna się uśmiechnęła.

— W czymże ona pomocną nam być może? — spytała.

— Więcej, niż myślicie, księżno!
— Nie rozumiem was!...
— Ubierzcie waszego małżonka w suknie tej Danuty; sztuką niewieścią niewieści
wygląd twarzy jego dajcie, a zmierzchem, z więziennego mroku, gdy wychodzić
będzie, nie dopatrzą stare oczy Wissebuta, kto z ciemnic krewskiego zamku
wychodzi. Trójca przyjdzie, trójca wyjdzie, tylko nie za pierwszym razem,
dziesięciokrotnie przedtem odwiedzicie waszego małżonka. Pozwoli się uśpić żóraw
czujny, krzyżackie konie w pogotowiu w umówionem miejscu stać będą, a na miejscu
księcia Witowda złotowłosa Danuta zostanie. Księżna podniosła się z krzesła i uścisnęła gorączkowo dłoń przyjaciela.
— Tak, tak, tak!... — wyszeptała — uśpi się żóraw stary, w granicę Polski uniosą
mojego Witowda konie krzyżackie.
— A potem do Prus, do przyjaciół — dodał Zygfryd.
— Wszędzie, byleby z Kiejstutowej baszty umknąć.
— Dobranoc wam, pani miłościwa!...
Pochylił głowę i w rycerskim ukłonie do drzwi się cofał. Z wypiekami na twarzy, z oczyma pałającymi stała chwilę żona Witowda pośrodku
izby, łowiąc uchem oddalające się kroki Krzyżaka. Gdy ścichły, podbiegła do
drzwi i nasłuchiwała jeszcze. Otworzyła je później i w szarość korytarza wzrok
rzuciła. Jedyne już tylko kaganek ćmił światłem bladym, gród spał, żaden szelest
nie przerwał milczenia.

Księżna klasnęła w dłoń.
Szmer, bieg cichy, jakby stóp bosych.
To, czujna na rozkaz pani, biegła Danuta.

II.
W rycerskim domu.

Przy Trockiej ulicy była gospoda, »Domem Rycerskim «
zwana. Każdy obcy przybysz
z zagranicy, albo rycerz, wałęsający się po ziemiach różnych i
przygód
szukający, lub spełniający ślub jakiś, którym zniewolić miał
miłą sercu swojemu
niewiastę, znalazłszy się w Wilnie, zatrzymywał się w
gospodzie owej, mającej
izbie« przestronne, wygodne żłoby dla koni i dziedziniec, dla
popisów rycerskich
dogodny. Kręciło się w one czasy niemało tych ofiarników
Erosa, rycerzy
błędnych, ze zranionemi sercami od strzał kupidynowych,
jako i tych, którzy
chcieli w walce z »saracenami« niejedno paskudztwo żywota
swojego zmazać,
niejeden grzech śmiertelny odkupić i, namordowawszy tych
pogan niemało poczesne
dla siebie miejsce w królestwie niebieskiem znaleźć. Wielkie
wyprawy krzyżowe,
płynące ongi ku Jerozolimie falą wezbraną, ucichły. Grób
Chrystusów trzymały

dłonie silne, rycerska zaś fantazyja ówczesna gdzieś się wylać
musiała i znaleźć
ujście swojego odpływu, połączonego z urokiem mistycyzmu
religijnego. Tem
miejszem była Litwa.
Nie wzmogłoby się tak Krzyżactwo, gdyby nie ony stały
przybływ rycerstwa
zachodniego, płynącego w kraje pogańskiej Litwy, otoczonej
tajemniczością lasów
i bo-

rów, zaludnionej niewidzianymi już w świecie zachodnim
potworami, które w
imaginacji ówczesnych rycerzy iście bajeczne kształty
przybierały;
napływ nieraz tak był duży, że do siedmiu wypraw rocznie
musiał Zakon
podejmować, ażeby tej febrze rycerskiej zadośćuczynić,
prawda, że i niemałe
korzyści materyalne miał z tego. Francuzi, Sasowie, Anglicy,
Włosi, Hiszpanie i
Portugalowie szli na one wyprawy »saraceńskie«; królowie i
księżęta, jako
»współbracia«, królowe i księżniczki, jako
»współsiostrzyce«, zapisywali
się do zakonu, a »rycerz« i »mnich«, połączony w jednej
osobie, miał urok
niemały, tak że niewiasty wszystkie, olśnione brzmieniem
tych dwóch nazw,
zawsze po stronie niemieckich rycerzy stawały i nieraz
królewskim małżonkom

swoim na drodze ich lepszych natchnień kamieniem legły.
To też zakon w
wielkiej czci a poszanowaniu miał ród niewieści i
współsiostryce swoje
obdarowywał relikwiami cudownymi, jako to: łąką
Chrystusową, kawałkiem
welonu Matki Boskiej, okruchami Chleba z Ostatniej
Wieczerzy Pańskiej i t. d.
Gdy jeden z królów im rzekł, iż zbraknąć może tak
szczodrze szafowanych
świętości, »Łaska Boża pomnoży« — odpowiedzieli mnisi
cichego serca, a któżby
śmiały zaprzeczyć Bożej Wszechmocności!.. Za one skarby
religijne i zbawczych
modłów obietnicy pryncy i duki dobrami ziemskimi
obdarzali zakon pobożny.
We wszystkich państwach Europy obronne siedziby swoje
mieli ci obrońcy krzyża:
były to węzły sieci olbrzymiej, zarzucone na ludy i kraje.
Zapisać się w
»Złotej księdze« Zakonu niemałym było zaszczytem;
dostać »stołu honorowego«,
to prawie królestwo niebieskie pozyskać. Współbracia i
współsiostryce
wiedzieli, że w rocznicę ich śmierci dzwony we wszystkich

świątyniach krzyżackich się ozwały, że tysiąc mnichów żałobne
modły odprawi za
spokój ich duszy i różnych win zmazanie, a boje
niezmordowane »z przepotężnem

pogaństwem«, mianem »saracenów« ochrzczone, otaczały
nimbem ten zakon krzyżowy,
dyabelską pychę odęty, żyjący krwią ludów i zmysłów
wyuzdaniem. A wždy to, po
sławnych lupanarach rzymskich, pierwszy zamtuz w
Malborgu powstał; a wždy to
pierwszy Krzyżak-mnich próg jego przestąpił. Świat o tem nie
wiedział, bo
pokrywała te bezceństwa biała świątobliwa szata i chyba dar
jasnowidztwa mógł
przejrzeć skrytość ich dusz i rzucić wróżbę słowami świętej
Brygidy, do której w
widzeniu Syn Boży przemówił o Zakonie krzyżackim:
»Postawiłem ich na straży u
granic ziem chrześcijańskich, pszczołami użyteczności być
mieli, a oto powstał
przeciwko mnie. Nie dbają o dusze, nie litują się ciał tego ludu
pruskiego,
który z błędu nawrócił się ku wierze katolickiej i ku mnie.
Grzebią go pracą
niewolniczą, pozbawiają swobód, nie uczą przykazań wiary,
odejmują mu
sakramentów i wtrącają w piekło ku jeszcze większej kaźni,
niż gdyby pozostał
był w pogaństwie. A jeśli wojnę toczą, to czynią to jedynie ku
powiększeniu swej
pychy i szerszemu rozpostarciu swej chciwości. Dlatego
przyjdzie czas, kiedy
będą wyłamane ich zęby, i będzie ucięta im ręka prawa, i
prawa noga im
ochromieje, aby żyli i uznali występki swoje« ().
Ale świat o tem nie wiedział, a jeżeli wiedział, odejmowała
mu głos wielka

potęga Zakonu.

() Revelationes S. Brigittae Lib. II. Cap. XIX. f. . Proroctwo to wypowiedziane zostało niemal w przededniu wielkiego pogromu Grunwaldzkiego.

Tak tedy każda wyprawa do ziem litewskich była dla owych rycerzy błędnych, wojowników, szukających przygód, fortuny czy sławy, wojną krzyżową, prowadzoną przez zakon pobożny, który na kresach ziem chrześcijańskich był jedynym piastunem idei Chrystusowej. Niemaló tych rycerzy, wraz z pomocniczem Jagaile wojskiem krzyżowców, wtłoczyło się teraz do litewskiej stolicy, Wilna; niżsi rodem i mniejsi zasługami zawalili dziedziniec wspomnianego już »Domu rycerskiego«; dostojniejsi zaś i więcej w pieniądź brzęczący zaopatrzeni, zajęli wszystkie izbice gospody piętrowej, pijąc i biesiadując przy skokach niemieckich trefnisiów, dźwiękach lutni i swawolnych piosnkach minnesängerów, z rycerskiego stołu żyjących. Mieszkańcy stolicy prawie z zabobonnym strachem przechodzili około tej gospody; niejeden wstrzymał się — i splunął; ale nie zaczepiali stojących na straży knechtów niemieckich, unikali burdy ponocnej, o jaką

nietrudno było z żołdactwem butnem i grubiańskiem,
mającym za sobą dumnych panów
pruskich i wielkiego księcia opiekę.
Przez otwarte okno gospody (boć to były sierpniowe dni
upalne) co chwila na
zewnątrz ulicy wylewała się fala śmiechu przy
akompaniamencie puharów
rozbijanych i opilczym okrzyku: Christ ist erstanden!...
Niezbyt, co prawda,
licował ten krzyżacki okrzyk bojowy z tłustymi żartami
błaznów i marzącemi
piosenkami minnesängerów, w których odzywały się
nieśmiertelne skargi Lorelej,
powtarzane przez echo skał nadbrzeżnych, nabrzmiałe
tęsknotą miłosną, rzewne a
pochutne, jak głębie złoto-błękitnego Renu. Ale czyż nie
biesiadują w powoli
chylące się do ich stóp stolicy Litwy? czy syn Olgierdów, dla
zachowania pozoru
władzy, nie tuli się

w fałdy ich szerokiego płaszcza?... Christ ist estanden!—
wołały gardła pijane,
a wtórowały im dzwonki rozhulanych guzmanów i tęskne
westchnienia Lorelej.
Do owej gospody li tylko rycerze chrześcijańscy mieli prawo
wejścia w tej
chwili; pogańscy wojownicy litewscy, wraz z wodzami
swoimi, umykali od ścian

tych, niby od ścian domu zapowietrzonego. W lasach
niedalekich, w gajach
blizkich snują się tylko cienie jakieś; przysiadają cicho nad
brzegiem Wilejki w
uroczystem milczeniu, w dusznym skupieniu, z zamkniętymi
usty, z zapartym w
piersi oddechem. Księżyc na młodziku mży, nie świeci;
wartko płynące fale
Wilejki chwytają złoty blask jego: garść bryzgów, parę
błyskawic szybkich i
zgaśnięć. I tak wciąż, na przemianę: błysnięcie nagłe i ciemny
szafir wód. Po
chwili i tu się odzywa dźwięk struny, po chwili i tu się pieśń
odzywa. Dzwonią
już tylko słowa litewskie, a z nich wypływa ból, a śpiewa je
wieszcz stary,
wypełniając treść poważnego rapsodu Olgierdów i
Gedyminów imioniskami. Zabłądzi
nieraz i imię Kiejstuta, ale na wspomnienie dwóch tamtych
piers rośnie, na
wspomnienie tego ostatniego ból targa piersi. Okrom książąt i
królów, czapki
Olgierda i korony Gedymina, znalazła się w pieśni Wajdeloty
i smutna opowieść o
nadniemeńskiej mogile Szyrwida, o tem pierwszym
rozbudzeniu się duszy litewskiej
pod urokiem branki polskiej. I były myśli, które popłynęły do
dalekiej ziemi
łąckiej, i były serca, które tajemniczem przeczuciem nowego
życia zabiły, ale je
wnet zmroził płynący z »Domu rycerskiego«, niby głos
surmy, zwycięski okrzyk

Krzyżaków. O, Wilno! kogo ty gościsz? O, Wilno! czyje
zwilżasz usta zdrojami
swoimi?

W pewnem oddaleniu stało młodzieńców dwóch,

śnać zwabionych słodkimi dźwiękami pieśni litewskiej. Byli
ukryci w krzewach

leszczynowych, może bojący się wyjść z cieniów w swych
strojach cudzoziemskich.

Jeden z polska, a drugi z niemiecka był ubrany; pierwszy nie
okazywał lęku,

drugi zaś za połę ubrania towarzysza swojego chwycił,
powstrzymując go w chęci

pójścia naprzód. Nietrudno odgadnąć, że był to Till z Jaśkiem
Bolechowicem. Till

wiedział o zabawie Niemców w »Domu rycerskim« i Jaśka
namówił, by z nim na tę

biesiadę poszedł. Jaśko upierał się i więcej rad byłby skórę im
trzepać, niż

biesiadować z nimi, ale na rzucone podejrzenie przez Tilla, że
się trochę

Niemiaszków obawia, podrażniony w rycerskiej ambicyi,
wybrał się z nim do

wiadomej gospody. Zaledwie jednak wyszli z zamku, jak
Jaśka owiał czar nocy. Na

ustach swoich czuł jeszcze ciepło pocałunków ust Danuty, a w
sercu rozmarzenie

wielkie. Skręcił więc na brzeg Wilejki, w lekko posrebrzone
księżycem drzew

cienie, jako to zwykle kochankowie czynią, mający serce
miłowaniem przepełnione.

Rad nie rad, Till zgodzić się musiał na oną romantyczną
peregrynację i poszedł
za Jaśkiem. Aż oto pieśń litewskiego rapsodu w słuch im
wpadła. Słowa
niezrozumiane były, ale tęsknota i ból bez słów rozumieć się
dają. Jaśko chciał
wyjść z ukrycia i staremu wajdelocie się pokłonić i z oną
garstką ludu,
szukającego w pieśni otuchy i pokrzepienia, noc całą
pozostać. Ale Tilla nęciła
gospoda rycerskiego domu, figle guzmanów i perlące się
winem puhary. Zresztą nie
czuł się zbyt bezpieczny w niemieckim stroju swoim; mógłby
być posądzony o
przeszpiegi i Wilejką do Wilii popłynąć, a stamtąd Niemnem
ku Kownu, by przed
Niemcami zaświadczyć, jakie to wielkie ku nim jest
miłowanie na

Litwie. Jaśko chciał wyjść z krzewów, a ten go za połę
powstrzymał i bzdury
prawił.

— Zarzezą, łeb rozbiją, ze szczupakami pokumać się każą,
śmiechem zaś ni
krotochwilą żadną nie wykupisz się od nich, Jaśku! Ba, znają
się na tem, jak
wróble na wstrzemięźliwości. Z tobą zresztą łagodniej się
może obejda, ale mnie
pewnikiem na żywym ogniu upieką, tak im przyjemny jest
zapach skóry niemieckiej.

Jaśku, przyjacielu, bądźże prawdziwym wyznawcą Chrystusa,
nie Perkunasa

zwolennikiem — szeptał Till w samo ucho Bolechowica, nie
popuszczając na chwilę
poły jego ubrania.

— Nie terkocz mi nad uchem, jak grzechotka, do stu
piorunów! — zniecierpliwił
się Bolechowic. — Co mnie tam twoja skóra niemiecka
obchodzi przy tej pieśni
przedziwnej, której śpiew fal i szmery liści wtórzają!...

— Zmąci to wszystko mój krzyk męczeński, gdy ci poganie
dostrzegą niemiecki mój
strój — i pięty mi smalić będą.

— To zrzucić go, do kaduka!

— I mam jako golec stanąć przed nimi?

— Jeżeli tak bezpieczniej — to czemu nie?

— Do przedwczesnej mnie kąpieli przygotowujesz, jak widzę.

— Z przyjemnością gębębym ci zatkał!... Taka cudna pieśń
dzwoni, a ten trajkoce
i trajkoce!...

— Ładniej ci tam w domu rycerskim zaśpiewają!...

— O, to łżesz!

— Byłżeś tam, słyszałeś?

— Nie byłem i nie słyszałem.

— Dlaczegoż mówisz, że łgę?...

— Ja jeno widzę, żeś tchórzem podszyt.

— No, tak!...

— Że się okrutnie boisz.

— No, tak i z tych słów moich widzisz, żeś odważniejszy od
ciebie.

— A to jakim sposobem? — Jaśko spytał.

— Bo przyznać się do strachu mam odwagę, a ty nie!

— Wždy to ty mnie, nie ja sam siebie za połę trzymam?

— Widzisz, jako się wykręcasz niegodnie, aby tylko do gospody nie iść, gdzie rycerz rycerzowi w pysk patrzy.

— Tędy zmierzasz — zaśmiał się Bolechowic. — Otóż wiedz, Tillu, żeś głupi, bom chciał pierwiej temu ludowi się przypatrzeć, a potem do rycerskiego domu z tobą iść.

— Potem!... — ozwał się Till -- w tem ci właśnie całą przebiegłość i spryt twój widzę i rzucenie mi piaskiem w oczy. Potem, to znaczy: gdy uczta rycerska się skończy, służba kości wszystkie wymiecie i cicho będzie, jak makiem siał. Wtedy śmiało do drzwi podejdziesz i zakołaczysz na stróża: — »Kto tam?« — odźwierny spyta. — »Jaśko z Bolechowic, na ucztę idę!« wąsa podkrecając, rzekniesz. — »Już po uczcie« — da ci odpowiedź odźwierny. — »Spóźniliśmy się« — rzekniesz tedy do mnie, marsa okrutnego stawiając, a oczyma mówiąc: »Mojać-że to wina, że tak wczesnie zakończyli biesiadę?« Wilk syt i koza cała będzie, a rycerskość twoja żadnego szwanku nie poniesie — dokończył Till.

— A, ty jucho niemiecka — zawołał Jaśko. — Ot, jak bezecznie rzecz całą wykalkulował!... Prowadź do ry-

cerskiego domu, a zaraz ci na wstępie taką awanturę zrobię, że
szabla o szablę
trzaśnie.

Till rad był z takiego obrotu sprawy. Awantury się nie lękał,
bo wszelkie
nieporozumienie krotochwilnym żartemby załagodził, a cknęło
mu się do pieśni i
zabaw. Podjudzał tedy trochę Jaśka, odprowadzając go
coprędzej z rozśpiewanego
gaju litewskiego, za którym Bolechowic raz wraz się oglądał,
przystawał i
nasłuchiwał, łowiąc uchem smętne tony umierającej pieśni
litewskiej. Rozwiała
się, jak mgła, dzwonił tylko cichy strun pobrzęk, a i ten
przygasał, rwał się i
dogorywał w poszumach drzew i płaczu fal Wilejki.
Jaśko stanął i słuch wyteżył.

— Cierpie skóra? — Till spytał.

— Nie na mnie, kukło niemiecka! — oburzył się Jaśko.

— Ja się przyznaję i śmiało uchodzę, ty zaś krok
zatrzymujesz, zucha udając.

— Milcz, bo dźgnę! — krzyknął Jaśko. — I to być może,
przewagę nade mną masz, a
nikt w obronie sieroty nie stanie — westchnął Till.

— Wiesz — rzekł Jaśko, stając znowu, a do Tilla się
zwracając — gdyby mnie
spytano, czy twój ozór, czy mój miecz jest ostrzejszy, nie
umiałbym dać
należytej odpowiedzi.

Tak dogadując sobie, weszli na Trocką ulicę i do rycerskiego
skierowali się
domu.

W izbie dużej, przy stole długim, na którym stały złote dzbany
i puhary, farfury
zacne i srebrne misy z jedzeniem, a nalane winem perlistem
kielichy krążyły
dookoła, siedziało ze stu pięćdziesięciu rycerzy nacyi różnych,
bo okrom białych
płaszczów mnichów krzyża-

ckich, dojrzeć nie trudno było barwne stroje mężów, z ziemi
galijskiej
przybyłych, i poważne twarze Angielczyków, i ruchliwe
postaci Włochów, i opasłe
Holendry, i Bawarów pyski opijaczone, a wszystko to
kawalerowie »honorowego
stołu« zakonu krzyżackiego, duki i pryncce, albo błędni
rycerze, szukający sławy
i przygód wojennych w pogańskich ziemiach litewskich. To
też szramy na czołach a
lica bezecnie pocięte mieli i niemało warg zajęczych dostrzedz
można było, na
które pewnikiem żadne niewieście nie kładły się już usta, a
miłość u rajfurek
kupowano; toć psia złość z ich fizyonomii patrzyła, a światu
całemu grozili
zębem wyszczeżonym, gładkie zaś lice spotkanego gdziebądź
młodziana złą żółcią
zalewało im serca. Lecz częściej kresa rycerska przecinała
policzki, co było
nawet ozdobą twarzy, jako świadectwo wojennego żywota.
Zajęczą wargę najczęściej

w pijackiej burdzie się otrzymywało; nie zacnego miecza był to ślad; cięcie doraźne pochwyconego na podoręczu noża przezeń patrzyło. Na szarym końcu stołu siedzieli bracia zakonni, przodek przed sobą innym dając, jako nakazywała im polityka panów gospodarzy. Pomimo skromności onej, znać było, że oni tu rej wodzili, że pod płaszczami mniszymi nie mnisze dusze siedziały; że ręce, nabożnie skrzyżowane, opierające się na głowicach mieczów żelaznych, a podnoszące się z błogosławieństwem nad każdą nową misą wniesionej potrawy, nad każdym puharem, świeżem winem nalany, druzgotały ludy, mocy ich ulegające, z piersi pokonanych żywe wyrywały serca. Te ręce mnichów, na krzyżach mieczów oparte, twarde, jako stal, nie do dźwigania krzyża, tego słodkiego jarzma Chrystusowego, lecz do onej sztaby żelaznej, zbitej na

płask, a ostrej i obosiecznej, stworzone były. Palce, jako węże do dławienia przywykłe, w skurczu zawsze; w słodkim spokoju nie widziałeś ich nigdy, w bezruchu nawet miały kształt szponów sępich, czekających na trzewia upatrzonej już ofiary. Mówiono o chrześcijańskiej pokorze tych mnichów, lecz nikt z żywych w zwykłą nawet wyrozumiałość ludzką nie wierzył. Siłą stali, siłą imponowali

światu ówczesnemu, lecz duch Chrystusowy w nich zamarł, i dlatego tyle podłości wyrzygnęli z siebie.

Pośród tych rycerzy zakonnych był i Zygfyrd, który, opuściwszy komnaty księżnej Anny, na ucztę pośpieszył.

Brakło tylko Tilla, nie opuszczającego nigdy biesiad rycerskich, a opóźniającego się dzisiaj z przybyciem. Już znużyły rycerzy skoki błaznów; zmysły, winem

zalane, nie odczuwały piękna marzących pieśni

minnesängerów, rozkoszna a tłusta

zwrotka jakaś wywoływała jeszcze śmiech gruby na usta biesiadników, lecz i w tem

nawet przesycenie znać było. Oglądano się za ostrym dowcipem ulubionego

sowizdrzała, który z Jaśkiem miał przyjść i żart wesoły na wety im rzucić.

— Do kata! drugie kury przepiały, a naszego przyjaciela jak niema, tak niema...

Czy go jaka dziewczka powabna dworu księżnej Anny nie zatrzymała i przeniósł

małmazyę jej ust nad cukier wina — ktoś rzucił.

Zygfyrd się poruszył.

— Niemasz tam takiej — mruknął przez zaciśnięte zęby.

— Dlaczegoż nie przychodzi? Przecie już Bachus czerwonymi policzkami patrzy, a w

głowie mu się mąci... Skrewił, psia jucha, skrewił!...

— Till nie opuszcza biesiad — Zygfyrd na to — od puharu ust nie odwraca, tylko prosiłem go, by do

kompanii naszej przyprowadził rycerza sławnego, owego
Jaśka Bolechowica, od
którego niejeden z nas pamiątkę na łbie nosi. Chciałem, byście
się przyjrżeli mu
bliżej temu chrześcijańskiemu rycerzowi, który w pogańskich
pułkach Kiejstuta
walczył i dziś nawet nie odstał od dworu księżnej Anny,
zatrzymany wdziękami
srogiego Wissebuta dziewczyny.

— Wdziękami, powiadasz? a mówiłeś, że niema tam takiej.

— Dla wyznawców Chrystusa, nie dla Bolechowiców takich,
miecz przeciwko nam
podnoszących — odparł Zygfryd. — Owóż prosiłem Tilla, by
przywiódł tu nam tego
junaka, jeżeli mu skóra nie ścierpnie na widok tyłu rycerzy
szlachetnych. Ot,
krotochwile mieć będziemy, gdy niejednego z nas ujrzy,
pokrzywdzonego przezeń
tak srodze.

— Bolechowic? — rzucił jeden z mnichów krzyżackich. —
Poznałem go pod Kownem...

Jak żmija się rzucał, padalec!

— I ja mam rozprutą dłoń przez tego poganina — wtrącił
drugi.

— Mnie także na sztych wziął, psi syn, ażem skłąć musiał i
pomstę mu zaprzysiądz

— ozwał się trzeci.

— Obiecałem i ja w Trockiem jeziorze go utopić, gdyśmy się
mieczami w boju
ostatnim związali. Przysięgał, że pływać umie i do wspólnej z
sobą zapraszał
mnie kąpieli — głos czwarty zabrzmiał.

- Bezecnik!...
- Syn więdźmy! — tu i tam głōsy dały się słyście.
- I chcecie, by przyszedł do przyjaznej mu tak

kompanii! — ozwał się głos tubalny kawalera de Vendendaelle.

Zaśmiano się, a Zygfryd rzekł:

— Bój bojem, nienawiść nienawiścią, a uczta ucztą. W rycerskim gronie zapomina się o niesnaskach różnych, wróg nawet bratem się staje, chyba samby przeciwko gościnności zgrzeszył i kogobądź z nas uraził.

— O co nietrudno... w kompanii tak mu życzliwej — dodał kawaler de Vendendaelle.

— Znać to przeczuwa i dlatego nas na srogi zawód naraża — ktoś wtrącił.

— Till go namówi — rzekł Zygfryd.

— Wiedząc o gościnności naszej — gdzieś padło.

— Wierząc w naiwność swoją — dokończył Zygfryd — że bezpiecznie będzie mógł przestąpić próg tej izby.

Rzucił to dziwnym głosem. Słów tych jednak nie wszyscy dosłyszeli wśród gwaru biesiadnego.

W danej chwili zwracał na siebie uwagę biesiadników rycerz, z ziemi galijskiej

przybyły, z plastrem na oku, którego zwano kawalerem de Vendendaelle. Jako

ostatnio przyjęty do »stołu honorowego« za swoją wyprawę do Ziemi świętej i

zwycięskie tam zmaganie się z potworami strasznymi, które w walce orężnej pokonał, siedział na miejscu poczesnym, dziwy opowiadając słuchaczom o lasach gadających, jaskiniach, do antypodów wiodących, przyczem srebrne talerze w trąbkę zwijał, to rozwijał, oną to manipulacją dowód dając siły niezmiernej, a czynił to niby od niechcienia, ot, by jakieś zajęcie dać palcom, które przecież beczynnie spoczywać na stole nie mogą. Każdy mąż rycerski, przy nim siedzący, zaledwie mu do ramienia głową sięgał,

a gdy wstawali od wieczerzy, każdy z nich wzrok rzucał na Francuza, obawiając się, by pułapu łbem swoim z tynku nie otarł, co też się nierzadko zdarzało przy ówczesnych mieszkaniach niskich. Kawaler de Vendendaelle nie więcej nad lat czterdzieści liczył. Przy potężnym wzroście swoim i sile niedźwiedziej był chudy niezmiernie i płaski, że go po cichu »deską francuską« nazywano. Ta chudość i płaskość jego postaci śmieszne wrażenie robiła, przerażenie zaś wzbudzała, gdy rękę po jakiś przedmiot wyciągał, która, zda. się, w nieskończoność gdzieś rosła. Mówił dobitnie, opozycyi nie znosił, łgał, jak najęty, żądając dla słów swoich wiary bezwzględnej. Ogromny

miecz, z którym nie rozstawał się nigdy, powszechny budził szacunek. I teraz, siedząc przy stole, przy sobie go miał; opuszczony na rzemieniu, zajął znaczną część izby i końcem swoim o ścianę się oparł, tak że każdy pacholek albo rycerz, przechodząc poza plecyma Francuza, przez miecz ten przestąpić musiał, by potrąceniem o niego nie urazić kawalera. Zda się, że rycerz de Vendendaelle naumyślnie taką przegrodę stawiał, wyzywając śmiazków, którzyby odwagę mieli to uczynić. Nieraz wysoko podniesione ostrze o ścianę opierał, robiąc zamkniętą rogatkę poza plecyma swojemi, że już nie przestąpić, ale przeskoczyć przez tę zaporę potrzeba było. Rozumiano tę kawalerską fantazyę Francuza, a widząc, jak srebrne talerze zwijał, niby kartelusz marny, przeskakiwano przez miecz rycerza, albo zawracano się i obchodzono stół dookoła, by od spodziewanej ochronić się zaczepki. Kawaler de Vendendaelle nie grzeszył pięknnością. Miał twarz suchą, długą bardzo, nadającą mu jakiś wygląd koński, ozdobioną wąsem jasnym, świecącym od

smarowidła, a podczesywanym do góry, niby wachlarz z piór źle upierzonych

jeszcze kaczek, a odkrywający usta grube, czerwoną pomadą
wysmarowane; broda, w
szpic cięta, ginęła w mgle koronek brabanckich, szeroką krezą
cienką
otaczających szyję. Bujne a trefione kędziory spadały na
ramiona; łeb duży, brwi
wymalowane miał, jak i policzki, sztuczną barwą rumieńców
błyszczące. Nos
szeroki, płaski, rozlewający się po obu stronach twarzy; na
lewem oku plaster,
bez którego nikt go nie widział, choć byli i tacy, którzy nie od
dnia
dzisiejszego szlachetnego rycerza znali. Nie pytano jednak
kawalera o przyczynę
tej dobrowolnej szpetności, domyślano się tylko, że ślub jakiś
był onej powodem,
tajemnica miłosna, której badać nikt się nie ośmielił.
Zmieniano misy i dzbany, rozmowa toczyła się wartko.
Właśnie Zygfryd kończył
opowieść swoją o nowem bezecństwie Jagaiły, który, nie
mając uczuć
chrześcijańskich, nie tylko nie pozwolił Witowdowi być na
uroczystości pogrzebu
Kiejstutowego, lecz nocy dzisiejszej do krewskiego więzienia
wywieźć go
rozkazał, gdy drzwi się otworzyły i wszedł Till z Jaśkiem
Bolechowicem.
Gwar przycichł...
Oczy wszystkich zwróciły się na wchodzących.
Jaśko na progu izby na chwilę przystanął i dumnym
spojrzeniem powiódł po
zgromadzeniu. Nie było w nim obawy spodziewanej. Orłem
okiem obiegł dookoła;

brwi lekko ściągnął, Zygryda dostrzegłszy, zatrzymał się
dłużej na twarzy
kawalera de Vendendaele, którego plaster snąć go zajął, bo
usta uśmiechem się
poruszyły. Dostrzegł to rycerz francuski i srebrny talerz zaczął
znacząco w
trąbkę zwijać, a lewą rękę na głowicy mie-

cza położył. Manipulacja ona nie uszła uwagi Jaśka: »To ci
siłacz dopiero!« —
pod nosem mruknął i uśmiechnął się znowu, a wąs pokręcił,
czem dał do
zrozumienia, że pojął tych ruchów znaczenie.
Piękna a harda postać młodzieńca podrażniła ucztujących,
szczególnie wargom
zajęczym nie w smak poszła. Rycerze krzyżaccy tręcili się
łokciami, harde łby do
góry podnosząc, a zęby Zygryda zgrzytnęły. Podejrzywał go
o miłość do Danuty,
do której sam się palił, a zresztą Jaśko był synem ziemi
polskiej, tej ziemi
dobrodziejki, której on, Zygryd, z towarzyszymi swoimi
strzedz winien i bronić,
bo obdarzyła ich hojnie, dzieląc się z nimi częścią swej szaty.
Toż dość już
było powodów do wzburzenia żółci w wątrobie Krzyżaka:
miło jest brać
dobrodziejstwa, lecz za przykro jest wdzięczność za nie
okazywać. Ale zła
niechęć szybko ustąpiła tajemnemu uczuciu radości: wpadł w
sidła szpak

nieuważny.

Till naprzód postąpił.

Przyciszony gwar wzmógł się na nowo, a lutniści na skoczną nutę grać zaczęli. I

wnet s,ię ozwał śpiew, nieodstępny towarzysz każdej uczyty rycerskiej, a teraz do

Tilla zwrócony. Dobrany chór śpiewał:

Niemasz lepszych chwil,

Gdy się jawi Till.

Aż się wino rozzłociło,

Smętku w duszy nam ubyło,

Umknął za sto mil

Za morza!...

Umknął za sto mil!...

Gdyś już jest wśród nas.

A więc z tobą wraz

Wypróżnimy wszystkie czary,

Konwie, dzbany i puhary,

Śmiechem skrócim czas

Marudny —

Skrócim śmiechem czas!...

Sto dukatów wart

Dobry śmiech a żart!...

Jutro kto wie, jak tam będzie

Kto przy stole tym usiedzie,

Kogo weźmie czart

Okrutny,

Kogo weźmie czart!...

Nim poszepce mnich
Za spokojność ich,
Nim wesela dni upłyną,
Niech się sperli w czaszy wino
Ku radości tych,
Co żyją,
Ku radości tych!...

— Ku radości Łych, co żyją, ku radości tych! — zabrzękła
izba cała i: hurra!
stem odezwało się głosów, wszystkie zaś puhary do Tilla się
zwróciły, który, na
okół ukłony rozdzielając, śmiał się wesoło i o głos prosił.
— Pst, pst! — tu i tam dało się słyszeć.
Umilkli — i było cicho, jak makiem siał.
— Panowie! — Till zaczął. kompanii! — ozwał się głos
tubalny kawalera de
Vendendaelle. — Gdybym chciał zadość popędom serca
swojego uczynić i do każdego
z was, szlachetni rycerze, ze stosowną przemową się zwrócić,
tobym musiał: ku
zadowoleniu waszemu, Bolechowica uśpieniu, a gardła
mojego chrypce, ze sto
pięćdziesiąt wypowiedzieć oracyi. I takby noc przeszła na
wyliczaniu zasług
waszych, niekoniecznie godnych po-

chwały, a wino wydychałoby się w konwiach. Ja zaś,
wprowadzając do kompanii

waszej godnego was towarzysza, ani chrypy własnej, ani ziewania jego, ani wydychania się wina nie miałem na widoku. Rycerza do rycerzy przywiódłem, który wzdragał się zrazu w tak szlachetnem, jak wasze, towarzystwie przybywać, ale, upewniony przeze mnie, że żadnego zbója leśnego pośród was niemasz, z mniejszą już palpitacją serca, ciągniony za poły, próg tego rycerskiego domu przestąpił.

Amen!

Zaśmiano się z onej racyi ulubionego przez wszystkich sowizdrzała, a oczy rycerzy na Jaśku spoczęły, który, w boki się wzięwszy, a pokręcając wąs piękny, obawy ni palpitacyi żadnej nie zdradzał. Gdy Till przemowę swą skończył, Jaśko postąpił krok naprzód i podniesieniem ręki prawej znak dał, że chce słów kilka przemówić. Śmiech ustał, szmer się rozwiął, twarze wszystkie ku Bolechowicowi się zwróciły, który dźwięcznym a donośnym głosem tak rzekł: — Szlachetni rycerze! Z przemowy przyjaciela mojego, a jako nietrudno poznać, i waszego ulubieńca, niezbyt wyraźny mieliście mój konterfekt. Żem rycerz, to patrzy z fizyonomii mojej, żem nie tchórz, to ono przyjście dowodem jest tego, bom wiedział, że przed obliczem niejednego z was tu stanę, który rycerską urazę do mnie mieć może za miecza wytrącenie, libo defekt, przeze mnie uczyniony

cielesnej substancji swojej. Jednak, mimo rycerskości pozór,
palpitować sercem
można — i, tchórzem podszyty będąc, uleż namowom
przyjacielskim, w zanadrzu
pewność mając, że nie do zbójów, jeno do grona rycerzy
szlachetnych na wesołą
biesiadę się idzie. Otóż, widzicie panowie, że można Tillowi
tak rzecz
przedstawić, lecz mnie się go-

dzi mniemaniu takiemu zaprzeczyć. Nie wzdragałem się do
was iść, bo w boju wróg
nierzadko druhem w czas pokoju się staje, lecz nie zniósłbym
ni spojrzeń
niechętnych, ani zlekceważenia mnie przez wątpliwych mi
bardzo przyjaciół.
Dlatego mu rzekł: idź sam! lecz, gdy jak rzep przyczepił się
do mnie, a o
jakiejś obawie napomknął, tom ci nie zniósł takiej rycerskiego
honoru obrazy i
bez palpitacyi, choćbym w gniazdo os miał wstąpić, dałem się
mu tutaj prowadzić.
Raz zaś przestąpiwszy ten próg rycerskiego domu, żądam od
was należnego gościowi
każdemu respektu, tem bardziej, że w imieniu szlachetnego
komtura Zygryda
zaproszenie na oną ucztę Till mi przyniósł. A wždy dziś
jeszcze, wieczorem,
spotkaliśmy się, panie komturze, na korytarzu księżnej Anny
mieszkania i, jako

dwa psy, przemówiliśmy do siebie. Racyę więc miałem
zaproszeniu waszemu odmówić;
nie odmówiwszy zaś, mam prawo żądać poszanowania,
rycerskiemu mojemu stanowi
należnego... Amen!
Dookoła stołu szmer popłynął uznania czy niechęci, trudno
było rozpoznać. Nie
uszły jednak uwagi Jaśka: złowrogi śmiech komtura i drwiące
spojrzenie Francuza,
który, wiedząc, że gość nowy stół dookoła obchodzić będzie i
z rycerzami się
zapoznawać, prawice im ściskając, dłoń silniej na rękojeści
swojego miecza
oparł, by wczas, przez podniesienie końca jego do góry,
przeszkodę rycerzowi
polskiemu postawić. Ruch ten kawalera de Vendendaelle znać
zauważył Zygfryd, bo
uśmiech szczerego zadowolenia na wargach jego osiadł. Sam,
nie sprzeniewierzając
się gościnności rycerskiej, narażał Jaśku na sztych
pieniackiego Francuza.
Pewien był, że Bolechowic przez miecz nie przeskoczy, ani
cofnie się, by

kołem po raz drugi stół okrążyć, jak to inni czynili, lecz usunie
postawioną mu
na drodze przeszkodę i z obrażonym kawalerem do czynienia
mieć będzie, wynik zaś
walki był mu aż nadto wiadomy. Uśmiechnął się tedy raz
jeszcze i, ręce nabożnie
na piersi składając, rzekł do Jaśka:

— Co innego korytarz księżnej, a co innego gościna w domu
mnichów nabożnych. I
tu niesnaski i nieporozumienia bywają, ale nie my ich
przyczyną jesteśmy. Śmiała
a rycerska odpowiedź twoja tylko dumą napoić nas może, że,
zapraszając ciebie,
młodzieńcze szlachetny, wiedzieliśmy, kogo zapraszamy.
Dłoń masz, jako i nasza
dłoń, silną; odwagę równą naszej i serce, nie znające drzeń
trwogi, jako nasze
serca. Takich tylko wielbimy, takich tylko w kole naszym
widzieć chcemy.
Nieprzyjaźń w boju, w pokoju życzliwość — oto dewiza
nasza. Obejdź kołem stół
nas biesiadny, a żadna prawica od uściśnięcia dłoni twojej się
nie uchyli.
Ta szlachetna przemowa komtura spodobała się Jaškowi.
Rycerski mu ukłon oddał,
rękę życzliwie wyciągniętą uściskał i, czyniąc zadość
wymaganiom towarzyskim, w
pochód ruszył dla zapoznania się z biesiadującymi rycerzami.
Każdy rękę ku niemu
wyciągnął i wymienił imię chrzestne i rodowe nazwisko
swoje. Tu Heinrich, tam
Carolus zabrzmiało, »von« lub »de« rycerskie; padły tytuły
prynców i grafów,
baronów i duków, że aż dusza rosła, znajdując się w otoczeniu
dostojników
takich. Z należnym respektem Jaško witał rycerzy, z końca
świata przybyłych, ale
się nie mógł od śmiechu powstrzymać, gdy jakiś grand
hiszpański, dłoń jego
ściskając, tak się zaprezentował:

— Ferdynand Marya Ermengod, Jan Józef Dominik

Piotr Ambroży Sylweryusz Ignacy Cypryan Bonifacy Anzelm
Bonawentura don Manoel

de...

— Ależ, grandzie — przerwał przerażony Jaśko — widzę, że
z dworem wszystkich
świętych i błogosławionych przybyłeś. Pod twą opiekę
pojedynczym się naszym
Jaśkom udawać, co też czynię, dłoń twoją z czcią należną
ściskając.

Przerwanie Hiszpanowi wyliczania imion chrzestnych wydało
się biesiadnikom

obrazą pewną. »A — a!« — dały się słyszeć głosy oburzenia,
zapoczątkowane przez

okrzyk komtura Zygryda. Ale Hiszpan nie obraził się wcale.

Przeciwnie, dumny

był, że Jaśko pod opiekę patronów się jego oddawał; więc
ściskając gorąco dłoń

Bolechowica, temi słowami zakończył:

— ... Don Manoel de Godoy Estremadura Monteros Grinaldi
dłoń twoją ściska,

młodzieńcze szlachetny, nie zawodzącą nigdy przyjaźnią cię
darząc i świętych

patronów moich opieką.

Z majestatyczną powagą słowa to wypowiedziawszy, rękę na
głowicy miecza położył

i wyzywającym wzrokiem powiódł dookoła. Głosy

przedchwilowego oburzenia w

okrzyki uznania zmieniły się: »A — a!« — już wcale inaczej
zabrzmiało.

Jaśko, obszedłszy stół półkolem, zbliżył się do kawalera de Vendendaelle. Dwa dobre kroki jeszcze było do »deski francuskiej«, a już ręka kawalera wyciągnęła się i ułapiła dłoń Bolechowica, aż zachnął się, nie wiedząc, skąd to straszycie polipie wypłynęło ku niemu. Jaśkowi się wydało, że jakaś palcata łapa niewidzianego potworu ogarnia go i pożera. Stał, jak wryty, a Francuz, nie patrząc wcale na niego, rzekł krótko:
— Chevalier de Vendendaelle.

Rzekłszy to, rękę cofnął, nie spojrzawszy nawet na urażonego takim powitaniem Jaśka, i wedle swojego zwyczaju srebrne talerze w trąbkę zwijać zaczął. Oczy wszystkich biesiadników zwróciły się ku Francuzowi, a drwiące spojrzenie Zygryda, wymierzone prosto w twarz . Jaśka, do żywego ubodło rycerza. Już po uścisku ręki czuł Jaśko, że Francuz, gdyby chciał tylko, palceby mu pogruchotał, a te uśmiechy i spojrzenia, dostrzeżone na twarzach Niemców, wzburzyły w nim krew, tem bardziej, że powitanie kawalera, który na niego nie raczył spojrzeć nawet, za lekceważące było. Teraz dopiero uczuł palpitację serca, ale z rodzącego się gniewu. Niepolitycznie jednak było waśń wszczynać i dać do

zrozumienia, że ktoś obrazić go śmiał. Na porachunek dość czasu. Nietrudno się będzie dowiedzieć o zamieszkaniu obraźcy i na drzwiach domu przybić wypisane na desce wezwanie. Wiedział, że zwycięstwem ten bój się nie skończy, ale lepiej ze świata zejść, niż pozwolić grać sobie po nosie. Uczuł szum w głowie, szaloną chęć chwycenia za gardło Goliata, ale jeszcze zmógł siebie i zimną zachował krew. Tylko brwi się ściągnęły, z oczu trysnęły skry a zęby zaklekotały. Miał już przejść dalej poza plecyma kawalera, gdy ten, z umysłu, za naciśnięciem rękojeści miecza, koniec jego do góry podniósł i, opierając o ścianę, przegrodę przed samym nosem Jaśka postawił, że albo przeskoczyć, albo cofnąć się musiał. Jaśko stanął gwałtownie, a gdzieści z tłumu głos jakiś zabrzmiał:
Hop!...
I szmer — i śmiech — i cisza...
Pioruny trzasnęły w mózgu Bolechowica, aż zachwiał się, zbladł i znieruchomiał na chwilę.

— Kawalerze de Vendendaelle — rzeki jakimś głosem gardłowym. — Może zechcesz miecz swój usunąć i wolne zrobić mi przejście.
Kawaler się nie ruszył.

— Kawalerze de Vendendaelle! — powtórzył Jaśko. Kawaler ani drgnął.

— Gdyby chodziło o wzrok — zgrzytnął Bolechowic — tobym może miał jakie takie wyrozumienie, bo jednym okiem tylko patrzysz, ale tu o słuch chodzi a zda się, że głuchota was nie trapi.

Kawaler spojrział prawem okiem na Jaśka, jakby do zrozumienia dając, że dobrze słyszy. Ale miecza nie cofnął, przeciwnie, silniej go oparł o ścianę, aż miał szarej gliny osypał się na ziemię. Wtedy Jaśko kopnął nogą i precz odrzucił przeszkodę, a kawaler de Vendendaelle podniósł się nagle i jak słup stanął, głową o pułap się opierając.

Jaśko za broń chwycił...

Stal z gwizdem wysunęła się z pochwy.

Wszyscy porwali się z miejsc...

Broń szczęknęła...

Błysnęło w powietrzu mieczów sto.

Jaśko z szablą; dobytą, z rozdętymi nozdrzami, wargami zaciśniętymi, tchem w piersi zapartym, stał w rogu izby, mierząc pole walki krwią nabiegłymi oczyma.

Przed sobą widział las mieczów i mur piersi szerokich i olbrzymią postać

kawalera de Vendendaelle, stojącego nieruchomo, niby filar, podtrzymujący strop

sali. Miał uczucie, że ta czarna fala głów i piersi, wrząca, huczająca, bałwaniąca

się, powstrzymywana tylko jakąś siłą niewidzialną, skłębi się i runie potokiem;

że za chwilę ten filar się złamie i całym ciężarem swoim zwali

się na niego. Już burza się wzmaga, głosy nienawiści, jak gromy, padają; piorunu

tylko czekać i śmierci. Wtem skoczył Till i wrzasnął:

— Stu na jednego?... Hańba!... Zaśmierdział snadź nam honor rycerski!...

— Schować broń!... — Zygfyrd się ozwie... — Kawaler de Vendendaelle sam potrafi za taką zniewagę zapłacić.

— Kopnąć nogą miecz rycerski?... — tu i tam odezwały się głosy oburzenia.

— To się nie przebacza!...

— Nigdy, przenigdy!... — leciały wokoło wołania, jak z kusz pociski.

— Cicho!... sza... — krzyknął komtur. Posłuchajmy, jakim głosem zapieje kur galijski.

— Zwinie w trąbkę tego śmiałka polskiego, jak one talerze srebrne — ktoś się ozwał.

— Panowie! — zawołał grand hiszpański, przez tłum się przeciskając. — Ja,

Ferdynand Marya Ermendog Jan Józef Dominik Piotr

Ambroży Ignacy Sylweryusz

Cyprian Bonifacy don Manoel de Godoy Estremadura

Manteras Grimaldi, młodzieńca

tego, który pod opiekę czternastu patronów się moich oddał, nie zawodzącą nigdy

obdarzyłem go przyjaźnią i, choćbym trupem padł, co prawdopodobnem będzie, gdyż

nie dzisiaj Dawidom z Goliatami się potykać, staję w obronie
pokrzywdzonego
rycerza przeciw tobie, kawalerze de Vendendaelle. Tak mi
dopomóż, Madonno
Sywilska, i ty, święty z Compostelli Jakóbie!...
Kawaler pół twarzą zwrócił się do szlachetnego syna
Hiszpanii i rzekł:
— Zbyteczna opieka.

— Zbyteczna! — powtórzyły głosy krzyżackich rycerzy.
Mimo to, szlachetny syn Hiszpanii o imionach czternastu, z
ręką na głowni miecza
położoną, przedzierał się przez tłum, zastępujący mu drogę, i
zbliżał się do
Jaśka, który stał, przygotowany na bój śmiertelny.
Kawaler de Vendendaelle miecza nie wy dobył. Patrzył chwilę
na Bolechowica...
nagle, jak wąż, ciskający się na ofiarę, otoczył go rękami,
wzniósł w górę i
zawołał:
— Młodzieńcze! młodzieńcze!... ty nie wiesz, jakąś mi
przysługę wyrządził...
I począł pocałunkami okładać zdumionego Jaśka.
— Panowie! — odezwał się po chwili, do otoczenia się
zwracając, a był promienny,
jak pierwszy uśmiech majowego poranku — panowie!... Dla
pozyskania serca boskiej
Elwiry, której piękności w zorzach świtu, słodczy w
ambrozyi, dobroci w sercach
aniołów szukać, o której rękę tysiące najszlachetniejszych
ubiegało się rycerzy,

westchnieniami swemi kołysząc bluszcze, roszące pod jej balkonem, ten plaster na oku z rozkazu jej położyłem, który miałem zdjąć prawo i wtedy słodką miłość jej pozyskać, gdy znajdzie się rycerz bez trwogi, który śmiało o miecz mój potrąci, groźną barykadą stojący przed nim. W mglistej Brytanii, w słonecznej Italii, na bezbrzeżnych równinach Polonii i wśród nie znających trwogi Teutonów tam byłem, stawiając podczas uczt płot miecza mojego stopom rycerskim. Najodważniejszych od potrącenia go powstrzymywała siła moja, uściskiem palców gniotąca zastawy srebrne, dmuchnięciem warg wyrywająca dęby z korzeniem, tupnięciem nogi sprowadzająca dreszcz ziemi. Spotkanie rycerza takiego

uwolniłoby oko moje, to duszy zwierciadło, od plastra, nałożonego słodką Elwiry ręką, a ją w posiadanieby moje dało. Zwiedziłem świat cały, srogim Saracenom w oczy lażłem, chanom tatarskim tarasowałem przejścia do haremów, nawet bogobojnym mnichom Najświętszej Maryi Zakonu zagradzałem wejścia do kaplic, i... śmielsi usuwali się, mniej śmiali przeskakiwali przez miecz mój, lecz żaden z nich, rycerskiem uderzeniem stopy przełamać przegrody tej nie śmiał. Motyle czarnej

melancholii zaczęły latać przede mną, zakrywając boskiej
Elwiry obraz; czarna
rozpacz niezgłębione odkrywała przepaści, śmierci całunem
okrywając nadzieje
najpiękniejsze. Czym tu był, czy w światach antypodowych,
słodkim pismem
kreślony dobiegał do mnie głos Elwiry: » — Szarlu! jak oko
twoje?« — i posyłałem
jej odpowiedź, w inkaucie krwi mojej umoczoną: »W
plastrze, Elwiro!« Trzy lata,
panowie! trzy lata czekałem na miecza mojego kopnięcie, i
dziś dopiero,
zawdzięczając dobremu natchnieniu szlachetnego komtura
Zygryda, który na ucztę
naszą słodkiego rycerza sprowadził, dzisiaj dopiero, w
porankowej rosie, śpiącej
na wonnem łonie róży, pióro umoczę i słodkiej Elwirze
napiszę: — »Oko wolne,
serce wierne, do ciebie płynę, Elwiro!« — O, upojenie! nie
rozsądź przed dniem
szczęścia serca kawalera de Vendendaelle!... o,
westchnienie!... (tu westchnął),
głębokie, jak oddech morza, nie pochłoń wszystkiej ziemi
powietrza!... o,
plastrze! precz z mojej źrenicy! — (tu plaster zdjął i
nieruchomą błysnął
powieką) — a ty, rycerzu nieulekły, nad życie honor swój
stawiający, przyjmij
pokłon mój przyziemny... (tu pokłonił się nisko, kształt
dromadera postaci
swojej nadając), zanim od słodkiej Elwiry list słodki
otrzymasz,

z podzięką za przywrócenie jej kochanka. — Panowie!
(zwrócił się do
zgromadzenia). Ja, Karol de Vendendaelle, niezłomnym
mieczem swoim uderzam o
miecz tego rycerza, noszącego szlachetne nazwisko
Bolechowiców, na znak
przyjaźni wieczystej — (tu stal o stal brzęknęła). — Panowie!
(ciągnął) od dnia
dzisiejszego, dnia wybawienia i lubych snów powrotu, kto
Bolechowica wrogiem
będzie, stanie się moim wrogiem; kto czci jego dotknie,
dotknie czci mojej i,
wypowiadając bój temu, zarazem mnie na bój wyzywa!... Do
deski grobowej ścigać
nieprzyjaciół jego będę, i biada im, po trzykroć biada! — woła
kawaler de
Vendendaelle!... To oświadczenie rycerskie w ręce twoje
składam, przezacny
komturze Zygfydzie, i wam wszystkim, rycerze! byście przed
każdym zaświadczyli,
że słów swoich kawaler de Vendendaelle na wiatr nie rzuca. A
teraz kielichy na
zdrowie Hiszpanii i Polski! i pieśń wasza, minnesängerowie,
ku mojej Elwirze
zwrócona!...
Grzmot oklasków był odpowiedzią na oną mowę kawalera, a
gad zawodu ugryzł w
serce Zygfyda. To też najsilniejszy oklask z pod dłoni jego
wypadł, a
»Donner... Wet-ter« z piersi, przytłumione: hura! ogólnem.
Kawaler de

Vendendaelle ścisnął dłoń Jaśka i dłoń szlachetnego Hiszpana,
stojącego w
obronie sprawiedliwości, palcami zaś współumarłą podnosił
powiekę, która raz
wraz na przygasłe nasuwała się oko. Wino krążyło, opróżniały
się dzbany i
puhary; kawaler tchem jednym ogromne konwie wychylał, aż
nabrzmał, jak księżyc
w pełni, twarz zaś jego hipopotami wyraz przybrała.
— Pieśń o słodkiej Elwirze! — zagrzmał, do grajków się
nagle zwracając, którzy
porozumiewali się między sobą, znać żadnej nie znając pieśni
o Elwirze i słod-

kiej do tego. Ręce zbliżyły się do strun, pobałamuciły trochę...
i znowu opadły.
— Na króla Klodowika klnę się — krzyknął kochanek Elwiry
— że rzeź niewiniątek
tu sprawię, jeżeli zaraz ta pieśń tu nie zadzwoni. Czar duszę
porywa, upojenie
unosi — wołał, z powieką opadającą bezsilny bój zwodząc —
a te brzęczystruny na
hymn miłosny nie mogą się zdobyć!... O Elwirze! — ryknął
— bo łby wam pościnał,
jakem kawaler de Vendendaelle... Słyszycie? — wrzasnął i
tupnął nogą o ziemię.
Zatrzęsły się ściany, podskoczyły puhary wszystkie, aż
rozkołysane w nich wino
złotymi strugami bryzgnęło na podłogę. Nie było przesady,
gdy mówił o dreszczu

ziemi. Kilku rycerzy odbiło się od ław, a przerażeni grajkowie
do strun się
wzięli, bałamutne dźwięki z nich wydobywając. Z melodyą
niewieleby było kłopotu,
ale skąd wziąć słowa, opiewające dźwięki Elwiry, a Francuz,
upojony słodkimi
wspomnieniami o niej, a może więcej winem, wypitem nad
miarę, darł się w
niebogłosy, raz wraz wspominając o rzezi niewiniątek.
— Nie?!... — wreszcie krzyknął. — Polecajcie się Bogu,
drwiący z rozkazu
kawalera de Vendendaelle!...
Strach przebiegł po sali, bo kawaler naprawdę miał myśli
herodowe. Nie zabiedź
mu drogi, ni za suknie ułapić, bo pochwycone w palce
kawalera dzbany i konwie w
wióry się obracały i latały naokół. Druzgotał ławy nogi
kopnięciem, śmielszych
jednym zamachem rąk z nóg zwał i tak szedł ku pacholetom,
zasłaniających się
lutniami przed najściem Atylli. Wtem na stół Till skoczył i,
widząc groźną
postać rycerza, zbliżającą się do grajków niewinnych, na głos
zawołał: —
Szlachetny kogucie galijski! do świtu jeszcze da-

leko, a ty już piejesz! Dawnoby się odezwała o słodkiej
Elwirze pieśń słodka,
gdyby nie ja, zabraniający tym przybłędom pieśń o niej
śpiewać. Till tylko ma

prawo boskie jej imię na swoich ustach położyć; Till tylko ma
prawo rycersko -
romansową pieśń zanucić i dukatami (których mi,
spodziewam się, nie pożałujesz)
wypełnić kieszeń swoją. Śpiewaj! — wołasz — ale i inne
wołanie do tego mnie
przymusza. Oto cień pięknej Elwiry stanął przede mną i
szepce: »Tilu — tilu!...«
Pierwsze »Tilu!« jest wołaniem imienia mojego, drugie:
»tilu«... graj! oznacza.
Zatem wypełniam twój i jej rozkaz i pod dźwięk strun
harfianych rycerską
zaśpiewam balladę. Hej, grajki! rzewnie a śpiewnie, iżby się
ryby popłakać
mogły, gdyby tę pieśń o Elwirze słyszały.
— Gdzie ona? gdzie ona? — zawołał kawaler.
— Przed nosem mi fika, ale ty jej nie zobaczysz.
— Czuję róż zapach!
— Właśnie w różach mi się pojawiła.
— Oddech piersi jej czuję!
— Dmucha mi w samą gębę właśnie.
— Elwiro! — zajęczał kochanek.
— Od jej imienia właśnie pieśń zacznę.
— Jak ty marząco mówisz: właśnie! — zawołał rozmarzony
kawaler de Vendendaelle.
— Pst — zaczynam!...
Dał znak.
Ozwały się lutnie i harfy.
Till chrząknął.
Rycerz de Vendendaelle łzę otarł i lewą rękę na sercu położył,
którego kłapa
zaledwie wytrzymać mogła ruch krwi, pędzonej przez
wszystkie komory serca,

ogromną ilością wypitych napojów. Oczy biesiadników zwró-

ciły się na Tilla, który uśmiechał się wesoło, lecz kawaler
rozmarzenie w nim

widział i spływającego Muz geniusza.

Cisza...

Łkają harfy — lutnie płaczą...

Głębokie: ooch! wypada z piersi Francuza.

Till śpiewa...

— »Elwiro! Elwiro! już tyle miesięcy

Pod twoim balkonem przestałem,

I nad twe spojrzenie nic więcej, nic więcej,

Nic więcej, Elwiro!... nie miałem!«

— »O, Szarlu! mój Szarlu!... chcesz uścisk mój zyskać

I rządzić, jak w mieście zdobytem?...

Rycerski ślub wypełń, a będę cię ściskać

O świcie, po świcie, przed świtem!«

— »Elwiro! Elwiro!... czy mam-że iść w kraje,

Gdzie żyją potwory i smoki?

Znam przecie, Elwiro! rycerskie zwyczaje:

Gdzie zechcesz, skieruję swe kroki«.

— »O, Szarlu mój, Szarlu!... w moc ręki twej wierzę,

Nie złamie jej potwór stugłowy,

Lecz przeciw tym bestyom są święte pacierze,

Że wyjdiesz bez walki żyw, zdrowy«.

— »Elwiro! Elwiro!... więc złożę ślub święty,

Że każdy, spotkany wśród drogi

Zbój zbrojny czy rycerz, w czci będzie dotknięty

I stoczy wnet ze mną bój srogi«.
— »O, Szarlu mój, Szarlu, to żadna zasługa!
Nie marna przeszkoda tu staje:
Miecz długi, jak sosna, i ręka twa długa
Pierwszeństwo przed każdym ci daje«.

— »Elwiro! Elwiro!... mózg z czaszki wydrążę
Każdemu, co nie miał kochanki«.

— O, Szarlu! mój Szarlu!... to może być książę,
Lub pasterz, pasący baranki!«

— »Elwiro! Elwiro!... więc ciemny monaster
I jego uwięzi mnie krata«.

— »Nie, Szarlu! mój Szarlu!... na oko wsadź plaster
I noś go cierpliwie trzy lata«.

Tak rzekła przesłodka Elwira, gdy prosił
O mękę, na znak swej wierności — —
I wsadził Szarl plaster, trzy lata go nosił,
Trzy lata, ten dowód miłości!
Aż wrócił zwycięzcą, choć z okiem przymglonem,
Lecz z sercem płonącym wciąż w łonie.
I stanął pod słodkim Elwiry balkonem
I temi słowami rzekł do niej:

— »Elwiro! Elwiro!... twojego widoku
Spragniony tak, jako dżdżu kania,
Zdejmuję mój plaster, co siedział na oku,
I śpieszę po rozkosz kochania.
Nie tknięty ni ręką, ni wodą ze zdroju!
Swędzenie mi sprawiał okrutne,

Dziś wołam: »Elwiro! ust słodki napoju,,
W czar przemień tak długie dni smutne«.

— »O, Szarlu! mój Szarlu! łza z oczu mi ścieka,
Co z ciebie te lata zrobiły!...
Półmętna źrenica, półmartwa powieka,
Bez ognia, bez blasku, bez siły!...
Gdzie dawny twój urok, gdzie dawna twa krasa
I wyraz gromowy spojrzenia?
Źrenicy nie dojrzeć, opadła zawiasa
W półślepeca dziś ciebie przemienia«.

— »Elwiro! Elwiro!... i coś cię w dreszcz wprawia
I piersi umniejsza twej ciepło!
Ku innym rycerzom gdy puścisz żórawia,
Nie dojrzę źrenicą ośleplą.

W połowie dopatrzę, jeżeli w tej dobie
I uśmiech się ku nim potoczy«...

— »O, Szarlu! mój Szarlu!... dlaczego ja tobie...
Dwóch plastrów nie dałam na oczy!!!

Śmiech wstrząsnął wszystkimi ścianami izby, gdy Till, z
niewieściem odczuciem
rozpaczy, oną rycerskoromansową balladę skończył. Ale
kawaler de Vendendaelle
zanosił się od płaczu, Jaśka, to granda hiszpańskiego do piersi
swej tulił, aż
obu żebra trzeszczały, wreszcie wyjął sakiewkę z dukatami i
gwałtem, choć Till

się wcale nie wzdragał, za pazuchę mu pakował, swej damy
paziem go robiąc i na
wieczne przywiązując czasy do przesłodkiego Elwiry ogona.
Ale uczta już ku końcowi się miała, pochodnie gasły, w
powietrzu był zaduch
okrutny, a uczujący, jak snopy, pod stół się walili.
Gdzieniegdzie jeszcze
śmiech bryzgnął, albo żart grubijański; piersi biesiadników
poruszała czkawka
nieuśmierzona, a grajkowie pospali się, plecami o ścianę
wsparci.
Jaśko chciał wyjść niepostrzeżenie i skinął na Tilla. Ale ten
manewr nie udał
się, bo cofających się nieznacznie wnet zauważył grand
hiszpański i kawaler de
Vendendaelle. Razem więc wszyscy czterej opuścili progi
rycerskiego domu i
wyszli na ulicę Trocką. Till prowadził Francuza, Bolechowic
Hiszpana, lecz
prowadzeni innego byli mniemania. »Trzymaj się!« — mówił
Francuz, zawadzając o
kamień jakiś przydrożny. »Baczność, bo nosem się zaryjesz!«
— do Jaśka Hiszpan
się zwracał i tak szli, do zamku Gedyminowego się kierując.
Byli już niedaleko
od grodu, gdy zgrzytnęły wrzeciędzie, wrota się otwarły i
kilkudziesięciu
jeźdźców litewskich z obnażonymi mieczami i toporami, na
storc postawio-

nymi, z ciemnych wynurzyło się sklepień. Wyjechali na krewski gościniec i znikli w cieniach nocy.

III.

T o w c i g i n.

Jeszcze słońce marudziło gdzieś w otchłaniach podziemnych, jakby się namyślało: warto-li wzejść i spojrzeć ludziom w oczy? a już ze stron wszystkich nieprzeliczony tłum płynął ku onemu zgliszczu Świętoroga, gdzie wznosił się wielki kopiec mogilny z olbrzymim stosem na szczycie. Śpieszyło mrowie ludzkie z najdalszych okolic ziemi litewskiej, gdzie tylko wieść doszła o śmierci i pogrzebie Kiejstuta; obsiadało wzgórze okolne, zawczasu co lepsze miejsca zajmując, by ani ucho, ani oko z onej uroczystości nie uroniło. Szli w ogromnym milczeniu i skupieniu ducha męże, niewiasty i dzieci. Nie barwiły się stroje tego ludu litewskiego: szare i smutne były, jak jego myśli i życie, a coraz to nowe gromady wychylały się z gajów cienistych, wysuwały się z wadołów i jarów, ze wzgórz spływały, przechodząc w bród przez cicho szemrzące nurty Wilejki, rozbijające się o kamienie i pnie drzew nadbrzeżnych. Straż kunigasowa, na małych, lecz zwinnych koniach żmujdzkich pilnowała porządku, by nie zawałano

dróg i gościńców, potrzebnych dla przejścia orszaku
żałobnego, jako też
wielkksiążęcego dworu i asysty, na którą składało się
rycerstwo cudzoziemskie,
w całym rynsztunku bojowym i barwach swoich szat, mające
wziąć udział w
pogrzebie. Ale pomimo tłumy, wzrokiem nieobjętego, straż
kunigasowa niewiele
miała do roboty z ludem posłu-

i kornym. Na każdy rozkaz usuwano się w milczeniu,
zajmowano miejsca wskazywane
bez sporów żadnych, szemrań i pomruków i, choć
wielotysięczny tłum był,
przedziwna cisza panowała naokół, jeno głuchy rozlewał się
szmer, podobny do
szumu morza, które miarowo kołysanemi falami o brzeg
uderza, lecz zakreślonych
nie przechodzi granic; słyszysz tylko oddech piersi
olbrzymiej, jakiś cierpienia
jęk, płacz nieutulony, ule i morze jęczy i płacze, ma swój ból i
swoje
cierpienie.

Już wszystkie wzgórza dalsze i bliższe zajęły tłumy ludzkie, a
jeszcze płyną i
płyną bez końca. Zabrakło miejsc na ziemi, więc pną się na
drzewa, osiadają
gałęzie, zajmują dachy domów bliższych i świątyń
kamiennych zręby. Matki unoszą

swe dzieci i na ramiona sadzają, młodzi, silni parobcy z
dziewczętami to robią,
a wszystko w ogromnym milczeniu, w cichości ogromnej.
Złoto-rubinowymi blaskami okryło się niebo... Już słońce
musiało zejść, tylko je
bory i góry zakrywają, i dlatego na zgliszczu Świętoroga
srebrne się jeszcze
mgły snują, perliste rosy na trawach siedzą, błąka się chłód w
gajach
cienistych, niezwarzony skwarem dziennym kwiat wonią
świeżą oddycha, drzew i
ziół orzeźwiające zapachy płyną.
Wśród tych falujących głów ludzkich, niby wśród łąków,
dojrzewającym zbożem
okrytych, widać długie, szare rysy gościńców i dróg, do
miasta i grodu
prowadzące. Przez jakąś szczyrbę u góry przedarł się blask
słoneczny i ozłocił
wierzch stosu. Mogilny kopiec nurzał się w cieniu jeszcze,
opasany węzem
ścieżyn, stykających się z sobą, po których przejdzie orszak
żałobny ze zwłokami
Kiejstuta, przejdzie koń jego bojowy, sokoły wa-

chlarzami skrzydeł wioną, ze spuszczoną głową ulubiony pies
kunigasa pójdzie,
zamigocą pochodnie, zapalone w zamkowej świątyni u ołtarza
ognia wiecznego.

Cisza...

Czekają hasła — dźwięku rogu.

Na wzgórzu, a raczej na usypisku szerokim, u którego stóp
straż zbrojna stoi i
tłumom zbliżyć się nie pozwala, widać namioty puste jeszcze,
ale poznasz po ich
barwie szkarłatnej, że przeznaczone są dla dworu
wielkksiążęcego, dostojników,
otaczających tron kunigasa i gości zagranicznych, wśród
których miejsca
poczyste zajmą białe płaszcze Krzyżaków. Przed
największym, środkowym namiotem
zachwiała się chorągiew państwa z herbem Litwy: żelaznym
rycerzem na koniu, z
mieczem do góry wzniesionym. Skądś wiatr przybiegł i trącił
o płachtę
sztandaru... Zwinął—rozwinął... i sennym zagrał szelestem.
Taka cisza była
naokół, że lud posłyszał ten płacz chorągiewny... i zaparł dech
w piersi i
okamieniał, czekając na znak rozpoczęcia pochodu.
Na Górnym Zamku, w audyencyjonalnej komnacie Jagaiłowej
zebrali się wszyscy
dostojnicy państwa i rycerze, z ziem obcych przybyli. Nie
brakło i marszałka
krzyżackiego zakonu, większych i mniejszych komturów,
wśród których poczyste
miejsce zajmował Zygfryd von Zihl, jako zaufany kunigasa, i
drugi, Hanke, ów
Niemiec rygański, który, będąc komendantem grodów obu z
ręki Kiejstuta, wydał
je, bezecnik, Jagaile. Ozdobą zebrania było rycerstwo
świeckie, z ciepłych krain
auzońskich, z dalekich ziem Galii, z mglistego Albionu
przybyłe, szukające

wieńca zasługi w szeregach pułków krzyżackich. Ich twarze
pyszne, ich stroje
barwne, barki, odziane w rysie i lisie skóry, oklejnoczone
miecze i hełmów pió-

ropusze, zwracały na siebie uwagę w skromnych kurtach
łosiowych rycerzy
litewskich, nierzadko wywróconym kozuchem baranim
drażniących panów bogatego
Zachodu. Grand hiszpański, o imionach czternastu, dumnym
okiem wodził dookoła,
przyglądając się ciekawie nieznanym sobie zwyczajom
pogańskiego dworu; nie
brakło i kawalera de Vendendaelle, wzbudzającego wzrostem
swoim podziw ogólny, i
innych, którzy, choć po ucztach w domu rycerskim mieli nieco
łby zaproszonej
zjawili się wszyscy, ciekawi niewidzianego dotąd, a
pogańskiego obrzędu.
Jagaił witał rycerzy, dziękując za uczestnictwo w tej smutnej
uroczystości
pogrzebowej. Zbliżając się do kawalera de Vendendaelle, trzy
słomki za siebie
rzucił i wyszeptał jakieś zaklęcie litewskie, uroki oddalające.
Tak przeszedł
wzdłuż szeregów; przed każdym z rycerzy zatrzymywał się i
pytania im dawał,
niekoniecznie na odpowiedź czekając. Nie każdąby, co
prawda, odpowiedź
zrozumiał, jak i odpowiadający pytań kunigasowych, czasu
zaś nie było na

bawienie się w tłumaczenia, bo oto szmer powstał, i weszła
księżna Anna z
dziewiczym dworem swoim, posłuszna wezwaniom
Wielkiego Księcia. Bolechowic
prowadził księżnę, dalej szedł Till i panny.
Nadaremnie Zygryd na palcach się uniósł, Danuty chcąc
dojrzeć. Albo jej nie
było, albo wśród wieńca dworek ukryła się tak, że jej nie
dopatrzył wzrok
Krzyżaka. Na nic były spojrzeń bystrych wywiady:
przedmiotu, który w żyłach krew
mu palił, nie dostrzegł. Zwrócił więc wzrok na Jaśka,
drogowskazu w jego oczach
szukając. Ale Bolechowic, doprowadziwszy księżnę do
miejsca, jej przeznaczonego,
cofnął się o krok

i wmieszał w tłum rycerski. Badane przez Zygryda spojrzenia
Jaśka nie zdradziły
obecności Danuty. Bolechowic szeptem zaczął rozmowę jakąś
z kawalerem de
Vendendaelle, przelotny tylko wzrok na Zygryda rzucając.
Dostrzegł badawcze
spojrzenia jego, na dworskie panny zwrócone, jak przechodził
koleją po głowach
ich ukwieconych, i uśmiechnął się, choć pięści mu się
ścisnęły. Danuta była,
jeno zasłaniał ją tłum dworek, na przedzie stojących.
Jagał podziękował księżnej Annie, że w izbach swych nie
pozostała, lecz

przyszła, czyniąc zadość woli jego. Wspanialej pochód będzie
wyglądał, gdy i
niewiasty się do niego przyłączą i pójdą razem z dworem
wielkoksiążęcym, nie
jako żałobnice zagniewane, lecz pożądane uczestnice.
Małżonka Witowda musiała
zgodzić się na żądanie kunigasa: od niego zależał los jej męża;
musiała uspić
czujność, srogi żal stłumić, nie zdradzić się z myślą żadną,
zrobić wszystko, co
chciał, byleby jej nic przeszkodą nie stanęło, po zakończeniu
obrzędu
pogrzebowego, Wilno opuścić i dostać się do zamku
krewskiego, do Witowdowego
więzienia.
Rozmawiano półszepem...
Czekano hasła: odezwania się rogu. Oczy wszystkich raz po
raz zwracały się na
zgliszcze Świętoroga. Nie było gwaru i nie było milczenia.
Rzec można, że była
cisza szmerów, jakimi czasami bór gada przed ziemi
uśnięciem.
Nagle róg zabrzmiał...
Znać goście zagraniczni nie byli przyzwyczajeni do dźwięków
litewskiego rogu.
Każdy z nich drgnął a z miejsca się poruszył i pytający wzrok
na sąsiada rzucił.
Nie był to śpiewny głos surmy, lecz ryk bawoli, przeraża-

jący, rozpaczny ryk jakiś!... Zdawało się wszystkim, że się
powietrze rozdarło i

ono rozdarcie straszliwe poszło dalej i dalej... A to
odpowiadały echa gór,
borów i skał.

Otwarły się wszystkie podwoje... Przez komnaty wiew
przeszedł. Ochmistrz dworu w
drzwiach stanął, złoconą laską stuknął o próg izby i dał znak
pochodu.

Rozwinął się wąż długi.

Na dziedzińcu zamkowym, na potężnych barkach starych
żołnierzy nieboszczyka,
zachwiały się nosze złocone, bogatym karmazynem okryte, na
których spoczywał
ogromny zewłok Kiejstuta. Wielkoksiażęcą czapkę na głowie
miał, a w

skrzyżowanych rękach miecz trzymał. Oczy zamknięte,
rozwiana broda. Zda się, że
spał i roił sny potężne. Zbliżył się i arcykapłan i w imieniu
umarłego pożegnał

wszystkich. Wziął dzban miodu i chleba okruchy, miodem
bryzgnął dookoła,
rozsypał chleb, by uspokoić duchy, pragnące jadła i napoju.
Zwrócił się do

wielkiego księcia i spytał: czy ma do nieboszczyka żal jaki?
— Nie — odpowiedział Jagaił.

I dotknął Kiejstutowego miecza na znak prawdziwości słów
swoich.

Pochód ruszył.

Tuż zaraz za noszami szedł rumak bojowy umarłego, złotym
kropierzem okryty; dwa
okapturzone sokoły spoczywały u zimnych stóp kunigasa, za
koniem szedł pies

wierny, z posepnie pochylonym łbem do ziemi.

Zaledwie pochód wysunął się z bram zamkowych, jak podniósł się lament okrutny.
To płaczki-najemnice w jęk uderzyły, a chwiały się, za zwłokami idąc, jakby

lada chwila z nóg zwalić się miały. Jęk, jęk tylko słychać było i szelest dartych szat. Ruchy rąk mówiły o boleści niezmiernej, a taki szął rozpaczy ogarnął te żałobnice, za trupem idące, że chwyciły włosy garściami, targały kosmy duże, a wiatr je porywał i unosił. Wtedy z tysiąca piersi otaczającego wzgórze śmierci ludu popłynął jęk także, a był on stokroć prawdziwszy, stokroć boleśniejszy od jęku tych płaczek najemnych i towarzyszył już nieuśmierzony, dopóki zwłok na stos nie złożono, dopóki koń bojowy, związany łańcuchami, u słupca nie stanął, pies przy nim się nie ułożył, skrepowane sokoły rozpacznie nie wionęły skrzydłami; dopóki nie zaczerniała na mogile postać arcykapłana i nie pokłoniła się do ziemi samej marom czcigodnym. Płacz umilkł, jęk umilkł... Zapanowała cisza. Ofiarnik rozrzarzył ogień arcykapłan pochodnię wziął do ręki. U wzgórza śmierci zatrzymał się orszak wielkoksiążęcy. Jagaił w otoczeniu panów i gości w namiocie zasiadł. Dalej dwór księżnej Anny z nieodstępny Jaśkiem

Bolechowicem i Tillem, który dziwnie nieswojo się czuł,
będąc zmuszony do
milczenia i trzymania wszystkich figłów swoich na uwięzi. Co
zbliży się do
którego z rycerzy: »Pst!« — słyszy; co się pochyli do jakiejś
dziewki żarnej, ta
zaraz na głuchotę zapada. Usiadł więc na ziemi przy pniu
drzewa, do którego
przywiązane były sznury wielkoksiążęcego namiotu i na
wyjętej tabliczce z
zanadrza coś kreślić zaczął. Na zapytanie, szeptem rzucone,
przez jednego z
rycerzy, coby robił, »Żałobliwy tren piszę na śmierć własną«
— odpowiedział —
»bo już mi ten marny żywot obmierzał«. — Gdy wszyscy

miejsca zajęli w namiotach, teraz dopiero wzrok Zygryda
dostrzegł Danutę. Była
w bieli, wyglądająca, jak kwiat liliowy. Fala złocistych
włosów, u głowy
bławatkowym wieńcem zatrzymana, rozlewała się wzdłuż
całej jej postaci. Czar
wiosny bił od niej, czar budzącego się życia do snów, do
marzeń, do szczęścia.
Stała, wsparta o ramię Jaśka, nieświadoma wdzięków
własnych, w dal zapatrzona.
Że była postaci drobnej, skoczyła na kamień, wystający z
ziemi; że kamień
nierówny był i nie dawał dobrego oparcia jej stopom, Jaśko
ramię swoje podsunął,

że bez fadygi żadnej patrzeć już mogła. Dobrze tak było jemu i jej.

Wiatr polatał, ochładzał czoło; chwycił złociste pasma włosów i nieraz niemi

zasypywał oczy Jaškowe. Chwycił je tedy usta i cichym rozkoszował się pocałunkiem.

Widział to wszystko rycerz krzyżacki i piekło miał w duszy. Danuta nic a nic nie przeczuwała.

Gniewała się na wiatr, a Jaško mu błogosławił; gniewała się na Jaška, a on temu

gniewowi nie wierzył i ścisnął, odszukane w białych fałdach spódniczki drobne

palce Danuty i nawzajem uścisk jej otrzymywał. To ci gniew srogi, niosący

przebaczenie tak szybko!... Czasami zadrgały nieruchome powieki dziewczyny,

jakby odpędzały owad natrętny. Nie wiedziała, że tym owadem były spojrzenia

Zygryda, w źrenice jej wymierzone, a tak palące, tak dotykane, że nawet raz

jeden zrobiła ruch ręką, jakby odegnać chciała coś, drażniącego jej oczy.

Mimowoli oparła się silniej o ramię Jaškowe. Serce biło mocno, grało krwi falą,

i Jaško rozumiał tę cichą pieśń serca i podobnym rytmem jej odpowiadał.

Cisza, oczy wszystkich zwrócone na stos, na którym czerwieniła się krwawa plama

karmazynu, pokrywającego zewłok Kiejstuta, bielił się koń,
do słupca
przywiązany, niespokojny pies i niespokojne sokoły.
Wyszli starce siwobrode z harfami w rękach, wieńcem
otoczyli szczyt mogiły, na
strunach położyli dłonie.
Zabrzmiała pieśń cicha, pieśń pożegnania...
Migocą harfy, migocą gwiazdy zapalonych pochodni.
Prócz starców tych, prócz kapłanów nikt prawa już nie miał
wstępu na wzgórze. Aż
oto człek jakiś, z włosiem i brodą białą, w siermiędze siwej, w
łapciach
wieśniaczych, których rzemienie otaczały łydki aż do kolan,
krokiem powolnym
zaczął się ku szczytowi mogiły wspinać. Dostrzegł to
arcykapłan i groźnym ruchem
ręki znak dał, by precz poszedł, a nie przeszkadzał obrzędowi
pogrzebowemu. Lecz
człek ten nie usłuchał rozkazu... Szedł dalej, do stosu się
zbliżając, powolnym,
lecz pewnym krokiem.
Arcykapłan, który miał już stos podpalić, zeszedł o kroków
kilka i płonąca
pochodnią wstęp śmiałkowi zagroził.
— Krewe-Krewejte — rzekł starzec — (a taka cisza była, że
wszyscy głos jego
słyszeli). — Krewe-Krewejte — powtórzył — azali pochodnię
do tego stosu
przyłożysz, widząc, że nie wszystko jest według dawnego
zwyczaju?
Arcykapłan zmierzył go od stóp do głowy.
— Co?... co?... — rzucił w półgniewie.
Stary człek spojrział mu w oczy.

— I ty pytasz? ofiarnik najwyższy? — rzekł.
Krewe-Krewejte się oburzył.
— Któżeś jest, uwagi mi czyniący?

— Sługa Gedyminów, piastun Olgierdów i Kiejstutów,
Towcigin, co znaczy:
Strzegący lud - odpowiedział starzec.
Z ręki arcykapłana pochodnia wypadła.
— Ty?... ty?... — zawołał — i żywiesz jeszcze?..
— I przyszedłem, by nie dozwolić krzywdy umarłemu
wyrządzić — dokończył piastun.
Krewe-Krewejte zdumionemi spojrzali oczyma.
— Krzywdy?... — szepnął.
I mimowoli wzrok obrócił na stos.
Jarzył się purpurą i złotem, bo słońce wzbilo się nad bory.
Pieśniarze
nieruchome dłonie na harfach trzymali, oczekując na
zakończenie sporu. Wśród
ciszy słyhać było rosy, opadające z drzew.
Wtem koń zarżał.
Dziwne a przeokropne było to rzenie rumaka, witającego
słońce w tej chwili;
dziwnie a przeokropnie rozległo się w tej ciszy, aż po ciałach
rycerzy przebiegł
dreszcz zimny, aż Jaśko uczuł skurcz palców, przytulonej do
jego ramienia,
Danuty. Odezwało się echo hen... hen... daleko, umilkło.
Towcigin mówił, słowa wiązały się w rytm litewskiego
rapsodu:

Koń siwy związany u słupca,

Trzepocą skrzydłem sokoły,
Kinstojt dosiedzie rumaka,
na łowy ptaki pogoni...
lecz kto mu konia osiodła,
potrzyma strzemię złocone?
Kto wskaże czaplę sokołom,
kaptury zdejmie im z oczu?...
zali pan Litwy, kniaź Litwy,
sam sobie będzie pacholem?

sam stanie w progu niebieskim
z rumakiem, psem i sokołem?

Nie tak na Litwie bywało
dawnymi czasy, kapłanie!
szedł rumak, psy i sokoły,
małżonka i wierne sługi.
Kinstojt — wiem! — nie ma małżonki:
przed nim już poszła w kraj cieniów...
czy i sług nie ma pan Litwy?...
sierota! taki sierota!
więc oto z drogi dalekiej
Towcigin stary przybywa
ratować przodków zwyczaję,
pęknięte wiązać ogniwa.

Puść mnie, kapłanie, do stosu,
gdzie się trzepocą sokoły,
gdzie pies skowyta i skomli
i rumak drży niespokojny;
puść mnie do stosu, kapłanie!

na którym leży pan Litwy:
niech pył mój zmiesza się z pyłem,
niech duch mój złączy się z duchem!
Przez płomień pójdziemy obaj,
czci ojców dawnych nie stratni:
Kinstojt ostatni pan Litwy,
Towcigin... dech jej ostatni!

Szeroko otworzonymi oczyma patrzył Krewe-Krewejte w
twarz Towcigina; miotały nim
uczucia, które niełatwo było zrozumieć, odczuć niełatwo.
Drżały palce wielkiego
kapłana, chwiała się broda siwa, czerwone powieki łzami
nabrzmiwały. Oczy
zwrócił na stos, w słońcu rozłożony; to biegł spojrzeniem
niżej i zatrzymywał
się na karmazynowym namiocie Jagaiły, na białych
płaszczach krzyżackich, na
krzyżach ich czarnych, na żelaznych zastępach mężów
cudzoziemskich...

— Ostatni dech Litwy... — szepnął.
Podniósł oczy na stos.
— Ostatni pan Litwy!...
Szatą twarz okrył, bo z oczu trysnęły łzy, bo z krtani wypadł
jakiś skowyt
zwierzęcy, a potem szloch, pierś rozdzierający.
Ani Jagaił, ani nikt z otoczenia jego nie słyszał tych słów
najwyższego kapłana;
nie wszyscy też rozumieli znaczenie ruchów Krewe-Krewejty,
spojrzeń jego i

gwałtownego zakrycia twarzy fałdami szaty. Rycerze chrześcijańscy wzięli to za symbol jakiś i patrzyli ciekawie, czekając dalszej ceremonii obrzędu; na Wielkiego Księcia nie spojrział nikt, a Jagaił zasunął się w głąb złoczonego krzesła, za poręcz rzeźbioną skurczonymi palcami chwycił, oczy przymknął, zatrzymał dech w piersi, a patrzył twarzą białości kredowej. Nie ruchy arcykapłana, aczkolwiek przez niego zrozumiałe były, przeraziły kunigasa: w słuch mu wpadły końcowe słowa rapsodu Towcigina i zabobonnym przejęły strachem: »Ostatni pan Litwy! ostatni dech... Litwy!« Kroplisty pot wystąpił na czoło Wielkiego Księcia, gdy trwożnemi oczyma powiódł po hardych postawach rycerzy krzyżackich, którym, sojuszem związany, dla uratowania części swojego państwa, na wieczne czasy Żmujdź oddawał. Gzy ten tłum, oplakujący dziś zgon Kiejstuta, rozumie ból jego królewski, wielkość ofiary i jej konieczność. W pamięci tłumy tego żyć będzie ten, który walczył za odwieczne starej Litwy prawa, walczył... bez nadziei zwycięstwa, do ostatniego tchu swojej piersi walczył i teraz.. ostatni z czcicieli jej bogów daw-

nych spłonie na stosie ognistym, a z nim... ostatni dech Litwy. Omdlał.

— Panie! — krzyknął Bolechowic, dostrzegłszy straszliwą
bladość kunigasa i
bezwładne osunięcie się rąk jego z poręczy krzesła.
Zrobiło się zamieszanie.
— Wody! — tu i tam odezwały się głosy.
Kilka zimnych bryzgnięć wróciło przytomność omdlałemu.
— Duszno! — przychodząc do siebie, ozwał się Jagaił. —
Dziękuję ci, młodzieńcze!
— do Jaśka się zwrócił. — Parny się dzień czyni. Osłabłem z
gorąca... z tłoku
myśli, które tylko królom tak ciążą. Dziękuję — powtórzył —
będę pamiętał o
tobie. Może kiedyś i ja ci stanę w przygodzie... Pamiętaj!
Nie każdy zauważył, co się w kunigasowym namiocie stało.
Oczy wszystkich były
zajęte sceną, która się odegrywała na kopcu mogilnym.
Rycerzy chrześcijańskich w
zdumienie wprowadził Towcigin, ten, zaiste, ostatni już z
ofiarników Litwy starej,
chcący na stosie spłonąć, by uczynić zadość zwyczajom
odwiecznym. Może jeszcze
gdzieś w puszczech zapadłych trzymano się litery starego
prawa, i wdowa po
umarłym, wraz ze sługami nieboszczyka, szła na całopalenie;
lecz już na dworach
kunigasów i bojarów złagodniały obyczaje, i tylko psy, konie i
sokoły szły na
ofiary ognia. Aż oto Towcigin się zjawił i upominał się o
prastare prawo
śmierci, wierny przeszłości, ostatni już przedstawiciel Litwy
pogańskiej.
Samotność umarłego rozpaczłą szarpnęła duszę piastuna: pójdą
psy i sokoły, bojowy

koń pójdzie, lecz jakże pan Litwy bez sług się obejdzie, jakoże stanie

w progu niebieskim on, moczcz! bez jednego serca wiernego,
duszy jednej,

wziętych z padołów ziemi?

— Puść mnie, kapłanie, do stosa pana mojego — mówił
Towcigin. — Puść mnie, puść!

— Spełni się wola twoja — po chwili odezwał się Krewe-
Krywejte. — Szczęśliwy
jesteś, że oczy twoje patrzeć nie będą na wypadki dni
nadchodzących.

To mówiąc, wwiódł go na stos.

Kilku panów chrześcijańskich zbliżyło się do Wielkiego
Księcia.

— Czy ten stary chce zginąć?

— On żyć nie chce — odpowiedział Jagaił.

— Rozkaż, wasza miłość, by zstąpił ze stosu — dołączył
słowa swe komtur Zygfryd.

— To straszne, byś na to patrzył, ty, mający być
chrześcijaninem!

— Poganin jeszcze ze mnie — szepnął Jagaił.

— Patrz!... stos już płonie! — zawołał Zygfryd.

— Popieli się Litwa Kiejstutowa. Czyś nie rad? —
odpowiedział Jagaił.

Komtur nic nie odpowiedział, oparł się o filar namiotu i
patrzył.

Na szczycie stosu, u stóp zwłok Wielkiego Księcia zaszarzała
poważna postać

Towcigina. Słońce blask rzuciło na starego piastuna
Kiejstutów, że zdawał się

być posągami z miedzi i żelaza wykutym. Krewe-Krewejte
nizkiem, głębokiem,
powolnem pochyleniem głowy zegnał dobrowolnego
skazańca.

Popłynął płacz, ogromny płacz z piersi stutysięcznego ludu,
nieuśmierzony ból,
nieutulony jęk. Najodważniejsze serca struchlały, kamienne
nawet dusze Krzyżaków
poczuły grozę i strach. Jagaił zagłębił się w krzesło, a dreszcz
lekki po jego
ciele przebiegał; księżna Anna

odwróciła twarz, biała, jak marmur. Usta Danuty trzęsły się,
łzy duże, jak
perły, spływały z oczu. Osunęłyby się na ziemię, gdyby nie
Jaśko, który
ramieniem ją objął i tak przytuloną do siebie trzymał.
Arcykapłan uniósł pochodnię i wajdelotom dał znak. Położyły
się palce na
strunach, ciche zabrzmiały akordy.
Przy dźwięku pieśni, przy tłumów płaczu, Krewe-Krewejte
stos zaczął obchodzić,
podpalając u samego przyziomu belki sosnowe. Złote gwiazdy
zaczęły błyskać,
rozwijając się w róże czarne o środkach ognistych, okapywać
rosą kropel
żywicznych. Krewe-Krewejte pokłonił się raz ostatni marom i
zeszedł do
uderzających w struny harf wajdelotów. Stos u przyziomu
obszywał się złotą lamą

ognia, z róż płonących wywineły się wstęgi czarne i popłynęły
ku górze. Kilka
głębokich westchnień dymu uleciały wysoko nad stos i otarły
się o piersi
sokołów, które się zatrzepotały gwałtownie, w niebo chcąc
ulecieć. Nie puściły
ich łańcuchy, więc tylko biły skrzydłami rozpaczliwie. Koń
uniósł łeb do góry,
rozdał różyce nozdrzy i rżał krótko, trwożnie, urywanie.
Zjeżyła się bujna
grzywa, płomienne oczy rozszerzył strach. Pies zaskowytał i
wyć zaczął, a dym
coraz większymi kłębamися unosił, a ogniste języki
opasywały stos dookoła,
coraz krwawsze, potworniejsze, rozpasane szalem zniszczenia.
Trzask...
Słup ognia wzbił się w górę.
Rumak się targnął i począł szamotać w walce śmiertelnej.
Jakiś męczeński ryk z
piersi jego wypadł. Rzucił się naprzód. Jeden z łańcuchów
pękł. Koń runął i
zawisł u ścian stosu, bezsilnemi bijąc kopyty. W przer-

wach fal dymu i ognia widać było rozpaczny wiew skrzydeł
sokolich, psa, wijącego
się w bólach, i słyszałeś przeokropny grzmot kopyt końskich,
a u stóp kunigasa
Towcigin stał i w rytm harf i trzasku płomieni pożegnalną
pieśń śpiewał.

Słońce! ostatni raz ciebie

Widzę na ziemi tej, słońce!
Ostatni krzyk pożegnania
ku tobie posyłam, Litwo!...
Dym czarny wygryza oczy,
płomień wysusza tłuszcz skóry...
o, szalej! szalej, płomieniu!
ja depcę ciebie, duch silny!
Kinstojcie! — ty się uśmiechasz
o, drogi! o, święty cieniu!...
do ciebie idę, twój piastun...
ty szalej! szalej, płomieniu!

Ogromny słup ognia zalał stos cały i pieśń zgłuszył.
Cisza!... słychać tylko trzask berwion i syk węzowy; żaden już
dźwięk nie
dochodził do uszu tłumów, ni wycie psa, ni szamotanie się
rumaka, ni rozpaczny
wiew skrzydeł sokolich. Dojrzano tylko podniesienie się
ramion Towcigina i
runięcie jego do stóp Kiejstutowych.
Fala płomieni zalała wszystko.
Stos palił się ogniem wielkim, zrzadka już wyrzucając z głębi
swojej kwiat
czarny dymu, który wił się chwilę, pękał i rozpływał się w
ciszy powietrza.
Z zapartym oddechem w piersi przypatrywali się temu
straszliwemu obrzędowi
cudzoziemcy. Zdawało im się wciąż, że słyszą śpiew
Towcigina, górujący nad tą
orgią żywiołu.
Nagle przerażenie ogarnęło rycerzy.
Olbrzymia masa ognia, jakby ją wiatr zdmuchnął,

zgasła nagle; ze szczytu mogiły stos zniknął, w dużą różę dym
tylko się rozwinął
w powietrzu. Ogromny kopiec mogilny znów świecił samotny
w słońcu, otoczony
tylko wieńcem milczących harfiarzy, którzy zda się
okamienieli wraz z pieśnią
swoją.

— Co to się stało? co, co, co?... — popłynął szept
zadziwienia.

Nie było czasu na odpowiedź, bo wielki książę dał znak do
odejścia. Wracali do
zamku na stypę, raz poraż patrząc poza siebie. Mogiła stała
cicha, bez ognia
płonącego, bez żużli jarzących się, bez tego ogromu
płomienia, który przed
chwilą obłoków zda się sięgał.

Nieprędko dowiedziano się, że stos taki układano nad
wydrążeniem, sięgającym
głębiej niż podstawa mogiły. Gdy belki, utrzymujące ciężar
stosu, przepaliły
się, stos w przepaść zapadał wraz ze spopielałymi już
prochami nieboszczyka. O

tem przerażeniu swoim z powodu zniknięcia stosu Kiejstuta
wspominają kroniki
krzyżackie.

Na zamku, w sali biesiadnej wielki książę ucztą dostojną gości
przyjmował.

Uginały się stoły pod zastawą naczyń złotych i srebrnych; całe
stosy mięsiwa
piętrzyły się na nich: pieczenie żubrze, łapy niedźwiedzie,
udźce sarnie,

ptactwo błotne i nieznanne smakoszem krajów zachodnich,
chrapy łosie, które tylko
podawano na stół wielkoksiążęcy i zamożniejszych bojarów.
Ogromne misy dymiły i
roznosiły dookoła drażniącą woń korzeni; napojów różnych
było w bród, jakimi się
raczyło zgłodniałe i spragnione rycerstwo. Krupnik litewski
uczczę kończył, lecz
kordyał ten nie wszystkim smakował, nie przywykli zaś do
niego goście
zagraniczni poparzyli sobie gęby, a języki im kołkiem stawały
od nadmiernej

ilości korzeni ostrych, jakimi ten specjał był zaprawiony.
Wielki książę nie tykał kielicha; bał się go, jak szatan wody
święconej. Wśród
uczty, na dnie puharu, słodkim winem wypełnionego,
nierzadko śmiertelna kropla
mogła się znaleźć i przeciąć nić żywota. Niejeden z ruskich i
litewskich
wielmożów tak zginął; nie pomagało nic nadpicie przez
podczaszego czary: czarę
nadpił, a kropla zdradziecka spłynęła z rąk, z palców i
dokonała zamierzonego
dzieła. Wyrzekając się, z musu, wszelkich napojów użycia,
oddawano się obżarstwu
nadmiernemu. Tej rozkoszy jedzenia hołdował i Jagaił. Całe
misy opróżnione
zabierała służba z przed wielkiego księcia, a wnet zjawiały się
nowe: podawczy

stawiał, krajczy umiejętnym ruchem rąk co lepsze oddzielał
kawały, a

niecierpliwy kunigas szeptał:

— Paśpieszy, paśpieszy, bo brucho hraje!

Księżnej Anny nie było. Usunęła się wraz z dworem do izb
dolnego zamku; Jagaił

nie nastawa!, by udział w biesiadzie wzięła, jako że nie
zawsze jest dobrze

niewiastom tam przebywać, gdzie wino krąży, a niechlujne
ozory się rozwiązują.

Żegnając odchodzącą, rzekł dobrotliwie:

— Nie przestraszaj się, bratowo, tego, co ci powiem. Anna
domyśliła się, o czym

rzecz ma być; już ją zawiadomił Zygfyd. Prawdopodobnie o
przeniesieniu Witowda

do więzienia krewskiego Jagaił mówić jej będzie. Nie omyliła
się...

— Wypadło tak — szeptał kunigas — że małżonka waszego
nocy ubiegłej wywieźć
musiałem.

Anna drgnęła, choć ta wiadomość nie była dla niej
niespodzianką.

— Wywieźć? dokąd?...

— Do krewskiego zamku, bratowo.

— Do baszty Kiejstuta — dodała.

— Bezpieczniej mu tam, niż tutaj. Mury grubsze, straż
pilniejsza, nic go na
pokuszenie ucieczki nie uwiedzie.

— Niezwykle łaskawy jesteś, panie, dla brata swojego — z lekkim przekąsem
odpowiedziała księżna.

— A widzisz, bratowo, że nie taki zły, jako o mnie powiadają. Posiedzi tam czas jakiś, utemperuje się jego umysł gwałtowny, i pogodzimy się, jak to już nieraz

bywało. Ja wzmocnić się muszę na swoim stolcu wielkoksiążęcym, pozałatać szczerb dużo w państwie wstrząśniętem i zastukam do Witowdowego więzienia, a może sam przyjdę po przyjaźń i zgodę.

— Tylko bez powroza, panie mój miłościwy — szepnęła Anna.

— Znów swoje! — oburzył się Jagaił.

— A cóż ja? — rzuciła smutnie Anna.

Do Wissebuta na ręce wasze list dam, by wam w widzeniu się z małżonkiem wstrętu

żadnego nie czynił. No, jakże, pani bratowo? zły człek ze mnie?... Księżna

pochyliła się do kolan kunigasa.

— Wybaczcie nieogłędnym czasem słowom moim.

— Wy, niewiasty, z iglicami do czynienia wciąż mające, przyzwyczały się już do kłucia, no to i gniew mój niedługi.

Pożegnał księżną i zasiadł do uczyty.

Nieskładnie było Jaškowi koło rycerskie opuszczać, a za dziewczkami iść księżnej,

choć go coś sznurem ciągnęło; nieskładnie było opuszczać ucztę książęcą, na

którą otrzymał zaproszenie od ochmistrza dworu z upo-

ważnienia kunigasa samego. Pożegnały go więc bławatkowe
oczy Danuty spojrzeniem
długiem, a były tak śliczne i tak smutne zarazem, że
wyrzekłby się udźców
wszystkich i łap niedźwiedzich, a na kraj świata poszedł za
niemi. Lecz nie mógł
tego uczynić bez obrazy kunigasa, bez nadwerężenia świeżo
co zawartej przyjaźni
z don Manuelem de Grinaldi i kawalerem de Venden-daele,
którym obiecał dzień
cały z nimi przepędzić, a oni nie wiedzieli nic o serdecznej
niewoli jego.
Pozostał więc w kole rycerskim, najmniejszego znaku po
sobie nie dając, że go
tęsknota żre okrutna, a miłowanie pierś rozsadza. Gdyby
nawet udało mu się
wywinąć i wymknąć z sali biesiadnej, spokojuby mu Till nie
dał, do babińca raz
po raz przebiegając i mącąc słodkie sam na sam z umiłowaną.
Till domyślał się
tylko jego słabości serdecznej, lecz mieczaby nie skruszył za
prawdziwość
domysłu; niepokoił go i Zygfryd, którego na oku miał teraz
ciągle.
Razem więc ze wszystkimi wszedł do sali biesiadnej i zajął
miejsce na ławie
pomiędzy grandem a kawalerem de Vendendaelle, który wciąż
się mocował z
opuszczoną powieką, oną pamiątką słodkiej Elwiry miłości.
Wczesność uczy
pocieszała Jaśka: dwie godziny było jeszcze do południa.
Bądź co bądź, skończyć

się musi, nie wieki trwać, choć znał krótkość uczt litewskich.
Tu jednak
przeraziła go ilość mis i ich zawartość, konwie win,
zmieniające się ciągle
puhary, wypijane wciąż, a zawsze pełne. Niejedną godzinę
strawić potrzeba będzie
na spożycie tych mięsów, nieustannie dostarczanych, na
wypicie napojów płynących
i płynących, a smaków różnych i mocy. Dzień cały przejdzie
na pracy żołądków;
obyż popili się, jak smoki, jak nie-

dzwiedzie, pospali, wtedy przez głowyby ich skoczył, do
swojego kochania
śpiesząc.
Tak marzył.
Przekonał się jednak prędko, że to marzenie pozostanie w
krainie fantazyi tylko.
Z jedzeniem czynił, jak sam chciał, ale inna rzecz z napitkiem.
Grand hiszpański
do wszystkich swoich patronów przypijać kazał, do każdego z
osobna i do
wszystkich razem: ni granda, ni jego świętych opiekunów
urazić nie sposób;
kawaler zaś de Vendendaelle raz po raz wznosił zdrowie
słodkiej Elwiry; każdy
drobiażdżek jej musiał być winem oblany, a wielkość
puharów, szklanic, czar, do
miary każdego z tych drobiażdżków zastosowana była, tak że
gdy przyszła chwila

toastu na cześć już jej całej a niepodzielnej osoby, kielichy
precz poszły, a
dwułokciowe konwie do rąk chwycono... i wielki bulkot
rozległ się po izbie przy
przeraźliwym darciu się rogów litewskich i puszczalek,
których muzykę zaledwie
znieść mogły szlachetne uszy rycerzy.
Przekonał się tedy Jaśko, jako jest trudno na marzeniach się
opierać, jak kruchą
są podstawą, gdy koło siebie ma się kawalera de Vendendaelle
z Elwirą i granda o
imionach czternastu. Życzenie, aby się popili, jak smoki, jak
niedźwiedzie,
pospali, tyczyło się i jego osoby; jedna chyba mu tylko
pozostawała pociecha:
żeby się... wszyscy popili i pospali. Jakże zazdrościł Tillowi,
który wolny był
od przymusu wszelkiego. Przygodnym wierszem czcił każdy
drobiażdżek Elwiry, jako
też świętych patronów Hiszpana, i nikt mu nie wymawiał
przyjaźni, nie groził łba
rozbiciem konwią miedzianą. Drwił i kpił ze wszystkich i jeno
brzęczącą płacono
mu monetą.
Okrutny gwar był w izbie i zaduch do niezniesie-

nia prawie. Powietrze parne przez otwarte wsciskało się okno,
a roje much i
komarów, zwabione win aromatem i miodu słodyczą, obsiadły
misy i konwie, a

opiwszy się słodkości onych, ciągnęły za sobą brzuchy odęte i
odpoczywały na
spoconych policzkach biesiadników lub opily się w dzbanach i
puharach. Jagaił
jeden tylko zachował trzeźwość umysłu, rozkoszując się
spożyciem ogromnej ilości
potraw. Już słońce obiegiło niebo całe i w zachodnią
skierowało się stronę, a
jeszcze wnoszono misy mięsiv przeróżnych, a kunigas wciąż
zwracał się do
krajczego ze słowami:
— Paśpieszy, paśpieszy, brucho hraje!...
Wtem dziedziniec zamkowy zadudniał od tętentu kopyt.
Nikt tego oprócz kunigasa nie słyszał.
Rycerze niemieckiego zakonu, nie wyjmując wielkiego
marszałka i mniejszych
komturów, przyłgnęli do dzbanów, ni to pijawice w strugach
nieczystych do
tłustych łydek kąpiących się w nich nimf wiejskich, a dla
zachowania ekwilibrum
piersiemi o brzeg stołu się wsparli, chwiejąc się i czekając. A
oto otwarły się
drzwi komnaty, i w progu stanął rycerz w płaszczu
krzyżackim, zwój jakiś
pergaminowy w dłoni trzymając.
Sennemi oczyma spojrzeli na przybysza dzisiejsi Bachusa
niewolnicy.
— Szto to? — Jagaił spytał.
Przybyły skłonił się z czcią należną kunigasowi i rzekł:
— Poseł od Jego Wielmożności Wielkiego Mistrza Konrada
Czolnera do wielkiego
Marszałka Zakonu.

Na dźwięk nazwiska groźnego Konrada rycerze zakonni z
miejsc się porwali.

Zygfyrd do posła podszedł,

z rąk jego wziął zwój pergaminowy i, zbliżając się do
Marszałka, który ze snem
walczył, rzekł:

— Od Wielkiego Mistrza list do was!

— Czytaj — mruknął marszałek.

— Konradzie Wallenrodzie — odezwał się komtur — nikt,
prócz was, tej pieczęci
rozłamać nie może.

Marszałek przetarł oczy, pochylił się w tył, wziął pergamin z
rąk Zygfyryda,
pieczęć rozłamał, list oddalił od siebie o łokieć prawie i czytać
zaczął.

Nagle, jak słup, się podniósł.

— Co? co? — pobiegły głosy.

— Wieść bolesna... umarł król Ludwik! Przez ciźbę szmer
przeleciał.

Śmierć króla Węgier i Polski, przyjaciela i opiekuna
Krzyżaków, filara Zakonu,

piorunujące znać wywarła wrażenie. Bracia zakonni
otrzeźwieli wnet i otoczyli

wielkiego marszałka, który ruchem powolnym list w zanadrze
schował. Okrom tej

wieści snadź więcej coś było, lecz nie wszyscy wtajemniczeni
być mogli w treść

pisma. Wiadomość ta o zgonie króla Ludwika nie bardzo
dotknęła granda

hiszpańskiego i kawalera de Vendendaelle. Nieco więcej Jaśka mogła obejść, ale

gdy głos jakiś zabrzmiał:

— Wielki król!

— Dla Węgrów — mruknął Bolechowic. Najmniej tą stratą był dotknięty Jagaił.

Zeszedł mu

z drogi potężny sojusznik Krzyżaków. Nim nowych przyjaciół Zakon sobie wyszuka,

nim nowymi przymierzami się wzmocni, on silniej siądzie na tronie kiejstutowym i

może na długie lata oddali straszną przepowiednię Towcigina.

Żmujdz w ogniu, do

uśmierzenia niełatwa. Odstąpił ją słowem, nie pergaminem podpisanym. Odwle-

cze się przyłożenie pieczęci, a uwięziony Witowd o prawa się swoje nie upomni i

nową zamieszką nie wzmocni krzyżackiego Zakonu. Cicha radość potrafiła

wnętrznosci kunigasa. Uśmiechnął się. Do podawczego się zwrócił niosącego misę

nową i rzekł:

— Paśpieszy, paśpieszy, brucho hraje!...

Wielki Marszałek Zakonu zbliżył się do Jagaiły.

— Za złe mi miłość wasza nie weźmie — rzekł — że przed wypiciem ostatniego

puharu zniewolon jestem opuścić biesiadę. Śmierć króla

Ludwika wymaga szybkich

narad i niezwłocznej odpowiedzi braci wiernych Mistrzowi.

Gzy pozwolicie stół

wasz opuścić?

— Smutno, smutno — odpowiedział kunigas — lecz musu niema. Wstawajcie i idźcie!

Białe płaszcze opuściły izbę.

— Paśpieszy, paśpieszy poczuwszy głód nagły, do krajczego się zwrócił, i jakby

ciężar z piersi mu spadł z onem płaszczów białych odejściem, do ogólnej teraz

rozmowy się wmieszał i nawet już pod koniec biesiady krupnikiem nie pogardził.

Do dna wychylił mocny a słodki napój, nie obawiając się mętu trucizny.

Zapadł mrok.

Jaśko, don Manuel i kawaler de Vendendaelle do kości zasiedli, a Till brząkał na

cytrze i śpiewał romanse rycerskie.

Było ich czterech tylko.

Grali w sieni Zamku dolnego, gdzie swobodnie wiatr chodził i orzeźwiał czoła

spoczone. Stukały wyrzucane kości, parę sztuk złota przechodziło z rąk do rąk

rozweselonych graczy, Till półgłosem mruczał piosnkę jakąś, jakby dla siebie

tylko śpiewał, choć treść jej, zanadto swawolna, a z właściwym akcentem wypowie-

dziana, nie mogła ujść uwagi grających. Było coś, jakby recitativo, pół śpiew, pół opowiadanie, przy cichym strun akompaniamencie:

Szczeńciem świecą jagody

Wiedzie słodkie noc mary...
— »O, paziu! paziu mój!...
»Ty jesteś taki młody,
»A mąż mój taki stary,
»Czar z tobą, z tamtym znój!«

Wtem trzasną drzwi komnaty,
W drzwiach staje mąż brodaty...
»O, paziu! paziu mój«!..
Pod łóżko pazik skoczył,
Mąż stary go nie zoczył,
Lecz dojrzał pewien strój.

Została kurta lita
Ręką pani uszyta...
»O, paziu! paziu mój!«
Na krzeselku leżała,
Guziki lśniące miała,
I portugalski krój.

Mąż patrzy: szczerze złoto
Lśni na niej... Pyta: — »Co to?«
»O, paziu! paziu mój«!
Przed nosem żona macha,
Zabija wzrokiem stracha
I targa złoty strój.

— »Ach, mężu!... to Maryanna,
»Ta z fraucymeru panna
(»O, paziu! paziu mój!«).
»Guziki przyszyć chciała...
»Przyszyła... nie zabrała,
»Bez kurty pazik twój«

»Precz, zapomniany szmacie!
»Wstyd robisz mej komnacie...
(»O, paziu! paziu mój!«)
I ciśnie wnet przez okno,
Gdzie krzewy w rosach mokną
Ten nienawistny strój.

Mąż chciał ją przejrzeć do dna:
Jeżeli jest wyrodna...
(»O, paziu! paziu mój!«)
To paż pod oknem czeka...
Wziął kurtę i ucieka,
Jak każdy łotr i zbój.

Zbiegł szybko... Patrzy... Dziwo!
Ma żonę sprawiedliwą...
(»O, paziu! paziu mój!«)
Kurta na dworze moknie,
A Laura stoi w oknie,
Spoziera na ten strój.

— »Żono! powiedz Maryannie,
»Tej z fraucymeru pannie...
(»O, paziu! paziu mój!«)
»Że roztargniona była
»Guzika nie doszyła,
»A to niewielki znój!«

Zbadawszy rzecz naocznie,
Rad, w izbie swojej spocznie...

— »Pst!... paziu!... paziu mój!
Mąż cieszył się poduszką,
A pazik skoczył w łóżko,
Nie dbając już o strój.

— Tfu! — Jaśko zawołał i stuknął pięścią o stół...
Czy nie macie już piosnek innych?

— Nie — odpowiedział z powagą Till.

— Zawsze mąż głupi, jak baran, a żona niewierna!

— Bo tak jest.

— Kawalerze de Vendendaelle i ty, grandzie czcigodny,
zaprzeczcie temu urwisowi

— prosił Bolechowic, któremu okrutnie nie w smak szły te
romanse rycerskie.

Chciał jeszcze coś mówić, gdy nagle krzyk dał się słyszeć,
daleki bardzo, ale
wyraźny bardzo.

Zerwał się.

W krzyku tym poznał głos Danuty.

Skoczył więc na główny korytarz, prowadzący do izbic
księżnej, w którym rzetelne

panowały ciemności. Mimo to dostrzegł Danutę. Stała
przestraszona, choć więcej

gniewu i oburzenia znać było na jej twarzy dziewczęcej, niż
lęku i trwogi.

Jaśko za obie ręce ją chwycił.

— Danuto! co ci się stało? dlaczego tak krzyknęłaś? — spytał.

— Duch... nie duch, czart... nie czart — szepnęła, wodząc
oczyma dokoła.

— Jaki duch? czart? — pytał Jaśko.

— Biegłam od pani, śpiewając. Nagle na zakręcie tego korytarza ktoś mnie ułapił gwałtownie... i... usta, żar prosto... do moich ust przycisnął.
— Co? co? — zasapał Bolechowic.
— Krzyknęłam, bo poznałam odrazu, że to nie twoje były, Jaśku!... Ty palisz, ale i słodycz niesiesz, a tam był żar i kąsanie... O! krew płynie... Patrz, Jaśku! Zbliżyli się do kraty okiennej, przez którą słabe wpływało światło dogasającego już dnia, i pokazała Jaškowi usta skrwawione. Bolechowic pochylił się i doj-

rzwał najwyraźniej ślady dwóch zębów, które się wpiły w koralowe wargi dziewczyny.

— Boli? — wyszeptał.

— To nic, że boli, ale nikt nie miał prawa, prócz ciebie, ust moich dotykać.

Serce Danuty biło mocno.

— I co? i co? — rzucił Jaśko z głuchym charkotem w krtani.

— Krzyknęłam, ale duch czy czart skoczył w ciemności korytarza i zniknął.

— Słyszałaś bieg stóp?

— Słyszałam.

— Ciężki był?

— Ciężki.

— Słyszałaś szczęk miecza?

— Niby tak.

— Czy wionął wiatr, jakby od płachty szerokiej, gdy umykał?

— Wiatr wionął, jakby od płachty szerokiej — szepnęła Danuta.

— Strzeż się... pilnuj się, Danuto! Lękaj się mroku i samotności... w mroku.

Przygarnął ją do piersi i tulił i uspakajał płaczącą. Po chwili spytał:

— Księżna u siebie?

— U siebie.

— Chodźmy do niej. Niech wie, że moją jesteś.

Pokłonili się małżonce Witowda i powiedzieli wszystko o miłowaniu swoim.

Jakaś mgła owiała twarz Anny, rumieńce zgasły, dreszcz ust mówił o niepokoju

wewnętrznym. Lubiała Jaśka, lubiała słuchać gawęd jego o Polsce; ujmował ją

czarem młodości, pięknnością postawy rycerskiej i szlachetnością przekonań. Czułe też serce miała dla Danuty, którą przenosiła nad inne dworki, wierząc w jej

bezgraniczne przywiązanie do siebie. Młodzi, piękni, kochający się oboje, a

jakoże im rzec: nie dam wam pozwolenstwa swojego?

— Dobrze... dobrze szepnęła. — Waszać to rzecz, nie moja.

Śnijcie!... a jako tam

będzie później, to już nie mnie, lecz życia potrzeba spytać.

Dziwnie te słowa z ust jej padały. Było w nich ciepło i lód, zezwolenie i

wahanie się. Jaśko i Danuta poczuli drżenie Anny, gdy łączyła ich dłonie, tak

spragnione uścisku, jakiś lęk niespodziewany i trwożę, które
omroczyły czoło jej
piękne. Bolechowic czuł pochylające się ku sobie szczęście i
coś dziwnego, coś
niewytłómaczonego zarazem, co w duszy niepokój rodziło;
zagadką był mu i wyraz
twarzy Anny, gdy o swoim miłowaniu jej wspomniał. Lecz
dopiął celu: Danuta jego
była.

Szczęśliwi, promienni opuścili komnatę księżnej.

Anna została sama.

W myśli jej zarysowały się mury krewskiego więzienia,
chwila, która, pomimo
wszystko, przyjść musi: pozostawienie w niem Danuty na
miejscu Witowdowem.

— Wissebut ją wymodli, Wissebut ją wybłaga, gdyby
kunigasa za wielki gniew
ogarnął — pocieszała siebie Anna.

Teraz postanowiła, by wyjazd jej do Krewego nieprzeniknioną
otoczony był
tajemnicą.

W »domu rycerskim« odbywała się w tym samym czasie, pod
przewodem Wielkiego

Marszałka Zakonu, Konrada Walienroda, narada mnichów.

List Czolnera

nie tylko zawiadamiał o śmierci króla Ludwika. Były tam
horoskopy, na przyszłość
stawiane, niepewność jutra, przewidywanie zmian, zajść
mogących w polityce

międzynarodowej. Co działo się w Budzie czy Krakowie, nikt
lepiej nad Zakon nie
wiedział. Siecią szpiegów i donosicieli okryte były: Polska,
Litwa i Węgry; do
tych »przyjaznych« Zakonowi należał i biskup kujawski, Jan
Olit Kropidło vel
»Grapidlo«, jak go Niemcy nazywali, który za częstym
gościem w Malborgu
przesiadywał, a mając stosunki z panami Małej Polski,
kierującymi przemożną
dłonią swoją nawą państwa, wiedział o ich zamysłach i
zamiarach, tyjących się
następstwa tronu, przyszłości Polski, potężnej za czasów
Kazimierza, rozbitej
przez samolubne rządy Ludwika. Wždy Ruś Halicka nawet,
owa perła w Kazimierzowej
koronie, oderwana od niej została, a przyłączona do Węgier;
wždy odwieczny wróg
ziemi Piastów, ów Zakon przeniewierczy, za sobą mając króla
Ludwika plecy,
rozpanaszał się na Litwie, łamał potęgę państwa
Olgierdowego, by później gromem
uderzyć w serce Polski. Niemało rozumu, przebiegłości,
zimnej krwi i zmysłu
spozstrzegawczego potrzeba mieć było, by od wewnętrznych i
zewnątrznych wojen,
szkód i zamieszek wstrząśnięte uratować państwo. Wiedział
biskup Kropidło, jako
Wielkopolanie zezem na Małopolan patrzyli, że z rąk ich
wielkie usuwało się
przodownictwo; jako liczna, lecz mniej w grosz zasobna
szlachta Wielkiej Polski

musiała w cień iść przed magnatami bogatej ziemi
krakowskiej; że nie obejdzie
się bez rozterek, niechęci, swarów, a może i zaprzaństwa
narodowego, czego
najlepszym dowodem był sam Kropidło, w Malborgu u
krzyżackiego mistrza goszczący
i zdradzający tajemnice rządców krakowskich-

To też wiadano tam, że Zygmunt Luksemburski, ożeniony z
Maryą króla Ludwika
córą, upomina się o przynależny dla swej małżonki tron
polski, jeżeliby zaś miru
w szlacheckim narodzie nie znalazł, to haimburskie śluby coś
znaczą, i korona
Polski przez Jadwigę niemieckiemu Wilhelmowi przypadnie.
Lecz zwolenników swoich
miał i Semko mazowiecki, a zawsze miła była Polsce krew
Piastów. O tem
wszystkiem na wszystko bacznym Zakon wiedział i nie czułby
drętwicy w karku: w
zmaconej wodzie największe się ryby łowią, a on zawsze
garść błota w najczystszej
toń umiał rzucić i niewody zapuścić. Lecz oto dziwny szept
przez niwy polańskie
płyń, zyskuje zwolenników, obrońców, wciela się w zamiar,
przybiera kształt
idei wielkiej, która śmiałością swoją wszystkie umysły
pociągnąć może, wszystkie
serca potrafić, wszystkie miecze z pochew wydobyć. Szept
dziwny, groźny,
wymierzony w samą pierś Zakonu.

Wielki marszałek nie dokończył tłumaczeń długiego listu
Czolnera. Powiódł po
zgromadzeniu okiem krwawem i rzucił w tłum:
— Nie domyślacie się, bracia zakonni, kto po Ludwiku,
Semku, Wilhelmie
Luksemburczyku może objąć tron krakowski?
Bracia milczeli. Żaden nowy pretendent nie szedł im na myśl.
— Jagiełło! — rzekł z mocą Wallenrod.
Zaszeleściały płaszcze od ruchu rąk, rozdmy płuc,
chwytających powietrze, a Wielki Marszałek mówił:
— Ha! pojmujecie teraz znaczenie tej myśli niegodnej, tę iście
oszukańczą
intrygę panów krakowskich? Jagielle tron Polski!... to znaczy:
Litwę nam
wydrzeć,

wydrzeć z rąk naszych jej chrztu zasługę, przed stolicą świata
pokazać nicość
nawracań naszych, w proch rzucić świętość misyjnego
powołania naszego!
Niedoczekanie ich! — uderzając w stół pięścią, krzyknął.
— Cha-cha cha!... poganin na tronie Polski! — zaśmiał się
Zygryd.
— Nie śmieć się, komturze! Wielki mistrz wcale się nie
śmieje... Z wojną nam nie
występować, dopóki ta myśl dzika rzeczywistych nie
przybierze kształtów.
Niełatwo od praw swoich odstąpi Zygmunt Luksemburski,
niełatwo Wilhelm wyrzeczce
się ręki Jadwigi. Jagiełło w rękach jest naszych, i żelazną
stopą musimy łeb

tęgo węża przygnieść. Pergamin utwierdzić musi słowne
ustępstwo Żmujdzi, a choć
mu duży szmat jeszcze Litwy i Rusi zostanie, gdzie mógłby
się rozrosnąć i
spotężnieć, skrzywdzony Witowd sojuszniczą rękę nam poda.
— W Krewem? — padł głos jakiś, przypominający
Wielkiemu Marszałkowi więzienie
Kiejstutowica.
— Wiem o tem, świątobliwy mój bracie — odparł Wallenrod.
— Już przedsięwzięte są
poczynania do wydobycia go z baszty kiejstutowej.
Obowiązek ten chrześcijański
spoczywa na komturze Zygfrydzie, który potrafi zawładnąć
podejrzliwym umysłem
kunigasa, uśpić czujność i naszym zamierzeniom da barwę i
smak. Na nim spoczywa
też obowiązek przymuszenia Jagiełły do przyśpieszenia
postanowionego zjazdu na
Dubissie, gdzie ostateczny ma zapaść wyrok, tyczący się
Żmujdzi i hołdownictwa
Litwy. Z chrztem poczekać!... bo on nam miecz wytrąca,
zawieszony nad nią.
W liście Czolnera były wskazania i uwagi, rady i napomnienia
i błogosławieństwo
przedsięwziętym za-

miarom przesłane. Główne zastępy wojska, w czasie blizkim,
Wilno opuścić muszą.

Komendantem zamku, z ręki już tylko Jagaiły, i nadal Hanke
zostaje, lwią część

przeprowadzenia zamiarów Zygfyrd na siebie wziął, który,
jako twierdził, zupełne
zaufanie kunigasa pozyskał.
Noc zapadła, radna izba domu rycerskiego opróżniła się.
Pozostali tylko Zygfyrd
i Wielki Marszałek Zakonu dla omówienia planów
postępowań dalszych. Siedli
naprzeciw, twarzami się zbliżając.
— Bracie komturze — odezwał się Wallenrod. — Na wargach
macie malutki skrzep
krwi. Jakiś zły owad ugryźć was musiał.
Obojętnym ruchem ręki komtur starł krew ust Danuty.
Rozpoczęła się narada.

IV.

Dzwony.

Ostatnie dogasały gwiazdy, tonęły jedna za drugą w głębinach
rozjaśniających się
błękitów, jakby umykały przed zwycięskimi świtu blaskami,
który na śnieżną pierś
obłoków rzucił rubiny i topazy, złotozielony pas rozwinął na
wschodzie i garść
brylantów w powietrze cisnął...
Był to pierwszy pocałunek słońca, niebu posłany.
Ziemia nie budziła się jeszcze, nie otrząsała snu z powiek
zmęczonych, na
wzgórzach tylko lekko zakołysały się drzewa, coś zaszepotały
cicho, sennie i
umilkły. Tak samo oddycha pierś ludzka przed rozbudzenia
się chwilą, nie chcąc
się pozbyć czaru, który ją może pod-

czas snu kołysał. W dolinach jeszcze mrok i chłód i
nabrzmiące ros perły i sen
głęboki, a górą walka światła i barw, jakiś pochód zwycięski
niewidzialnego
jeszcze słońca. Pierwszy jego blask pochwycił miedziany dach
zamku, pierwszy
dech wiatru karmazynowa wstęga sztandaru na szczycie
wieży. Zwinęła się,
rozwinęła, zafalowała jakimś płasem poważnym i zwiśla
nieruchomie, tylko świecił
ostry grot kopii, złotą gwiazdą patrzący w błękity. Ale gród
spał, drzemała
straż nawet, o halabardy wsparta.
U stóp lesistych wzgórz, przy dwóch rzek głazach
nadbrzeżnych, w cieniu gajów,
otaczających Perkunasa świątynię, na jej stopniach
kamiennych i gdzie tylko
głowa pątnicza przytulić się mogła, leżały ciała ludzkie płci
obojej, w
nieczułym śnie pogrążone. Byli to pielgrzymi ze stron
dalekich, na uroczystość
kiejstutowego pogrzebu przybyli. Nie przytulił ich dom żaden,
bo te zajęte były
przez wojska niemieckie i żołdactwo nacyi rozmaitych,
spoczynku i wygody po
trudach wojennych potrzebujące. Pielgrzymów przygarnie las-
ojciec, matkaziemia
do nagiej swej piersi przytuli; okryje mgła, omyje rosa, a sen
już sam
przyjdzie, przyniesie spokój i trosk zapomnienie. Po trzech
dniach dopiero

smutku i żałoby do swoich siedzib powrócą. Garść wspomnień
towarzyszyć im
będzie, garść wspomnień... na długie zimowe wieczory. Na
górach zwycięski pochód
świata, w dolinach cisza i mrok i sen.
Za świątynią Perkunasa, którego posąg kamienny, wyzierał z
cieniów liści
dębowych, drewniany stał dom Dowkonta, najwyższego
kapłana Litwy. Jeżeli gród
spał, miasto całe i owi pątnicy, rozłożeni na chłodnej ziemi
pościeli, to Krewe-
Krewejte nocy tej spoczynku ni snu

nie zaznał. W uszach jego dzwoniły wciąż słowa hymnu
Towcigina, w oczach
rysowała się postać tego ostatniego ofiarnika Litwy, jego
męczeńska śmierć, jego
ból, że stary porządek się wali.
Dowkont zamyślił się.
— Towcigin, »strzeży lud«, z jaką on to pychą królewską
wymówił! Tak nazwał
siebie i dla potwierdzenia słów swoich wstąpił na stos —
szeptał Krewe-Krewejte.
Wpadł w zadumę.
— Nie jest-że to nauka, mnie, najwyższemu kapłanowi dana?
— szeptał dalej. —
Któż powinien stać na straży tego ludu, jeżeli nie ja, jego
kapłan najwyższy?..
Ach! czy ty myślisz, Towciginie, że nie umiałbym, jak ty,
zginąć, gdybym miał

wiarę w zbawczą moc śmierci?..

Gorycz zalała usta.

— Gdybym miał wiarę! — jęknął.

Za pierś się chwycił.

— Szatanie! na co mnie męczysz?

Obrócił się i spojrzał w twarz bóstwa.

Po chwili głową poruszył i szepnął:

— Stępiły się strzały twoje, boże piorunów: wzywany,

milczysz! ciskający gromy,

omijas piersi ci bluźniące! Bezsilni ludzie, bezsilne bogi! a ty
drżysz, Litwo,

pod stopami najeźdźców, a miecz kiejstutów rozpęknał w
walce rozpacznej z nie

znającymi trwogi Teutonami. Jaka ich zmoże moc, jaka siła
pokona? za nimi świat,

za nimi bóg nieznany! O ! jak beznadziejnie brzmią słowa

prastarego hymnu

żmujdzkiego, wyśpiewywane lękliwie w ciszy nocnej: Deve

Devejies ne musk

Žamejtes!... Ta Žmujdž właśnie ma stać się Niemców

dziedzictwem. Osłabła dłoń kunigasów niemocna jest we

władaniu swoim ją

utrzymać.

Zimne krople potu spływały po czole Dowkonta. Zbliżył się do

okna i wzrok rzucił

na mgłami usłaną dolinę Świętoroga.

Złote błyski, przesiane rubinami, przesączały się przez mgły
te. Świt

wypromienił się i ustępował miejsca pysznemu wschodowi
słońca. Cichy szelest

przebiegał przez gaj święty, ożywcze tchnienie poranku,
niosące pocieszenie i
wiarę sercom zbolałym. Kapłanowi się wydało, że bóg
przemówił do niego tym
szelestem drzew, tem tchnieniem ożywczem. Wyciągnął
ramiona ku niebu i rzucił na
głos dwa pierwsze słowa hymnu:
— Deve Devejtes...
Gdy nagle uderzył dzwon.
Arcykapłan zadrzał... wzniesione ręce opadły, bladość okryła
twarz, a rytmiczny
głos dzwonu biegł wraz ze wzmagającym się światłem
powstającego dnia i budził
inne dzwony. Potężny huk spizu nabierał mocy i siły; płynął
doliną »Świętego
Ołtarza«, uderzał o góry dalekie i rósł i potężniał i jakby
dźwiękami swoimi
słońce wzywał, które posłuszne wezwaniu, w rozsrebrzone
błękity strzeliło
snopami promieni. Każde uderzenie dzwonu tego było
uderzeniem maczugi w piersi
Dowkonta. Nie po raz pierwszy go zasłyszał, a jakby posłyszał
raz pierwszy, taki
strach i przerażenie nim owładły.
Jeszcze za czasów Giedymina urodził się ten dźwięk pierwszy
dzwonu katolickiego
kościół. Przybyli zakonnicy imienia świętego Franciszka i
zbudowali świątynię
drewnianą i garnąć zaczęli ludzi ku sobie słowem i uczynkami
dobrymi. Zrazu
wstrętu żadnego nie robiono tym

spokojnym sługom Boga chrześcijańskiego. Lecz w krótkim czasie wielka liczba nawróconych na wiarę nową zaniepokoiła kapłanów pogańskich. Przygotowany w milczeniu, zamach krwawy dokonany został w r. . Później, za czasów Olgierda, Piotr Gastowd, poganin, ożenił się z Anną Buczacką, Polką, i wzmocnił zakon franciszkański przybyszami nowymi, jako też zbudowaniem im klasztoru, który ostrokołem opasał. Lecz w r. , gdy wraz z Olgierdem Wilno opuścił był, lud rzucił się na klasztor i zdobył go po krótkiej obronie. Siedmiu zakonników wyprowadzono na rynek miejski i stracono, a siedmiu uciekających dognano i ukrzyżowano na Łysej Górze, z której później stracono w nurty Wilii. Olgierd srogo ukarał przywódców buntu, ciała męczenników pochować rozkazał na miejscu zburzonego klasztoru, a Gastowd zbudował kościół nowy na Piaskach, około pałacu swojego, przy źródłach Winkry i oddał go, pod wezwaniem Najświętszej Maryi Panny, nowo wezwanym braciszkom zakonnym. Odtąd codziennie o świcie odzywał się dzwon klasztorny. Słyszał go Krewe - Krewejte i jakby pogodził się z tą pieśnią spiżową; obojętnem uchem dźwięki jego łowił, napęlniające gaje święte, wśród których zimny, kamienny, niewzruszony stał posąg Perkunasa. Dziś dzwon ten uderzył gromem w pierś Dowkonta.

Jakieś straszliwe szyderstwo w nim posłyszał, jakieś urąganie
haniebnie ze stów
pieśni Towcigina, chwałbę, bezczelną z ponownego
zwycięstwa.

Dowkont noc całą nie spał, zostając pod brzemieniem bólu
towciginowego. Dziś ta
pieśń współczesnika Olgierdów i Giedyminów krwawe
nasunęła mary i za-

grała wspomnieniami chwili napadu na klasztor ony, z którego
wież ten dzwon dziś
uderzał. I on brał w nim udział, i on z toporem w ręku łomotał
w okute wierzeje
franciszkańskiego kościoła i pierwszy żagiew płonąca pod
suche krokwie dachu
podłożył. Tłum oszalały mordował i bluzgał krwią, a on na
szczyt dzwonnicy, do
tego dzwonu skoczył i uderzeniem topora na drzazgi rozbijał
spiż twardy. Ha!
pamięta, z jaką rozkoszą żelazne serce mu wydarł i cisnął na
dół na głowy
przerażonych mnichów; ha! pamięta, jak ten dzwon pod
uderzeniem jego topora wył,
jęczał, rzeżył, jakby czuł ból od tych razów straszliwych,
zadawanych ręką
mściwą, aż zaskowityła, zacharczała i pękł i w wióry się
rozsyłał i już tylko,
zawieszony uchem o hak żelazny, klekotał głucho, niby pierś
konającego, gdy on
się jeszcze pastwił nad lichym już i beznadziejnym strzępem.
Czuł rozkosz

zemsty, niewysłowioną rozkosz mordy, który zamknął usta
tego dzwonu... ach,
myślał, że zamknął na wieki!...

Nie!

Odzywa się, huczy znowu, wypełnia lasy, gaje święte, ponad
wierzchołki gór

Ponarskich płynie zwycięski, urągający!

Stary Dowkont za skronie się chwycił, bo jakieś młoty w nich
biły i rozsadały
czaszkę.

A dzwon grzmi. W odstępach krótkich bije sercem śpiżowem,
urąga bolesnej pieśni

Towcigina i budzi inne dzwony...

Biją tu i tam.

Grają już wieżycy kościołów i cerkwi wszystkich.

Krewe-Krewejte do okna poskoczył i spojrział na wzgórze i
stopnie świątyni,
zasłane ludem tysiącnym

— Śpią! śpią — zawołał. — Nie czują męki mojego serca,
krzyku mej piersi; nie
słyszą głosu tego dzwonu, nie widzą twarzy Perkunasa, którą
ból wykrzywił.

Spojrział na posąg, wyzierający z cienia drzew.

Czy to gra światła, czy szalbierstwo oczu, złudzeń
spragnionych, lecz mu się

wydało, że groźne spojrzenie bóstwa zwróciło się ku niemu.

Krewe-Krewejte pół-postacią przez okno się wychylił. Przetarł
powieki, z dłoni

nad oczyma daszek zrobił, bo jarzące blaski słońca złotą już
falą rozlały się po

ziemi, i patrzył, patrzył, patrzył...

Błyskawica strzeliła z oczu bóstwa.

— Grzmij! grzmij! — zawołał arcykapłan.

Blask przygasł. Bóg piorunów odwrócił oczy i twarz kamienną i spojrział w słońce.

— Ha! ha! — zawołał Dowkont.

Jakimś tchem wielkim, tchem ulgi i zrozumienia westchnęła pierś kapłana.

— Rozumiem ciebie, rozumiem, boże piorunów! — szepnął.

— Olśniłeś mnie

błyskawicą swych spojrzeń, lecz gromem nie przemówiłeś, to znak, by dokonany

został w milczeniu czyn błyskawiczny; zwróciłeś na słońce oczy swoje, boże

piorunów! na którym w tej chwili krzyż się czerni, to znak, w którą stronę ma

runąć grom!... Znikniesz, krzyżu! zmilkniesz, dzwonie! niech tylko miasto się

uspokoi, gród białe płaszcze opuszczają, a szept mój wpadnie do uszu tych śpiących

i Towcigina słowami przemówi. Zguba wam, cerkwie i kościoły! czteroramienne i

dwuramienne krzyże, biada wam!.. Zbudził się we mnie duch starej Litwy, kładnący

wszystko na ołtarz jej święty: życie, mienie, krew...

Spojrział na tłumy śpiące, na barki ich potężne, na piersi, dyszące, jak lasy.

— Senni jesteście, lecz czuwam ja! trwożni jesteście, lecz otom ja bez trwogi!

Duch Towcigina jest we mnie; zapłodził mnie popioły swoimi,
płomień swej piersi
w pierś moją przelał i wołał głosem jego: Litwo! Litwo!
Litwo!... wszystko ci
oddam: życie, mienie, krew...
Stał dumny, silny, promienny... a dzwony były j w krystaliczne
powietrze rzucały
hymn swój spiżowy.
Wtem dał się szmer słyszeć u drzwi mieszkania i cichy a
szybki chód stóp bosych;
jakiś śmiech, przekomarzanie się jakieś, niby świergot wróbli,
cieszących się z
jasności słońca, z woni kwiatów, z zieleni drzew.
Na twarzy arcykapłana uśmiech zawitał.
Potrzęsnał głową, białą brodę przygładził, wypromieniał
jakiemś szczęściem
wewnętrznym i, przepojony weselem, z radością czekał na
wejście tych ptaków
świergocących.
Drzwi się uchyliły, i wbiegły złotowłose, strojne w wieńce
bławatkowe i białe
rumianki, zarumienione od chłodu porannego, niby dwie
zorze, dwa promienie,
Danuta i Biruta. Biruta była córką arcykapłana, żrenicą jego
oka, tchem jego
piersi, muzyką jego serca, jedynem a ukochanem dziecięciem
Dowkonta. Obie
przypadły do rąk starca, on obie do piersi swojej przycisnął i
tulił uściskiem
ojcowskim, tylko po złotych włosach Biruty, niby po harfy
strunach, przebiegały
palce starego kapłana, tylko serce uderzało mocniej, a usta,
drżące umiłowaniem

wielkiem, szeptały cicho:
— Krwi moja! krwi moja!...
Lecz obie przygarniał, tulił i całował, nie zważając

już na huk dzwonów, które potężnym grzmotem swych serc,
po pieśni jutrznianej,
witały królewski wschód słońca.

— A cóż to was tak wcześniej ze snu podniosło?— zaczął
Dowkont — i jako widzę, w
pole pognało?... Kwiaty we włosach, kwiaty w dłoniach!
nieopadła rosa lśni
jeszcze na nich, wieje rzeźwością pól i łąk zapachem. To
pewnie dla mnie... —
zaśmiał się. — A juści! Obie wyciągacie dłonie, starego
dziadka tak pięknymi
osypujecie darami. Dziękuję wam, dziękuję — mówił —
biorąc kwiaty z rąk
dziewczęcych i do dzbanka wkładając. A teraz siadajcie na
ławie, groszki
pachnące, ty z tej strony, Biruto! ty z tej strony, ja zaś, niby
badył,
zapomniany wśród ugoru, pośród was usiądę, niby strach na
wróble, odganiający
szkodników od ziarn niedojrzałego jeszcze zboża. Co was ze
snu podniosło tak
wcześnie i jakożeście się spotkały z sobą w godzinie tak
rannej?
Usadowił obie na ławie drewnianej pod ścianą, wśród nich
usiadł i na odpowiedź
czekał. Niedługo tego czekania było, bo obie dziewczęta
jednocześnie prawie

ćwierkać zaczęły, że stary Dawkont, co mówiły, niełatwo rozumiał, lecz rad był z tych świergotań, przypominających ma dni wiosenne jego własnego życia.

— No dobrze, dobrze, teraz ty, a później ty — zaczął do porządku rozgadane dziewczyny przyprowadzać, aż roześmiały się obie, widząc, że Krewe-Krewejte nie bardzo dotychczas ich szczebiotanie rozumiał.

— Bo ja nie wiem — zaczęła Biruta — co mnie z pościeli podniosło.

— Ja także nie wiem, co mnie otworzyło powieki, a wstać kazało — przerwała Danuta.

— Biały dzień połaskotał mi oczy...

— Mnie coś się na pierś układało...

— Zerwęć się ja...

— I dławilo, dławilo...

— Na równe stanęłam nogi...

— Mocowałam się z tą zmorą przeklętą...

— A tu takie złoto na ziemi...

— Precz! precz! krzyknęłam.

— Jasność zalała świat...

— Odeszło!...

— Pst-pst-pst! — odezwał się Dowkont. — Nie razem, nie razem, bo ja nie

rozumiem, co odeszło, co dusiło, moje dziewczeczki, i kogo coś tam zalewało?

— Zmora! — krzyknęła Danuta.

— Jasność świat zalewała — rzuciło dziewczę Dowkonta.

— Acha! jasność, zmora! — zaśmiał się Krewe-Krewejte.
— Tedy ja wskok...
— Ja także...
— Na ziemię...
— Buch...
— I do źródelka zaraz.
— Ja także...
— Pst-pst-pst!
— Już-ci umilkłam.
— Srebro cudne czy kryształ szczery ta woda naszej Wilejki
— ciągnęła Biruta. —
Skoczę na górkę, spojrzę, aż tu bławatków łąn i śnieg
rumianków. Prosiły się
same: Bierz... dla siebie, dla ojczulka, dla Danuty. Kwiatów w
pas, a rosa
srebrzy się, opada za każ-

dem ich zagarnięciem. Już do dom miałam wracać, gdy
Danutę spotkałam.
— To ja ciebie.
— I w krzyk...
— I w skok...
— Nie było na »dzień dobry« czasu.
— Bo błysnęło...
— Zagrzmiało...
— Pst-pst! — przerwał Dowkont — bo znowu mi się w
głowie pokręciło i nic a nic
nie rozumiem was, moje dziewczki. Co błysnęło? — do
Danuty się zwrócił?
— Słońce...
— A zagrzmiało?

— Dzwony — odpowiedziała Biruta.

Twarz arcykapłana zgasła, zadrgały usta, krzaczaste brwi zbiegły się nagle.

Wyszeptał:

— Dzwony!...

— Jak one grały, jak one grały, ojczeniu! Niczem najprzedniejsze harfy pieśniarzy naszych, taka siła uderzeń serc tych dzwonów, taka potęga i moc... Śpiew nie śpiew, jęk nie jęk rozlewa się dookoła; jakiś ból płynął, i płacz, i skarga, i żal — mówiła Biruta.

Krewe-Krewejte podniósł się z ławy, ujął złotą głowę dziewczyny, do serca przytulił i rzekł:

— Dobrze rozumiałaś pieśń dzwonów, Biruto, dobrze rozumiałaś!... niosą ból, niosą jęk, niosą żal nieukojonny za tem, co było, co przeszło, co się ugina, łamie pod okrutną siłą ich śpiewu. Przeklęte dzwony! — dodał. — Przeklęte dzwony! — powtórzył, dłoń drżącą do góry unosząc. Dziewczyna spojrzała na ojca.

Wargi mu się trzęsły, a blady był, jakby śmierć ujrzał. Przygasły teraz bławatkowe oczy Biruty, przygasły jej usta koralowe, a piersi zabrakło tchu. Drobną ręką dziewczęcia targała bezmyślnie fartuszek, w palce ujęty, opuszczone powieki łzami nabrzmiały, lecz siłą woli powstrzymała łzy.

Danuta zdziwionemi oczyma patrzyła na nią, to na Dowkonta.
Nie rozumiała łez
Biruty, nie rozumiała zmiany nagłej, jaka zaszła w twarzy
arcykapłana, który
stał teraz, zwrócony plecyma do nich i ruchem nerwowym, za
każdym uderzeniem
dzwonów, zgrzybiałe, suche palce do uszu swoich przykładając.
Była cisza, męcząca cisza.
Danuta pochyliła się do Biruty.
— Dlaczego on tak zbladł? — szepnęła.
— W dzwonach słyszy jęk Litwy — odpowiedziała zapytana.
— A z tobą co?
— Ja jestem... chrześcijanka — zabrzmiał Biruty szept cichy.
Powstały, wyszły.
Dowkont słyszał, jak wychodziły, lecz nie zatrzymał ich
ruchem żadnym. Osunął
się na ławę, bijące krwią skronie o dłonie oparł i zapatrzył się
w gaj święty.
Słońce zeszło.
Zamek na Turzej-Górze, owa twierdza grodu wileńskiego,
jarzył się już cały od
promieni, które zlekka zaledwie muskały dachy Dolnego-
Zamku. Jagaił chwilowo
tylko zajął siedzibę górną, zwykłym mieszkaniem

wielkich książąt był zamek dolny, odstąpiony teraz gościnnie
księżnej Annie i
jej dworowi.
Na górze był już ruch, dolinę sen pogrążył.
To pozwoliło Danucie pozostać krótką chwilę jeszcze w
towarzystwie Biruty.

Księżna Anna nie spała długo; raz po raz ktoś do drzwi jej sypialni pukał, zachodził: słychać było szept narady, ciche, tajemnicze głosy. Gdy Danuta opuszczała pokój księżnej, pani jej rzekła: — Zmęczona jestem, spać będę długo, sprawujcie się cicho, dziewczki, a folgę wypoczynkowi własnemu dajcie. Nie spieszo więc było Danucie do zamku wracać, nie śpieszo jej było rozstawać się z Birutą, na której czole błąkał się cień tajemnicy, przed chwilą zaledwie szeptem wypowiedzianej. Usiadły obie na kamiennych stopniach domu Dowkonta, ciche, nieruchome, jak dwa posążki białe, jak dwa sny, które przy pierwszym strzale słońca w jasności dnia się rozpląną. Ale gęstolistne konary dębów schylały się nad ich głowami, rzucając cień i chłód; czasami tylko wiatr lekki, przelatujący gdzieś górą, gałązki poruszył, na czoło, na pierś dziewcząt strącone rosy upadły, aż się wstrząsnęły od tych kropel chłodnych łaskocącą strugą po ciele przebiegających. Lecz nie mówiły nic, choć siedziały tak blisko siebie, choć się rękami objęły, choć skroń pochyliła się ku skroni, a złączone warkocze włosów w jedną falę stopiły się złota. Danuta zwróciła oczy i spojrzała na opuszczone powieki swej towarzyszki. Patrzyła chwilę, potem spytała:

— Jak to się stało, Biruto?

I Biruta opowiedziała jej tajemnicę swojego nawrócenia się.

Przed rokiem, po śmierci matczy, przybyła z puszczy nadniemeńskich do

stęsknionego za nią Dowkonta. Wychowana w lasach, nie znała miasta wcale, a cóż

dopiero tak wielkiej, jak Wilno, stolicy. Krewe-Krewejte pieścił ukochane

dziecię swoje, które krasą niezwykłą wzbudzało podziw powszechny. Dla Biruty

wszystko nowością i ciekawością było... I tu po raz pierwszy posłyszała śpiew

dzwonów.

Porwała się ze snu, zbudzona tą gęźbą przedziwną, i skoczyła przed dom.

Było to rankiem, spał świat jeszcze, ludzie spali. Świt się przecierał,

przesiewał się przez mgły; nieruchomość lasów była ogromna, dookoła cisza i sen,

na dolinie, na górach, w uśpionem mieście całym, a płynie pieśń, a huczy śpiew

jakiś olbrzymi z niewidzialnej piersi dobyty.

Od podziwu rozwarły się oczy Biruty.

Szepnęła:

— Niebo gra!...

Bod wrażeniem tej muzyki niebios pobiegła do ojca.

Dziwne!

Jej cała istota przepełniona była tą tajemniczą pieśnią dzwonów, czar

wniebowzięcia czuła, jakiś lot duszy w krainy zasłoneczne, a z ust Dowkonta

wypadły słowa:

— Przeklęte dzwony!...

Przeklęte, tak śpiewające cudnie... dzwony! Mimo to nie zatarło się wrażenie czaru, choć Krewe-Krewejte zdała pokazał jej wieżycę franciszkańskiego

kościola, skąd pieśń płynęła; choć młode oczy dostrzegły kołysanie się bań

spizowych i to, co kołatało się w nich, a co stary Dowkont nazwał: sercem.

Serce bije, gra dzwon... to coś tak, jak w piersi jej własnej: serce bije, a ona

cała przemienia się w dzwon śpiewny. Zali kto rzucił przekleństwo temu dzwonowi,

tej najpiękniejszej gęźbie gęźb? jej sercu, jej piersi?

Słowa ojcowskie zrodziły strach, lecz czaru nie zwiały. Miotał przekleństwa na

przyjście Boga nowego, a On tak tajemniczo przemówił do niej potęgą nieznaną dotąd wrażeń.

Strach złączył się z ciekawością, z nieprzepartą chęcią zobaczenia tego cudu,

przed którym groźny Perkunas lęk czuje. Nie mówiła nic ojcu o tem pragnieniu

swej duszy, o tej trwodze, wzbudzonej przez niego, łagodzonej przeczuciem omyłki

jakiejś, dla której określenia słów jej brakło.

Przed miesiącem, zbudzona, tak jak dziś, pieśnią dzwonów, z bijącym sercem i

strachem utajonym zbliżyła się do ścian kościoła.

Drzwi stały otworem.
Ołtarz od światek się jarzył.
Na wieżycy dzwon się kołysał.
Zobaczył ją zakonnik stary niepewną, wahającą się,
onieśmieloną i zrozumiał stan
jej duszy.
— Wejdz, dziecie — szepnął. — To dom mojego Boga, dom
miłości i przebaczenia win
wszystkich.
— A dzwony? — spytała, myślą tylko o nich zajęta.
— Grają Bogu mojemu na chwałę, na wspólne modły ludzi
wołają, na ucztę
szczęścia. Wejdz, dziecie, powiem ci o Bogu moim, który
umarł za grzechy świata.

I weszła... i wyszła, odrodzona, szczęściem drżąca, unosząc w
zanadrzu mały
sznur mistycznego różańca, na czole, ramionach niestarty
chryzmat chrztu.

Była chrześcijanką, dzieckiem Chrystusa.

Taką to opowieść szeptała Danucie, siedząc na kamiennych
stopniach domu
ojcowskiego.

— Słuchałabym ciebie dzień cały, słuchałabym ciebie noc całą
— szepnęła Danuta —

ale za chwilę zbudzi się pani moja, a może już się zbudziła i
naprózno echo

klaskaniem jej rąk w pustym korytarzu się odzywa... Bądź
zdrowa, Biruto! pomódl

się za mnie i za Jaśka.

Pocałowała w usta i zniknęła wśród drzew.

Biruta wyjęła z zanadrza malutki sznurek różańca i, ukrywszy go w dłoniach, drobne zaczęła przesuwac paciorki. Na progu stanął Dowkont. Bózaniec zniknął w fałdach spódnicy dziewczyny. Stary położył dłoń na głowie siedzącej Biruty i, miękko przebierając palcami po jej włosach złocistych, a na budzące się tłumy patrząc, rzekł: — Wedle możliwości i zamożności naszej, niektóre z tych potrzeba będzie nakarmić i napoić. Zajmij się tem, Biruto!... a szczególnie miej na uwadze dzieciątka, choć może lepiejby było, aby to wszystko wymarło. Biruta drgnęła, podniosła się i spojrzała na ojca. — Tak pięknie zaczęłaś, a tak bezlitośnie skończyłaś, ojczulu! Myśl twoja do dzieciątek pobiegła i całowała ich główki jasne i przyjsć im nakazywała do siewała później zgrzyt i takie życzenie okropne! — Co »okropnością« nazywasz?— rzucił Dowkont.—

Stłumienie w zarodku krzyku piersi? zamienienie serc czujących w spokojny pył ziemi?

- Przemawia przez ciebie ból, ojczulu!
- Przemawia przeze mnie strach przed jutrem.
- A wiara?
- W co?
- W moc... bóstwa.

Krewe-Krewejte spojrzał na Birutę, później obrócił twarz na kamienny posąg

bożka.

— Zgrzeszyłem — wyszeptał. — Biruto! — ozwał się głośno

— masz jeszcze kwiatów

kilka, złóż je u Perkunasa stóp i idź, a obudź służbę. Więcej

dziś, niż w każdy

dzień inny, roboty będziesz miała. Zajrzyj do dzież z chleba

zakwasem, zbadaj

gorąco pieca, niech bochny będą duże, pieczywo smaczne, a

mąki nie żałuj. Co

mogę, to uczynię. Nakarmię choć garstkę, śpiącą w obrębie tej
świątyni.

— Pięcioma chleby nakarmisz ją, ojczeniu! Chciej tylko z

duszy całej — odrzekła.

Dowkont zatrzymał kroku, bo już ze stopni domu swojego

schodził. Zwrócił się do

Biruty, pochylił się i spojrzał w jej twarz.

— Biruto!...

Dreszcz lekki przez ciało jej przebiegł.

— Co to za słowa? Milczała.

Brzmia dziwnie. Nie mówiła nic.

— Obce mi, a gdzieś słyszane.

W piersi Biruty zakołatało serce tak mocno, że Dowkontowi

się zdało, iż słyszał

szelest krwi.

— Chcesz rzesze takie pięcioma chleby nakarmić? -

rzekł po chwili. — Jakaś bajka ci się wyśniła, zasłyszana
niegdyś i przeze mnie.

Kiedy? nie wiem! gdzie? nie pomnę!... O, pamięci! dlaczego
tak krucha jesteś!

Biruto! — zapytał nagle — dlaczego porwałaś kwiaty, które u stóp Perkunasa złożone być miały?

Biruta powstała szybko, patrząc z dobrze udanem zakłopotaniem na wiotkie strzępy listków, które z kamiennych schodów zdmuchiwał wiatr lekki. — O, moje palce niespokojne, cóżeście uczyniły? — wyszeptała.

— Mógłbym cię ukarać za to.

— Ukarz, ojcze! — podchwyciła szybko.

— Ten wieniec zdjąć ci z głowy i zanieść...

— Zanieś, ojcze!

— Za wielka byłaby kara! Sama go zdejm i sama zanieś!

Rzekłszy to, ruchem rozkazującym wskazał na posąg Perkunasa.

Nowonawrócona zachwiała się, lecz nie mogła wyraźnemu rozkazowi ojca sprzeciwić się. Drżącymi palcami zdjęła wianek z głowy i zeszła do posągu. Chciała ręce wyciągnąć, by na najwyższym stopniu, u słupa, prostaczo ociosanego, położyć ten wian bławatkowy, ale owładły nią groza jakaś i strach uczynku. Zakołysała się jak mgła, i upadła u stóp kolumny. Z omdlałej ręki wieniec spłynął i do nóg się jej potoczył.

Krewe-Krewejte podbiegł.

Otworzyła oczy.

— Bóg się gniewa — szepnęła.

Mówiąc to, mówiła nie o bogu Dowkonta.

— Ja go przebłagam — rzekł arcykapłan. — Wstań, dziecko!

Oparł dłoń o wierzch kolumny i, patrząc w kamienną twarz posągu, mówił:

— Ślubuję ci, boże piorunów, że w czyn zamienię myśl, którą zrodziłeś dziś we

mnie przy pierwszym dzwonu uderzeniu. Nim trzecie zorze błysnie, umilknie serce

jego na wieki. Obudzę te tłumy, siłę im dam i moc zniszczenia. Dym i płomień

zobaczy pierwszy blask świtu, zgliszcza i popioły pierwszy strzał słońca.

Przerażonemi oczyma patrzyła Biruta na ojca. Była chwila, że do stóp chciała mu

się rzucić, zamieść pył przed nim i prosić o miłosierdzie, lecz przyszła rozwaga

zimna, mówiąca o bezpłodności błagań wszystkich i próśb wszystkich. Usunęła się

w cień, blade tylko usta szeptały:

— Trzy dni... za trzy dni!...

Dowkont zbliżył się do rzesz pątnicznych, pełen wiary w potęgę swojego słowa.

Nie zrozumiano jego przemówień.

Dzwony.. co kogo te dzwony obchodzą, gdy stokroć groźniejszy od nich jest miecz

Teutonów, niosący ciosy niechybne, pewne, jak śmierć! biją już w kaplicach

dworów wielkoksiążęcych, małżonki kunigasów chylą głowy na dźwięk ich potężny, a

bogi milczą, a ognie przygasają w coraz mniej pilnowanych gajach świętych.

Wampir niewoli od wieków pierś tego ludu wysysał; upiór zagłady rozpostarł

skrzydła czarne nad wielkiem dziedzictwem Olgierdów, a
stary Dowkont o dzwonach
mówi, osłuchanych od lat już tyłu, obojętnych już im stokroć
więcej, niż
napotkana na polu pierwsza lepsza kość próchniejąca zabitego
zwierza.

Zapał Dowkonta ostygł, lecz nie przeraziło go milczenie
tłumów. Nie umiłowania
mu brak, lecz ręki

silnej, pierwszego hasła do czynu. »A czyn ma być dokonany
w ciszy, z szybkością
piorunową« — szeptał do siebie Dowkont.

— Zapomniałem o wyraźnym rozkazie Perkunasa, i dlatego
tłum milczy. Zbudzą go
pierwsze płomienie, pierwszy brzask ognia, a wtedy krzyże za
krzyżami padać
będą, za dzwonami dzwony milknąć, walić się mury świątyń!
I szepcząc tak, uginał się pod brzemieniem niewiary własnej,
pod ciężarem
kamiennego milczenia rzesz.

Lecz znalazło się kilku, którzy, wezwani, poszli za głosem
starego Krewe-
Krewejty. Byli to uczestnicy ostatniego napadu na klasztor
franciszkański,
towarzysze lat młodych Dowkonta, długim więzieniem
ukarani ongi przez Olgierda
za mord krwawy, nieprzejednani wrogowie Piotra Gastowda:
Kinżgaił, Żwinbut i
Trump. Na ogniste przemówienie arcykapłana Kinżgaił
mruknał:

— Stary pies żyje jeszcze.

— Pomsta mu! — odpowiedzieli Żwinbut i Trump.

Na siebie mieli wziąć poważną część trudnego zadania:

wciągnąć do spisku lud

mnogi.

Wiedziano, że jakiś list tajemniczy przybył z Malbarga do wodków zakonu; że

wojska krzyżackie pośpiesznie opuszczają Wilno, że ostatnie pułki trzeciego dnia

już wyjdą, w stolicy zaś zostanie tylko nieliczna drużyna

wojsk Jagaiłowich. Nie

rachowano na jej pomoc, lecz na obojętność. Tłumy pątnicze nie opuszczą jeszcze

miasta, uwolnionego już od zastępów niemieckich. Kilkunastu śmiałków pod wodzą

Dowkonta, gdy dzwon przedświtny uderzy, a mnisi zbiorą się na śpiew chónyi wejdą

do wnętrza świątyni i rozpoczną dzieło

zniszczenia. Spiskowcy, pod przewodem Kinżgaila, Żwinbuta i Trumpa, ukryci w

ogrodach miejskich, będą oczekiwali hasła do napadu na inne świątynie i pałac

Gastowda. Hasłem ma być umilknięcie dzwonu

franciszkańskiego kościoła. Dopóki

dzwon nie zmilknie, sprzysiężeni nie ruszą się.

Wieczorem odbyła się narada w domu Krewe-Krewejty.

Biruty nie było.

Przed przyściem sprzysiężonych wyprawił ją Dowkont do księżnej Anny. Poszła z

kwiatami do niej, z uściskiem do Danuty. Dobrze po północy,
odprowadzona przez
Bolechowica i spotkanego kawalera de Vendendaelle, do domu
wróciła. W izbach już
było cicho, nie uprzątnięte tylko resztki biesiady mówiły o
pobycie gości
jakichś.

V.

W korytarzach księżnej.

Przyjaźń, zawarta pomiędzy kawalerem de Vendendaelle i don
Manuelem de Grinaldi
a Jaśkiem Bolechowicem, o ile pochlebiała młodzieńczemu
rycerzowi polskiemu, o
tyle tak mu dużo drogiego zabierała czasu, że, dni całe w ich
towarzystwie
przepędzając, zaledwie przypadkiem mógł się z Danutą gdzieś
spotkać i krótką
chwilę na serdecznej z nią spędzić rozmowie. Zauważył
jednak, że i te chwile
jakby kradzione przez niego były; że coraz trudniej mu
przychodziło z ukochaną
się spotkać dziewczyną; że ktoś mu zabierał umówione
oddawna godziny, że czasami
przebiegała przez korytarze, nie za-

trzymując się wcale, choć widzieć go musiała, nie widzieć nie
mogła, a umykała
szybko, jakby strach jakiś biegł za nią, i już nie pojawiała na
ich korytarzach

zamkowych, a służba przychodziła i wszystkie gasiła światła. Do babinca, zostającego pod nadzorem ochmistrzyni, »panią matką« zwanej, wstęp młodzieńcom był wzbroniony. Na korytarzach potrzeba było czekać sposobności zobaczenia się z umiłowaną i w przelocie chwycić słówko cieplejsze lub uścisk gorętszy, ale zatrzymać się nie dała śpiesząc z jakimś rozkazem księżnej, lub poleceniem »pani matki«.

Bywały jednak godziny wyczekiwań daremnych. Przebiegały panny dworskie, krzyżowała się służba kondycyi niższej, ale Danuty nie było. Zapytywane o nią panny najczęściej odpowiadały Jaškowi, że nie wyszła jeszcze z izb księżnej.

Czekałby więc tego wyjścia i czekałby do dnia sądneho, aż tu Till wpadał, prawiąc mu o kawalerze de Vendendaelle i grandzie hiszpańskim, którzy z utęsknieniem w gościnnej izbie zamku już nań czekają. — Niech poczekają — odpowiedział Bolechowic.

A Till, jak rzep, przyczepi się do niego i spaceruje z nim razem.

Ni Tilla się pozbyć, ni Danuty się doczekać. Opuszczał więc, podrażniony, stanowisko swoje i szedł do przyjaciół i zasiadał wraz z nimi do gry w kości przy nieodstępny puharze wina.

Bywało jednak, że ani Till się nie pojawiał, ani szmer żaden w pustym nie odezwał się korytarzu, a cisza taka była, iż słyszał bicie serca własnego, które

mu pierś rozsadzało: wtedy przekraczał zakaz przechodzenia
przez próg babińca,
wzburzony podchodził do drzwi

szczelnie zamkniętych i pukaniem znak dawał o sobie. Jeżeli
w babińcu
ochmistrzyni była, to z okrutnym odpędzała go wrzaskiem i
nieraz kubel wody na
głowę wylała; jeżeli zaś szczęśliwy wypadek zrządził, że
sroga przestrzegawczyni
cnoty dziewiczej gdziebądź wyszła, a same tylko panny
zostały ze smutniejącą
coraz więcej Danutą, to ona, poznawszy niecierpliwe pukanie
Jaśkowe, nie bacząc
już na nic, przez próg przeskakiwała i nie wiedziała, zali ją
Jaśko chwycił, czy
sama w ramiona jego wpadała.
Cóż z tego? ani rozmawiać długo, ani całować długo nie
można było, a wždy na
jedno i na drugie potrzeba dość czasu. Danuta pierzchała, jak
mgła, zdmuchnięta
przez wiatr; drżąca z rąk mu się wrywała, bo sroga
ochmistrzyni lada chwila
pojawić się mogła, a wzbroniono już jej było wychodzić,
chyba za wyraźnem
pozwoleniem księżnej. Lecz pozwolenia tego nie było, a
księżnej prosić nie
śmiała.

— Skąd ta niewola? — zapytał raz Jaśko.

— Bo ja wiem — odpowiedziała Danuta, łązy tłumiąc.

— Księżna tak dobra, mówiłaś zawsze, Danuto!

— Coś się zmieniło, Jaśku! coś się zmieniło!
— Od kiedy?
— Od chwili, gdyśmy jej o swoim miłowaniu powiedzieli.
— Przecz tak? przecz tak?
— Bo ja wiem, przecz tak? — powtarzała, ocierając łzy już płynące. — Dawniej
uśmiechała się do mnie i rada była słuchać mnie śpiewającej;
ale od tego
wieczora, gdyśmy się do nóg jej pokłonili, jakiś smutek na
twarzy jej osiadł,
milczenie zamknęło usta. Ni razu nie

zapytała o ciebie, ni o tem, co o jutrze myślimy i kiedy ty
mnie weźmiesz, jak
swoją. Ja, nie pytana, mówić nie śmiem, a ona nie pyta. Może,
może to mi się
wydaje, Jaśku! ale jak tylko próg jej przestąpię, zmienia się jej
twarz zaraz,
jakby przesuwiał się przez nią obłok biały. Dziwny obłok!...
jakiegoś smutku,
niepokoju, bojaźni; możnaby rzec, że ją coś dręczy, łamie, poi
jakąś zgryzotą
utajoną. Pani mnie zawsze lubiła, może więc smutna dlatego,
że przyjdzie chwila,
i ja ją porzucę. Ale lęk?... trwoga?... Zaliby wątpienie miała o
mojem szczęściu
z tobą?
— A ty wątpisz, Danuto? — Jaśko spytał.
— Nie, o nie! — pochwyciła szybko. — Wždy żyję jeszcze!...
— To cóż do tego... jej rzucił Bolechowic. — Zali zna mnie?
zbój że jest ze

mnie, kat, czy przeniwierca? Niech się nie troska o szczęście
twoje, które jest
sprawą mojego sumienia i prawości rycerskiej; niech się nie
troska ta twoja pani
dobra, bo lepiej ci będzie w Polsce, ze mną, w domu
własnym, w kraju swobody,
niż tu umiłowaną być jej, niewolnicą. Nie!... nie!... tu inna
rzecz jest jakaś,
i ten smutek, i ta bojaźń, i... Mów, mów... co jeszcze?
— Zawszy przy rozczesywaniu jej gęstych warkoczy
uśmiechała się do mnie, poza
jej plecyma stojącej, uśmiechała się, w stalowe zwierciadło
patrzac, i jedno a
drugie słowo serdeczne rzuciła. Teraz milczy... a gdy jej oczy
z mojemu oczyma
się spotkają, zaraz zasłona rzęs opada i ten biały pojawia się
obłok. Odchodząc,
zawsze całowałam ją w rękę, a ona mnie w czoło całowała, i
dzisiaj na czole
czuję jej usta, ale zimne i drżące, a gdy do drzwi
przeprowadza mnie spojrzę-

niem długiem, to jakby mówiła: »Przebac, Danuto!« Bo ja
wiem, dlaczego mi myśli
takie do głowy przychodzą, ale to spojrzenia jej wina...
Dawniej tak nie
patrzyła...
Bolechowic czoło pocierał, naciskał skronie, jakby w mózgu
myśli się jakieś
rodziły groźne a niezrozumiałe jeszcze. Czuł, że Danuta
mówiła prawdę, jeno nie

rozumiał tej zmiany dziwnej, jaka zaszła w usposobieniu księżnej Anny.
Nie mogli mówić długo, bo Danuta, lada szmerem przelekniona, wnet umykała. A szmer przebiegał zawsze przez ciemne, ciche korytarze, ilekroć zatrzymał ją dłużej w uścisku swoim, ilekroć głośniejszem odezwał się słowem. Teraz już sam na one, tak mało dawniej go obchodzące szmery zważał. I to go gniewało, a te kradzione spotkania z dziewczką umiłowaną rozżarzały w nim serce, i tak już ognia pełne. Coś się stało, czego nie rozumiał, a wiedzieć chciał. Nie wolno już było Danucie wychodzić samej, a wieczorem, od księżnej wracając, na korytarzu się zatrzymywać. Ochmistrzyni, jak cień natrętny, pojawiała się zaraz i zagradała, niby niechcący, drogę śpieszącemu do Danuty Jaśkowi. Musiał używać całej siły woli, a mitygować się, by jejmość »pani matce« boków nie przetrącić. Razu pewnego Bolechowic zażądał posłuchania u księżnej. Gdy wszedł, choć był oczekiwany, nie mógł nie zauważyć dziwnego pomieszania Anny i tego obłoku, o którym mówiła mu Danuta. Przyjęła łaskawie, mówiła łaskawie i zgodziła się na wszystko, lecz unikała spojrzeń Jaśkowych, jakby strachem przejęta, by przez oczy w głąb duszy jej nie zajrzał.
— Pozwól, dostojna pani, choćby w umówionych

godzinach z dziewczką się moją widywać — prosił Jaśko.—
Dawniej zawszem-ci ją na
korytarzu przyłapywał, albo w ogrodach zamkowych, gdzie
panny dworu waszego na
przewietrzenie się szły. Asysta moja nie była źle widziana, bo
choć jurny człek
ze mnie, umiem panować nad namiętności żrebcem, dziewczki
nawet mojej nie tknę
przed czasem, aby w wieńcu a bieli dziewiczej przed Ołtarz
Pański szła. Dziś
jejmość ochmistrzyni panny wszystkie w zamknięciu trzyma, i
jeno patrzeć, jak na
zdrowiu szwankować zaczną, a na mnie ślepie wytrzeszcza
niby na wilka, do
białych skradającego się owieczek. Na Boga... wždy tylko
jedną owieczkę w stadku
waszej miłości upatrzyłem i to nie na pożarcie, jeno na
wspólny żywot
dośmiertny, co miłości waszej tajemnicą nie jest. Godzinami
całemi, zły, jako
pies, po pustych korytarzach chodzę; gdyby przyrodzenie
chwest mi dało, tobym go
rzetelnie po ziemi włóczył, taka mię sroga melancholia
rozpiera, aż ci tu Till
mnie ułapi, prawiąc o druhach czekających. I idę, z
umiłowaną się nie widząc; w
kości gram, a duszny niepokój winem zalewam. Zmieńcie to,
pani miłościwa, a nie
nastawajcie na żywot mój ciężki.
Brwi księżnej ściągnęły się gwałtownie, lekka bladość okryła
twarz.

— Ja... nastawam.., na żywot wasz?... a skąd wam to srogie
przypuszczenie do
głowy przyszło?

Nie wypłynęły te słowa z ust księżnej, lecz posypały się, jak
ziarna suche, ze
straków wyluszczone. Nie dziwo! wyrzuciły je wargi drżące, a
ścięte trwogą
jakaś.

— To jeno przez figurę tak mówię — podchwycił Jaśko —
wždy wiem, że wasza miłość
nie odmówiła nam błogosławieństwa swojego. Ale
niemożność widzę-

nia się z Danutą jest już na żywot mój zamachem srogim.
Księżna milczała chwilę.

— Nic nie mam przeciwko zamierzeniom waszym—
odpowiedziała, w ziemię patrząc —
prawego w was rycerza widzę... a sercem całym lgnę do
Danuty. Daj Boże wam
szczęście! Oby tylko losy przychylne wam były... bo one... nie
w moich rękach.

Coś podobnego już Jaśko był słyszał w ów wieczór pamiętny,
gdy wraz z Danutą
pochylili się do stóp Anny. I wtedy nic przeciwko ich
zamierzeniom nie miała,
oby tylko losy przychylne były.

Spojrzał na księżnę.

Pożegnała go powolnym ruchem głowy.

Wyszedł wzburzony.

Dnia tego nie widział Danuty.

Tak! zimny, niewidzialny los jakiś drogę mu zachodzi.

Gdy nad tem rozmyślał, czatując późnym wieczorem w mrocznych korytarzach zamku,
w ciemnej szyi niskich sklepień wionął płaszcz biały.
Był to Zygfryd.
Poznał go Jaśko, wiedział, czyje barki ten płaszcz okrywa.
Przyparł się do muru i śledził kroki Krzyżaka.
Komtur zatrzymał się... obejrzał... Na lewo, na prawo się poruszył. Wytężył
słuch, a snać nic podejrzanego nie widząc, uniósł obie dłonie w górę i zaklaskał.
Bolechowic drgnął.
Kłaśnięcie to dziwne było, a tak podobne do uderzeń dłoni księżnej Anny.
Zygfryd wszedł do komnaty małżonki Witowda.

W tej chwili z babińca Danuta wybiegła i skierowała się do pokoju księżnej.
Jaśko zaszedł jej drogę. Dokąd? — spytał.
— Słyszałam kłaśnięcie pani — wzywa mnie! — odpowiedziała Danuta.
Chciała biedz dalej, ale Bolechowic za obie ręce ją chwycił.
— Ni kroku! — zgrzytnął.
— Jaśku!...
— Nie pójdiesz tam!
— Pani woła.
— Kłamiesz!...
— Jaśku!...
— To w dłoń klasnął ten zbój krzyżacki...
Danuta zbladła.
— On? — szepnęła.

— Widziałem... słyszałem...
Danuta patrzyła w twarz Jaśka.
— Wždy prawdę mówię... Nastawił słuch, wyteżył wzrok, a
nic podejrzanego nie
widząc i nie słysząc, uderzył w dłoń i do pokoju wszedł
księżny... Dlaczego z
oczu twoich strach wyjrzał? — spytał po chwili.
— Deve devejtes!... — wypadło z ust Danuty.
— Co? co? co?
— Nieraz już oszukiwało mnie takie klaśnięcie.
— I co? — zacharczał Jaśko.
— Zawždy wtedy spotykała tego Krzyżaka.
— I... i...
— Nagabywał mnie, alem uciekała do pani.
— I pani nie wołała?
— Nie, a jam musiała przez te korytarze powracać,

Jaśko oddychał ciężko.
— Nie idź tam — wyszeptał. — Bo, jeśli pójdziesz,
wychodzącego tego zbója dźgnę
u samego progu izby książęcej, choćbym sam głową miał
nałożyć.
— Nie pójde, Jaśku, nie pójde!
— A teraz słuchaj, co ci powiem, jeno mi nie mów: nie!...
proszę cię, Danuto,
nie mów: nie!... Jutro, o samej północy, będę tutaj... Ty
wyjdź... i ze mną wraz
razem, w cichości... opuścimy ten dwór.
— Jaśku! — krzyknęła Danuta, na pierś jego padając.
— Nie? — spytał Bolechowic.
— To ty tak powiadasz, nie ja!

— Więc wyjdiesz?

— Wyjdę, z bijącym sercem wyjdę, juści, że i ze strachem
wyjdę, ale wyjdę Jaśku,
wyjdę!

Skrzypnęły drzwi pokoju księżnej.

Danuta umknęła.

Jaśko krokiem powolnym szedł na spotkanie Zygryda.

Spotkali się — minęli.

Zwyczajna rzecz była spotykać się im w tych korytarzach i w
milczeniu

przechodzić. Mijając się dziś jednak, ukosem spojrzeli na
siebie. Zdawało się,

że się dwie szable skrzyżowały i błysnęły... bez szczęku tylko.

Po chwili Bolechowic zawrócił i szedł krokiem obojętnym za
krokami komtura.

Wyszli razem.

Zygryd skierował się do Górnego Zamku, Jaśko na ulicę

Trocką do mieszkania

kawalera de Vendendaelle.

Szlachcic francuski mieszkał razem z grandem hiszpańskim i
kilkoma jeszcze

poszukiwaczami fortuny

w wojnie, w onym domu rycerskim, który tak niedawno
rozbrzmiewał gwarem uczt i

biesiad i minnesängerów pieśniami, teraz zaś w grobowem
pograżony był milczeniu.

Od doby bez mała opuściło ten dom rycerstwo zakonne. Pułki
cudzoziemskie wyszły

z grodu i miasta, a wyszły pośpiesznie, przynaglone rozkazem
Wielkiego Mistrza

Zakonu, Czolnera de Rotenstein. Najemne żołdactwo niechętnie opuszczało stolicę litewską, w której bezkarnie na rozmaite pozwalało sobie niegodziwości. Zakon, jako sojusznik Jagaiłowy, na jawne ekscesy pozwolić nie mógł, i srogi nawet rozkaz wydał, by mienie mieszkańców, jako też cześć niewieścia, w poszanowaniu były. Rozkaz przeczytano przed frontem wojsk i dla postrachu szubienicę na rynku miejskim postawiono. Subordynacja taka nie mogła się podobać hałastrze żołnierskiej, która, według prastarego zwyczaju, rzeź okrutną sprawiała w miastach zdobytych, a niewiasty gwałciła. Zakaz ten jednak był powierzchowny i tylko rzezi się tyczył, bo co do niewiast, to wolną zostawiono rękę, byleby głośnych napadów na domy nie było i wszetecznictwa jawnego. Chwycisz na ulicy o zmroku, gębę zatkasz i w krzaki nieopatrzna niewiastę zaciągniesz, a choćbyś ją tam, mocując się, i zadławił, na to palcem nawet nie kiwnie wielki marszałek Zakonu, subordynacyi i publicznej przyzwoitości strzegący. To też zaraz w dniach już pierwszych pobytu wojsk niemieckich dziwnymi szelesty odezwały się jary poblizkie i okrzewione gór stoki. Tu i tam zabrzmiał krzyk... stłumiony płacz... wciśnięty w głąb piersi, niewysłuchany jęk, wyśmiana skarga. Aby choćby w najdalszym zaułku miejskim zamajaczyła o zmroku jakaś.

postać niewieścia, wnet zadudnił za nią ciężki but
niemieckiego żołdaka,
przeraziło sapanie nozdrzy i głuchy charkot piersi. Nieraz
dwóch jednocześnie
chwyciło uciekającą, a nie mogąc do ładu dojść w
pierwszeństwie posiąścia
zdobyczy, za łby się brali i rznęli się uczciwie po pyskach.
Ta gorącość napastników była dla uciekającej zbawieniem.
Rzucała się w bok i
uchodziła im z przed oczu, choć najczęściej w ręce inne a
czyhające wpadała.
Ale niejedna uniknęła pogoni i z krzykiem rzuciła się w progi
pierwszego
lepszego domostwa, zatarasowując drzwi za sobą i wzywając
pomocy; nieraz
zbereźniki pognali za nią i szturm do zamkniętych wrót
przypuścili, ale wtedy
oszczepy litewskie załomotały po ich karkach, ze strychu
wrzątek na bezczelne
łby się wylewał, niejeden głaz ciężki, wściekłą ręką rzucony,
rozbijał czerep
ohydny. Szły wtedy skargi do wielkiego marszałka Zakonu, a
mniejsza, kto
wygrywał: zawsze dłoń niewidzialna podpaliła dom taki.
Pożary wybuchały co chwila to tu, to tam, że lęk samego
Jagałę ogarniał, by
miasto nie spłonęło. Wielki książę z perswazyą zwracał się do
wodzów zakonu;
przedstawiał krzywdy i żądał zadośćuczynienia. Wielki
marszałek ubolewał nad

nieszczęściem, ale winę przypisywał pogańskiej naturze nie
ochrzczonych jeszcze
Litwinów, nie Bogu ducha winnym »barankom« zakonu i...
żądał ukarania
pokrzywdzonych, nieraz z natarczywością taką, a groźbą, że
dla uniknięcia zemsty
silnych kunigas zadość czynił bezczelnym naleganiom sług
Maryi. Oprawcy łozami
obdarzali mieszkańców ograbio-

nego domu, a kunigas pocieszał pokrzywdzonych, szepcząc im
na ucho:

— Pacierpi dzisiaj, a na wiek nie zabudziesz ab hetom, kakaja
sałodka z Niemcami
družba jeść.

Dla uniknięcia spraw podobnych i następstw niemiłych
kunigas potworzył oddziały
straży ruchomej, która przebiegała przez ulice miasta i
pilnowała porządku.

Pożary się zmniejszyły, ale nic nie zapobiegło chwytaniu
niewiast przez zbirów

niemieckich i nocnym napadom na domy mieszczańskie.

Pół miasta się wyludniło i wyszło w lasy, szczególnie
niewiasty i dziewczęta,

nad którymi straż pilną trzymała młodzież, zbrojna w
oszczepy i topory. :

To też nie udawały się ponocne wyprawy żołdactwa w lasy
one: niejeden bryzg krwi

niemieckiego knechta zczerwienił szerokie liście paproci;

niejeden trup ze łbem

rozwalonym sianiał na przydrożu puszczy zapadłych, prawda, że
i niejedną
białogłową, odbiegłą na chwilę od gromady, znajdowano
sponiewieraną okrutnie i
uduszoną bezecnie. Trwała walka cicha, bezlitosna, zwierzęca,
okryta cieniem
lasów i puszczy milczeniem. Rachmistrze wojsk zakonnych nie
doliczali się
szeregowców, ubytek stawał się widoczny; zaniepokoiło to
wielkiego marszałka i
gniew w nim wzbudziło. W przystępie pijackiego szału chciał
groźną wyprawę w
lasy przedsięwziąć, na co już tylko czekało żołdactwo
rozzuchwalone, gdy list
wielkiego mistrza pomieszał szyki.
Zwinięto pułki i poprowadzono do ziem pruskich. Do czasu
pozostała tylko na
zamku załoga niewielka i nieco rycerstwa zagranicznego,
które z własnej
zaciągnęło się woli do szeregów wojsk krzyżackich, żądne

awantur i przygód, wolne od zobowiązań wszelakich, żyjąc
przemysłem własnym, na
które niechętnem trochę okiem zakon patrzył; ale spodobało
im się Wilno i życie
bez troski, a zresztą w zbyt długi pokój nie wierzyli, a kto wie,
z jakiej
strony wiatr powieje i jakiemu nowemu panu ofiarują usługi
swoje. Krom tych
wagabundów było kilku i prawdziwych rycerzy, synów rodów
zacnych, do których

należeli: don Manuel de Grinaldi i kawaler de Vendendaelle.
Ci nieradzi byli opuszczać stolicę Gedyminową, dopóki w niej
przebywał Jaśko
Bolechowic, rycerską przyjaźnią związany z nimi.
Idąc na wyprawę litewską, w pogańskie, więc barbarzyńskie
ziemie, spodziewali
się zetrzeć z ludem dzikim, krwiożerczym, bez czci i wiary,
jakim go zawsze
przed narodami zachodu przedstawiali Krzyżacy.
Ale nie tylko Litwa, lecz i Polska przedstawiała się w ich
wyobraźni, jako kraj
barbarzyński. Tymczasem zetknięcie się z Litwą i Polską,
reprezentowaną tu
wprawdzie przez Bolechowica tylko, zmieniło pogląd na te
dwa, oczernione przez
Krzyżaków narody. Szlachetni rycerze zakonu nie dostrzegli
znamion
barbarzyńskich w pogodnych, choć posepnych twarzach
Litwinów. Dostrzegli
wprawdzie nieufność i skrytość, długi namysł przy każdej
odpowiedzi, nieraz
milczenie uparte, lecz kłamstwo nie zbłądziło nigdy ust
Litwina, ni razu nie
wybiegło słowo, na wiatr rzucone. Bojaźliwe spojrzenie było
wynikiem niewoli
długoletniej; omijanie wyraźnej odpowiedzi obawą podejścia
ze strony
zapytującego. Otoczeni zewsząd podłością i zdradą, nie
wierzyli słowom mało im
znanych ludzi, choćby te słowa słowicze przybierały dźwięki.
Obojętność, spokój,
powaga i rezy-

gnacya były cechą Litwina. Nie wywnętrzy się przed tobą,
chłodem za uścisk
najcieplejszy odpłaci.
— »Całujesz, więc ugryźć zamierzasz« — zdawały się mówić
usta, ledwo
dostrzeżonym uśmiechem skrzywione.
I to cię odtrącało od niego.
Pracy potrzeba, by rozwiać nieufności chmury; czynów, nie
słów, by serce przed
tobą otworzył. Teraz bacz, byś zaufania jego nie zdradził,
jadem podstępu w
otworzoną pierś nie plunął. Zdobyłeś przyjaciela, który już
bez wahania się
żywot za ciebie swój da; zdobędziesz wroga, którego już
niczem nie przebłagasz.
Nie groź mu piekłem, utratą zbawienia: duszę czartu odda,
wyrzeknie się
królestwa niebieskiego, ale mścić się będzie za zawód
doznany, za to wejście
zdradzieckie do jego duszy zamkniętej.
Bolechowic znał Litwinów i dużo ciekawych szczegółów o
ich życiu, charakterze,
wierzeniach i przekonaniach opowiadał przyjaciołom swoim.
Było to odkrycie
nowego świata, odmiennego całkiem od tego, jaki ich fantazya
wytworzyła pod
wpływem opowiadań krzyżackich, lecz mającego posępne
piękno swoje, które nie
podobać się nie mogło szlachetnemu Karolowi de
Vendendaelle i wytwornemu don

Manuelowi de Grinaldi Szczególnie opowiadania Jaśka o
uroku i ciepłe serc
dziewic litewskich rozmarzały Francuza. Gdyby nie
wspomnienie słodkiej Elwiry,
drugi plaster na okoby swoje położył, miłość wieczystą
pięknej zaprzysięgając
Litwince.

Teraz poznał Litwę i Polskę, Towciginów i Bolechowiców, a
już z zapartym
oddechem słuchał opowiadań Jaśkowych o obłudzie rycerzy
Najświętszej Maryi

Panny, o ich chrześcijaństwie pogańskim, ziemiach, Polsce
ukradzionych,
kłamstwach, rozsiewanych naokół dla oszukania świata całego
i pozyskania jego
poparcia w wojnach nieprawych. Przez zawładnięcie Litwą ku
Polski zbliżali się
granicom; dwóch narodów dwie trumny wielkie w butnych
marzyły się głowach, a ich
zamiarom pomagał świat, oszukany pięknnością nazwy
»mnicha-rycerza«.

Grand hiszpański podczas słów Jaśka, prawdą tchnących,
pocierał palce o palce,
jakby brud jakiś otrząsał, kawaler de Vendendaelle pięścią w
stół trzasnął i
krzyknął krótko:
— Łajdaki!
Grand wzdrygnął się.
— Razi twoje ucho subtelne mój okrzyk żołnierski? — rzucił
Francuz.

— Nie, kawalerze, ja wzdrygnąłem się na wspomnienie stołu
»honorowego«, przy
którym miałem »dezhonor« zasiadać — grand odparł.

— Pfuj! pfuj! — zawołał kawaler de Vendendaelle, otrzepując
kurz ze swej szaty. —

A wiesz (zwrócił się do Hiszpana), za com dostąpił godności
zasiadania tego
stołu? Żem sześć smoków rozdarł w Jerozolimie, trzynaście
głów krokodylich
starłem w Nilu na miazgę i wstrząsnąłem piramidą Cheopsa,
plecyma oparłszy się o
nią.

— Tyś takich rzeczy dokonał?! — zawołał grand zdziwiony.

— Mniejsza o nie — odparł kawaler — alem za n i e na
krzyżackiego rycerza
pasowan był.

Hiszpan rozżuwał słowa kawalera, a Jaśko dziwił

się, że takie kłamstwa wierutne dawały przystęp do okrągłego
stołu Artura.

Nie na złe im wyszła przyjaźń z Bolechowicem; wyrzekli się
»współbraterstwa« z

Zakonem, o jedną plamę mniej miały ich dusze szlachetne.

W chwili, w której Jaśko opuszczał Danutę, o dniu
jutrzejszym marząc, siedzieli

we dwójkę w opuszczonym domu rycerskim, rozważając
słowa Jaśkowe i przypominając

wypadki różne, Zakonu się tyżące, które już w barwach
całkiem innych stawały

dzisiaj przed nimi. Nie ruszone kości leżały na stole, wino w
nie napoczętych

złociło się kielichach, mysz gryzła coś w kątku. Za lada
szmerem zwracali oczy
ku drzwiom, jakby czyjś oczekiwali przyjścia.
Dom był pusty, więc każdy szelest ze zdwojoną siłą po izbach
i korytarzach się
rozchodził. Odróżniali szybki krok Tilla, męski chód Jaśka,
ciężkie stąpanie
Zygryda; sam Hanke nieraz zachodził, by w grze szczęścia
spróbować, choć
niechętnie do gry z nim zasiadali, podejrzewając go o
malwersacje różne.
Przestronna, dwuokienna izba nie odznaczała się przepychem.
Jedyną jej ozdobą
był ryszunek rycerski, parę kobierców wschodnich i pyszna
skóra tygrysa, na
ziemię rzucona. Była ona pościelą i łóżem kawalera de
Vendendaelle, bo w mieście
całkiem nie znalazło się sprzętu takiego, na którym mogłyby
spocząć wygodnie
członki »Szarla«. Grand sypiał na łożu, Francuz na skórze.
Odarci z tynku ściany
zawieszane były mieczami i tarczami; na kłocach stały
pancerze, na kobylicach
osadzone siodła świeciły podejrzanej wartości klejnotami;
łosiowe rękawice
walały się po stołach i stołkach. Nad skórą Francuza wisiał
wizerunek Chrystusa
ukrzyżowa-

nego, nad łóżem Hiszpana czternastu patronów jego, różaniec
bukszpanowy i oko

Opatrzności. Miniaturowe to było wszystko (okrom różańca),
sztuką przedziwną,
misternymi zawiaskami połączone, składało się w jedną
podłużną tabliczkę.

Północ się zbliżała.

Kaganiec pełgał, i światło czerwone po izbie rozwodził, a gość
spodziewany nie
zjawiał się.

— Ni Tilla, ni Jaśka — Szarl mruknał.

— Coś ważnego przeszkodą musiało mu stanąć, bo
przyszedłby niezawodnie — odparł
don Manuel.

— Dziewka tylko zatrzymać go mogła, boć to jedyna rzecz,
przed którą się kruszą
oręże i paize.

— I dla której — grand dodał.

— Nawet praojciec Adam zawód swojemu Twórcy uczynił
przez pani Ewy spódnicę —
rzekł Francuz.

— Niemocnyś w Piśmie — grand odparł — w ony czas nawet
listka figowego Ewa nie
miała.

— Tem łacniej grzech można byłoby mu przebaczyć, nie
zaraz: »won z raj« —

Szarl na to.

— Tylko nie ten, że za drzewo się schował i winę na słabowitą
niewiastę zwał —

dodał Hiszpan.

— Żydowin, a w szkole nie wychowan rycerskiej — rzekł
Francuz.

— Innej nacyi był, innej!... bobym go prarodzicem swoim nie
nazwał — rzucił
grand hiszpański.

— A wiesz, żeś mądrze powiedział. Jabym także do powinowactwa z nim się nie przyznał. Jeno jak się to stało, że nacyom wszystkim z pnia jednego wywodzić się każą?

— Zaczna grusza parszywy czasem owoc urodzi... Pień nie winien, że spaskudniało potomstwo.

Uwaga ta przekonała kawalera.

Wtem zadudniły schody, i do izby wpadł Till.

— Sameś? — dwa głosy odezwały się jednocześnie.

— Bolechowica niema? — rzucił przybyły.

— Nie widział żeś się z nim? — spytali.

— Dyabli wiedzą, gdzie się zapodzia!

— Przecie miał przyjść.

— Ba, miał!... gdyby nie Elwira!

Kawaler się poruszył.

— Zali i on Elwirę ma swoją? — spytał.

— A wždy nie rzep nie jest z niego, by ucześcić się tak, bez myśli żadnej, dworu

księżnej Anny. Coprawda, zem i ja ci podobnie uczyniłem, jeno żadnym wyboru

po między podwikami nie zrobiłem, a ten tak na lep dziewczki

Wissebuta poszedł, że

gotów sobie kantarydę na sempiternie rozetrzeć, miłosną ofiarę z wygodnego

siedzenia czyniąc.

— Tem bliższy jest sercu mojemu — westchnął kawaler de Vendendaelle.

Till zaśpiewał:

O ty, miłości przedziwna,
Biorąca mężów w obroże:
Ten zamknął okno źrenicy,
A tamten siedzieć nie może.

I jakże cię nie opiewać,
O ty, miłości ognista!
Gdy walczą o cię rycerze,
A głupi pachol... korzysta!...

— No-no! — oburzył się kawaler de Vendendaelle.— Nie
baw się w dowcipy, grożące
ci uszu naderwaniem,

a zaraz po Bolechowica mi idź, z pod ziemi go wydobądź, bo
ckni się nam bez
niego, nie bez ciebie.

— Herr Jesu! co za impertynencya! ale i mnie się bez niego,
nie bez was ckni —

odpowiedział Till, na stołku siadając. — Dajcie-no wina, bo
się zmachałem

setnie, szukając tego kantarydziarza...

Sięgnął po dzban, ale kawaler dłonią dzban nakrył i rzekł:

— Bez Bolechowica ni my, ni ty napoju tego nie tkniemy.

— Patrzcie go! — Till mruknął.

— Jak rzekłem, tak będzie — rzucił Francuz.

— Nie wszystkie postanowienia bywają dobre — Till na to.

— Ale pal was lichu!

Pobiegnę raz jeszcze po tego przyjaciela.

— I bez niego nie wracaj!

Till był już za drzwiami.

W parę minut po zniknięciu sowizdrzała czyjeś przyśpieszone kroki słyszeć się dały.

— Może to Bolechowic — ozwał się don Manuel.

— Za szybki chód, nierówny i jakby gniewny — odparł kawaler de Vendendaelle.

Drzwi się otwarły, wszedł Jaśko.

— A, jesteś!...

— Pst, pst! druhowie moi, pst! — szepnął Bolechowic.

Drzwi przymknął i zbliżył się do przyjaciół.

Wzburzony był i poważniejszy, niż zwykle.

— Co ci?

— Niech otchnę.

Pierś pracowała silnie, nozdrza wachlowały, co

chwila ścigały się brwi. Wyciągnął dłoń po dzban i puhar wina tchem jednym wypił.

— Markociliśmy się bez ciebie — zaczął kawaler de Vendendaelle — i w posły

wyprawiliśmy Tilla. Musiałeś go spotkać.

— Spotkałem, ale on mnie nie widział. Ukryłem się w załomie muru. Zbyteczny byłby tu dzisiaj.

Usiadł na stołku, przysunął się z nim i pochylił się ku przyjaciołom.

— Masz coś do nas? — rzucił kawaler de Vendendaelle.

— Mam — odpowiedział krótko Bolechowic.

— Praw więc, wždy przyjaźń nasza — mur!

— Przyszedłem po nią...

— Bierz — odpowiedzieli obaj rycerze.
— Nie czas wam mówić o szczegółach — zaczął Jaśko — bo może Till nadejść, lubo kto drugi niepowołany. Z urywanych a krótkich więc słów moich wyrozumieście rzecz całą. Jest dziewczka, którą miłuję. Psu brat... ten, w płaszczu krzyżackim, ten... mnich, Zygfydem zwany, zęby na nią szczyrzy i, mimo inklinacyi mojej i zezwolenia księżnej, podłe jakieś intrygi snowa. Trudniej mi dziś jest z dziewczką się moją zobaczyć, niż żółwiowi ku górze się wzbić. A ten... zbój, rajfur, jak wilk na białą owieczkę, tak czyha na nią... Muszę ją porwać!
— Bravi! — zawołał kawaler de Vendendaelle.
— Twoja już jest — odpowiedział grand z powagą.
— Jutro o północy.
— Zawsze kochanki o północy się porywa.
— Samemu trudno to uczynić, bo może mieczów

potrzeba wydobyć będzie i straży zamkowej po łbie dać...
— Bez krwi rozlewu nie obchodzi się przy porywaniu kochanek — grand twierdził.
— Pomożecie?
Kawaler de Vendendaelle i don Manoel de Grinaldi mieczów dobyli.
— Amen! — rzekł Bolechowic.
W tym samym czasie, kiedy rycerskie miecze szczykały i »amen« Jaśkowe zabrzmiało, krokiem nierównym zbliżał się Zygfyd do izb Jagaiłowych. Wielki

książę oczekiwał zapowiedzianych odwiedzin, które
niemałego znaczenia być miały,
jak o tem komtur napomknął mu był.
Krzyżak szedł wolno i zatrzymywał się co chwila. Rad byłby
powrócić i zanurzyć
się w szarość korytarzy Dolnego Zamku i czekać na uchylenie
się drzwi, wyjście
Danuty, którą już teraz fortelem tylko mógł zwabić i choć
przez krótką chwilę
nasycić się jej wdziękami.
Danuta od dnia, w którym spostrzegła zaloty zakonnika
rycerza, obawiała się
spotkań tych mimowolnych, przybierających zrazu cechę
niezrozumianej przez
dziewczynę tkliwości nad ciężką dolą niewolnic, później
czułości braterskiej,
wreszcie palących słów rozmiłowanego kochanka, dalekiego
jednak od wszelkiej
myśli, obrażających jej skromność dziewiczą. Zauważyła
jednak w tych słowach
miodopłynnych trujący jad słodczy. Szeptał czule, a pochylał
się nad nią i
zarem oddychał; oczy krzyżaka nabierały wtedy blasku
fosforycznego, a dłoń
szukała jej palców w nikłych fałdach spódnicy, w których
chowała nagabywaną
rękę.

To przeraziło Danutę, później ostrzegawcze słowa Jaśka na
bacności jej mieć się
kazały.

Przebiegała więc korytarze szybko, gdy tylko posłyszała
znajome klaśnięcie dłoni
księżnej Anny, wpierv zawsze wzrok na wywiady posyłając.
Jeżeli Jaśko był,
prosiła, by czekał jej powrotu; jeżeli nie było go, przekradała
się, jak mysz,
cicho. Nieraz spostrzegła przyklepionego do muru komtura,
wtedy wołała jedną z
towarzystek swoich i razem z nią dobiegała do drzwi pokoju
księżnej Anny,
Powrotna droga mniej straszna była, bo krzątała się już służba,
gasząca kagańce
i rozlegał się głos ochmistrzyni, zwołujący do babinca
dziewczęta. Wtedy
natykała się na Jaśka lub Tilla, mieszkających w górnych
izbicach zamku; po
krzyżaku śladu nie było, chyba zrysowana podłoga ostrogą i
(jak się zdawało
Danucie) par jego piersi gorącej.
Zrozumiał ten manewr Zygfyrd, ten niebywały dawniej spacer
we dwójkę; a trudno
było zakonnikowi dwie naraz gładyszki zatrzymywać i
zwracać na siebie uwagę
dworu całego. Idącej samotnie nie spotykał już: albo Jaśko
nerwowym krokiem
przemierzał korytarze, albo którabadź z panien towarzyszyła
jej zawsze.
Zaprzestał tedy wycieczek, tłumiał gniew, czem silniej
rozżarzał ogień krwi w
żyłach, a pożądaniem myśl palił.
Z Danutą się już nie spotykał.
Na tajemniczych, wieczornych posiedzeniach u księżnej,
oczywiście, że jej nie

było, a pragnął ją widzieć, ślizgać się rozpalonemi oczyma po
złocie jej włosów,
po alabastrach ramion; chwytać falowanie śniegów jej piersi,
zmysły mącące, o
woni brzoskwiniowej; jej ruch bioder, które rozogniona
wyobraźnia ubierała w
kształty przedziwnej piękności i nadawała połysk marmuru,
przy

soczystej miękkości, barwie i ciepłe dojrzałego owocu.
Zdobył się na fortel, który choć w części pragnieniom jego
zadość czynił.
Potrzebując Danuty, księżna stawała w drzwiach swojej izby i
wzywała
charakterystycznym klaśnięciem w dłoń. Uderzenie było
miękkie a głośnie, szybkie
a wyraźne. Po kilku próbach Zygfryd posiadał sztukę tych
miękkich a głośnych
klaśnień. Nie mogąc już Danuty przydybać w samotności,
widział ją wbiegającą,
choć na krótko, do izby księżnej. Zanim omyłka się wydała,
on ogarniał jej
postać i zostawał pod urokiem czaru dziewiczego, olśniony i
żarem dyszący.
Danuta czuła jakby uderzenie piorunu, tyle siły, mocy, potęgi
było w tem
spojrzeniu krzyżaka; czuła w tej krótkiej chwili, że niewolnicą
jest jego,'
zdobyczą, własnością, którą w uścisku swym trzyma, rozbiera,
posiada i bezecnego

dokonywa gwałtu. Lica jej bledną, strach serce ogarnia,
przebiega dreszcz przez
czoło, w piersi zatrzymuje się dech. A pani zdziwionemi
oczyma patrzy na nią i
suchym głosem mówi:

— Nie wołałam!...

Danuta, pomieszana, drżąca, wychodzi z uczuciem jakiegoś
grzechu nie
popelnionego, potarana w białości swej dziewiczej, ze łkaniem
w piersi.

Z jakąż radością pochwyciła słowa Jaśka o ucieczce. Z jej
biednej głowy spadł

ciężar myśli obłądnych, brud jakiś osypał się z jej ciała
liliowego, jakaś

ciemność, odrywana kawałami, osuwała się z pod stóp jej
bosych. Jaśko

powiedział:

— Jutro... o północy.

— O serce, nie pęknij! o, nie zatrzymuj tak długo

tchu w mej piersi! — szeptała na słów tych wspomnienie.

Oczekiwała jutra tego, jak rolnik dżdżu w czas skwarny; tej
zbawczej północy,

gdy w ciemnych już korytarzach zamku posłyszysz ciche kroki
idącego po nią Jaśka.

Wyjdzie... wyjdzie tak cicho, że nie spłoszy snu towarzyszek
swoich, a gdy się

obudzą, to zasną zaraz, myśląc, że to odszedł sen ich
pierwszy, a oto drugi na

pierś się już układa i czarodziejskie nasuwa marzenia.

Cisza... Stłumiony szmer ucieczki... Tętent... Szczęk miecza...

Tak śnić będą, gdy ona, przytulona do piersi umiłowanej,
pogoni w świat, w
świat!...

Zygryd w kamiennyby się słup przemienił, gdyby wiedział o
tych snach Danuty, o
tych zamiarach Jaśka.

I bez tego zawróciłby do pustych korytarzy Dolnego Zamku,
gdyby był pewien, że
spotka Danutę, że oszuka i raz jeszcze misternem kłaśnięciem
w dłonie.

Lecz wąpił o tem.

Zapóžno już było...

O tej godzinie księżna Anna sług nie woła.

— Jak żak, się palę — szeptał, przestępując progi komnat
Jagaiłowych...

Cierpliwości!... Dziś tylko przetrzymać pożądań szał, a
nadejdzie czas ich
spełnienia.. w Krewie!...

Jagaił czekał komtura.

Kunigas po odejściu wojsk krzyżackich humoru i apetytu
nabrał; skrzepiła się
nawet załoga zamkowa, choć zostająca pod niemieckim
dowództwem Hankego.

Kilkudziesięciu znajdujących się w niej Niemców niezbyt się
czuli bezpieczni,
przy trzykroć większej sile Litwinów, tylko obecność
Zygryda dodawała im animu-

szu, buty i pewności niedawnych zwycięzców. Panoszyli się
tedy i nastawiali swym

litewskim kamratom, wszczynali bijatyki i burdy pod samemi
nieraz oknami
wielkoksiążęcego pałacu, aż podrażniony kunigas jednemu w
pysk dał, a drugiego w
łańcuchy kazał zakuć. Przysiedli, jak niebożęta, ale Hanke
komturowi się
pożalił, o wstawiennictwo go prosząc za tak srodze
pokrzywdzonymi »barankami«.

Snadź wstawiennictwo ono nie spodobało się kunigasowi, a
może w zbyt ostrej
formie wypowiedziane zostało, bo przy pierwszych już
słowach wchodzącego komtura
skoczył z ławy i krzyknął:
— Czy ty pan tutaj?

Krzyżak pochylił się, obie ręce na pierś położył rzekł:
— Ja sługa Boży, a wasz niewolnik, dopóki w szyku bojowym
nie stoję... i nie daj
Bóg, abyśmy się kiedybądź jako wrogowie spotkali. Wypadki
podobne, sądzę, do
minionej już dawno przeszłości należą, i wielki mistrz Zakonu
w piśmie
odrečním, do pana marszałka skreślonem, każe, przeze mnie,
miłości waszej
przypomnieć o przyrzeczonem zjeździe na Dubissie, odbyć się
mającym, gdzie
wieczyste utrwalenie naszego przymierza pismem i pieczęcią
wzmocnione na
pergaminie być ma.

— Ty do mnie z pergaminem, a ja do ciebie z dzidą () —
wrzasnął kunigas.

— W dziwnem podrażnieniu zastałem miłość waszą.

— Boś mi nadojadł psiem ujadaniem swoim. Krzywda!...
żem sprął knechta,

nastawiającego mi się, to zaraz krzywda i Dubissa wyłazi!

() Historyczny okrzyk Jagiełły.

— Zalim nie chrześcijanin, ażebyś bólu brata mojego do serca nie wziął? — rzekł komtur.

— Ty mi tak chrześcijaństwo obrzydzisz, mnichu niemiecki, że nie cztery, ale czterdzieści cztery lata poczekasz, nim się ochrzczę... Ból!... prask w pysk jeden raz, i ból!...

— A więzy drugiego?

— Nałożono na twarde, niemiecką skórę, nie przetrze się! — odpowiedział Jagaił.

— Dwadzieścia cztery godziny w kunie posiedzi i krzepszy będzie!...

— Nie chodzi mi już, miłościwy panie, o pokrzywdzenie, a choćby i słuszne ukaranie — (podchwycił szybko komtur, widząc, że kunigas się zmarszczył) — dwóch braci moich, tylko gromada ich towarzyszy litewskich, widząc miłość waszą, przeciw Niemcom stojącą, coraz częściej niesnaski wszczynać pocznie i jątrzyć ich zachowaniem się swoim. »Nas boli krzywda każda«, powiem słowami naszego wielkiego Marszałka.

— A dlaczego ten wasz Marszałek Wielki nie stanął po stronie pokrzywdzonych

moich ludzi, którym i domy spalono, i pogwałcono niewiasty,
jeno naciskał mnie,
bym za rozbicie łba napastującego żołdaka obrońców swojego
dobra łozami karał?

— Zali nie zrozumieliście delikatności marszałka,
zostawiającego wam, panie,
wymiar sprawiedliwości?

— Nad kim? — wzburzył się Jagaił.

— Nad winowajcą.

— Jakim?

— Któregoście ukarali.

— Nie widziałem w nim winy.

— To naco żeście postąpili wbrew prawom Bożym i ukarali
niewinnych?! — zawołał
komtur.

Kunigas zatrzęsł się.

— Niby ty nie wiesz, baranku! ty nigdy o niczem nie wiesz!...

Pod przemocą

uczynić tak musiałem, bo Wilno zalewały pułki wasze!

— Pułki mogą powrócić — rzekł niewinnie krzyżak.

Kunigas zawołał:

— To właśnie, to, co mnie niewolnikiem waszym czyni.

— Sprzymierzeńcem, dostojny panie, sprzymierzeńcem! —
pochylając głowę, poprawił

Zygfyrd — i zda się, że nie możecie na sojusznika narzekać.

Komuż, jeżeli nie

nam, zawdzięczacie tron wielkoksiążęcy? Trok zdobycie?

usunięcie Kiejstuta?

Witowda uwięzienie?... Cóżeśmy za to wszystko zyskali?...

wyrzeczenie się

Żmujdzi, tak potrzebnej dla zaokrąglenia ziem naszych i
dożywotnie
zwierzchnictwo nad resztą pozostałej nam Litwy.
Kunigas zgrzytnął.
— Zwierzchnictwo!...
— Dożywotnie — dodał słodko komtur.
— Wybyście chcieli i po śmierci jeszcze za łeb mnie dzierżyć.
Nie znasz-że grozy
tego wyrazu: »do końca życia?!«...
— Życie tak krótkie — rzucił pocieszająco komtur.
— Macie wy różne sposoby, by nie było zbyt długie!...
— Rozdrażnia się wasza wysokość, a jam chciał przyjściem
swojem przymierze
wzmocnić i bezpieczeństwo pozostającym tu jeszcze
żołnierzom niemieckim
zapewnić. Czyż już tak mocno siedzicie na stołku
wielkksiążęcym, że wam i
Moskwa nie straszna, i bez obawy sąsiednią Polskę łupić
możecie, i mieć spokój,
choćby

ze strony, dziś uwięzionego, Witowda? Ale źle zrozumiane
zostały słowa moje, i
to może wielkiego Mistrza obrazić.
Kunigas z pode łba spojrział w twarz komtura.
— Czego ty chcesz? — spytał.
— Nic, nic... dostojny panie!
Jagaił chmurnie patrzył na zimnego, jak głaz, krzyżaka.
Po chwili rzekł przyciszonym głosem:
— Policzka, danego knechtowi, nie cofnąć: pięć palców,
wymalowanych mu na pysku,

do czasu pozostać musi, a... denara mogę mu w zęby wcisnąć.

Łańcuszki zaś

tamtemu zdjąć każę.

— Wspaniałomyślność wasza mile będzie przez wielkiego

Mistrza Czolnera de

Rotenstein widziana, który w oznaczonym dniu sierpnia na

rzece Dubissie czekać

was będzie.

Wielki ksiązę nerwowo potarł ręce.

Spojrzał na Zygfyda, który w lekko pochylonym ukłonie stał

przed nim, z oczyma

opuszczonemi ku ziemi.

Była długa chwila milczenia.

Palce Jagaiły zagrały nerwowo po stole pobudkę jakąś.

Komtur się nie ruszył.

— Piej jeszcze, piej! — rzucił kunigas.

— Ja czekam na pozwolenie wyjścia — rzekł pokornie

krzyżak.

Jagaił skinął głową.

Komtur pochylił się i cofając się ku drzwiom plecyma, za próg

wyszedł.

— Pęta!... pęta!... — zawołał kunigas, targając rękawy

kożucha.

Sojna wyc zaczęła.

Minęła noc.

Zaledwie słońce ze mgły się otrząsało, a już Jaśko na Danutę

czatował. Musiał

upewnić ją o dokonaniu dziś zamiarów swoich; wskazać

miejsce, gdzie się z

towarzyszami zatrzyma i jakim szeptem na jego szept ma
odpowiedzieć, boć
pogaszone już światła wszystkie będą, a w korytarzach noc
szczera zapanuje. Kto
wie, może kłaśnięcie jakie posłyszysz... Niech pamięta, czyje
być może, bo zdrada
nie śpi, bo przewrotny gad czuwa. Po drugim zawołaniu
koguta, który północ
wypieje, niech w kożuszku swoim wybiegnie z zawinięciem
malutkiem rzeczy
niezbędnych, bosa, mimo to na palcach stąpająca. Posłyszysz
szelest i skrobanie w
mur ścienny, niby gryzienie myszy, to będzie on!... Wtedy
cichem a długim
psyknięciem znak mu da i, gdy odpowiedź posłyszysz, podobną
do szumu wiatru, niech
idzie cicho a śmiało, to będzie on! Opisał jej szczegółowo
postać
Vendendaelle'a, by nie przelękła się, widząc go,
wynurzającego się z ciemności
nocnych. W umówionym domu jednego z dobrze znanych
mieszkańców Wilna poczekają
do świtu, dopóki nie otworzą bram miejskich. Później na koń,
i w lasy.
Towarzyszyć im będą szlachetni rycerzedruhowie do granic
Polski, a może i poza
jej granice.
— Przygotuj się, Danuto, a nie zdradź się niepokojem,
gorączką oczekiwania —
szeptał Jaśko. — Wszystko jest przygotowane, obmyślane, że
jeno nocy czekać i
drugiego kura zapiania. Nie zobaczymy się już z sobą do tej
upragnionej

wyzwolenia godziny. Spokojnie tylko, Danuto, spokojnie, by
żadne podejrzenie nie
zrodziło się w duszach mieszkańców tego zamku, że coś
niezwykłego stać się ma...
Teraz pocałuj!... o, tak! tak!... Jak

ty drżysz, Danuto!... jak się trzepoce serce w twojej piersi, niby
dzwonek
rozbity. Spokojnie, dziecko, spokojnie! Pamiętaj, że
wydzieram cię z rąk
wielkiego nieszczęścia.
Pożegnali się krótko, choć długo żegnać się chcieli. Ale Jaśko
śpieszył, bo
czekali nań towarzysze wyprawy ponocnej, mający niemało
spraw jeszcze do
załatwienia.
Słońce żółtym krokiem przez jasne przepływało błękity.
Nigdy tak nie marudziło,
tak leniwie nie posuwało się, jak dzisiaj. Jaśkowi się wydało,
że coś popsuło
się w maszyneryi niebieskiej, i to słońce stać będzie czas
długi, dopóki Pan
Jezus, zajęty sprawami nie ziemskimi, onego popsucia się nie
zauważy i nie każe
zreparować tego zegara świata. Ale słońce przewaliło się na
drugą półkulę nieba,
stało nad lasami, zaszło za lasy, błysnęło złotem, purpurą,
zanurzyło się w
mrok, cień i zaszło.
Zapadła noc...
Trzy postaci podsunęły się pod mury Dolnego Zamku.

Stojący na straży obrosły drab jakiś obejrzał się, łeb turzy
przechylił i
krokiem powolnym odszedł od wrót, których boczna Jurta
otworzyła się cicho pod
naciskiem rąk Bolechowica.
To odejście strażnika i otwarcie się furty było dziełem
kawalera de
Vendendaelle.
Szyldwach miał pełną kieszeń.
Obawiając się jednak podejścia, tuż zaraz za furką stanął
kochanek Elwiry i
koniec miecza w niedomkniętą szparę włożył, coby
przeszkodziło gwałtownemu
zatrzaśnięciu wycieczki w razie zdrady domniemanej.
Ostrożność była konieczna,
choć zbyteczna w wypadku danym. Brodaty Litwin nie myślał
o zdradzie. Pieniądze

dali, więc wziął; kazali oczy przymknąć, oślepl natychmiast.
A co mu do tego, co
zamierzają tam czynić znani mu dobrze bywalce na księżnej
Anny pokojach. Nie był
to zresztą szczery Litwin, lecz syn Rusi Białej, bo, macając się
po kieszeni,
szeptał:
— Dziengi!... zausze czeławiek zarabotał za trud!...
Kawaler de Vendendaelle u furty czekał, don Manoel de
Grinaldi u wylotu
mrocznego korytarza, do którego prowadzące drzwi Jaśko
dość cicho wyważył i

zanurzył się w szarość sklepień.

Kur zapiał.

Czas, czas na znajomy kurytarz się posunąć, który przebiegać
już musi bosa stopa

Danuty.

Zatrzymał się...

Cisza!

Dało się słyszeć mysie skrobanie.

To Bolechowica znak, a teraz odzew Danuty.

Cisza...

Jaśko posunął się o krok naprzód i znów o mur skrobnał
końcem pałasza.

Oczekiwanego psyknięcia nie było.

Przez korytarze powiał jakiś dech pustki.

Jaśko podbiegł do drzwi babińca. Pochylił się, ucho

przyłożył... a serce mu

biło, jak młot.

Żadnego szelestu, żadnego znaku życia, a przecie tam młode

śpią piersi, a jedna

z nich snu nie zna.

Zniecierpliwiony zapukał.

Cisza!

Gniew go porwał. Ramieniem podważył drzwi, które pękły z
trzaskiem głuchym.

Nikt się nie zerwał, nie krzyknął, choć echo trzaskających

zawias daleko poszło,

daleko...

Jaśko dobył krzesiwa.

Błysk!... ogień!...

W ognia tego błyskawicy zobaczył mieszkanie puste i nieład,
jaki zwykle bywa,
gdy gospodarze opuszczają dom pośpiesznie.
Jaśka ogarnął szal...
O trzy skoki jelenie było do komnat księżnej.
Zażegł kaganek i pognął do pokojów Anny.
Zali i tu drzwi ma wyważyć?
Zbrakło mu odwagi.
Zakołatał...
Grzmot rozległ się po korytarzach, lecz odpowiedzi nikt nie
dał.
Nie było i Anny.
Jaśko wypadł przed dwór, a był tak blady, że obaj na straży
postawieni rycerze
rzucili się ku niemu.
— Co tam, co?...
Niezrozumiany bełkot wybiegł z ust Bolechowica.
— Do stu piorunów, mów! — zawołali druhowie, przerażeni
dreszczem Jaśka.
— Niema jej, niema, niema! W izbach, komnatach wszystkich
pustka! — odpowiedział
nieprzytomny Bolechowic.
Zwrócono się do strażnika.
— Pani pocichońku ujechała ze dworem całym. Dokąd?
Powiedzieć nie umiał.

VI.

Maładuju żonku mieu i dietko czećwiero!

Do ostatniej chwili nikt, oprócz wtajemniczonych w księżnej
Anny zamiary, nie

wiedział o jej wyjeździe z Zamku. Gdyby nie Bolechowic, nie jego miłość do Danuty, nie ich pokłonienie się do nóg Anny, nie robionoby żadnej tajemnicy z tak codziennego wypadku, jak przeniesienie się dworu księżnej z jednej do drugiej miejscowości. Z tym dworem musiały i Bolechowic wyruszyć, jako ulubiony rycerz małżonki Witowda, który jej swoje służby polecił i niczem nie sprzeniewierzył się dobrowolnie przyjętym na siebie zobowiązaniom. Usunąć go nie było powodu, a tymczasem wypadki tak się splątały, że usunięcie to, w chwili danej, nie oparte na niczem, krom urazy, wzbudziłoby podejrzenie w sercu rycerza polskiego i kto wie, czyby w przeprowadzeniu zamysłów księżnej nieprzewidzianą nie stanęło zaporą. Bolechowic występował w tej chwili, jako narzeczony Danuty, której ręki nie odmówiła mu księżna pani; miał pewne już prawa, o które nie trudno było mu się upomnieć, a wolnej Polski był to syn, nie niewolniczej ziemi litewskiej. Rozumiała to dobrze księżna Anna i dlatego w tajemnicy takiej postanowiła gród wileński opuścić. Na to postanowienie i Zygfryd się zgodził, nawet silnie obstawał przy tem. Księżna wypowiedała się przed nim z udreki duszy swojej i z onego pokłonienia się do jej kolan Jaśka i Danuty. Od tej chwili nie miała nocy spokojnej, coś

gnębiło ją, jakby wyrzut sumienia, jakby grzech ciężki.
Słyszając zeznania te,
Zygfyrd nie chciał jej tłómaczyć, że ze zbytnią drażliwością
odnosiła się do

niewolnicy swojej; jemu, jako rycerzowi chrześcijańskiemu,
nie wolno było
zapatrywać się ze stanowiska zwyczajów pogańskich, czemby
zresztą nie uspokoił
sumienia księżnej, szukającej w nim właśnie, mnichu-rycerzu,
pocieszenia i jakby
rozgrzeszenia z czynu, który ją niepokojem napawał.
— Wasza miłość zanadto to wszystko do serca bierzesz —
szeptał powiernik
krzyżacki. — Pomijając, że wyboru być nie może pomiędzy
krwią Olgierdową a
Wissebuta, jako z natury rzeczy podlejsza jest, pomiędzy
małżonkiem waszym, na
którego świat patrzy, a dziewczką, jednego tylko Bolechowica
obchodzącą, pomijając
to wszystko, niegodnie byłoby z mej strony, jako słudze
Najświętszej Maryi
Panny, na jakikolwiekby szwank niewinne stworzenie Boże
narazić, jakim jest
Danuta, no i tego rycerza zacnego, który czystą miłością do
dziewczęcia
zapłonał, rzucać w odmęt boleści i rozpaczy.
Księżna szepnęła:
— Obawiam się gniewu wielkiego księcia i jego zemsty, jeżeli
już nie nad
dziewczyną bezbroną, to nad jej rodzicielem.

— Rozwazałem i to, miłościwa pani — odparł Zygfyrd — ale baszta Kiejstuta za straszną mi się wydała, ażebym się choć na chwilę mógł zawahać w wyborze... dwóch śmierci.

— Jezu! — zatchnęła się Anna.

— Po blizkiem jednak rozpatrzeniu się — ciągnął Zygfyrd — nie przeczę, że w zbyt ryzykownem przedsięwzięciu naszym (lecz innego sposobu dla uratowania małżonka waszego nie widzę), zauważyłem, że Opatrzność w mądrości swojej usuwa przed nami wszystko to, coby

drażliwe dusze nasze do wahania się zmuszało. Dozorca więzienia jest Wissebut, człek bez skazy, na którym plamy żadnej niemasz. To mówię ja, pani! który mógłbym mieć zwyczajną, ludzką urazę do niego.

— Szlachetni jesteście — przerwała Anna.

— Nie, nie, miłościwa księżno — bronił się Zygfyrd — to Wissebuta szlachetność świadectwo prawdzie dać mi nakazuje. Otóż Opatrzność zrządziła, że dozorcą więzienia jest on właśnie, a miejsce małżonka waszego zajmie ukochane, a jedyne Wissebuta dziecię. przekupstwie więc mowy nie będzie, boć potwornościąby było poświęcać dziecię własne dla grosza marnego, i to kto? Wissebut!... Oszuka go

postać przebranego w szaty Danuty księżęcia, oswajanie się z
odwiedziniami
waszemi. Będzie to grzech jego oczu starych, nie nieprawości.
Takie grzechy
przebaczają się, a zresztą przy wielkim księciu ja będę i nie
dopuszczę do
krzywdy żadnej. Co się zaś tej dziewczyny tyczy, to była ślepą
wykonawczynią
woli waszej. Człek bez sumienia mógłby się tylko mścić na
niej! nią obawy
żadnej nie miejcie, księżno! Zostanie przy szlachetnym ojcu
swoim, i Bolechowic
jej nie straci. A dobrzeście obmyślili, miłościwa pani, by
godzinę waszego
wyjazdu w tajemnicy zatrzymać, bo, choćbyście nie chcieli,
pobiegłby waszymi
śladami młodzian rozmiłowany; przy każdym wyjściu waszem
ze złowrogiej baszty
Kiejstutowej czekałby na was i na nią i pierwszyby w gwałt
uderzył, wychodzącej
Danuty nie spostrzegłszy. Naraziłby i was, i nas, boć konie
krzyżackie uniosą
małżonka waszego, a Zakon przecie w sojuszu jest z wielkim
księciem!
Dziwna ty jesteś, duszo ludzka! Wiesz, że grzeszysz, i
sofizmatów tysiącem
oszukać chcesz siebie. Nie udaje

się to tobie, własne cię sumienie oskarża i dręczy i męczy i
łamie. Szukasz więc

pocieszenia w kłamstwie innych i wiesz, że kłamią dla
mizernego uspokojenia
twojego, i tak, oszukując się dobrowolnie, rozgrzeszasz siebie
z przewiny,
kłamstwem nowem. A jednak, niby ci lżej jest, jakbyś część
ciężaru na barki inne
rzuciła. Dziwna ty jesteś, o duszo ludzka!
Uspokoilo się niby drażliwe sumienie księżnej, choć przy
każdym spotkaniu się z
Jaśkiem, przy każdym widzeniu się z Danutą biały obłok
strachu twarz jej
ocieniał, a oczy szukały innego przedmiotu, na którym
oprzećby się mogły.
Wybierano się w tajemnicy. Do ostatniej chwili nie
spakowano rzeczy nawet.
Dopiero, gdy wozy zajechały do wewnętrznych dziedzińców,
a bramy wszystkie
zamknięto, padł rozkaz pośpiesznego wyjazdu. Było to
zmroku, na godzin parę
przed wyprawą Bolechowica po Danutę. Skorzystano z
nieobecności Jaśka i Tilla i
wzięto się do ładowania wozów.
Popłoch ogarnął panny dworskie, ale rozkaz był wyraźny i bez
zadawanych pytań
spełniony być musiał. Zawiazywano tobołki, pakowano
skrzynie w milczeniu, a z
pośpiechem, jakby nad głową paliły się dachy zamku. Panny
biegały, ochmistrzynie
naganiała, a księżna, gotowa do podróży, schodziła po
schodach kamiennych zimna,
surowa, niedostępna.
Niemasz słów do wypowiedzenia, co się działo w
nieszczęśliwej duszy Danuty.

Ogarnięta popłochem, jak inne, gromem w serce rażona
krótkim rozkazem księżnej,
rzuciła się do tobołków swoich, bezwiednie zupełnie robiąc to,
co inne robiły, z
pośpiechem, równym towarzyszkom swoim, z prze-

rażeniem tylko, jakiego tamte nie znały. Poczwała jeno ból
silny, nagły w głowie
i piersi, jakby od uderzenia maczugi; na chwilę zatrzymało się
serce, twarz
osypał biały pył strachu.
— A Jaśko? — zabrzmiało w jej duszy.
I coś osunęło się przed nią, z szumem wichrów, czy gruzów
szelestem w głąb
zapadło. Myśl przestała pracować, serce uderzać, usta szeptać,
łzy nawet nie
zjawiły się w zbiegających oczach niewolnicy, pracowały tylko
ręce bezwiednie,
palce chwyciły suknie, wstęgi, chusty, wiązały to wszystko
pod grozą jakiegoś
nakazu niezrozumiałego. Rzekłbyś, że zaraza pośpiechu
ogarnęła wszystkich, jakiś
wyścig szalony, bezmyślny, bezrozumny. Nad uczuciami
wszystkimi zapanował
rozkaz księżnej. Ale gdy inne dwórki, oprzytomniawszy
szybko z chwilowego
przestrachu, a nie widząc łuny pożaru, nie słysząc nad sobą
trzasku
przypalających się belek, już ze zrozumieniem rzeczy
zabierały się do podróży,

Danuta drżała, jak liść osiny, co chwila palce jej od wiązanych odrywały się tobołków i za skronie chwyciły, za pierś, za czoło, jakby się chciały upewnić:
jest-li jeszcze myśl w głowie, serce w piersi? Ni myśli, ni serca nie czuła
Danuta; nie miała nawet poczucia istności własnej. Było z niej »nic« jakieś okropne, jakiś ból jeden bez możliwości skargi, płaczu i jęku. Jeżeli widziały co przed sobą źrenice jej pobladłe, to tylko kamienny słup postaci księżnej, na stopniach schodów stojącej, niby uosobienie wyroku, który jej zabrał wszystko:
myśl, czucie, wolę. Wybiegały panny jedna za drugą z tobołkami na plecach i z pośpiechem ładowały się na wozy; chwyciła i Danuta zawinięcie swoje i pośpieszyła za nimi. Prze-

biegły wszystkie obok stojącej księżnej, której twarz zbladła więcej, gdy wzrok jej na twarzy Danuty spoczął.
— Jaka ona blada - szepnęły usta księżnej. — Jest li to ból za straconym chwilowo kochankiem, czy... jakiegoś wielkiego nieszczęścia przeczucie?
To drugie chyba być mogło, boć przecie rozstania się chwila, lubo nagła, niespodziewana, z przedmiotem umiłowanym, nie mówiłaby nic jeszcze o pozbyciu

się nadziei. Zwyczajny, choć tak pośpieszny wyjazd nie mógł
przerazić Danuty,
tak czoła jej pobielic, zgasić korali ust, zaprzeć tchu w piersi.
Wždy nieraz
bywało, że zachodziły wozy, i wtedy pannom wydawano
rozkazy do drogi. Nikt o nic
nie pytał, bo pytać nie śmiał. Spełniano rozkaz, który
kłopotliwym mógł być;
lecz bladym strachem na niczyjej twarzy nie siadał.
Odjeżdża... bez pożegnania
się z Jaśkiem?... toć przecie nie śmierć! Mogą być łyzy, tu łyż
niema; może być
smutek, tu smutku niema, tylko...
Anna nie znalazła słów na określenie stanu duszy Danuty,
było tylko jedno:
przeczcucie nieszczęścia.
Głaz ciężki padł na piersi małżonki Witowda.
Dziewki już były na wozach. Przed stopnie kamienne
zatoczyła się kolasa
księżnej.
Był to wóz drabiniasty, budową swoją do innych wozów
podobny, jeno wysłany
kobiercami drogimi, z altembasowym baldachimem na
drażkach złożonych, chroniącym
od deszczu i skwaru słonecznego, odróżniający się tylko kół,
drabin i dyszla
malowaniem, które to części wehikułu lśniącą, czerwoną farbą
pomalowane były, z
zielonymi i żółtymi floresami, przedstawiającymi sploty liści i
kwiaty cudaczne.
Straż zbrojna otaczała kolasę, jeden z pachółków w kabłąk się
zgiął i grzbiet
swoją poddał, służący jako stopień do wsiadania.

Lecz księżna nie kwapiła się. Pochmurnem okiem wodziła naokół, szukała kogoś.

Mrok już był rzetelny, a pochodni nie kazano zapalać.

Za stojącą dały się słyszeć kroki.

Był to Zygfryd.

— Czekałam na was — szepnęła księżna.

— Sługa waszej miłości!

— Dajcie mi słowo, słowo uczciwe, że nic złego jej się nie stanie.

— Przysięgnę — odpowiedział komtur — gdyby nie było grzechem przysięgać zakonnikowi.

— Mam jedną myśl — szepnęła Anna.

— Wyjawcie się śludze waszemu.

— Chcę parę wyrazów nakreślić do Wielkiego księcia z pokorną prośbą, by wam porучzył zaopiekowanie się uwięzioną.

Młotem uderzyło serce w piersi Krzyżaka.

— Mnie? zakonnikowi? — szepnął.

— Oddacie to pismo moje Wielkiemu księciu, gdy rzecz cała wyjdzie na jaw.

— Ja?... mnich?

— O zawartości pisma mojego nie wam wiedzieć... Woskowa pieczęć zasłoni treść jego przed wami. Wasza rzecz w stosownej chwili oddać je panu.

— Waham się — szepnął Zygfryd.

— Proszę was o to. Spokojniejsze mieć będę sumienie.

— To jedno tylko mnie zmusza do uległości woli waszej — odpowiedział mnich

krzyżacki, kornie głowę schylając.

— Gdyby Wielki książę nie chciał od kaźni jej zwolnić —
ciągnęła Anna — uproście
go, by na pokutę

do jakiego klasztoru niemieckiego oddał. Macie siostrzyce,
które zajmą się nią i
może chrześcijańskiemu Bogu zjedną.

— Myśl zacna zrodziła się w duszy waszej — odpowiedział
Zygfryd — choć mam
nadzieję, że nie spełnią się złe przeczucia. Ale uprzedzać
wypadki mądrością
jest.

To mówiąc, wyjął kartelusze z zanadrza.

— Napiszcie, księżno!

— Nie jestem piśmienna — odpowiedziała-jeno podpis
imienia swojego położyć
umiem. Zna go kunigas.

— Sekretarza nie macie?

— Lękam się rzecz taką mu powierzać. Zdradzić może.

— Uwaga słuszna... Zatem ja go zastąpię. A i tak kunigasowi
pismo ono
przeczytam, bo także jest niepiśmienny.

Nakreślił parę wyrazów i podał księżnej do podpisania. Na
karteluszu, przy

słabem świetle skałki, zaczernił podpis niekształtny: Anna.

— Muszę was uprzedzić, księżno, że lada dzień kunigas
krewski nawiedzi zamek. Ja

będę z nim. Podczas jego bytności ma nastąpić wykradzenie
małżonka waszego —
rzekł komtur.

Księżna wpatrzyła się w krzyżaka.

— Dlaczego tak?

— Dla dobra Wissebuta, Danuty... i waszego!

Anna nie rozumiała słów.

— Ja uspię czujność, to wasz zysk!... a czyn wykradzenia
Witowda podczas

obecności na zamku Wielkiego księcia zmniejszy winę
niedopatrzenia

Wissebutowego. Nie będzie o złą wolę posądzon, mając czas
przed

tem dogodniejszy, łatwiejszy do spełnienia czynu
niebezpiecznego.

— A może tak — po chwili namysłu szepnęła Anna.

Przez cały ten czas rozmów i narad pacholek z pochylonym
grzbietem stał przed

kolasą.

Gdy korowód ruszył, Danuta zemdląła.

Powstało zamieszanie.

Bolesne uderzenie ochmistrzyni i bryzg wody jednej z
towarzystek przywróciło

Danucie przytomność. Febra nią trzęsła, zęby o zęby
dzwoniły.

Bramy się otwarły, zaskrzypiały wozy.

Księżna z niepokojem obejrzała się dookoła.

Lękała się spotkać Bolechowica.

Ale żaden cień nie zamajaczył w szarości nadchodzącej nocy.

Wozy, otoczone

strażą zbrojną, potoczyły się szybko gościńcem krewskim.

Bolechowic nie mógł zrozumieć tego nagłego wyjazdu, o
którym nic nie wiedział, o

którym najmniejszego wspomnienia nie było. Zestawiwszy to
tajemnicze zniknięcie
księżnej z jej zachowaniem się zagadkowym w stosunku do
niego i Danuty, do
przekonania przyszedł, że Anna z przed oczu jego chciała
usunąć przedmiot
miłości, a nie chciała cofnąć raz danego słowa, powodowana
niezrozumiałym lękiem
jakimś. Rzucono mu piaskiem w oczy, podrażniono duszę
jego rycerską, boleśnie do
trzew zatargano.
Mimo te jednak przypuszczenia bałamutne, zagadka nie
została rozwiązana;
wszystkie jej węzły w nieprzeniknionych tonęły ciemnościach.
Jeżeli względem
Bolechowica księżna inne zamiary miała, jeżeli dla której ze
swych panien, sercu
bliższej, przeznaczyła w swej myśli

rycerza polskiego, a napomykała nieraz, że dziewosłębić mu
będzie, co za
krotochwile a żart brał, to znał ówczesne zwyczaje litewskich
i Nielitewskich
dworów, gdzie w inny całkiem sposób usuwano z przed oczu
osobniki im niemiłe.
Puchar zatruty, zdradzieckie uderzenie sztyletu, wreszcie
topieliska i głębie
jezior, a tych nie brakło w puszczech litewskich, przychodziły
z pomocą. Do tego
nie potrzeba usuwania się dworu całego, i to z takim
pośpiechem i w tajemnicy

takiej. Mimo wszystko nie mógł się oprzeć wrażeniu, że wyjazd księżnej, o którym nic nikt przed godziną jeszcze nie wiedział, miał na widoku usunięcie Danuty.

W natłoku myśli różnych, kłótni uczuć, kombinacji najniemożliwszych, jak zły cień, stawała przed nim postać Zygfyryda. Skąsanie ust Danuty przez jakiegoś ducha niewidzialnego i to wszystko, co wiedział o tym mnichu krzyżackim z jej opowiadań lękliwych, dopełniało gorączkowości wizyi i przypuszczeń jakąś okropnością prawdy. Zaprzeczał sam sobie i potwierdzał domysły, rodzące się w mózgu niespokojnym; nieprzeniknione ogarniały go ciemności, to jakaś jasność nagła biła w oczy, choć znów poruszenie się dworu całego dla jednej dziewczki służebnej wydało mu się tak głupią grą wyobraźni, że burzył odrazu całe rusztowanie domysłów i ręce bezwładnie opuszczał. O tem wszystkim dowiedzieli się teraz kawaler de Vendendaelle i don Manoel de Grinaldi; najmniejszej już tajemnicy nie miał przed nimi Jaśko Bolechowic. Zachowanie się Zygfyryda z Danutą, skargi jej na nagabywanie tego mnicha krzyżackiego, skąsanie ust dziewczyny przez widmo jakieś tajemnicze, to wszystko pod swoją rozwagę wzięli druhowie Bolechowica, lecz nie było to

wytlómaczeniem żadnym zagadkowego wyjazdu księżnej,
ucieczce równającego się.

— A Zygfyrd? — rzucił kawaler de Vendendaelle, gdy
siedząc w domu rycerskim,
naradzali się nad tylko co zaszłymi wypadkami.
Odpowiedzi nie było.

Wbiegł Till z nie nową wiadomością już dla nich.

— A Zygfyrd? — znowu pytanie padło.

— Zygfyrd? — rzucił sowizdrzał — a wždy on boku
kunigasowego pilnuje. Co go
teraz obchodzi dwór księżnej, gdy dziewczki wszystkie z pod
nosa mu wymieciono.

Jeżelim, pustki w komnatach zobaczywszy, podymał zaraz do
niego, to tylko dla
dowiedzenia się, dokąd księżna pani, nie opowiedziawszy się
przede mną nawet,
machnęła.

— I dokąd? — trzy gorączkowe padły pytania.

— Do Trok.

— Do Trok?

— ... dawnej siedziby swojej — Till dokończył.

— ...otoczonej zwierciadłem wód, zamkniętej wałem fal
wiecznie ruchomych,

niedostępnej, jak myśl ludzka, gdy wrót poznaniu nie otworzy
— dodał Bolechowic.

— Są łodzie — odparł krótko don Manoel.

Till spojrział na zagadkowe lica rycerzy.

— Co się tu knuje? — mruknał — wyglądacie, moi panowie,
jak psy po harapie. Ty,
rycerzu de Vendendaelle, masz minę lwa zgłodniałego,
czyhającego na łup jakiś;

ty, grandzie szlachetny, niewinnego krokodyla wyraz, cichym
ruchem wdzięcznej
swej postaci podpływającego do dziewczki nieuważnej, w
Nilowej ruszającej się
kąpieli; ty zaś, Jaśku Bolechowicu, jesteś uosobie-

niem kocicy bolejącej, której wszystkie kocięta potopiono. Go
wam się stało, do
stu tysięcy nieszczęść mi niewiadomych, he?...
Spojrzenia rycerzy skrzyżowały się pomiędzy sobą.
Do poważnej tajemnicy hanswurst niemiecki nie mógł być
dopuszczony, tymczasem
tak nieoględnie zasypano go pytaniami, tyczącemi się wyjazdu
księżnej, głosem
takim zgębnionym o niedostępnych falach wód trockiego
jeziora, Jaśko jęknął, a
grand znacząco rzucił okiem, jakby na pocieszenie jakiejś
beznadziejności
Bolechowica. Była chwila namysłu, chęć wybrnięcia z
fałszywego położenia i
usunięcia jak najdalej przypuszczeń Tilla od rzeczywistego
stanu rzeczy. Rozwaga
tylko i zimna krew mogłaby mimowolne zło naprawić, ale
najmniej zdolny do tego
był dziś Jaśko, bliższy apopleksyi, niż refleksyi, kawaler zaś
de Vendendaelle,
który w innych wypadkach łąć bez zajknięcia się potrafił, tu
zauważył, że na
nicby się nie przydała ona umiejętność jego. Don Manoel więc
trudnego się podjął
zadania i, do Tilla się zwracając, rzekł głosem spokojnym:

— Ty się obrażonym nie czujesz?

— Ja?... Wzruszył ramionami.

— Spodziewałem się — grand na to — że moje zapytanie tylko zdziwić cię może. Ale

rzecz się inaczej ma ze szlachetnym przyjacielem naszym, który kawalerskie usługi swoje dostojnej ofiarował księżnej i był nierozdzieloną częścią jej

książęcego dworu. Tu jego honor rycerski niezasłużoną niełaską dotknięty został.

Jej książęca mość do antypodów może sobie wyruszyć, to jej rzecz!... ale bez

wypowiedzenia służby tak szlachetnemu rycerzowi nie wolno jej było postąpić, jak

postą-

piła. Teraz rozumiesz, że obraza zbyt jest ciężka, by można ją przenieść

spokojnie.

— Rozumiem, choć nigdy nie byłem rycerzem pasowanym — odpowiedział Till. — Lecz

pierwsze pytanie wasze było: a Zygfyrd?

— Bo on jeden tylko mógłby tę zagadkę rozwiązać, sądziliśmy — rzekł don Manoel.

— I dobrze zrobił, żeś go w tej materii zaczepił.

— Ja?

— Pytałeś...

— O wyjazd księżnej.

— No, tak — wycedził Hiszpan przez zęby — mogliśmy się spodziewać, że i o

jakiemś niezadowoleniu księżnej z przyjaciela naszego coś wspomni. Nie mówił ci nic o tem?

Till poruszył głową.

— Bałamucicie coś, ale to mnie nic nie obchodzi. Ja tylko nie wiem, gdzie mam się przyczepić teraz, bo kunigas dziewczek na dworze nie trzyma, a mnie się bez nich ckni.

»O rodzie niewieści! bez ciebie nijako
Pachołkom, rycerzom i królom...
I słońce źle świeci, choć świeci jednak,
I serce oddane wciąż bólom.
Daremno sen gonisz: żal oczy otwiera
I złudnych potrząsa mar trzosem:
Melania, Frydonia, Hortensya, Elwira
Wciąż tobie migają przed nosem,
Obleczon tęsknotą niestrojną myśl trwożysz,
Uderzasz w kolana łbem hardym,
Aż, zgryzion rozpaczą, pod głowę pięść włożysz
I zagrasz na flecie w śnie twardym.

— Tak i ja myślę uczynić — dokończył Till, prześpiewawszy tremolando piosenką swoją — a ponieważ brak mi już łoża na księżnej dostojnym dworze, tygrysia skóra szlachetnego kawalera de Vendendaelle przyjmie zmizerowane członki moje.
To mówiąc rozciągnął się na łożu francuskiego rycerza i po paru minutach

delikatnie sapać, chrapać i świstać zaczął.

Sen, zda się, nie był udany; Till grał na flecie w śnie twardym.

Bolechowic się porwał i rzucił szeptem:

— Do Trok!...

— Do Trok! — powtórzyli don Manoel i kawaler de Vendendaelle.

Wybierali się z pośpiechem a cicho, by Tilla nie rozbudzić.

Pomimo bram zamkniętych, udało się trójcy przyjaciół za gród się wybrać. Znała

ich straż, nie robiła więc przeszkód wielkich, zresztą don Manoel i kawaler

Vendendaelle walczyli w szeregach krzyżackich. Hanke wiedział o tem. Wydostawszy

się na gościniec trocki, wichrem pognali.

Gdy przed strażnikiem legitymowali się z tożsamości osób swoich, w załomie muru

jednej z obronnych baszt grodu, przytulona do ściany stała nieruchoma postać

jakiegoś rycerza i śledziła jadących.

— Aha, do Trok! — cień szepnął, posłyszawszy już za murami miasta tętent

wypuszczonych w cwał koni.— Nie omyliłem się. Zanim wrócą, dwór księżnej o

długość doby całej oddali się od ich zamiarów zbrodniczych.

Co za zuchwalstwo!

Pogoń za księżną! Jak widzę, nie zatrzymaliby się przed czynem gwałtu. Ha! —

mruknał — niczego kompania! Sam taki de Vendendaelle mógłby porazić zbrojną

straż Witowdowej. Dobra mi przyszła myśl Trokami ich obalamucić.

Tajemnicza postać wychyła się z za muru i do górnego skierowała się zamku.

Noc była, półsierp księżycy marzył na niebie, gwiazdy kapały się w oceanie

błękitów. Wypoczęte dobrze konie rycerskie, pędziły, jak z kusz wyrzucone

pociski, pozostawiając po sobie długi pas kurzu. Zbudzony głuchym a piorunowym

tętentem kopyt, nie mógł kmieć wyrzeć z chaty, jak już grzmot tajemniczy

przebrzmiał i ścichł, jeno wiatr kłęby kurzawy rozwiewał; pies zawarczał i

rzucił się... i stanął zdziwiony z uszyna nastawionemi: krtań mu zasypał miał

piasku, pył oczy oślepił. Wrócił kmieć do chałupy, parę miedzianych groszy

rzucając za siebie duchom złym, by się wykupić od ich zamiarów niedobrych; pies,

kaszłąc, a pocierając pysk łapami, przytulał się do przyzby domostwa i skomlił

cicho.

Rycerze pędzili dalej.

Skoczyli w bór i gnali pomiędzy dwiema ścianami sosen i jodeł. Wązkie okno nieba

świeciło przed nimi i rozszerzało się z szybkością dziwną.

Koń w koń, strzemię w

strzemię, pochyleni nad karkami rumaków, jak trzy wichry, trzy widma, pędzili

ciągle naprzód. Nagle niebo i gwiazdy usunęły się w głąb i podesłały się pod

stopy rycerzy.

— Stójcie! — krzyknął przerażony kawaler de Vendendaelle,
który o krok jeden
wysunął się był naprzód, i obie ręce, jak skrzydła wiatraka
rozszerzył. — Ziemia
się urwała! — zawołał.
Konie zaryły się kopytami w grunt piaszczysty.

Kawaler de Vendendaelle spojrział w górę, a później wzrok ku
głębi zwrócił.

Gwiazdy nad nim i gwiazdy pod nim.

Don Manoel, nastrojony przez okrzyk Francuza do jakichś
widzeń nadzwyczajnych,
nie odrazu zorientował się w położeniu. Wzrokiem
zdumionym patrzył chwilę na owe
nad nim i pod nim, gwiazdami usiane niebiosa, i rzucił głosem
podziwu:

— Zali tu koniec ziemi?

— Nie, moi panowie — odezwał się Bolechowic, rzecz
zrozumiawszy. — To jeno ono
sławne jezioro trockie, o którym wam mówiłem, złudziło was
bezbrzeżnością i

swojem pojawieniem się nagłem, gdyście z puszczy ciemnej
wypadli, o zjawisku,

cudownem iście, nie będąc uprzedzeni przeze mnie. Patrzcie!

— ciągnął dalej,

ręką wskazując na plamę czarną jeziora. — Widzicie tę
chmurę, drzemiącą po

środku wód? To zamek trocki... podróży naszej kres, miejsce
mojego szczęścia lub

nieszczęścia!

— Aa! — wybiegło z ust rycerzy. Była chwila podziwu.

Kawaler de Vendendaelle odetchnął i, pot ocierając z czoła, rzekł:

— Trocki zamek!... trockie jezioro!

Po chwili dodał:

— Trudno mi jeszcze otrząść się z wrażenia doznanego.

Pewnym był, że ziemia się

urwała i że, gdy konia nie powstrzymam, runę w głąb

zaświatową i łeb sobie o

jakąś gwiazdę roztrzaskam. Na baczości się tylko miałem, by

z kulbaki nie

zlecieć i nie urznąć się w posadzkę firmamentu, koziołkując

nieforemnie.

Wyśmieliby mnie wszyscy święci pańscy, a tegobym nie

zniósł, na króla Kłodowika klnę się! W onej imaginacyi

jednak nie zapomniałem o

was, druhowie mili, strach nawet zmniejszył się, gdym

pomyślał, że i wy wraz ze

mną rypniecie się w ony przestwór niezmierny. Byle z

wami, to w czeluście

piekielne poszedłbym. We trójkę zawszeby się coś uradziło i

zorientowało łatwiej

w sytuacji niebezpiecznej, a że człek żywcemby się do nieba

dostał, nie sarkałby

może na to: zawsze lepiej w tej swojej skórze cielesnej, do

której przywykł, po

wiek już pozostać. A ty, szlachetny grandzie — do don

Manoela się zwrócił —

jakiej sensacyi doznałeś? Grand na to:

— Wrzasnąłeś tak, kawalerze: »ziemia się urwała!« iżem od razu w ony

nadzwyczajny wypadek uwierzył, bo wiem, że tylko rzecz
niezwykła strwożyłby
ciebie mogła. Spojrzałem przed się, i dziw mnie zdjął, strop
niebieski z
gwiazdami pod sobą zobaczywszy; imaginacya zaś, nastrojona
do wizyi twojej, nie
dostrzegła wód obszaru, rzeczy tak zwyczajnej w mojej
krainie nadmorskiej.
Uwierzyłem w twój okrzyk strachu, zapomniawszy, iż nie tu
się znajdują słupy
Herkulesowe.
— A może to słupy marzeń i pragnień moich — westchnął
Jaśko.
Nie było czasu do rozmów, nie tyczących się celu wyprawy.
Konie potrzebowały
wypoczynku, a trzech przyjaciele zastanowienia się nad tem, co
dalej robić?
Bolechowic nie był zdolny do rady żadnej. Stał nad
brzegiem jeziora, ręce
skrzyżował i wpatrzył się w gmach zamczyska. Zapytany,
odpowiedział krótko, że
się zgodzi na każde postanowienie przyjaciół. Na don
Manoela więc i kawalera de
Vendendaelle złożony został cały ciężar roboty.

Zamyślili się.

Grand przymknął powieki i rękę za pas założył; Francuz w
boki się wziął,
policzki wydał, wąsy nastroszył, nogi szeroko rozstawił. Po
chwili zwrócił się
do towarzysza, i rzekł:

— Nie wiem!...

— Ja także — odpowiedział Hiszpan.

Po chwili rozejrzał się w koło, zbadał miejscowość, gdzie się znajdowali i

rzekł:

— Głucha puszcza nas otacza. Nie dostrzeżeni przez nikogo, możemy tu dzień cały przebyć.

— Dzień cały? — rzucił Jaśko.

Francuz poruszył głową.

— To mi się nie podoba. Ale co masz na myśli?

— Udać się do miasta i zabrać języka.

— Języka?... hm — mruknął Francuz. — Do czego to zmierza?

— Musimy się dowiedzieć o sile załogi i zaufanych ludzi znaleźć, mogących nam ułatwić przystęp do zamku.

— To na nic! — rzekł krótko de Vendendaelle. — Łatwiej zdrajców, niż zaufanych znajdziesz... i wtedy przypuszczaj szturm.

— Dobrze mówisz! — wtrącił Bolechowic.

— Źle czy dobrze, jam swoje powiedział. Niech teraz wiem, cożeś ty wykombinował,

kawalerze de Vendendaelle — rzucił Hiszpan.

— Przedsięwzięcie nasze — zaczął Francuz — może być wtedy skuteczne, jeżeli

piorunem dokonane zostanie. Zważajcie! O parę godzin tylko przed nami wyruszył

orszak księżnej. Że parli szybko, to o tem mowy niema, bośmy ich nie dognali,

nie tak zaś szybko, ażeby już

mieli czas roztasować się i pomyśleć o jakimkolwiek
zabezpieczeniu się przed
naszym, niespodziewanym zresztą, pościgiem. Ufają zresztą
obronnym murom zamku i
tej masie wód. Przyjazd takiej pani zawsze pewien nieład i
zamieszanie
sprowadza. Z tego właśnie trzeba skorzystać... Zjawić się
nagle... popłoch na
straże, a dziewczkę w ramiona Bolechowica rzucić, samemu zaś,
choćby głową nałożyć
przyszło, bronić uchodzących... Taka moja rada!
— Łodzi niema — rzekł don Manoel.
— Wpław końmi!
— W zbrojach?
— Żelaza tu zostawimy... Miecze a kurty łosiowe wystarczą
nam!
— Nie jestem nieprzyjacielem kąpieli, a takie niebo mając pod
sobą, człek się
nie opatrzy, jak na wyspie stanie.
— Zatem?...
— Zgoda!
— Jazda! — zawołał de Vendendaelle i rozdziewać się począł.
— Nie!... nie!... — rzucił Jaśko, pomiędzy nimi stając. —
Mnie nie uciekać z
dziewką, a was, przyjaciół, niechybnej śmierci zostawiać.
Uratujemy się albo
zginiemy, byle razem!...
Vendendaelle spojrział na Bolechowica.
— Poczżeś nas wezwał? — spytał.
— Po pomoc, nie na ofiarę...
— Rzekłeś był: »co uradzicie, wykonam«... Zatem słuchać,
nie rozkazywać!...

Patrz! — dodał, wskazując palcem na zamek.
— Co widzisz? — Bolechowic spytał.

— Korale świateł, nie dostrzeżone dotąd przez nas.

— Nie śpią — szepnął Jaśko.

— Tem lepiej! Niejedna Jurta otworem stać może. Światła koralowe, niby rozsypane paciory różańca, paliły się w dolnych komnatach zamku. Były tam izby biesiadne i pokoje przyjęć o półgotyckich sklepieniach. Znał je dobrze Jaśko i wiedział, jaki był izb tych rozkład.

— Czyńcie, jak wam natchnienie wskazuje — szepnął wreszcie.

Wszyscy trzej z pośpiechem zabrali się do rozdziewania się ze zbroi, gdy nagle grand psyknął cicho.

— Co tam? — szepnął Francuz.

— Plusk wody...

— Ryba jakaś ziewnęła.

— Nie, płynie... łódź rybacka.

Mówiąc to don Manoel przypadł szybko do brzegu ukrył się w zarośla, to samo

Bolechowic uczynił. Plusk wody stawał się coraz wyraźniejszy, słyhać było miarowe uderzenie wiosła.

Kawaler de Vendendaelle nie pozostał na miejscu. Na czworakach wsunął się w gąszcz krzewów nadbrzeżnych i zważał na ruch łodzi. Płynęła powoli.

Człłek stary siedział u steru i kierunek jej nadawał, drugi rosły
a barczysty
chłop gnał ją naprzód leniwym ruchem wiosła. Zarzucali
gdzieś niewody i pewnie
do dom wracali. Z kierunku łodzi widać było, że nie tu miała
przybić. Na
odległość połowy kopii płynęła od brzegu.
De Vendendaelle dał znak towarzyszom swoim, by grobowe
zachowali milczenie.
Domyślili się znaczenia

danego rozkazu; wezwani rybacy prawdopodobnie nie
spełniliby życzeń spiskowców.
Umknęliby pośpiesznie na środek jeziora i zawiedli nadzieję
rycerzy, w tej łodzi
położonej. To przypuszczenie pewniejsze było nad inne. Lecz
co kawaler de
Vendendaelle uczynić zamierzał, by łódź zdobyć, tego
domyślić się nie mogli.
Łódź płynęła powoli, a zawsze w parołokciowym oddaleniu
od brzegu. Wiosło ruchem
leniwym zagarniało gwiazdy pod siebie, srebrne fale
rozchodziły się dokoła. Gdy
się zbliżała ku prostopadłej linii wzroku ukrytych rycerzy,
kawaler de
Vendendaelle, bez fatygi żadnej, jak ośmiornica, wyciągnął
ramię swoje i łódź za
burtę chwycił().
Przeraźliwymi głosy wrzasnęli rybacy, widząc łapę jakiegoś
potwora, która pięcią

żyłastymi palcami opasała bok łodzi i ciągnęła do brzegu.
Miasto jakąś obronę
przedsięwziąć, buchnęli obaj do wody i wpływ ku środkowi
jeziora ruszyli.
Kawaler de Vendendaelle przyciągnął łódź do brzegu i osadził
na żwirze, a
niedawni właściciele jej, wyprężając ramiona przed siebie,
rozbijali fal ciche
przezrocza i co sił parli ku wyspie. A przestkach nie dodawał
mocy, lecz
paraliżował ruchy członków. Przemokła odzież zaczęła
ciężać, a piersi głucho
oddychać. Rybak, który na łodzi stał przed tem i gnał ją, jako
chłop tęgi i
młody, pomimo przerażenia, zwycięsko jeszcze walczył z
falami wód, ale ten,
który u steru siedział był, człek stary i schorzały, już parę razy
zanurzył się
pod powierzchnię, a tchu ułapić nie

() Miejsce, skąd Bolechowic z przyjaciółmi do zamku płynął,
nazywa się dziś
»Zatoczem«. Na brzegu tym stoi obecnie pałac
Tyszkiewiczów.

mógł. Wychynał się raz jeszcze i rzekł do swojego
towarzysza:

— Ne wytrzymaju, synku!

— Dziarżyś, baćku, bo hłubina pad nami, szo i szczuka jejo
nie perabije...

— U hrudi doch zapiersia, a ruk uže nie podniać— wyszeptał stary.

— A nohi? — syn spytał.

— Nie poruchać!... kamieni dwa!

— Pryjdecca utapić sia ciabie, baćku! — syn westchnął.

— Cęły wiek swoj ciahausia po hetom oziore, i hladi, szto wyszło! — wytchnął

ojciec, ostatni czyniąc wysiłek.

— Żal sił twaich, baćku!... Nie muczysia, idzi na dno!...

Możeby stary posłuchał litościwych rad syna, ale w tej chwili, z szumem fal,

gwałtownie rozbijanych, czyaś łódź wypłynęła pomiędzy dwie głowy i rąk dwoje

pochwyciło łby pływające.

Był to Bolechowic.

Zrazu przestrach ogarnął rybaków i targać się zaczęli, ale spojrzawszy w piękną

twarz młodzieńca, wezwani przez niego głosem przyjaznym,

na łódź gramolić się

zaczęli. Stary stękał, ale pomocy nie brakło: syn pięścią w zad kropił, a za łeb

ciągnął Bolechowic; dostał się wreszcie na brzeg łodzi i zwalił się na nią,

macając ze zdziwieniem brzegi jej, jako że poznał już był własność swoją.

Bolechowic jedno wiosło wpakował wnet do rąk synowi, z drugim przy sterze sam

usiadł i krzyknął rozkazująco:

— Nazad!

Po kilkunastu uderzeniach potężnych, dno łodzi otarło się o żwir nadbrzeżny.

Vendendaelle i Grinaldi zbliżyli się do Jaśka.

— Teraz — rzekł Francuz — w pełnych już zbrojach rycerskich... na zamek!

— A konie? — grand spytał.

— Tego truposza zostawim przy nich — odpowiedział de Vendendaelle, na starego

rybaka wskazując — bo tamten, chłop od sześciu taranów obleźniczych, przydać się

nam może. Rozmów się z nimi, Bolechowicu, a sutą nagrodę obiecuj; gdyby zaś

wstręty czynili, wal w gębę na moją odpowiedzialność.

Lecz nie potrzeba było argumentów tak dosadnych, które Bolechowicowi nie w smak

poszły; lud niewolniczy znał jedno tylko prawo: posłuchu. Do drzew więc

przywiązano konie, przy których na straży »baćko« stary pozostał, syn zaś,

sowitą zachęcony nagrodą, silnem oparciem wiosła o brzeg, łódź odbił i według

wskazówek rycerzy, skierował się ku czerniejącej na środku jeziora wyspie.

Łódź płynęła cicho... Noc była parna, wiatr gdzieś usnął.

Czasami jednak

płynących chłód dziwny ogarniał, lodowy wiew jakiś. To łódź przepływała nad

źródłiskami, które zasilają jezioro. Dopływów innych nie miało: żyło obfitością

wód własnych, tymi niewyczerpanymi skarbami ziemi.

Prastara nazwa trockiego jeziora brzmiała: Galwa, co w języku litewskim: głowa

znaczy. Można było sądzić, że ten czarodziejsko - piękny wód
obszar, nie mający
podobnego sobie w całej już ziemi litewskiej, od tej
królewskości swojej nazwę
tę wziął był głową je-

zior. Ale to mniemanie rycerzy rozwiązał ich przymusowy
przewodnik, który taką
baśń im opowiedział.
Jezioro ono, by ścięte mrozem zostało i pokryło się grubą
płaszczyzną lodu,
potrzebuje ofiary głowy człowieczej. Wtedy zawrze
kryształowe głębie swoje i
stopom ludzkim pozwoli ślizgać się po piersi swej śnieżnej.
Bez tego groźnego
haraczu: niech wichry dma, mroźna się północ wysila; niech
rzeki wszystkie,
stawiska i jeziora do dna stwardnieją: Trockie oprze się
wszelkim wysiłkom zimy
najsroźszej, dopóki topielec nie zakołysze się na falach jego.
Wtedy uspokaja
się wzburzona pierś ogromu, ścięte mrozem zatrzymują się
fale, białe
prześcieradło śniegów pokrywa łożę kryształowe. Spełniona
została ofiara głowy,
choćby lud nic nie wiedział o zaginionej istocie ludzkiej.
Szept tylko płynie od
chaty do chaty, ode wsi do wsi; ociera się o dwory bojarskie...
i zawsze
tajemnica odkryta zostanie: tam dziewczka zginęła, to jakiś
młodzian przepadł i

słychu

o nim niemasz!... Jezioro tężeje, grubą warstwą pokrywa się lodu, a w izbie

kmiecej, czy dworcu bojarzyna słysząc płacz cichy, czasami nieutulony płacz!

Nieraz dziad stary libo baba leciwa przepadnie bez wieści...

I wtedy się zawrze toń jeziora, ale niechętnie bardzo: stąpaj uważnie po szybie

kryształowej, bo tu libo tam znajdzie się cienka warstwa lodu i pryśnie pod

nogami twojemi. Zawždy lepiej, gdy młody się utopi, bo już jezioro do nikogo

pretensyi nie ma i twardo stoi().

Taką baśń opowiadał rybak-gaduła rycerzom, kie-

() Baśń tę opowiadano mi na Trockiem jeziorze, gdym je zwiedzał, podróżując po Litwie razem z Kazimierzem Zdziechowskim.

rując łódź swoją w cień wyspy, na której się czernił i strzelał w błękity baszt

zębami gmach wiekopomny.

Nie było jednak tak cicho w zamczysku, jak się rycerze spodziewali.

Kiedyniekiedy okrzyk się podniósł i naśladowców w głosach licznych znalazł;

dźwięk kielichów, uderzonych o siebie, zadzwonił; pobrzęk strun przebił ścian

mury i zabrzmiał smętną melodyą pieśni litewskiej. Zamek czuwał, więcej, niż

czuwał, bo szumiał, grzmiał, huczał. Widocznie komendant warowni ucztą jakąś biesiadną przyjmował panię swoją. Zapytany przewoźnik o przyczynę gwaru tego rzekł krótko:

— U nas zausze tak!

Zatoczył łódź i z tyłu zamczyska przybił do brzegu. Fale pobiegły za łodzią...

bryznęły... westchnęły, zabrały drobniejszy żwir z sobą, obramowały się srebrną pian taśmą i cofnęły się w głąb.

Brzeg w owym miejscu był płytki i płaski. O parę łokci sterczała ściana grubości potężnej, która była jednym z ogniw murowanego pierścienia, opasującego wyspę

klamrami baszt i wieżyc. Wykusz kamienny rzucił cień długi na murawę i szafirową

szybę wód. Księżyc z przeciwnej był strony, kędy nad bramą wjazdową piętrzyła

się baszta potężna, dziś jeszcze, o majestacie Kiejstutowej siedziby świadcząca.

W ogromnym milczeniu opuszczali łódź... Miecz nie szczęknał, nie zadzwoniła

ostroga, nawet żebra blach nie otarły się o siebie. Brzeg był pusty, żadnego

ruchu ni śladu straży, co dość dziwnem rycerzom się zdało, przygotowanym już do

pierwszego starcia z siłą zbrojną warownego zamczyska.

Bolechowic rozkaz

przewoźnikowi wydał, by z łodzią wpłynął w zarośla nadbrzeżne i ukrył się wśród

wiklin, gotów na zawołanie każde.

Rybak wypełnił rozkaz i wnet w szuwary się zaszył. Przez krótką chwilę tańczyły tam fale, ale uspokoiły się szybko: rozbiegły się w kolisko duże, i znów się wygładziła toń jeziora, złote, iskrzące gwiazd dyamenty chłonąc w przezrocza swoje.

Kawaler de Vendendaelle do Bolechowica się zwrócił:

— Prowadź! — szepnął.

— Tędy — odpowiedział Bolechowic.

— Pst! — ozwał się don Manoel i wstrzymał krok.

Stanęli z zapartym oddechem, słuch wysyłając na zwiady.

Opodał gdzieś od nich, jakby w jakimś muru załame,

rytmiczne słycać było

sapanie, niby oddech piersi śpiącej.

Kawaler de Vendendaelle podszedł na palcach, za nim posunął się Bolechowic.

Przy samej furcie, siedząc na ziemi, plecyma o mur oparty, spał stróż zamczyska.

Snadź zmorzył go cichy szmer fal i ruch ich jednostajny.

Toporzysko leżało na

ziemi; krótki, płaski miecz, pomiędzy kolana wciśnięty,

sterczał groźnie.

Bolechowic pochylił się nad śpiącym.

— Dźgnij go! — szepnął Francuz.

Jaśko zaprotestował energicznym ruchem głowy.

— Obudzi się w królestwie niebieskiem, zali źle?— rzekł Vendendaelle.

— Zabiłbym jego sen, a swój na wieki od powiek swoich odegnał — odparł Jaśko.

Don Manoel tymczasem około furty pracował. Ale, dziwo!...
otworzyła się przy
pierwszem nacisku rączki żelaznej i wskazała wejście do izby
sklepionej, oświe-

tlonej kagańcami smolnymi, a korzennymi uczt zapachami,
czosnkiem i majerankiem,
słodem piwa i mdłą wonią miodu nasyconej. Na stołach,
opróżnione z potraw, misy
stały; służba kręciła się, ubrana w krótkie kozuchy litewskie,
coraz to nowe
dania przynosząc; nie dopite wychylała dzbany, ogryzała
kości, niezupełnie
ogołoczone z mięsiwa, i opijaczonym bełkotała językiem.
Niełatwo teraz było cofnąć się Hiszpanowi, gdy próg już
przekroczył i nos w nos
naprzeciw zdziwionej służby stanął. Dziwni goście, przez
kordygardę na ucztę
śpieszący!... Ale Hiszpan nie stracił rozumu. Głowę dumnie
wzniósł w górę, rękę
za pas założył i zwracając się do pozostałych za furta
towarzyszy, rzekł
wyniośle:
— Z fantazją, panowie!
Wnet próg Bolechowic przestąpił, a za nim, w kabłąk się
zginając, kawaler de
Vendendaelle.
Na widok olbrzyna i niespodziewanego najścia jakiegoś,
zatrzęsły się dzbany i
misy w rękach pachołków. Z osłupienia tego skorzystali
rycerze i, zatrząskując

furtę za sobą, czem dali znak, że ich tylko trzech było, ręce na
głowicach
mieczów położywszy, a pokręcając wąż obojętnym ruchem
palców, za przewodem
Bolechowica do komnat dalszych szli, kierując się odgłosem
wiwatów i nie
milknącym jakiegoś zebrania gwarem. Spotykana służba
ustępowała przed krokami
nie znających trwogi rycerzy, ale znać było, że ją
unieruchomił widok postaci
Francuza, który niezbyt ruchliwych jednym machnięciem
prawicy za siebie
zagarniał i żadnego nie znosił oporu. Dopiero w izbie, od
której drzwi były
otwarte do gotyckiej sali biesiadnej, gdzie śmiech gruby, a
gwar pijacki
panował, człek jakiś, po-

stawy poważnej, drogę im zaszedł i kornem pochyleniem
głowy powitał. Jaśko i don
Manoel wiedzieli, że ten ukłon nadwornego bojarzyna
jakiegoś nikomu innemu, jak
tylko kawalerowi de Vendendaelle zawdzięczali.
— Miłościwyje pany, a gdzie ta idziecie? — spytał bojarzyn.
Vendendaelle, stojąc w dość znacznym oddaleniu od niego,
wyciągnął prawicę przed
siebie (co otwarło gębę słudze pokornemu, a grzbiet jeszcze
bardziej pochyliło
ku ziemi) i, dłoń na ramieniu mu kładąc, rzekł głosem
tubalnym:

— Mareszalu!... kto ucztę tu wyprawuje i imię gospodarza nosi?

— Nie mnie znać — odpowiedział, nie rozumiejący frankońskiego języka bojarzyn.

Bolechowic powtórzył pytanie Francuza w zrozumiałym już dla syna Białej Rusi języku.

— Swidrygajło — odpowiedział bojarzyn — a woś i sam gaspadzin k'wam idzieć.

Gdyby kto był sercem Bolechowica, poznałby mękę niepokoju. Rzecz cała w umyśle jego przedstawiała się w sposób następujący.

Na zamku trockim osiadł Swidrygajło, rodzony brat Jagaiły, znany opijus i jadła amator. Dziś właśnie, w chwili jednej z uczt takich, przybyła księżna Witowdowa na zamek trocki. Nie zasiadać tej pani do stołu biesiadnego, gdzie połechtane trunkiem języki folgę wszelkiemu swawoleństwu dają, a mózg przekrwiony władzę nad nimi utracił. W niewieścich komnatach swoich ukryć się musiała, a z nią...

Nie było czasu do marzeń, bo Swidrygajło, uprzedzony przez jednego ze sług o przybyciu gości tajemni-

czych, wtoczył się do izby, a był pijany, jak noc, a słód buchał mu z gęby, że o przytomnym umyśle człowieka abominacya brała.

— Szto tam? — zapytał ledwo na nogach się utrzymując i zaśmiał się.

— Przybyliśmy z Wilna pokłonić się waszej miłości — rzekł Bolechowic.

— Ładno, ładno!... no, i biesiadka jest, do której miłości waszych proszę.

— Jakże kniahini Witowdowa ma się? W zdrowiu a bezpieczeństwie do Trok przybyła?

— spytał Bolechowic.

— Kniahini Witowdowa?... do Trok? — zdziwił się Świdrygajło.

— Wždy przed chwilą gościną was nawiedziła kniaziu!...

— Mnie?...

— I do niej my posły — Jaśko rzucił.

— Dur ciebie napadł... czy co? — zaśmiał się Swidrygajło. —

Kniahini Anna w

Trokach?... Może ty i Witowda mnie sprowadzisz, przyjaciel jego szczery!

— Dlaczegoż mam być mu wrogiem?

— Słysz ty... ja ciebie poznał, ja cie - bie po - znał... Pogroził palcem.

— Jagajłowy ty wróg!... ale że mnie pokłonić się przybył, to nic!

Bolechowic wpatrzył się na Swidrygajłę.

— Może mylicie się, kniaziu!

— Wsadziłby ja ciebie na rożen, a smaczną pieczeń psom swoim zrobił, gdybym trochę umysłu nie zaproszył.

— Rad więc jestem, że waszą miłość spotykam

w stanie zupełnej nieprzytomności — odpowiedział
Bolechowic.

— Nie dowcipkuj, nie dowcipkuj, bo ty nie po Jagaiłowej
stronie stał, lecz za
szubę Kiejstuta ułapał, a zęby Niemcom wybijał.

— I waszej miłości to się nie podobało?

Swidrygajło zaśmiał się.

— Nie patrzyłby ja tak na ciebie, a do biesiadki nie zapraszał,
na twoje

spotkanie wychodząc. Oczekujący ja był ciebie i towarzyszków
twoich i dlatego

kłaniam się nisko... No, czego ty baranie oczy postawił na
mnie, a zdziwił się

powiedzeniu mojemu? Poznałby ja ciebie i bez
rekomendacyi... Trzepał ty

sojuszników naszych bez miłosierdzia żadnego, a mnie
duszycka rosła, choć

szczerym przyjacielem ich byłeś; to też, jak który z nich
nieforemnie nogami się

nakrył, to ja aż na kulbace podskakiwał a krzyczał: »psu brat,
a syn anielski!«,

którym to okrzykiem sobiem i im dogadzał, tym przyjaciołom
moim... bodajby ich

zaraza morowa pobiła! Ale ty zdrajca, zdrajca!

— Nie zmieniłem się w niczem, wasza miłość od dnia onej
batalii pod Trokami —

rzekł dumnie Bolechowic.

Swidrygajło zezem na Vendendaelle'a spojrział.

— A ten to druh twój?

Jaśko przedstawił obu i drużbie nie zaprzeczył.

— Zapamiętał ja i tego wielkoluda... Po stronie Niemców stał,
nasz był, to jakże

ty z nim się pobratał?

— Wypluł już smak niemiecki — odpowiedział Bolechowic.
— Dusza-ż ty moja! — zawołał przyjaciel Krzyżaków i
ciągnął do izby, w której
gwar się zmniejszył

nieco po odejściu kunigasa i tylko szum wrzał, jak war,
bulkocący w kotlisku,
ale wnet przycichł, gdy Swidrygajło wraz z gośćmi nowymi
wszedł do komnaty
biesiadnej. Zaledwie próg przestąpili, aż tu dudy i inne fujary,
harfy i bębenki
ozwały się naraz, a jakaś figurka niewielka na stół skoczyła i
huknęła w takt
muzyczny, na Vendendaelle i Bolechowica wskazując:

Ni ty, ni on,
Goś przybył z stron,
Gdzie morze szarpie brzeg,
Z was żaden mnie
Nie zwiedzie, nie!
Choćbym tu trupem legł!...
Za wami, w skok,
Do Trok, do Trok,
Strąciwszy z oczu sen!
Bó żmii płód
Mnie podle zwiódł,
Aż uderzyłem w thren!
Poczekaj, psie!
Niech wichr, grom tnie.
Skorzystam z wolnych chwil!...
Za wami, w skok,

Do Trok, do Trok,
Wzgardzony pognał Till...

— Niech żyje król Bella... Swidrygajło, chciałem powiedzieć,
i niegodni
przyjaźni mojej: szlachetny syn Hiszpanii o imionach
czternastu, wierny kochanek
słodkiej Elwiry i ty, także do kogoś wzdychający, zacny Jaśku
Bolechowicu...

Hurah!

— Hurrah! — sto pijanych odezwało się głosów, nie
rozumiejących wcale treści
tylko co wyśpiewanej piosenki — hurra!...

— Till! — krzyknął Bolechowic, rozkładając ramiona, nie
przeto, żeby chciał go w
uścisk swój chwycić, jeno że je zdumienie rozwarło, ale Till
prosto ze stołu
buchnął w objęcia Jaśka i, niby jaka niewiasta wzruszona a
mdlejąca:

— Wwo-dy!... — jęknął.

Śmiech gruchnął i jeszcze szczerzej do puharów się wzięto, a
Jaśko, Vendendaelle
i don Manoel otoczyli sowizdrzała.

Nie było jednak czasu rozpytywać się o znaczenie piosenki,
zresztą rycerze łatwo
skombinowali, w czym się zawierał sens jej główny.

Swidrygajło do stołu ciągnął,
prosił, kłaniał się, wreszcie mrużyć zaczął i niepolitycznych
słów parę

powiedział, ale Bolechowic za obie ręce chwycił Tilla, jakby
mocować się z nim
chciał, choć to był tylko wzruszenia i rozrzewnienia uścisk,
Till zaskomlił, jak
psiak duszony, bo wszystkie kosteczki zagruchotały mu w
palcach.

— Bez amorów tylko, Jaśku! bez amorów! Nie Danuta jest ze
mnie... Bodajby cię
paraliż tknął!

— Mów, co wiesz, mów, mów!

— Nie trap się!...

— Skąd się dowiedziałeś, że my do Trok pognali?

— Wždy uradziliście być tu.

— Spałeś.

— Nie uchem tylko.

Jak groch, posypały się pytania i odpowiedzi, krótkie,
urywane, a nie
przygniatające ciężarem żadnym zakrwawionego serca Jaśka.
Nie o jednąby jeszcze
rzecz pytał, lecz Swidrygajło na żadne konszachty nie
pozwolił, do stołu
ciągnął, siłą sadowił, a że miary w napitkach już przebrał, a
krwią zalane oczy
łyaskać zaczęły,

musiał poniewolnie szeptów wszystkich zaniechać, by nie
urazić gościnności

kunigasa, który już mruknął, że »weszli nie proszeni, a
proszeni chcą zbiedz«.

Trzeba się było poddać konieczności, bo taki pan, jakim był
Swidrygajło,

urazony, łatwoby do ciemnicy śmiałych kawalerów posadził,
co wcale nie leżało w
ich zamiarach.

Usiedli tedy trzej przyjaciele na miejscu, przez gospodarza
wskazanem, a że było
w bliskości samego pana, więc poczystne, co także coś
znaczyło, zważając na
okoliczności, w jakich się znaleźli.

Jadła było w bród. Obfitość pokarmów walczyła z obfitością
napojów. Uczta już
trwała od godzin kilku, a jeszcze jej końca widać nie było.
Wielmoże litewscy, związkami krwi połączeni z domem
Olgierdowica albo i sami z
krwi onej pochodzący obsiedli stół Swidrygajłowy. Nie brakło
tam i bojarzynów

zacniejszych, z łaski pańskiej do tego stołu przypuszczonych.
Jedli, pili i
popili się nawet, ale ozory na uwięzi trzymali, by niczem
kunigasa nie urazić,
bo nieraz łaska niełaską się kończyła, i zanim biesiadnicy od
stołu wstali,
niejeden z nich obwiesić się musiał.

Pomimo że brzuchy wszystkie, jadłem nadziane, trunkiem
przepojone, wyglądały,
jak banie cerkiewne, coraz to nowe misy pachołkowie wnosili
i konwie raz wraz
zmieniali. Śliniły usta, czekały gardła, opar z kudłatych głów
się unosił, a
języki bełkotały bez związku i ładu. Pijany pan, pijani goście i
pijana służba u
ścian się zataczała, upuszczając nieraz z rąk dzbany
miedziane, opierając się o

plecy uczujących, choćby to plecy były nie byle jakiego
wielmoży. Żaden tylko
ze służby poza plecyma Swidrygajły przejść albo zatrzymać
się nie odważył, żaden
też z nich nie podawał mu jada ni pu-

haru dolewał: czynność tę spełniał bojarzyn, który pierwszy
trzem rycerzom drogę
zaszedł w izbie sąsiedniej, a którego to Vendendaele
»marszałem« nazwał. Lecz i
ten się już kolebał na nogach, upojony mocnym wyziewem
trunków, choć za progiem
izby biesiadnej niejeden dzban spory wychylił. Nikt, krom
niego, Swidrygajłowego
puharu tknąć nie śmiał; nikt, krom niego, nie zbliżał się z
pyszną farfurową
konwią, ozdobioną malowidłem palonem, przedstawiającem
jakaś scenę łowiecką,
gdzie tury i żubry żywemi patrzyły oczyma, a namiot
książęcy, wśród drzew
jodłowych rozpięty, lśnił złotem i purpurą. Konew ta była
darem jakiegoś pana
włoskiego, a weneckiego sztukmistrza dziełem, wykonana z
umysłu dla nieboszczyka
Olgierda, a w spadku Swidrygajle przyznana. Cenił ją kunigas
i tylko z onej
konwi, wino nalane pijał.
Pan pijany, dwór pijany. Teraz zrozumiał Bolechowic,
dlaczego tak łatwo łódź
przybiła do brzegu, dlaczego tak lekko furta poddała się
naciskowi rąk don

Manoela, dlaczego nikt ze straży pałacowej ich nie zatrzymał,
choć się namyśleć
mógł nad niezwykłą gościnnością Swidrygajły, tak łatwo
przypuszczającego ludzi
sobie całkiem obcych do książęcego stołu swojego. Lecz ta
zagadka wyjaśniła się
wkrótce.

Till udał sen.

Po wyjeździe rycerzy skoczył na wywiady i dowiedział się z
łatwością, że dwór
księżnej Anny gościńcem krewskim wyruszył. Coś rozjaśniło
mu się w oczach. Nie
rozumiał, dlaczego Zygryd skłamał, lecz wiedział, że
skłamał. Tajemniczość
jednak wyjazdu księżnej i kłamstwo Zygrydowe zaniepokoiły
młodzianka; ubodło go
także, że mimowoli tak błędną drogę przyjaciółom wska-

zał. Dwór pusty, tamci milczkiem w zagadkowy jakiś pościg
ruszyli, a on błąkać
się będzie, jak pies bezdomny. Nie namyślając się więc długo,
dosiadł konia i
wcał do Trok pogonił. Nie dognał, lecz w czas na zamek
przybył. Gdy trzej
przyjaciele naradzali się nad brzegiem jeziora, on książęcym
promem na wyspę się
przeprawił i główną bramą na zamek wszedł, gdzie dobrze był
znany. Lękając się
jakiegoś nierozważnego kroku ze strony rycerzy, gdyby ci
przez straż zatrzymani

byli, uprzedził Swidrygajłę o ich przybyciu. Mogliby, jak on, z fantazyą wjechać w dziedziniec zamkowy, bo już tam oczekiwano na nich. Wpakowali się przez kordygarde, lecz dwór pijany onej niewłaściwości nie zauważył. Swidrygajło przywitał uprzejmie i do stołu zaprosił. Piękna była ta izba biesiadna. W dzisiejszych nawet jej ruinach oko twoje po murach błądzi, odbudowuje kształt jej pierwotny i dopełnia wyobraźnią bogate ścian malatury. Półgotyckie sklepienie rysowało się w łuki wypukłe, spięte klamr różycami. Boki podłużne komnaty onej nie miały okien. Na przestrzał drzwi dwoje; jedno od sieni, wjazdu głównego, drugie oszklone, roztwierające się na ścieżaj, do zamkowego prowadziły ogrodu, na wiecznie szumiące fale jeziora. We wnękach szerokich ścian bocznych, pomiędzy wiązadłami łuków gotyckich, skąd, wytryskując w zębra, na półkoliste sklepienie biegły, barwiły się freski, ręką niepośledniego malarza kładzione: Na tle pozłocistem sztywniały długie postacie bizantyńskie; może świętych malarz tam sadzał, nie było tylko u głów tarcz złotych; przezorność mistrza nie pozwalała niemi razić oczu pogańskich mieszkańców zamku, spłowiałe barwy nic przynajmniej dzisiaj nie mówią o tej aureoli niebieskiej. Boczne drzwi z tej środ-

kowej komnaty prowadziły do izb o połowę mniejszych, gdzie sześciokątne szyby, w ołów oprawne, pozwalały słońcu falą światła je zalać, a pomarzyć księżycowi srebrnemu. Obronne mury i baszty posunęły się ku brzegom wyspy, pośrodku stał gmach mieszkalny, z wysoką strażnicą nad bramą. Bolechowic przypatrywał się tym pięknościom izby biesiadnej, a w Krewem była myśl jego. Uspokajało go to, że Zygfryd nie opuszczał dworu Jagaiłowego. Lecz dzień jutrzejszy może być inny. Chciał jak najprędzej końca tej uczyty doczekać, ale nigdzie mis pustych ni próżnych puharów nie dojrzał. Swidrygajło czekał, sapał, potniał, parował, lecz nie odrywał ust od dzbana. Twarz spryszczona wstępną czerwienią świeciła, krew zalewała mózg, a oczy coraz groźniej łyskały. Bojarzy pili na umór, by copędzej pod stół się zwalić i tem uniknąć mimowolnej obrazy wilczem okiem patrzącego kunigasa. Nagle trzask się rozległ i brzęk tłuczonego naczynia. To Swidrygajło się porwał i lunął w pysk usługującego mu bojarzyna, że, równowagę straciwszy, oparł się o plecy pańskie. Policzek był straszny, aż zbieleła twarz uderzonego, zanim sinością się okryła, granatem później, a później... krwią. Zachwiał się.

Cenna konew z rąk wypadła na twarde kamień posadzki i
bryznęła w kawały.

Kunigas się wściekł.

Pochylił się, kark wydał...

Błyskawica, grom, piorun, piekło zamigotały w oczach
ołowianych.

— Sznurrr — wypadło z gardzieli ściśniętej, jak wark psi.

Bojarzyn odwiązał pas, owijający mu biodra.

— Pętla... — zacharczał kunigas.

Bojarzyn z całą umiejętnością ją związał.

— Ob-wieś się!...

Skazaniec wszedł na stół, stojący pod ścianą, pętlę na szyję
założył, pas końcem

wolnym o hak smolnego kagańca zaczepił, uderzeniem nogi
stół z pod stóp

odrzucił... i zawisł.

Coś pękło w karku, drgawka przebiegła ciało... Z warg
krwawy język się wysunął,

oczy straszne, szklane z orbit wyszły.

— Jezus Marya! — krzyknął Bolechowic i porwał się z
siedzenia.

Trze powieki... Może to snu mara ohydna, twór podrażnionej
winem wyobraźni.

Nie!...

Szklane, wydęte oczy patrzą na niego.

To wszystko stało się tak szybko, tak przerażająco szybko:
policzek, rozkaz

kniazia i wypełnienie rozkazu, że żaden z rycerzy zmysłów
nie mógł zebrać, jak

już nad nimi wisiał trup!

— Uchodźmy stąd — zawołał kawaler de Vendendaelle — bo przewracają mi się wnętrzności!

— Jak ten człek mógł się obwiesić? — rzucił tłumowi pijanemu pytanie don Manoel.

— Psem jesteś, kunigasio! gdy takie scenarium gościom swym pokazujesz — głosem podniesionym zawołał Bolechowic.

Pijany, ochrypli śmiech Swidrygajły był odpowiedzią.

Nie zatrzymani przez nikogo, rycerze wraz z Tillem opuścili izbę biesiadną.

Przechodząc przez kordygarde, posłyszeli szept jednego ze sług bojarskich:

— Maładuju żonku meu i dietkou czećwiero!...

Skoczyli na łódź.

Z izby biesiadnej dochodził do uszu rycerzy pijany, ochrypli śmiech Swidrygajły.

VII.

Noc grozy.

Czerwone promienie zachodzącego słońca odbijały się jaskrawo od ponsowych dachówek franciszkańskiego kościoła i światłem koralowem zalewały niewielki dziedziniec klasztoru, otoczony krużgankami o niewielkich, a rozłożystych słupach. Niepokalana tu zawsze panowała cisza; nie mącił jej nikt, chyba

świerkot wróbli, sejmikujących na jednym jedynym krzaczku
leszczynowym, wyrosłym
gdzieś w kątku ścian klasztornych; chyba miękkie stąpanie
bosych stóp zakonnika,
przebiegającego krużganki; czasami wiatr zaszeleściał,
wpadłszy pomiędzy słupce,
powojem owite, albo pomruk pacierza szeptem monotonnym
ono milczenie przerywał.
Drzwi było dwoje: jedne prowadziły na korytarz, przy którym
znajdowały się cele
mnichów; drugie, które zwać furta lepiej, wiodły poza obręb
murów klasztornych.
Pomiędzy słupcami czerniały wązkie, okratowane okna, ale
ani blask słońca, ani
promienie księżyca nie dochodziły nigdy do nich: złotem lub
srebrem zalewały
dziedziniec, łamały cienie kolumn, kładły się na podłogę
krużganków, obrzeżały
ściany przyziemne, lecz już się-

gnąć wyżej, do tych szymb w ołów oprawnych, nie mogły. Na
ten zbytek nie
pozwalała wysokość murów, wązkość wewnętrznej
przestrzeni i te krużganki
cieniste.

Pośrodku dziedzińca stała kamienna cysterna, wypełniana
codziennie wodą
źródlaną, po którą chodzili mnisi w godzinach
przeznaczonych. Źródło było
niedaleko, lecz już za murami klasztoru. Próbowali zakonnicy
nieraz w środku

zabudowań swoich studnię wykopać i cembrowinami otoczyć,
ale do samorodnej
zawsze dostawali się skały, która opór wszelkim ich wysiłkom
stawiała. Po latach
prób, pracy i modlitw błagalnych o cud Mojżeszowy przyszli
do przekonania, że
nie otworzy się przed nimi zimna pierś skały, że brak im tej
wiary żywej, która
każe górą się poruszyć, słońcu stanąć. A był to wiek cudów i
wiek świętych.
Przełożony klasztoru, ojciec Jan Gwalbert, cierpiał mocno nad
tem niedomaganiem
zgromadzenia i często braciom zakonnym brak tej wiary
wskazywał. A gdy w pokorze
 ducha do stóp mu padali, spowiadając się z grzechów swoich,
czystość ich myśli i
serca radowała duszę spowiednika, głębia ich wiary bezdenna
była, jak morze.
Obostrzał i tak już ostrą regułę zakonu, gromił niesłusznie,
karał bez przyczyny
widocznej; żaden szmer niezadowolenia nie popłynął z ust
niczyich, całowali dłonie
karzącą, pełni ciszy, pokory, poddania się.
Po modłach i wypełnieniu wszystkich obowiązków
klasztornych zbierali się bracia
w refektarzu na rozpamiętywanie wspólne żywotów świętych
Pańskich, ich prac,
uczynków i cudów. Lecz o tem mówiły księgi dawne, zapiski
kościelne, dawne
podania, nieraz już w pomroce wieku tonące. Ale od dni
niewielu, ojciec Jan
Gwalbert zapoznawać ich zaczął z nowymi wybran-

cami niebios; prawil o cudach, jakimi juz zaslyneli, choc
jeszcze nie zakonczyli
swojej wędrowki ziemskiej. Byli to ich wspolczesnicy, jak
Wincenty z Walencyi,
zakonu swietego Dominika, Mikołaj z Tolentynu, zakonu
eremitow swietego
Augustyna, Katarzyna Sienneńska i tylu innych a innych.
Leczyli chorych,
wskrzესali zmarlych; sluchaly ich wichry i gromy, a oto tu
jedna pierś skały
podziemnej łona swojego nie chce rozewrzeć, choc juz tyle
modlitw wyszeptaly ich
usta, tak wielkimi postami ciała swe umartwili. I zasmucili się
bracia w duchu
swoim, że taka na nich nielaska niebios spadła, takie
pohańbienie okrutne za
jakąś nieświadomość grzechu.
Źródło było płytkie, sacyło się wązkim strumykiem, że nie
można było odrazu
wiekszego zapasu wody zaczerpnąć; małymi dzbankami
chwytać było potrzeba te
strugi przezrocze i konwie napełniać; po tysiąc razy z próżnem
naczyniem
powracać, zanim cysterna po brzeg wypełniona została.
Codzienna a uciążliwa była to praca, długą godzinę czasu
zabierająca. Nie
sarkały na to ojciec Jan Gwalbert, gdyby tylko bracia
zakonni ze źródła tego
czerpali; lecz niejednokrotnie z dzbanem na głowie niewiasta
młoda przyszła;

niejedne spragnione usta pięknej dziewczyny ku zdrojowi się
pochyliły; nieraz
pasterz z pasterką zabłądził i usiadł u stoku. Spotkały się oczy,
zadzwoił
śmiech srebrny... Dwie dłonie zanurzyły się w kryształ
wodny... i nie rozdzielił
ich nurt szybki. Szatan nie śpi, nieprzemżone bywają ponęty
świata.
Od wczora jakąś zmianę dziwną dostrzegli w swoim przeorze
bracia zakonni. Twarz
zwiędła wypromieniała jakimś zdrowiem wewnętrznym;
ożywił się wzrok przygasły,
starce zmarszczki z pochylonego zniknęły czoła.

Modląc się w odosobnionej kaplicy kościoła, pozostawał w
ekstazie czas długi; a
zanim powstał z klęczek, ucałował w uniesieniu zimne stopnie
ołtarza i,
przepojony światłem niezemskim, do braci się zbliżył.
Wyszli na dziedziniec klasztorny, jarzący się od blasków
zachodzącego gdzieś
słońca.
Zbliżał się wieczór, jeden z tych wieczorów letnich, które do
snów, do marzeń
kołyszą dusze ludzkie. Z drzewa leszczynowego wlatywały
wróble na brzeg
cysterny, niejeden z nich skrzydła swoje w wodzie umaczał,
niejeden kropel kilka
nadpił, i znów frunęły z szumem wielkim na drzewko
ukochane, by za chwilę na
brzeg cysterny wrócić.

— Znacie żywot świętego założyciela zakonu naszego,
Franciszka z Assyżu —
zwrócił się do braci ojciec Jan Gwalbert, siedząc wśród nich w
onym korytarzu
zewnątrznym i patrząc na cysterne, której brzeg szare wróble
obsiadły i
ćwierkały zawzięcie. — Czy pamiętacie, bracia moi, ten Boski
ustęp z żywota
świętego, gdy raz, wszedłszy do gaju z jednym ze swych
przyjaciół, porozumieć
się z nim nie mógł, tak ich ogłuszał gwar różnego ptactwa.
Wtedy zwrócił się ku
tym skrzydlaczom miłym i rzekł: »Bracia ptaszki,
pomilczcie troszeczkę, póki
my Bogu za nas i za was czci nie oddamy «— i naraz
wszystkie umilkły i nie
zaczęły znowu śpiewać, aż im pozwolił. Mówcie, iż silna
wiara wasza jest, a
jakoże mocy jej wypróbować?... Słyszycie, jak głos podnoszę,
byście nie uronili
wyrazu jednego ze słów moich, tak je zagłusza świergot
wróbli. Rozkażcie
zamilczeć im w imię tej wiary waszej. Kto z was głos
pierwszy podniesie,
czekam!...

Pochyliły się głowy braci, ogromny smutek twarze

ich ocienił. Nie przemówił z nich żaden do ptaszków
świergocących, zamknęło im
usta poczucie niemocy. Po chwili opuszczone podniosły się
powieki i zwróciły się

na Jana Gwalberta.

— Rozumiem spojrzenia wasze — rzekł ten z powagą. —
Święty Franciszek nie
zwracał się do przyjaciela, mówiąc: »uczyn tak!«, lecz sam
czynił... Milczycie
wy, ja musiałem milczeć, a jednak...
Podniósł czoło.

— Nie mniejsza jest wiara nasza...

— Więc co jest przyczyną, przewielebny, że nie możemy cudu
dokonać? — zapytał
jeden z braci. — Ni głupie wróble słuchają nas, ni twarda
skała nabrzmiewa
żyłami wody, a ziarno gorczyczne jest tak małe — dodał z
westchnieniem.

Spoważniała twarz ojca.

— Być musi winowajca wśród nas — rzekł — może
nieświadom grzechu swojego, lecz
tamujący nam drogę do prawdziwej świętości.

— O, gdybym nim był ja...

— Gdybym ja...

— O, gdybym ja — po kolei odezwali się bracia wszyscy.

— Nie zapałbym się grzechu, rozebrałbym uczynki swoje,
jak prządka pasma

splątanych nici, jakby to nie była dusza moja, lecz przedmiot
obcy a wrogi, i

odnalazłbym nić brudną i preczbym ją cisnął od siebie —
ciągnął jeden z braci. —

Noce całe tarzałem się w prochu i udęczeniu, w pierś się
biłem, przypominając

grzechy wszystkie, jakimi człek Boga obraża i drżącemi usty
szepotałem: nie wiem

nic, Panie!...

— To samo ja.

— Ja to samo.

— I ja, i ja — powtarzali bracia po kolei.

— Wierzę wam, wierzę — odpowiedział Jan Gwalbert —
przecie mam klucz do dusz

waszych i... nie dostrzegłem w was skazy. Lecz dziwne są
poszepty szatana,

dziwne czynienia jego; nieraz wskazuje niebo, a czar ziemi
sypie na oczy; oddech

nieskończoności piersi daje, a do serca napędza krew, dech
wstrzymującą...

Ciche »a!« zabrzmiało, jakby wyrzucone nagle z piersi
przerażonej.

Spojrzeli bracia po sobie, spojrzali po nich i Jan Gwalbert.

Każda twarz była spokojna, spokojna pierś każda, tylko czoło
najmłodszego z nich

jakiś pył biały osypał. Ale to może cień kolumny przepasał
skroń brata Serafina,

może uraził go ćwiek, żelazny, około którego plątały się zwoje
powoju, że

krzyknął. Nikt z braci nie zwrócił się ku niemu z pytaniem
żadnym, tylko Jan

Gwalbert przymrużonemi oczyma nań spojrział i dostrzegł, że
zbladł jeszcze

więcej, że czoło pochylił, że powoli rękę po sukni przesunął i
na pierś położył.

Wśród zgromadzenia ojców najmłodszy i najpiękniejszy z
nich był brat Serafin.

Złoty zarost okalał twarz ściągłą, błękit oczu kłócił się z
niebios błękitem,

chowały perły ust róże. Trzepotał na nich uśmiech słodki, niby motyl na
kwiatach; gdy mówił, zdawało się, że harfa dzwonić zacznie,
takiemi kroplami
śpiewu spadał głos srebrny. To też zatrzymywały się
niewiasty, gdy spotykały go,
czerpiącego wodę u źródła; uronione krople ze dzbana
dziewice chwytaly, dziatki
garnęły się ku niemu i nie wołane przybiegały, a gdy
odchodził, wołały:

»Nie idź! nie idź!«. Raz takie maleństwo jedno, u ramion
uczepione, którego nie
mógł od piersi swojej oderwać, do klasztoru zaniósł. Śmiała
się matka, gdy je
zabierał z sobą, i spokojna, czekała powrotu zakonnika wraz z
dzieciątkiem
zabranem. Otoczyli wtedy bracia wszyscy maleństwo ono,
które ich bawiło
niezrozumiałym szczebiotem swoim. Wymarzyły im się czasy
Chrystusowe, zadzwonił
słodko głos Mistrza: »Pozwólcie dziatkom przyjść do mnie«...
Aż gdy usnęło,
odnosił je z powrotem brat Serafin matce, szczęśliwej ze
skarbu zwróconego.
Mówili ludzie, że dzieciątko ono chowało się dobrze, rosło
piękne i zdrowe.
Zazdrościły niewiasty inne tej matce szczęśliwej, a ona nie
mówiła im, że ręce
brata Serafina spoczęły były na niem. Jeżeli wolne od zmayı
wszelkiej były dusze

zakonników franciszkańskiego klasztoru, to brata Serafina
dusza świeciła
białością śniegów.

— Gniew Boży zawisł nad nami — ciągnął dalej Jan Gwalbert
— a może Pan czeka
prób doskonałości naszej.

— Czemże mamy przebłagać Pana niebios i łaski Jego
dostąpić? — zapytał jeden z
braci.

Jan Gwalbert milczał. Zdawało się, że się wahał ze słowem
jakimś. Oczy
zakonników z niewypowiedzianą trwogą zwróciły się na
sędziwą twarz przeora. Po
chwili głowę podniósł i patrząc w niebo, rzekł:

— Potrzeba męki...

— Męki! — zabrzmiało naokół tak cicho, jakby się ozwał
akord strun, lekko
traconych.

Było długie milczenie.

— Nie zawahałbym się pójść na krzyż...

— Na gorejący stos wstąpić...

— Rzucić się bestyom dzikim na pożarcie — padało z ust
braci.

— Amen! — rzekł Jan Gwalbert.

Ku niebiosom podniosły się oczy mnichów w upojeniu, w
ekstazie nieziemskiej.

Niewidziane słońce chyliło się gdzieś ku zachodowi, błękitny
pokrył blask jego

korallowy i dziwnem światłem zalał dziedziniec klasztorny. I
ojciec Serafin miał
czoło ku niebu wzniesione, lecz nie wyraz zachwyty znać na
nim było, tylko
prośby błagalnej o odwrócenie kielicha męki.
Wśród tego zgromadzenia Ojców, jeden tylko Jan Gwalbert
był starcem zgrzybiałym,
trzech zaledwie przekroczyło dojrzały wiek męski, siedmiu
dobiegało lat
Chrystusowych, reszta to młodzieńcy, sił pełni i życia, nie
znający ni złudzeń,
ni ponęt świata, ni jego czarów ni zawodów. A wszystkich ich
było trzydziestu.
Ze stłumionym w piersi oddechem, ze słońcem w
rozszerzonych źrenicach patrzyli
na to rozciągnięte niebo nad ich klasztorem, owiane złoto-
koralową poświatą
zachodu. Jeden Jan Gwalbert drżące ręce wzniosł ku
niebiosom i szeptał modlitwy,
i jeden tylko brat Serafin usunął się w cień, czoło oparł o
kolumnę, a łzy
dużemi kroplami zawisły mu na rzęsach.
Zbladło niebo.
Minęła ekstazy chwila...
— Dzięki wam — odezwał się przełożony klasztoru — dzięki
za waszą gotowość do
ofiar najkrwawszych. Powiedziałem: amen! nie przeto,
ażebym was wzywał do rzeczy
straszných, lecz dla położenia pieczęci, jako znaku wierności
waszej Panu nad
Pany. Teraz nadeszła chwila spowiedzi mojej przed wami,
spowiedzi z szeptu
duszy, z głosu, gdzieś z za słońca, z za gwiazd

płynącego do mnie. Posty, modlitwy, pielgrzymki do miejsc świętych, czyny miłosierdzia, policzki, dostawane od tych, do których ze słowem Chrystusa szedłem, to wszystko przynosiłem w darze Bogu mojemu i... widziałem nicość tych ofiar, ich małość okrutną. Zrodziło się we mnie nieprzemожone pragnienie męki, by módz dorównać tym wszystkim, którzy, klęcząc dziś przed tronem Przedwiecznego, pokazują piersi rozdarte, stopy skrwawione, uśmiech duszy zwycięskiej nad nędzną powłoką ciała. Ale tej łaski odmówił mi Pan. Żyję wśród was szczęściem aniołów, a niemocen, jak dziecko, jestem. Pochyliliście czoła smutkiem ciężarne, żeście nie mogli rozświergotanemu ptactwu milczenia nakazać... Byłem mocniejszy od was?... Lata całe uderzaliśmy ryskolem w ten mały obwód klasztornego dziedzińca, ożywczeo źródłu chcąc dostać, a żaden nie wyrzekł słowa potęgi: »tryśnij, źródło!«... o, małowierni! Dziś kuszę siebie i was męki pragnieniem, lecz o ile ją wzywam... dla siebie, nie chcę jej dla was!...

— Zapóźno, ojcze! — głosy się odezwały.
— Zapóźno!...

— Wzbudziłeś pragnienie, a usuwasz napój z przed ust...

- Zawiodłeś przed tron Przedwiecznego i wracać każesz?
- Błogosławiony bądź, krzyżu!
- Błogosławiony bądź, cierniu!
- Błogosławiona bądź, męko!

Wypowiedzieli mnisi wszyscy ten wyraz straszny pod
wrażeniem słów ojca

Gwalberta, pożądającego męczeństwa, ale najsilniej zabrzmiał
głos brata

Serafina, zapanował nad głosami wszystkimi, aż echa zbudził,

i choć już cisza zapanowała, zapadło za kolumny echo jedno,
ciche, omdlałe,
konające:

— Błogosławiona bądź... męko!

Cisza!...

Powoli wysunęli się bracia wszyscy z krużganków do cel
swoich, pozostał tylko

Jan Gwalbert i o filar kamienny oparty brat Serafin. Błądą
miał twarz, oczy
przygasłe.

Niebo mieniło się opalem. Gdzieś za murami klasztoru senne
zachodziło słońce.

Zbliżał się wieczór parny; jednej kropli rosy na liściach nie
było, trawa sucha

szeleściła pod stopami. Rozpalone mury wyziewały gorąco,
brane od żaru

słonecznego przez dzień cały. Mały dziedziczny klasztorny
przemienił się w piec

hutniczy, w którym tylko-co ogień przygasł. Duszno było,
piersiom brakło tchu.

Jan Gwalbert zbliżył się do cysterny, umoczył palce i skropił czoło, ale chłodu ożywczego nie czuł. Obejrzał się i dostrzegł brata Serafina, wspartego o balustradę, z pochylonemi ramionami, patrzącego przed siebie oczyma smutnymi.

— Bracie Serafinie! — odezwał się przeor. — Weź dzbanek, pośpiesz do źródła i przynieś mi chłodniejszych kropeł parę, bym mógł czoło orzeźwić a ugasić pragnienie. Tą wodą nie sposób!... Jak grzana! Wołany, postąpił kroków parę, pochylił się przed ojcem Gwalbertem i szepnął głosem stłumionym:

— Ojczy!...

Czy nie rozumiał, czy nie chciał zrozumieć stary przeor, że jakąś prośbą błagalną zadrżał głos brata, bo raz drugi rzekł:

— Pośpiesz do źródła i przynieś mi kilka kropeł wody chłodniejszej.

Brat Serafin na klęczki się osunął i szepnął znów:

— Ojczy!...

— Zwiesz mnie ojcem, a obcem ci jest posłuszeństwo syna — dość ostro

odpowiedział Jan Gwalbert.

Skarcony podniósł się szybko, wziął stojący na brzegu cysterny dzban mały i skierował się ku furcie. Ale zatrzymał go głos przeora.

— Czy uważasz, jaka cisza w powietrzu — mówił, wodząc oczyma dookoła. — Ni liść

zaszumi, ni wiatr zakołysze wiotkiami gałązkami powoju,
umilkły nawet wesołe
ptasząt świergoty. Kto im milczeć rozkazał i trzyma w takich
kARBACH
posłuszeństwa, że o tej godzinie dnia nigdy głosu ich nie
posłyszysz? Moc
nieznana, potęga tajemnicza, której słuchają globy światów,
krążących w
przestrzeni, wichry w łonie chmur śpiące i te wróblęta małe...
Raz na zawsze
słuchają!... Czemże przy niej nasze rozkazy, nasze czynienia,
nasza wola?...
Zamyślił się.
— Idź, synu! — szepnął po chwili. — Pierś mi wysycha z
pragnienia.
Lekko otworzyła się furta i przymknęła.
Z wieży kościelnej uderzył dzwon na Anioł Pański.
Jan Gwalbert podniósł czoło ku niebu.
— Ostatni już raz mi grasz, dzwonku srebrny, ostatni raz! —
szepnął. —
Zakołyszysz się jeszcze sercem śpiewaczem jutro... przed
świtem, lecz nie
dokończysz piosenki!... Spełni się szal mojej duszy,
pragnienie męczeństwa;
spełni się wola Twoja... Święty! Święty! Święty!...

Usiadł na brzegu cysterny, ocierając gorący pot czoła, i czekał
powrotu brata
Serafina.
Po lekko pochyłym a kamienistym wzgórzu biegła wydeptana
ścieżyna do źródła.

Spadzistość ta, poprzerywana opadem deszczów ulewnych,
kończyła się łąką
kwiecistą, rozciągającą się hen, ku wzgórzom, ku lasom
dalekim. Gdziegdzie
snuły się dymy, znak chaty wieśniaczej, ukrytej wśród
gęstoliścia; gdziegdzie
błysnął koral pasterskiego ogniska i tajemniczo migotał z
oddalenia. Dużo było
kwiatów i zieleni dużo, rozsianych na tym pagórku
klasztornym; czerwieniały
wrzosa, bujnemi kępami tu i owdzie rozrzucone; silny zapach
cząbrów przesycił
powietrze; gdziegdzie biały wychylił się rumianek.
Nad nim, tylko nad nim z kwiatów wszystkich zatrzymał się
na krótką chwilę brat
Serafin. Zdawało się, że chciał się nachylić i zerwać ten kwiat
marny; ale coś
go w spełnieniu tego niewinnego pragnienia wstrzymało:
ominał kwiat śnieżny, na
piersi znak krzyża świętego położył i przyspieszonym krokiem
podążył ku źródłu.
Za nim klasztor, przed nim świat zielony i krwawe oko słońca,
rozpryskujące się
za lasami dalekimi w gorącą czerwień ognia.
Urwisko, skała i cichy plusk źródła.
Brat Serafin powiódł oczyma dookoła.
Pustka... cisza...
Przy źródle nie było nikogo, chwiało się tylko parę ciemno-
szafirowych ważek nad
szybko płynącymi strugami; źródło dzwoniło, błyskało, jakby kto
garściami złoto
sypał na kryształ ruchomy, i wił się, szemrzał i coraz niżej,
niżej malutkimi

kaskadami spadał.

Ach! z jakąby rozkoszą usiadł w tej chwili na pierw-

szym lepszym odłamie skały i pozwolił snuć się marzeniom;

ach! z jaką rozkoszą

patrzyłby na czar zachodu słońca, na rozżarzony ogrom tego

globu, a za światy

zapadający, na jego skon powolny, na pożar chmur, na

pierwsze przyjście

zmierzchu i gwiazdy pierwszej błysnięcia, na pierwsze

spojrzenie księżyca i

podniesienie się piersi własnej ku niemu! Cisza... i samotność,

samotność i

cisza, tylko pajaków szmer, brzęk owadów, wydłużające się

cienie kępek

wrzosowych, woń cząbrów, śnieg rumianków i coraz wyżej,

wyżej, płynący przez

błękity księżyc. Aż zachwiał się, takie go ogarnęło pragnienie

marzeń.

Lecz czasu nie było na oddawanie się marzeniom, na ten sen

duszy, dopominającej

się o szczęście ziemskie. W dziedzińcu klasztornym, siedzący

na brzegu cysterny

czekał nań przeor stary, by spocone czoło ochłodzić, zgasić

pragnienie.

Pochylił się, dzban napełnił i kroki ku klasztorowi obrócił.

Nadaremnie cząbry i

rumianki zatrzymać go chciały, zabiegły drogę, zdawały się

mówić: stój! stój!...

Szedł pośpiesznie, jakby uciekał od pokus nań czyhających,

choć jakiś dziwny

płacz go dławił, pierś ścisnął żal niezmierny. Czuł, że gdyby
na jedną chwilę
się zatrzymał, zawrzałyby bunt w duszy jego. Na głos więc
zaczął szeptać
pacierze, by zagłuszyć serca własnego wołanie.
Dochodził już do furty, gdy u jednej ze ścian bocznych
kościoła, złamał się cień
postaci kobiecej. Wzniesione ramiona zdawały się obejmować
mury świątyni, oczy
patrzyły w niebo, okrywające się powoli szatą zmroku.
Mnich zadrżał, aż dzban wypadł mu z ręki.

Pochwycił go szybko.
Dziwne!... nie uрониł jednej kropelki wody.
Zatoczył się, jak pijany, i szybko dopadł do furty. Jan
Gwalbert czekał, siedząc
na brzegu cysterny.
— Pić! pić! — zawołał, wyciągając ręce do śpieszącego ojca
Serafina.
Wychylił dzban cały.
— Jeszcze!...
— Nie mogę, ojcze, nie mogę!...
Jęk, płacz wypadł z piersi młodego zakonnika... i runął do
kolan starca i
drżącymi wargami zaczął stopy jego całować.
— Co tobie? co tobie? — spytał Jan Gwalbert, zdziwiony tym
upadkiem nagłym i
pocałunkami tymi.
— Winowajca, grzesznik, nic nie wiedzący o grzechach
swoich — zawołał brat

Serafin. — Ty mi otwarłeś oczy i rzuciłeś strach w pierś moją;
zrozumiałem
teraz, dlaczego żaden z braci moich mocy nad ptactwem
świergocącym ani nad skałą
martwą nie ma!... Grzech błąkał się wśród was i tamował wam
drogi do świętości.

Uderzył się w pierś.

— Mea culpa! mea culpa! mea maxima culpa!

— Podnieś tarzające się w prochu czoło, bracie mój najmilszy,
i grzech swój
wyznaj! Dziś jest dzień łaski i przebaczenia, bo jutro... dzień
sądu!

Brat Serafin spojrział w twarz starca.

— Co tak patrzysz? — spytał Jan Gwalbert.

— Jak dziwnie głos twój załamał się, ojcze!

— Kazałem, by bracia wszyscy zebrali się w refektarzu. Za
chwilę pójdziem i my.

Będzie to noc bezsenna, noc strachu i pokuty, noc... śmierci!

Dreszcz przebiegł po ciele słuchającego.

— Spokojnie, mój synu, spokojnie! — ciągnął Jan Gwalbert.

Zbiorą się wszyscy i

usłyszą tam słowa moje, słowa wagi niezmiernej... A teraz...
spowiedź!.. Zbliź

się! Ręce na kolanach moich, głowę na pierś mą połóż i
mów... Słucha cię ojciec!

I brat Serafin położył głowę na pierś ojca i cichym, urywanym
głosem, szeptał:

— Oskarżyć chcę siebie, bezlitośnie własnymi trzewiami
zatargać, aż do krwi, aż

do ryku męczeństwa, a serce moje, to grzeszne serce moje
wstrzymuje krzyk,
wstrzymuje ból i bije cicho, cicho, nieczułe, spokojne, jakby
było poza obrębem
tej męki. Bóg je otulił, czy szatan opętał, ja nie wiem, ojcze!...
ja nie wiem!

... Przesząpił próg naszej świątyni kwiat śnieżny, jak go sam
nazwałeś, ojcze!

Pochylił czoło pod wodę chrztu, uwierzył w Boga naszego, w
piękno naszej wiary,
w świętość dusz naszych... Na imię mu jest... Biruta! »Gołębiu
mój!« mówiłeś do
niej, ilekroć w tajemnicy przed ludem pogańskim przechodziła
progi tego

kościola. Kwiat nie grzeszy, gołąb jest symbolem Prawdy...

... Trzydziestu nas jest braci zakonnych, jam najmłodszy.

Możem dlatego ostatni

przychodził i ostatni odchodził od źródła, wylewając do
cysterny dzban swój,

wody pełen. Taki rozkaz był twój, ojcze!... spełniałem wolę
twoją. O tej

godzinie zmierzch spływa, źródło jest samotne; nie zaskrzepi
żwir pod stopami

nóg bosych, nie pochyli się ku strudze dłoń niewieścia... Może
dlatego... ty...

ja nie wiem!

... Miesiąc temu spotkałem Birutę przy źródle. Widywałem ją
dotąd w kruchcie

kościelnej, w drzwiach

zakrystyi, przy kratkach konfesjonau... a teraz tam... Brała wodę u stoku, tak samo, jako i my...

..Znasz źródło to, ojcze! te szare kamyki, które, płynąc, potraça; jednostajny, cichy szmer znasz zdroju...

...Klnę się na ziemię i niebo, widziałem cud!

...Zdrój płynął kryształem... w szmaragdy, rubiny i topazy kamienie się zmieniły. Zdrój nie szemrzał, lecz śpiewał. Słyszałem pieśń ojcze! przysięgam na nieśmiertelną duszę moją, słyszałem pieśń! Zdrój śpiewał: Ave Maria!..

... Postawiłem dzban na skale.

... Usiadłem.

... Biruta u kolan moich, w moje zapatrzona oczy...

... Przyszły mi na myśl odwiedziny Chrystusa domu Maryi i Marty... przed dniem męki.

...O! świętaś ty, Ewangelio! za zapisanie tej najpiękniejszej chwili z żywota Boga.

... Tak pomyślałem.

...Zaszło słońce...

...Nowy cud!

...Tak pięknego zachodu nie widziałem nigdy!... złoto, złoto i złoto... z dali wiatr przybiegł, czoło mi owiał, warkocze jej rozdzielił... położył na usta moje...

... I nowy cud!

... Upojenie, czar wniebowzięcia poczuła dusza moja, nieznanego szczęścia

rozkoszy, pełnie wieczności!

... Mówiłem jej o Marcie i Maryi, o tej lepszej części,
wybranej przez nią.

... Zmierzch.

... Czas powrotu.

... Wypełniłem dzban wodą i rozstaliśmy się ze słowami :

— Do jutra!

... Gdym odchodził, powłókł się za mną smutek. Gość oderwało
się od duszy mojej,
jakby... szczęście!... a później przyszła tęsknota, łagodzona
tylko czarami

snów, marzeniami spotkania u źródła. Dziwiłem się tęsknocie,
nie dziwiłem się

smutkowi mojemu: ziemia płacze ros łzami, gdy słońce
zajdzie; duch ludzki

cierpi, gdy odlata anioł od niego. Tak rozumiałem tęsknotę
moją, smutek mój.

... Spotykaliśmy się codzień, dwa duchy, dwa sny, dwa anioły,
coraz lepsi,

doskonalsi, Bogu bliżsi...

... I wczoraj tak było.

... A piękniejszy, niż zwykle był zachód słońca, a słodszy
jeszcze oddech

wieczora, niby aniołowych skrzydeł wiew. Patrzyliśmy na
słońce, myśl nasza w

zaświaty płynęła; tylko imię: Bóg! było na ustach naszych, a
w duszach niebo, a

w sercu śpiew, niebieskich sfer śpiew!...

... Patrzyliśmy w słońce, tonęliśmy w słońcu.

... Wiem, że jej głowa wsparta na piersi mojej była, że dłoń
moja na jej
wpółobnażonym ramieniu spoczywała, lecz była to pierś brata,
ramię anioła... Nic
z ziemi, nic z ziemi w tym naszym uścisku nie było!... klnę się
na krzyż, na
czystość moich i jej marzeń!
... I oto runęło wszystko... tyle szczęścia! tyle szczęścia!...
Głuche łkanie przerwało słowa spowiadającego się, ale
wzmógł się i tak dalej
mówił:
— Wierzyłem w niebo, wierzyłem w piękno, w niepokalaność
myśli moich, w czysty
oddech mej piersi, w anielskość życia... A oto z ust twoich
dziś słowa padły:
»dziwne są poszepty szatana, dziwne czynienia jego!... nieraz
wskazuje niebo, a
czar ziemi sypie na oczy; od-

dech nieskończoności piersi daje, a do serca napędza krew,
dech wstrzymującą« .
I wypadł krzyk z mej piersi, przerażenia krzyk! Niebo moje
było czarem pokus
ducha złego, płynęło z ziemi, wiodło do ziemi; oddech
nieskończoności,
wstrzymujący tchnienie mej piersi, krwi dziełem. Tak
powiedziałaś ty, świat
znający! I oto leżę u stóp twoich, winowajca, grzechu swojego
nieświadom. O!
(załkał) jak mi szerniała ziemia, jak daleko Bóg odszedł ode
mnie!

Niepowstrzymany szloch poruszał pierś męczennika.
Jan Gwalbert dotknął usta bladego czoła mnicha.
— Nie spowiedź to była — szepnął — lecz łabędzi śpiew
twojej duszy. Jeżeli w
zachwytach twoich, w tem bezwiednem położeniu ręki na
ramieniu kobiety nie było
dłoni szatana, skała powinna się rozewrzeć, boć mi czystszy
jest od duchów
najczystszych!
Położył dwa palce na skroni ojca Serafina, cichy szept
modlitwy zabrzmiał w
powietrzu i znak skończonej spowiedzi.
Zmierzch zapadł.
Jan Gwalbert krokiem poważnym do refektarza się udał, brat
Serafin posunął się
za nim.
— Jeżeli!... — szepnął. — O, na coś mi tem: jeżeli! zburzył
świat szczęścia,
pogrążył duszę w niepewność! W »jeżeli« jest zwątpienie, a
jam był pełen
wiary...
Szedł wolno śladami stóp przeora, zmęczony, chwiejący się, z
opadłemi ramionami, z
wiarą złamaną, z ogromną próżnią w duszy, pod brzemieniem
rozpaczy głuchej.
godzinie, naznaczonej przez przełożonego klasztoru,
szmerem cichym wypełniły
się korytarze wszystkie. Otwierały się cele, wysuwały się
postaci czarne i
ginęły w mroku szarym. W jednej tylko niszy, przed

krzyżem Zbawiciela płonąła lampa oliwna; światel innych nie
było, bo zbliżała
się noc jasna, miesięczna, a promienie księżyca przez górne
już zazierały okna,
i na przeciwległej ścianie rysowały kwadraty szyb i
rozpraszały ciemności. Cień
jakieś gałązki chwiał się na tem tle srebrzystem; widocznie,
że lekki wiatr
gdzieś polatał i trącał wiotką łodygą drzewka. Cisza była,
mącił ją tylko cichy
szelest stóp bosych.

Z dziwnem niepokojem w sercu schodzili się do refektarza. Z
ust przeora miało
paść słowo wagi wielkiej. Tajemniczość wezwania,
poprzedzona męki pożądaniem,
dziwnie oddziaływała na braci. Stali przed progiem zagadki,
nieznaną trwogą
przejęci. Serca ich biły mocno, tak mocno, że głuche, ciche
kołatanie
rozchodziło się w pustce dużego refektarza. Rzekłbyś, że w
starych sprzętach
pracują owady, kołatkami zwane, a to zegary ich piersi tak
kują, nie zatrzymane
żadnym wysiłkiem woli.

Był-że to strach?

Nie!

Oni nie znali strachu... Tylko ta cisza klasztoru, szelest stóp,
rozchodzący się
po korytarzach, zbliżająca się godzina tajemnicy jakiejś, to coś
niewiadomego
zapierało im dech w piersi, a tętno serca przyśpieszało.
Ze wszystkich cel wysuwały się cicho postaci mnichów; nie
mówiły nic, o nic nie

pytały, do miejsca wskazanego kierując się wszystkie. Jeden tylko ojciec Serafin ku ziemi czoło schylone miał, ramiona pochylone, wzrok przygasły.

Refektarz był duży, o półgotyckim sklepieniu, ozdobiony malaturami świętych

Pańskich. Dookoła ścian obiegały stoły i ławy drewniane; trzy okna podłużne obfite

dawały światło. W tej chwili księżyc przez nie patrzył i siatkę ram rzucał na podłogę kamienną.

Zeszli się wszyscy i czekali w skupieniu na przyjście ojca Gwalberta. Brat

Serafin na samym końcu za nimi stanął, o ścianę wsparł się, w półmroku

zanurzony. Ojciec Gwalbert nie przychodził. Widzieli go leżącego krzyżem,

rozciągniętego przed Wielkim Ołtarzem. Pot krwawy z czoła mu spływał i dużymi

kroplami spadał na zimny kamień posadzki kościoła. Czekali długo. Wreszcie dały

się słyszeć kroki. Stanął w drzwiach i spojrzał po zgromadzeniu.

— Wszyscy jesteście? — spytał.

— Wszyscy — odpowiedzieli.

— Bóg z wami.

— I z duchem twoim — zabrzmiało w okół. Postąpił.

W miesięcznym świetle stanął.

Oparł się dłonią o stół i po chwili milczenia rzekł:

— Czy jesteście gotowi na śmierć?

Ciche, urywane wypadło z ust zakonników:

— Jesteśmy...

Wśród słów tej odpowiedzi nie było słycać śpiewnego głosu brata Serafina.

Ojciec Gwalbert tak dalej mówił:

— Wczoraj wieczorem, po wyjściu już wszystkich modlących się ze świątyni Bożej,

przed samem zamknięciem drzwi kościelnych, gdym sam pozostał i siedząc w

konfesyjale spowiadałem się Panu z grzechów i przewinień moich, ktoś zbliżył

się do kratki spowiedniczej. Posłyszałem nie klęknięcie lecz upadek, nie szept,

lecz jęk. Pochyliłem ucho. Schwysałem pierwsze słowa... i poznałem po głosie...

była to Biruta!

Na te słowa ojca Gwalberta nie poruszył się nikt z braci, a szmer dziwny

potrącił ciszę refektarza. To brat Serafin zachwiał się i uderzył czołem o mur.

— To, co mi powiedziała — ciągnął przeor — jest tajemnicą spowiedzi dla mnie i

dla was. Spowiadała się przede mną, widząc we mnie was wszystkich, braci zakonu

świętego Franciszka, i przed wami kazała powtórzyć tę swoją spowiedź nie

spowiedź... Wolę jej spełniać!...

Tchnął głęboko i podniósł głos.

— Słuchajcie, a wzmóście się na duchu, by nie powiedzieli ci,
do których ze
słowami ewangelii idziemy, że blady strach z oczu nam
patrzy, gdy za prawdę słów
naszych umrzeć potrzeba; że mówiąc o śmierci, dającej żywot
wieczny, boimy się
śmierci! Słuchajcie!... bo oto zbliża się dzień próby naszej
wiary, naszej mocy.
Przy pierwszym uderzeniu dzwonu na jutrznię, stary Dowkont,
ojciec Biruty, ma
napad uczynić z towarzyszami swoimi na dom nasz cichy.
Umilknięcie tego dzwonu
ma być hasłem napadu na inne świątynie; umilknięcie tego
dzwonu będzie znakiem,
że mord się udał, że nie masz już ręki żadnej do poruszania
serca jego. Potrzeba
czynu, by tłum poruszyć, ten biedny, ciemny, zmęczony
niewolą tłum. Dowkont,
kapłan najwyższego upadającego pogaństwa Litwy, tego
krwawego ma dokonać czynu.
Dzwon umilknie, i dopełniona zostanie rzeź wszystkich sług
Bożych, nim słońce
zejdzie, gród się obudzi. Nie nam zawiadamiać o tem dwór
wielkoksiążęcy i pod
opiekuńcze skrzydła pogańskiego króla się udawać; nie nam
zdradzać tajemnicę
spowiedzi i braciom naszym w Chrystusie rzec: »strzeżcie
się!«... Orężem naszym
jest moc ducha, wiara, że przez męczeństwo i śmierć zdo-

bywa się żywot wieczny, zwycięstwo się odnosi. Pan w
bezgranicznej łasce swojej
wielkie dziś na nas posłannictwo zsyła; krwią naszą musim
zatrzymać mord,
męczeństwem uratować braci klasztorów innych.
Spojrzał po zgromadzeniu.

Była chwila milczenia. Potem tu i tam odezwały się głosy:

— Gotowiśmy, ojcze, na wszystko!

— Na śmierć...

— Na mękę...

— Lecz jak ta śmierć i męka nasza uratują nic nie wiedzących
od zguby
niechybnej?

— Dzwon nie może umilknąć — rzucił odpowiedź Jan
Gwalbert.

Szmer niezrozumienia przebiegł przez szeregi braci zakonnej;
Jan Gwalbert tak
dalej mówił:

— Sznur wieżycy do wnętrza kościoła spływa przy drzwiach
zakrystyi. Na hasło
milczenia będą czekały tłumy, ukryte w zaułkach miejskich i
ogrodach. Pod wodzą

Dowkonta trzech tylko wykonawców zamierzonego mordu tu
wejdzie: Kinżgajło,

Zwinbut i Trump. Zbierzemy się wszyscy w zakrystyi...

Każdy z nas po kolei ma

ić, za sznur chwycić, dzwon poruszyć... i paść!... Nim runie
ostatni, gród się

obudzi! Trupy nasze zawałą kościół, lecz inni bracia
uratowani będą. Śmierć

nasza przerazi tłumy, w zwycięskiej chwale stanie krzyż!...

Dzwon nie może
umilknąć...

— Amen! — zabrzmiało.
— Potrzeba odwagi i spokoju.
— Będziemy mieli, ojcze!
— Kto pierwszy za sznur pociągnie?
— Ja! — dał się słyszeć głos ojca Serafina.

— Chciałem być pierwszy — rzekł przeor — dać przykład wam, jak łatwo jest umierać. Z ust mi wyrwał się ten okrzyk, bracie Serafinie!...
— Dlaczego ty masz najpierwszy dostąpić łaski męczeństwa?
— odezwali się mnisi.
— Pierwszym powiedział.
— Mówiąc, żeś pierwszy powiedział, to jakbyś rzec chciał, żeśmy się zawahali że usta nasze związał strach śmierci?... Tak nie było, nie było!
— Nie chciałem wam ubliżyć, bracia!... ale żem pierwszy rzekł, tak niech będzie!
— Nie! nie!... — odezwało się wokół.
— Los niech rozstrzygnie, w którym rękę Boga zobaczymy, kogo On z nas wybierze na wykonawcę woli Swojej.
Pomiędzy zakonnikami gwar powstał.
— Losy! losy! — wołano ze wszech stron.
— Dajcie mnie pierwszeństwo w tej śmierci!... — prosił brat Serafin.
— O tobym i ja was prosił... dla siebie — odezwał się przeor. Ale wśród gwaru zginął głos ojca Gwalberta. Żądza śmierci męczeńskiej, pragnienie ujrzenia co najprędzej chwały niebios tak ogarnęły braci wszystkich,

że obaj przodownicy musieli ustąpić przed wolą większości.
Spisano kartki, na
każdej z nich położono imię zakonnika i w trąbkę zwinięto.
Na stole zaśnieżyło
się od trzydziestu zwitków pergaminowych, i zwrócono się do
przeora, by ciągnął.
— Wola wasza — rzekł przeor, zbliżając się do losów, które
przesiał przez palce
— a teraz...
Przeżegnał śnieg kartek.

— Wola Boga...
I sięgnął po jedną z nich.
— Ja!
— Ja!... — tu i tam padło.
Płoneły oczy żądzą zdobycia losu, jakby tu nie o śmierć szło,
lecz o
najcenniejszy klejnot ziemi.
Ojciec Gwalbert stanął w świetle miesięcznym i wybraną
kartkę do oczu przyłożył.
Była chwila oczekiwania, drżenia serc, zaparcia się tchu w
piersiach.
— Brat Serafin — padło z ust ojca Gwalberta. Głowy
wszystkie zwróciły się do
Bożego wybrańca i nisko pochylły się przed nim.
Błady był, bez gwiazd w oczach, które świeciły w źrenicach
braci,
Pokłonem za pokłon odpowiedział, szepcząc:
— Stanie się wola Twoja, Panie!... spełniony zostanie rozkaz
Twój!

Losy ciągniono dalej.
Trzeci padł na ojca Gwalberta.
— Jeżeli nie pierwszy, wołałbym ostatni być — rzekł przeor
— bo lękam się grozy,
by nie wytrąciła sznura z rąk waszych, gdy za trupem trup
padać będzie, a dzwon
zamilknąć nie może. Ale inaczej chciał Pan niebios, spełni się
wola Jego. A
teraz, bracia! — do otoczenia się zwrócił — ostatni pocałunek
pożegnania,
ostatnia modlitwa wspólna, spowiedź powszechna i... noc
bezsenna i hart
ducha!... Pamiętajcie! dzwon nie może umilknąć. O zwykłej
godzinie drzwi
kościelne otworem staną. Nie wolno na wrzeciądze zamykać,
zdradzilibyśmy
tajemnicę spowiedzi.
W wielkim skupieniu ducha udali się bracia do kościoła. Nie
zapalono świec,
jedna, jedyna lampka tylko

płonęła przed Najświętszym Sakramentem. Nie śpiewano, bo
o tej godzinie śpiewów
nigdy nie było, tylko szept spowiedzi powszechnej rozchodził
się w mroku
świątyni, tylko dusze tonęły w ekstazie, przejęte blizkiego
męczeństwa
szczęściem.
Północ.
Miasto pograżyło się w śnie.

Straż grodowa przebiegła ulice, ale nic nigdzie nie zamąciło
spokoju

mieszkańców, jakieś tylko postaci tu i tam w wązkich
zaułkach zapadły, w

ogrodach poruszyły się krzewy, i cisza! Ale czy nie mógł
wiatr przebiec,

potrącić liści drzew, zapaść w krzewy i usnąć? czy nie mógł
przez ciemne zaułki

uśpionego miasta spóźniony przechodzień się przesunąć, a
widząc straż

nadchodzącą, z drogi jej zejść!

Straż przeszła...

Wiatr znowu drzewa i krzewy poruszył, z zaułków wysunęły
się postaci ostrożnie i

rozsypały się gdzieś w mrokach nocy.

W domu Dowkonta panowała cisza. Zdawało się, i że sen
swoje dobroczynne skrzydła

rozpostarł, mocarz wszechwładny. Ale ani Krewe-Krewejte,
ani Biruta nie poddali

się władzy jego.

O samej północy cicho otworzyły się drzwi do pokoju
arcykapłana i trzy ostrożne

wsunęły się postaci. Choć izb dwie oddzielało izdebkę Biruty
od mieszkania I

ojca, czujne ucho dziewczyny posłyszało szelest szat,
ocierających się o ławy,

stapania kradzione, stłumione szepty. W narzędzie tortur
zmieniło się jej łoże

dziewicze, mary straszliwe wypełniły niewielki obszar
komnatki, a serce ogarnął

szal przerażenia. Zrywała się co chwila z pościeli,

nasłuchując, czy nie bije

dzwon franciszkań-

skiego kościoła. Wiedziała, jak ma być, i dreszcz ją potrzasał i strach obielął
lice, największym wysiłkiem woli, nieodpędzony... strach!...
Ale do świtu daleko
jeszcze było... dzwon milczy, tylko do jej słuchu dolata z izby
ojcowskiej szept
cichy i ostrzenie żelaza o brus kamienny.
Okropna noc, okropny ten zgrzyt stali, w tej nocnej
rozchodzący się ciszy!
Dowkont posepny był. Patrzył wzrokiem ponurym na
siedzących naprzeciw Kinżgajłę,
Zwinbuta i Trumpa, którzy mieli stanąć na czele tłumu i
czekać hasła, a on z
dobraną drużyną wiernych przestąpić próg franciszkańskiego
kościoła i dzwonom
wydać rozkaz milczenia.
Nie znalazł takich.
— Idź ty, wyrwij serce dzwonowi, we krwi miecz unurz, a
wtedy pójdziem!
Zmęczone serca, zmęczone dusze niezdolne już były do
czynu.
Dowkont, starzec zgrzybiały nie mógł sam zamierzonego
dzieła dokonać. Tłumy,
przybyłe na pogrzeb kiejstutowy, rozproszyły się jak mgła.
Została tylko garstka
malutka, mówiąca mu:
— Idź ty, w krwi miecz unurz, a wtedy pójdziem!...
Kazał im przysiądz.
Przysięgli.
Wiedział, że nie skłamią przysiędze.

— Towcigin mnie, ja ich pobudzę do czynu. Nie jesteś ty ostatnim ofiarnikiem Litwy — szeptał. — Pójdę ja, za mną inni. Chcą przykładu. Przypomnieć im potrzeba, jak się za bogów swoich umiera! Wstrząsnął się.

— Nie!... jak się za bogów żyje... śmiercią innych— dodał. Z Kinzgajłą więc, Trumpem i Zwinbutem miał uderzyć na klasztor. Dzwon umilknie, a wtedy sprzysiężeni wysuną się z labiryntu ulic, z cieniów ogrodów i rozniosą pożogę i rzeź.

— Pewni są? — pytał Dowkont przybyłych.

— Pewni, byleś ty się nie cofnął.

— Ja?... cha-cha-cha! — zaśmiał się Krewe-Krewejte. —

Mienie, życie, krew moją

za Litwę oddam, a wy mówicie o zaniechaniu podjętego przeze mnie zamiaru.

Piorunem tylko działać potrzeba, by dzwon przed pierwszym dnia brzaskiem umilkł,

by uprzędzić przebudzenie się grodu. Gdy tłum roszaleje, wtedy z ruchem mas i

sam kunigas liczyć się musi; załoga zamkowa odmówi posłuszeństwa Niemcowi, trup

Hankiego zakołysze się na wrotach, wydane będzie hasło ogólnego powstania...

Litwy kiejstutowej — dodał z naciskiem.

— Czy tak? czy tak? — zawołali trzej spiskowcy.

— Mam pewne wieści.

— Skąd?

— Byłem tam...
— Na grodzie?
— Na grodzie.
— Więc i tam czekają tego umilknięcia dzwonu?
— I poruszenia się tłumów.
— Aa!...
— Byleby w chwili czynu strach ich nie owiał.
— Pewni są, jak myśl nasza, którą na słowa i wyrazy rozkładamy.
— Tylko — szepnął Kinżgajło.
Urwał.

— Zachwiałeś się — rzucił Dowkont.
— Nas trzech, ty czwarty... a mnichów trzydziestu jest...
— Bezbronni — mruknął Krewe-Krewejte.
— Silny być może ich krzyk.
— Sen będzie na oczach miasta, przytępiający słuch. Zresztą nam idzie o ucięcie ręki, dzwon poruszającej. Niech wtedy walczą, ciskają świeczniki i kadzielnice.
Tłum wpadnie do milczącego kościoła, a wtedy wodzami my.
Tegom chciał tylko.
Umilkli.
Zdawało się im, że gdzieś otworzyły się drzwi cicho, że szmer jakiś przewiał przez korytarze.
— To wiatr! — szepnął Dowkont.
— To wiatr — odpowiedzieli.
— Krzew leszczynowy uderza o mur domu, ociera się o ściany — dodał Dowkont.
Otworzył okno.

— Spójrzcie!
Drzewa i krzewy kołysały się lekko.
— Heroldy świtu — rzekł Trump.
— Przedświtu — poprawił Krewe-Krewejte.
— Jaka cisza!...
— Od wschodu ciepły wiatr płynie — zauważył Zwinbut.
— Bacność! za chwilę posypią się perły dzwonurzekł
Dowkont.
Nie mówili już nic, tylko słuch wyteżyli, tylko dotknęli
palcami rękojeści
nożów.
Noc... sen...
Szmer liści stawał się coraz silniejszy.
Nagle z miejsc się porwali.

Dzwon uderzył... srebrzysty dźwięk sygnaturki rozperłał się w
ciszy powietrznej.
— Czas, czas! — zawołał Dowkont.
Rzucili się w drzwi i zanurzyli w mroki murów miejskich.
Dzwon grał, sypał perlami dźwięków, kołatał szybko, szybko,
zdawało się, że
szybciej, niż zwykle.
Niebo usiane było gwiazdami.
Na modlitwie i spowiedzi przepędzono noc całą w kościele
franciszkańskim.
godzinie trzeciej otwierano drzwi świątyni, i sygnaturka
odzywała się z wieży,
jako zwiastunka rozpoczynającego się nabożeństwa. W końcu
sierpnia już słońce
marudzi i wstaje późno, lecz nie zmieniano reguły zakonnej.
Dzwon się odzywał,

rozpoczynała się pierwsza msza cicha i śpiew po niej, do dnia białego trwający.

Prawie nikt z wiernych nie zachodził o tej godzinie do kościoła, bo wiernych było jeszcze mało, a i taka garstka wyznawców Chrystusa wołała przy blasku słońca przestępować próg świątyni, by wolną być od ponocnego napadu nieprzyjaciół wiary nowej. Pusto więc bywało w murach kościelnych, tylko szept modlitwy sług, wiernych Panu, rozchodził się, w ciszy brzmiał ich śpiew ofiarny, a tęcza światła, bijąca od ołtarzy, rozpraszała ciemności. Drzwi stały otworem i łatwy przystęp mściwemu dawały tłumowi. A jednak powstrzymywał go zabobonny strach jakiś. Gdy podczas nocy drzwi każdego domostwa zaopatrywano we wrzeczadze i kłody, a na straży stawały psy, topory i dzidy, ci mnisi bezbronni, bezopiekunni, z całą bezczelnością odwagi, otwierali na ścieżaj wrota domu swojego, zapalali świece, oddawali się modłom tajemniczym, śpiew dzwonów na senne rzucali miasto, u drzwi nie

stawiali straży żadnej, nie pytali przestępującego próg ich wędrowca: dlaczego wchodził? lecz witali go pochyleniem głowy, nie przerywając modłów ni pieśni,

silni jakąś mocą nieziemską. Zbój nocny, kryjący się w
zaułkach miejskich,
złodziej, podważający drzwi zamkniętego domostwa, do tego
domu, stojącego
otworem, zajrzeć się nie ważyli; nie mnich bezbronny drogę
im tam zajdzie, lecz
skrepuje ich stopy jakieś przemożne, a niewidzialne
czarnoksiężstwo tych ludzi, z
taką śmiałością bezczelną urągających nocy zdradzieckiej. I
dziś, tak jak
zwykle, otworzyły się o godzinie naznaczonej drzwi domu
Bożego i na wieżycy
dzwon uderzył. Dał hasło innym dzwonom i dzwonkom, i
gęźbą przedziwną noc
zagrała.

Według umowy zebrali się zakonnicy wszyscy w zakrystyi;
według rzuconych losów
stanęli jeden za drugim. Gdy światła zapalono, drzwi
kościelne otwarto, pierwszy
brat Serafin próg zakrystyi przekroczył i pociągnął za sznurek.
Dzwon się ozwał, zatkał, zakołatał, jakby potraçała nim dłoń
drżąca. Zrazu się
dźwięki splątały, uderzyły rytmem nierównym, jakby sercem
spiżowem niepokój
targał, ale prędko się wzmożyły, spoteężniały, sił nabrały i
rytmiki właściwej i
rozbrzmiały harmonią dźwięków. Brat Serafin poruszał sznur,
na trzy takty każde
poruszenie dzieląc: pierwszy powolny, a szybkie dwa
następne. Rytmiczny, choć
urywany, rozchodził się głos dzwonka, spadał kroplami
dźwięków, które wiatr
chwycił i niósł daleko.

Światło świec ołtarza bocznego blaskiem czerwonym padło na
twarz ojca Serafina.

Posepna była, blada, jakimś księżycowem srebrem patrząca.
Oczy szeroko

otwarte, w niebo wniesione miał, usta bólem skrzywione.
W drzwiach kościelnych cichy, ostrożny szmer dał się słyszeć.
Dzwon rytm zmylił, bo zadrżał lekko sznur w dłoni
zakonnika, ale zaraz błąd
naprawiony został, tylko silniejszy jęk spizu w ciemności
popłynął.

Postać czarna przebiegła pomiędzy arkadami chóru, otarła się
o boczne ściany
kościółka i zbliżyła się do lewego ołtarza, przy których były
drzwi do zakrystyi.

I znowu szmer, znowu ciche, ostrożne, choć ciężkie stąpanie.

Ojciec Serafin

wyraźnie słyszał kroki, kierujące się ku niemu. Bał się
spojrzeć przed siebie,
dreszcz tylko po ciele jego przebiegł, a większa jeszcze
bladość twarz pokryła.

Kroki zbliżały się, coraz wyraźniejszy się stawał tłumiony
charkot zbliżających
się morderców. Za cicho było w kościele, by można było
uronić choćby najlżejszy
oddech piersi, tem bardziej piersi, zemstą dyszącej. Ojciec
Serafin nie

opuszczał oczu, w niebo wzniesionych, dzwon coraz silniej
kołatał, choć właściwy
rytm swój zatracił.

Nagle skok, błysk... i uderzenie w pierś.

Jęk krótki zabrzmiał w powietrzu. Ojciec Serafin ręce szeroko roztworzył, na klęczki runął i czołem o kamień posadzki uderzył. To miecz Dowkonta serce jego przebił... Dzwon umilkł. — Ha! — krzyknął Dowkont, do swoich się zwracając. — Wydane hasło milczenia, pioruny teraz uderzą! Dzwon się odezwał znowu, znowu popłynął śpiew jego rytmiczny.

— Patrz! patrz! patrz!... — głosem przerażenia odezwali się spiskowcy, wskazując widmo jakieś. — Czy trupy z martwych tu wstają?! — wrzasnął Dowkont. Zwrócił się ku widmu i do strasznego uderzenia dłoń podniósł, uzbrojoną nożem, ociekającym krwią. Nagle zadrżał i w tył się rzucił. Pochylił się, wypatrzył... Głuchym charkotem pierś zagrała, w oczach przerażenie znać było i obłęd. Nad trupem ojca Serafina stała jakaś postać czarna, w sukni długiej. Oczy patrzyły w niebo; białe, delikatne dłonie ruchem miarowym poruszały sznur sygnaturki. Poważny, anielski spokój widniał w postaci całej, na piersi duży, złoty krzyż wisiał i błyskał i skrzył się w miarę rytmicznego pochylania się ducha tego, czy widma.

Dowkont patrzy, patrzy wzrastającym wciąż przerażeniem.
Trzęsą się wargi,
klekocą zęby, dłoń, uzbrojona nożem, co chwila podnosi się i
opada. Z czoła
spływa pot kroplisty.
— Krwi moja... krwi moja — jęknął.
Była to Biruta.
Zaledwie kościelne drzwi się otwarły, zaledwie dzwon
zakołysał się na wieżycy,
jak cicho przez próg skoczyła, przebiegła pod ścianami, za
boczny skryła się
ołtarz i, gdy runął, ugodzony śmiertelnie brat Serafin, za sznur
chwyciła,
nawiązując dźwięki, na chwilę urwane.
Dowkont patrzy, krwią zalanemi oczyma, pali goj ten krzyż na
piersi Biruty.
— Krwi moja... krwi moja — szepce w obłędzie. Kinżgajło,
Zwinbut i Trump
podbiegli.
— Uderz!

— Czas uchodzi.
— Grają już wszystkie dzwony kościołów!
Dowkont dłoń podniósł...
Nagle ogarnął go strach szalony.
Biruta nie poruszyła się. Ruchem jednostajnym, zapatrzona w
niebo, poruszała
sznur sygnaturki.
— Uciekajmy! — zakrzyczał.
I runął w drzwi kościoła.
Kinżgajło, Zwinbut i Trump skoczyli za oszalałym.

Dzwon grać nie przestawał.
Z wlosem na wiatr rozwianym umykał Krewe-Krewejte,
gnany jakimś strachem
niehumanym. Rozbudziły się już dzwony świątyni wszystkich, a
on słyszał tylko
dzwon jeden, bijący z wieżycy franciszkańskiego kościoła. Z
zaułków miejskich
wypadły tłumy czekającego na hasło ludu i zastąpiły mu
drogę. Groźne postaci,
miecze w rękach... a on wołał głosem obłąkańca:
— Precz! precz!...
I rzucał strach i przerażeniem swoim te tłumy rozbijał.
Zamęt, ucieczka, jakby gnał ich miecz grozy. A tymczasem
świt pobieliał niebo,
umilkły dzwony świątyni wszystkich, w każdej z nich
rozpoczęła się msza cicha,
nie milknął tylko dzwon franciszkańskiego kościoła.
Jednostajnym ruchem poruszał się sznur w rękach Biruty.
Stopy jej nurzały się w
serdecznej krwi brata Serafina. Czuła jej ciepło, zapach,
przez uchylone ucho
szmer słyszała. Dopiero, gdy fioletem osłoniły się szyby
kościoła i blask
przedświtny padł na niebo, dzwon wysunął się ze zmęczonych
rąk Biruty... i
usunęła się, jak lilia ścięta, padając na bluzgający krwią
jeszcze zewłok
męczennika.

— Wody! wody! — zawołał przeor do braci, wybiegających z zakrystyi.

Skoczyli na dziedziniec kościelny.

Jan Gwalbert pochylił się i drżące dłonie przyłożył do czoła,
do piersi

Biruty...

Czoło było zimne, pierś niema.

Nagle z pełnym wody dzbanem bracia wbiegli i zawołali
głosem wielkim:

— Cud! cud!...

Przeor głowę uniósł i spojrzał na twarze radością jaśniejące.

— Ojczy przeorze! źródło trysnęło ze skały!..

Jan Gwalbert czołem uderzył o stopnie ołtarza. Bracia zajęli
się cuceniem

Biruty.

— Ucałujcie stopy tych świętych — rzekł przeor — Pan z
nami!...

Uklękli... po chwili jeden z braci zawołał:

— Dotknąłem usty piersi tej siostry naszej i posłyszałem tętno
serca.

Biruta blade podniosła oczy. Kilka bryzgów wody ze źródła
świętego wróciło jej
przytomność i życie.

Na dziedzińcu klasztornym, z odłamu skały, do której
przytykał mur klasztorny,
sączyła się struga chłodna. Osiadły ją wnet wróble i
świergotały wesoło.

Słońce zeszło.

A Krewe Krewejte dopadł domu swojego i rzucił się na łożo.

Przerażone tłumy

ucieczką arcykapłana uciekały w popłochu, jakby za nimi
pędziło wilków stado

Nikt nie obejrzał się, nikt nie zapytał umykających, dlaczego
tak pędzą, jaki

ich strach wygnał z murów kościoła, z którego szczytu ruchem
rytmicznym,
spokojnym uderzał tak dobrze im znajomy, srebrzysty głos.

dzwonka. Gród spał, ulice były puste, szarość nocy zalewała
świat jeszcze cały,
a oni gnali przed siebie. Mijali wrota domów własnych,
przesadzali parkany,
kryli się w wądoły i jary blizkie, aż słońce zeszło i cichy, biały
dzień
błysnął.

Krewe-Krewejte nie wstawał z łoża...

Już dzwony wszystkie ucichły, zbudziło się miasto, lecz szum
jego nie dolatywał

od ukrytego wśród drzew liściastych domu Dowkonta. Zwalił
się, jak kłoc

bezduszny, i darł szaty i uszy zatulał w których wciąż grały
dźwięki spiżu,

poruszonego przez ręce Biruty. Nie jęk, lecz skowyt, nie
płacz, lecz charkot

wydobywały się z piersi starego kapłana, jakby targały nim
ból wewnętrzny. Oczy

zapadłe, usta śmiertelnie blade miał, a drżące tak, że nie
można było wyrozumieć

słów, które wrywały się przez nie.

Kinżgajło, Zwinbut i Trump, równie jak i on, wiekiem
zgrzybiali, otoczyli łożo

starego przyjaciela, zgnębieni męką jego. Wezwani znachorzy
cudownymi okadzili

go ziołami, baby-znachorki tajemnicze szeptały zaklęcia, aż
po kilku godzinach

szeptów i kadzeń, czy skutkiem zmęczenia się chorego, jęki
ucichły, ból się
uśmierzył, powieki się przymknęły, cichy już i nieruchomy
spoczywał na
wezglowiu, tylko oddech piersi i bicie serca nierówne mówiły
o kołatanii się
jeszcze duszy w tem ciele nieszczęśliwem. Widząc go takim,
druhowie odstępili od
łóża i opodal . na ławach siedli, szepcąc:
— Usnął...
— Najlepszym znachorem jest sen — rzekł Kinżgajło.

— Nie przyszedłby bez okadzenia ziołami a bab
poszeptywania — Zwinbut na to.
— Usiądźmy w cichości na ławie — Trump dodał —
pogadajmy o tem, co się stało.
— No, cóż się stało? — Zwinbut mruknął. — Gdyby nie
Biruta, szerokoby się poląła
krew mnichów. Oczarowali ją niegodni, i popsowała się rzecz
cała.
— Popsowała się! — mruknął Kinżgajło. - Pokonanie takich
rycerzy, którzy nie
mieczem, jeno dzwonami walczą, niewieleby sprawie naszej
pomogło.
— Nicby nie pomogło — Trump odparł. — Co prawda, to
stary Dowkont nam prawil o
tłumu mnogiego powstaniu i buncie załogi zamkowej, alem ci
temu wierzył, jak
Niemce w Boską sprawiedliwość. Bliżej rozpatrzywszy rzecz
całą, to senne mary za

rzeczywistość brał Dowkont. Widzieliśmy przecie, jako
tysiące ludu zważyło się
na pogrzeb Kiejstuta i nie jeden, nie dwa dni miały tu ostać,
wiemy także, jako
na ich czele chciał nas Dowkont postawić, a sam z dobranymi
mężami na onych
mnichów się rzucić i hasło dać do ogólnego powstania. I jakże
się stało?...
tłumy rozeszły się w cichości, dobrani mężowie rzekli: idź ty,
przygłusz śpiew
dzwonu!... I poszło nas czterech tylko, a oni, ukryci w
zaułkach, czekali na
hasło milczenia i może radzi teraz, że dzwon nie umilkł. Nie
wyrwać się Litwie z
pod stopy Krzyżaka, powtórzyć jej jeno pieśń Towciginową i
zginać!... Jako i my,
i oni nie wierzyli w powodzenie sprawy. Nam szło tylko o
zemstę nad Gastowdem, o
zburzenie pałacu jego, nam, gniewnym za łaźnię, jaką nam
Olgierd sprawił za
wyrzeżanie tych mnichów, przez Gastowda sprowadzonych,
nie o wydzwignięcie się
ze szpon przemożnego Zakonu. Czego

Kiejstut nie mógł dokonać, Dowkontowi nie śnić otem!
— Ale co teraz będzie — rzekł Zwinbut — gdy mnisi przed
kunigasem staną,
zabitego na gród powloką i nas wskażą?
— Nas?
Strach spojrział przez oczy spiskowców.
— Jam tego księdza nie tknął — rzekł Trump.

— Ni ja.

— Ni ja.

— A jeśli kunigas zapyta: kto z was?... co rzec mamy?

— Dowkont go zamordował! — odezwał się głos silny, aż rozmawiający z ław się porwali.

To dźwignął się Krewe-Krewejte i usiadł na łożu.

— Nie zaprę się czynu... i mnie wskazać możecie, gdy o winowajcę gród spyta.

Była cisza.

Pochyliły się ku ziemi czoła trzech przyjaciół Dowkonta, sromem oblane.

— Nie wydamy ciebie — szepnęli.

— Jakąż odpowiedź kunigasowi dacie?

— »Nie my« — odpowiemy.

— Kto tak odpowie?

— Ja, Trump, Kinżgajło...

— Pozostaje czwarty, to ja!

I znowu chwila milczenia.

Trump z nogi na nogę przestępował, Zwinbut w głowę się drapał, Kinżgajło nie mógł spojrzeć w twarz arcykapłana.

— Nie sromajcie się — rzekł Dowkont — a wždy największy srom policzki moje spalić powinien. Nie spałem, jenom milczący leżał, ogromnym wstydem przy-

bity. O! gdyby nie ten wstyd, słowa, którem zasłyszał, grom gniewu mojego w piersiby wasze wtłoczył. Alem tu ja winowajca największy, grzesznik

największy!... Chciałem być Towciginem drugim, wielkim
ofiarnikiem Litwy; życie,
mienie, krew moją za nią oddać! I słyszał moją przysięgę bóg
piorunów,
przysięgę, tak jako on sam, bezsilną! Alem miał choć jedną
chwilę złudzeń;
wysiłkiem woli, ostatniem jej wyteżeniem wiarę wzbudzoną,
że wielki czyn
dokonany będzie. Szczęście Litwy, nie nad Gostowdem
zemsta, wiodło mnie do
progów kościelnych; przejmowała mnie groza przed jej
chyleniem się powolnem w
jarzmo niemieckie, nie przed dumnie sterczącym gmachem...
Gastowda pałacu!...

Jeśli kłamcami byliście, ja... zbrodniarzem! Zachwiał się,
tłumiąc ryk głuchy.

— Co znowu? co znowu? — odezwał się Kinżgajło. — Nóż
twój nie uderzył w pierś
dziecka!

— Ale uderzył w pierś Litwy!

— Dlaczego? dlaczego?

— Pożałowałem dla niej krwi swojej.

— I myślisz, że toby ją zbawiło? Żar twej wymowy nie
poruszył już tłumów; mówili
ci najodważniejsi: idź ty!... Za tobą my, trzej tylko poszli, bez
wiary w szwał
twój święty!

Dowkont błędniemi oczyma patrzył przed siebie.

— Tak mówią... umarli! — szepnął.

Po chwili rzekł:

— Idźcie, dzień się wyjaśnia. Zabójców księdza w tym domu
szukać będą.

— Ukryjem się w jarach.

— Mój nóż ma ślady krwi, nie zetnę jej. Wy bądźcie spokojni.

Wyszli, trwożnie oglądając się poza siebie. Dowkont pozostał sam.

— Ci bez wiary, ja... bez odwagi! a bogi...

Wziął topór, próg przestąpił i skierował się ku posagowi Perkunasa.

Trzask głuchy rozległ się w gaju świętym.

Posypały się gruzy...

Bóstwo roztrzaskał topór arcykapłana.

W tej chwili zaszeleściały powoje, coś runęło do stóp

Dowkonta.

— Biruta! — krzyknął.

W ramiona ją porwał.

Ogromny szloch zmieszał się z szelestem liści.

VIII.

Wielkie nieszczęście.

Zaledwie o staj kilka od Trok Bolechowic z towarzyszami odjechał, jak zauważył,

że konie szły nierówno, a popręgi podciągnąć im trzeba było, tak przez jedną noc

szalonego pościgu w ścierwie się zmizerowały, a na fantazyi staciły. Dopiero

teraz, gdy Jaśko przypomniał sobie noc ubiegłą i w czyn zmienione postanowienie,

niemały dziw go chwycił, że taką przestrzeń okrutną, Wilno od Trok dzielącą,

prawie tchem jednym przebyli; że wicher zostawili za sobą; że nic, okrom gwizdu

powietrza a grzmotu ziemi, nie słyszeli; że gdyby piorun za
wrota chmur był
wyjrzał, zatrzymałby się u progu niebios, podziwem zdjęty, i
zawarczał:

»A cóż-to za brat mój tam gna i z rąk mi wydziera
pierwszeństwo lotu?«

Wichry się nużą, gromy i pioruny po wyładowaniu się
spoczynek mają choć tchu ich
nic nie zapiera, sercem nie robią i zdyszanemi nie pracują
płucami, a cóż
dopiero istota żywa, mająca mięśnie i krew i czucie? Na
rozum więc wzięwszy, a
litość nad biednemi zwierzętami uczuwszy, Bolechowic
ściągnął uzdę wysuniętemu
naprzód rumakowi i, zwracając się do towarzyszy, za nim
podążających, zawołał:
— Stójcie! konie nierówno idą, niejednen z nich ustać może,
zanim do bram
wileńskich dojedziem.
Zatrzymali się tedy wszyscy, z żadną nie występując
opozycją; znać, że jednakową
myśl mieli i czekali tylko na ten rozkaz spoczynku.
— Z koni, panowie bracia! mówił Bolechowic, z kulbaki
zeskakując. — Nie mozem
ich zacności nadużywać a rozkazać, by z myślami a
pragnieniami naszemi na
wyścigi szły. Lotnych skrzydeł nie mają, jako zachcenia
nasze, imaginacją

sycone, a posłuszeństwa nam do zdechu nie wypowiedzą,
jeno, jeżeli kombinować

umieją, to, jako o psich synach, myślą o nas!

Zaśmiano się, a Till na to:

— Dobrześ rzekł!... nie myśl tylko, panie Jaśku, że ci się
koncept udał. Mój
źrebiec, którym parłem za wami, podołać wam nie mogąc,
dwa razy zarżał: psi
syny!

— Słyszałem to — dodał Bolechowic — jeno w liczbie
pojedyńczej i do ciebie
wypowiedziane.

— Nie nazywam się Bolechowicem — Till odparł — a on rżał
najwyraźniej: psi syn,
Bolechowic!

— No, no, ty kukło niemiecka — oburzył się Jaśko — nie
staraj się mędrszym być
od swojej kobyły, którąś źrebicem zrobił, bo ci się to nie uda.

— Humor waspana wielce mi się podoba — Till

na to. — Do zdrowia przychodzisz i rozumnego
rozpoznawania rzeczy.

— Że twoja kobyła mędrsza od ciebie?

— Nie, żeś mędrszy od mojej kobyły.

Dogadując tak sobie a śmiejąc się, zziajane rozkulbaczali
konie, które poddawały
się pieszczotom panów swoich, jakby za ich miłosierdzie
dziękując. Kawaler de

Vendendaelle, przeciągając się, rymnął odrazu, jak długi, na
ziemię; don Manoel

obejrzał się, szukając dogodniejszego na mchach posłania;
Bolechowic na pniu
przysiadł, a Till blaszankę okowity z zanadrza wy dostał, do
której wnet Francuz
łapę swoją wyciągnął, że Till ani się spostrzegł, jak już
zabulkotała w gębie
kawalera.

— To ci ośmiornica! Till krzyknął — o milę sięga! No,
ostawże nam choć kapeczkę.

Zlituj się, kogucie galijski... Bodajbyś szczeł!... do dna
wytrąbił!

Nie omylił się. Kawaler de Vendendaelle ostatnią kroplę do
warg swoich strącił,

sapnął zadowolony i manierkę precz odrzucił.

Till stanął nad Szarlem i rzucił przekleństwo:

Oby ci słodka Elwira,
Gdy będziesz warg jej spragniony
Zamiast ust swoich nektaru,
Sałatę zimną podała
I oby piersi jej lira
W kogucie zagrała tony,
Byś wściekł się od tego czaru
Albo odrętwiał, jak skała!

De Vendendaelle lekko zachrapał.

— Spełnia się przekleństwo twoje — ozwał się don Manoel.

— Kawaler, porażony
napojem ci wydartym, w nieczuły głąz się zamienia.

— Siadłbym okrakiem na nim i jeszczebym coś piękniejszego
o Elwirze mu
zaśpiewał, gdyby nie obawa, że zbudzić się może i pewną
nieprzyjemność mi
sprawić — rzekł Till.

— Że też wiecznie koncepty ciebie się trzymają! — ramionami
wzruszając, odezwał
się Bolechowic.

— Rodzicielki nie pamiętam, bo, jedynaka wydawszy na
świat, zaraz ten świat
opuściła; pan ojciec, gdym jeszcze jego imienia nie bełkotał,
zginął w walce z
Saracenami i nikt mi konterfektu nawet jego nie pokazał;
dobrzy ludzie w opiekę
mnie swoją wzięli i przerzucali z rąk do rąk z taką szybkością,
żem fizyonomii
dobrodziejów swoich nie mógł spamiętać; chałupy nie mam,
Danuty nikt mi nie
ukradł i czegoż się mi smęcić, mości dobrodzieju, mając życie
tak wesołe,
żadnymi wspomnieniami nie zatrute? Jedno tylko mnie dziś
trapi, że zawartością
blaszanki mojej nie mogę się z wami, przyjaciele zacni,
podzielić i jako widzę,
nic nam nie pozostaje, jak wonnem zachłysnąć się powietrzem
i pójść w ślady
szlachetnego kawalera de Vendendaelle.
To mówiąc, położył się brzuchem do ziemi.
Poranek rosisty był, pełen barw, woni i ożywczego chłodu.
Perliły się drzewa i
trawy, a klejnotami migotały, wziętymi od słońca
szczodrobliwego, które banią

ognistą nad ziemię się wzniosło i przedzierało się przez
gęstwą leśną, w jarzące
rozstrzeliwując się promienie.
Przepyszno królewskie słońce!... dobrodziej a szafarz hojny i
malarz
pierwszorzędny. Położyło się na ziemi... i wnet się złoto
rozlało; ucałowało
stulone jeszcze pączki kwiatów... i wnet w kielichy rozwijać
się zaczęły;
dotknęło mchów, jakimi były odziane dęby i graby, i złoto-
zielonym rozjarzyły
się kolorem; po wil-

gotnej potoczyło się murawie, i rubiny a perły się posypały;
musnęło liście
drzew... i kapać brylantami zaczęły, a byle źródł jaki na
drodze swojej
spotkało, to wnet turkusami obramowało nurt kryształowy i
złotą siatką ruchomych
nitek okryło. Nie zapomniało o skałach ni o najmniejszym
kamyku przydrożnym, w
granat a szafir je ubierając; wzmocniło cienie, spotęgowało
jasności, a same dla
siebie w posiadanie wzięło nieobieżny obszar błękitów i już na
świat cały z tych
nieostępnych wyżyn patrzyło.
Na leśnej polance rozłożyli się rycerze, radzi rozkazowi
Bolechowica, który na
poły senny, a na poły zamyślony siedział nieruchomie na pniu
swoim. Kawaler de

Vendendaelle rozpląszczył się na ziemi, a snadź o słodkiej
Elwirze marzył, bo
wzdychał okrutnie, aż chwiały się liście leszczynowe,
zawieszane nad nim; Till,
brzuchem na zielonej murawie leżący, przypatrywał się dwom
chrabąszczom, w
miłosnym zostającym uścisku; don Manoel w kucki pod
drzewem usiadł, wsparł się
plecyma o pień jego i drzemał; rozkietzane zaś konie pachnące
skubały trawy lub
tarzały się po szmaragdowej pościeli, tylko rumak kawalera de
Vendendaellea,
ilekroć spojrział na złotowłosą kobyłę Tilla, to zarżał zawsze,
na co krótką
odповідź otrzymał, lecz do porozumienia się żadnego
przyjść nie mogło, bo
rzemieńne kawecany na przeszkodzie bliższej znajomości
stawały.

Całodzienny wypoczynek należał się biednym zwierzętom. Po
dokładniejszym ich
zbadaniu okazało się, że każde z nich szwank jakiś poniosło.
Żrebiec

Vendendaellea miał lekko kark odparzony; podkowa
rozluźniła się u wierzchowca
don Manoela, koń Bolechowica pysk sobie okrwawił, znać, że
wędzidło trochę
ściśnięte było,

albo nieogłędna dłoń jeźdźca targnęła niem za mocno! Wesoła
nawet klacz Tilla

łeb opuściła ku ziemi i obojętnym ruchem ogona odganiała muchy natrętne.

Najbardziej jednak dolegało im zmęczenie.

W czasach opisywanych, w których człek żywot niemal cały na koniu spędził, rumak

był przyjacielem i ręką prawą rycerza. Nikt przyjaciela ani ręki nie nadużywa,

boć oboje stracić łatwo, a jak już ręki drugiej za żadne skarby świata dostać

nie można, tak i przyjaciela, z którym się żyło i któremu nieraz całość osoby

swojej powierzyło, ze świecą szukać potrzeba. Bolechowic i don Manoel jako tako

mogliby sobie jeszcze poradzić, ale kawaler de Vendendaelle w rzetelnym byłby

kłopotcie, gdyby koń jego rozparł się na drodze i ducha wyzionął, bo taką bestyę

tylko święty Jan w imaginacyi swojej widział, a nikt dotąd, okrom kawalera, jej

nie dosiadał. Silny koń Bolechowica ugiąłby się pod ciężarem kościstego

Francuza; rosły andaluzyjczyk don Manoela dziwowałby się, widząc nogi siedzącego

na nim rycerza, po ziemi się włóczące, sam zaś jeździec nie umiałby zażyć

rumaków, ni sile jego ni wzrostowi nie odpowiadających, i żywotby mu obmierzył, a

melancholia dobiła.

Po krótkiej naradzie i dobrem opatrzeniu wierzchowców stanęło na tem, że dzień

cały i noc całą na tej polanie przesiedzą, a nad ranem dopiero stępią ku Wilnu

ruszą, skąd, języka na dworze jagajłowym zabrawszy, ku
Krewu podążą. Trochę się
zżymał na to wszystko, trawiony gorączką niepokoju,
Bolechowic, ale przeważyło
zdanie rozważnego don Manoela, który w tem całym
przedsięwzięciu konieczność
rozwagi widział, nie

dostrzegął zaś żadnego nieszczęścia, nad głową zawieszzonego.
— Rozumiem pościg nasz — mówił — gdy szło o porwanie
panny przed zamknięciem jej
w murach zamczyska, do którego, z racyi różnych, przystęp
nam mógłby być
wzbroniony. Ale gdy Till zwiódł nas niechcący, sam będąc
przez Zygfyda
oszukany, i dziewczki wstępny bojem już nam nie dostać;
innego sposobu użyć
potrzeba, by uspić czujność argusowych oczu tego mnicha
niecnego i zamiary nasze
do pożądanego skutku doprowadzić. Pojmuję teraz, że nie
niewinne wcale było ono
skierowanie nas do Trok. Przebiegły krzyżak, rzucając
kłamliwą odpowiedź
pytającemu go Tillowi, domyślił się, że płazem nie puścisz
tego podejrzanego
usunięcia z przed oczu twoich dziewczyny ci przeznaczonej.
Lękał się pościgu i,
jak widzimy, miał słuszność. Nie trockim, lecz krewskim
pognalibyśmy gościńcem,
a słusznym lękiem go przejęła przyjaźń nasza, ofiarowana
tobie, Bolechowicu!...

I swego dokonał: my w lesie pod Trokami przymuszonemu
oddajemy się spoczynkowi,
a jej książęca mość z dziewiczym dworem swoim na
krewskim zamku zasiada.

Niegodne więc zamiary, o które jegomościa imć pana komtura
posądzasz, nie odrazu
dokonane zostaną. Nie opuścić mu tak prędko kunigasowego
dworu, nie zaniedbać
spraw Zakonu, choćby, jak żagiew smolna, do onej dziewczki
się palił... Nie
zgrzytaj, sam nas zawiadomiłeś o tem! Bezpieczniej w Krewię
jest pannie twojej,
niż w Jagaiłowym zamku, nie dla amatorów zaś przy boku
wielkiego księcia wielki
mistrz Zygryda postawił. Ja znam Konrada Czolnera,
nadewszystko zapatrzzonego w
sprawy Zakonu. Wyrzeknie

się Rzymu i duszy własnej zbawienia, lecz nigdy władzy
ziemskiej. Z tem Zygryd
liczyć się musi i liczy się!...

— Dlaczegoż mu chodziło o tak tajemniczy wyjazd księżnej?

— spytał Bolechowic
gorączkowo.

— Chodziło mu tylko o usunięcie Danuty od ciebie —
odpowiedział don Manoel.

— Skąd pośpiech taki?...

— Obawiał się pocałunków twoich, zapalnej twojej krwi...

Teraz ma spokój.

— A cóż ja mam? — zawołał Bolechowic.

— Moją i de Vendendaelle'a przyjaźń... Mało ci?...

— Dobrze powiedziano — odezwał się kawaler de Vendendaelle.

Rozrzewniony Bolechowic poskoczył ku nim.

— Hola, hola!... — krzyknął Till, poywając się z ziemi. — A ja to nic?...

Jaśko spojrzał na wesołka, a coś jakby zdziwienie odmalowało się w jego oczach.

On? tutaj?... świadom ich zamiarów i zamysłów wszystkich, o rycerską upominający

się przyjaźń?... a tak niedawno jeszcze, ot wczoraj, w pustym pozostawiono go

domu, cel wyprawy ukrywając przed nim, jako że się obawiano jego skóry

niemieckiej, znanego gadulstwa i blizkiego stosunku z Zygfydem, i oto ten Till

dzisiaj nie tylko że się wśród nich znajduje, że słyszy, co mówią i jakie

układają zamiary na przyszłość, ale sam jeden w pościg za nimi ruszył i doniósł

im pierwszy o pod-tępie krzyżaka i o wywiezieniu Danuty do zamku krewskiego?

Zali, gdyby nie on, wiedzieliby o tem? czyby nie dokonali jakiegoś szalonego

gwałtu na zamku trockim, przekonani będąc o bytności w nim Anny Witowdowej? czy

ich niespodziewane nawiedziny i wdarcie się nieostrożne do komnat

świdrygajłowych nie pociągnęłyby za sobą

następstw krwawych, o jakich nie możnaby było wspominać bez dreszczu? Pijanemu

nie uwierzonoby Świdrygajle, że księżnej w zamczysku
niemasz. Zlustrowanoby
zamek cały, ciosy mieczów wysyłając naprzód; po trupach
możeby przeszli, lecz
nie łatwoby wyjść było, a choćby nawet pijanej nie ulegli
ciżbie, nie wracać już
im do Wilna, nie pokazywać się w Krewie, nie nasuwać się
oczom panującego
księcia, mściwego Zygryda mającego przy boku swoim.
Wniweczby się obróciły
zamiary ich wszystkie i pożądanja; nie byłoby się komu
upomnieć o pokrzywdzonych
rycerzy, choćby pod toporami głowy ich padły albo ręce
ciężkie skuły łańcuchy. A
czegóż innego mógł chcieć Zygryd, do Trok ich
skierowując?... I oto tym
wszystkim następstwom groźnym zapobiegł Till - gaduła,
dowcipny piosenkarz, żart
tylko a śmiech na ustach mający.
Takie myśli przesuwwały się przez głowę Bolechowica, a oczu
nie spuszczał ze
stojącego przed sobą żartownisia, który się upomniał o dań
sobie należną;
patrzył, nie wiedząc sam, ma-li dać wiarę myślom własnym i
wszelkie podejrzenia
a niepewności, rodzące się w duszy, precz odrzucić?... Till był
Niemcem,
pożądanym uczestnikiem wszystkich biesiad krzyżackich,
ulubieńcem Zakonu, kość z
ich kości i krew z ich krwi, kto wie, czy nie umyślaym teraz
jest wysłannikiem
Zygryda, by ich w grę jaką nieopatrzoną wprowadzić, oplątać i
wydać na

zatrącenie?... Go prawda, to trudno mu było dojrzeć zdrady jakiejś w tem przybyciu Tilla, gdy sami w sidła wpadali, a on ich z tych sideł wydobył. A jednak wahał się i na żadną nie mógł się zdobyć odpowiedź. Till stał przed nim i uśmiechał się. Znać zro-

zumiał myśli, które kotłowały się w mózgu Bolechowica. — Milczysz, Jaśku! — odezwał się po chwili — i co masz rzec, sam nie wiesz! Druhem ci kogut galijski, druhem ci syn ziemi auzońskiej, ale Niemiec to zawsze psia dusza!... Ładnąmy sobie reputacyę pomiędzy narody wyrobili, w szelmostwie przed wszystkimi pierwszeństwo nam dającą. A jednak dyabliby was wzięli, gdybym o waszem przybyciu Świdrygajły nie uprzedzili jako mojem poważaniem cieszących się, a nie nałgał mu o zacnych rycerzach. Słowo daję, mówiłem: zacni rycerze! którzy wnet do niego z pokłonem przybędą. Ufetował was wisielcem, to prawda! ale nie zamknął przed wami drogi, do krewskiego zamku prowadzącej. A to, com zrobił, z przyjaźnim zrobił, no, i teraz precz mi odejść potrzeba. Ale Pan Jezus więcej cierpiał —. dodał z westchnieniem. — Chodź, moja kobyła myszata!... — Ostań! ostań! — zawołał Bolechowic, widząc, że Till do kulbaczenia kobyły się swojej zabierał.

— A wierzysz, że ci brat?

— Boga mi, że wierzę!...

— To i ja ci wierzę, boś ani zachłysnął się, przysięgając.

Uścisnęli się serdecznie.

Tak teraz czwarty towarzysz przybył do rycerskiej drużyny
onej, którego

szczeroci trudno nie uwierzyć było, a obojętnością traktować
nie bardzo

bezpiecznie, jako świadomego już wszystkich zamiarów,

Danuty się tyczących.

Serdecznie więc ucałował go Jaśko, don Manoel ruchem

wielkopańskim dłoń ku niemu

wyciągnął i po przyjacielsku uściskał, nie poruszył się tylko
ka-

waler de Vendendaelle, lecz, najspokojniej na ziemi leżąc,
rękę przed się

wysunął, a ujawszy palcami za kark nie spodziewającego się
takiego uścisku,

Tilla, jak kukłę uniósł go w górę, do gęby swojej przybliżył,
pocałował i rzekł:

— Pasuję cię na rycerza!...

Tu lekko uderzył go w policzek na znak godności nowej.

— Do was zatem należę — ozwał się Till. — Ale dotąd

radziliście beze mnie i

źleście radzili. Jam milczeć musiał, do waszej kompanii nie
należąc, teraz,

uściskany przez Bolechowica i granda szlachetnego, a przez
ciebie, Szarlu, na

rycerza pasowany, mam prawo słówko mądre wtrącić, które
wam się nie spodobać nie

może. Otwieram więc posiedzenie!...

— Tylko nie na moim brzuchu — odezwał się kawaler de Vendendaelle, na którym wygodnie Till się rozsiadł.

— Dobrze mam locum, z którego do szlacheckiego zgromadzenia przemawiać będę — odparł Till, sadowiąc się jeszcze wygodniej na żywocie Francuza.

— Pierwsze westchnienie moje, a zlecisz! — zaśmiał się Szarl. Ale nie wzdychał, bo drobna figurka Tilla niewiele mu zawadzała.

Till zaczął:

— Mówiliście tedy, moi panowie, że ku Wilnu ruszyć potrzeba dla zabrania języka na dworze jagaiłowym, a później do Krewa. I to chcieliście beze mnie uczynić!...

Zarozumiałość, godna ukarania, ale grzech ten wspaniałomyślnie przebaczam, zważając na ułomność natury waszej. Teraz żaden już z was, moi panowie,

kunigasowych nie przestąpi progów, u których, jak Sojna,

mający węch przedziwny Zygfyrd czuwać będzie i takich wam wiadomości nawarczy,

że sam Salomon rzetelnej prawdyby nie namacał i nie zawahałby się rzec: głupim

jest!... ja nawet niewiele tambym już wskórał, jako skompromitowany przyjaźnią

waszą. A zresztą cóżbyście się mądrego dowiedzieli? Że księżna wyruszyła do

Krewa? Wiemy już o tem!.. Nie wzbogacilibyśmy wiadomości
naszych, a drogocenny

czas zmarnowali. Kawaler de Vendendaelle poruszył się.

— No, no, no! — wrzasnął Till, na ziemię spadając.

— Ma rację — rzekł kawaler.

— A widzisz, ławo ruchoma, że mądrość nie zależy wcale od
wielbłądziego wzrostu

— Till na to.

— Mów dalej, dalej -- odezwał się Bolechowic.

— Jako widzę, nie w jednej złej przygodzie nam się przydasz

— wtrącił don

Manoel. — Zatem, co radzisz?

— Żrebięta nasze odpoczną i ku Krewu bocznemi ścieżynami
nam się posunąć.

— Dlaczego bocznemi?

— Mam czucie, że Zygfyrdowe szpiegi będą obwąchiwały
mury trockiego zamku.

Bolechowic z siedzenia się porwał.

— Nie tracić więc czasu na próżne gadania, lecz zaraz
ruszać...

— I przed zamkiem krewskim — Till przerwał — w zasadzkę
wpaść, co?... Nie, panie

Jaśku! jako się już postanowiło: całą noc nam przesiedzieć
tutaj, ukryć się,

niby przepiórki w prosie, prawdopodobną zmylić pogoń i na
trzeci dzień dopiero,

gdy ślady za nami zastygną, w Krewie się pokazać. Ale, ba!...
nam się pokazać

można bez zwrócenia uwagi niczyjej; podobnych do nas a
foremnie zbudowanych

rycerzy na każdym miejscu napotkasz, ale z Szarlem, to
niemały kłopot będzie bo
człek, nawet w Apokalipsie ćwiczony, zdębieje, bestyę taką
ujrzawszy. (O twoim
koniu to rzecz, nie o tobie, Szarlu) — doda! Till, widząc
niezadowolenie
kawalera — i szeroka wieść pójdzie o pojawieniu się naszym,
chwba, że mu pedały
skrócić do kolan przyjdzie i na piędź głowę uciąć. Ale, że
kadłub bez głowy, a
głowa bez nóg na nic się nie zdadzą, oszczędzim
szlachetnemu kawalerowi tej
operacyi, który zresztą w niejednym wypadku godnie usłużyć
nam może.

— Nie pleć, Tillu! zawołał podrażniony Bolechowic. —

Mądrześ rozpoczął, mądrze
skończ!

— I nie będzie inaczej — odpowiedział sowizdrzał. — Otóż,
ominiem gród, do
miasta nie zajrzym, ukryjemy się na przedmieściu w znanej mi
dobrze gospodzie

Dubasa, ja zaś na wywiady do zamku pójdę, gdzie mnie z
łatwością wpuszczą, jako

stęsknionego do dworu księżnej; o przyjaźń z wami
posądzony nie będę, westchnę

nawet parę razy przed księżną na wspomnienie Zygfyryda,

Danucie zaś powiem, żeś

zbój zakazany... Nie, nie! ja co innego jej powiem — poprawił
się, widząc, że

Bolechowic okrutnego marsa postawił — i wtedy — ciągnął
dalej — może nam się uda

bez gwałtu dziewczynę za mury wyprowadzić... i w świat!...

— Tak, tak! - zawołali jednogłośnie słuchający rycerze.

— Pst! pst!...
— Co tam?
Till palec do ust przytknął.
— Szmer... tętent...

Przypadł do ziemi i ucho do piersi jej przyłożył...
Rycerze milczeli, czekając na podniesienie się Tilla, a każdy mimowoli prawicą do boku sięgnął. Niemniej od niego wytrawny i wprawny słuch mieli do rozróżnienia dźwięków różnych, zrazu jednak ni szmeru żadnego ni tętentu kopyt końskich nie słyszeli. Puszcza była zapadła, gościniec trocki gdzieś daleko za nimi pozostał, na przełaj pomknęli byli przez las, jakby sam instynkt nakazywał im wszelkie ślady za sobą zatrzeć. Dziki zwierz mógłby tylko tędy przechodzić, ocierać się o korę drzew, roztrącać gałęzie krzewów, kopyty o twardey grunt ziemi uderzać, niełatwo zaś było drugich takich oblędników, jak oni, napotkać. Zbój nawet nie miałby nic do roboty w onej puszczy zapadłej, gdzie z głuchym pomrukiem niedźwiedź jeno przechodzi, snuje się tur ponury, krętymi rogami żubr kopie ziemię. Teraz jednak, po zwróceniu uwagi Tilla na jakiś odgłos daleki, gdy dech w piersi zaparli a wyteżyli słuch, jednostajny, choć w odległości niemałej

posłyszeli traw szelest, chrobot gniecionych gałęzi i
rytmiczne, choć ciche
bardzo, uderzenie kopyt o ziemię. Ni żubr, ni tur tak nie
chodzą, ni niedźwiedź
tak przez bory się przesuwa, a okrom bestyi onych żadnej
istoty ludzkiej nie
spodziewali się w tym głuchym ostępie napotkać, i dlatego
rozmawiali swobodnie,
nie tłumiąc głosów, nie widząc niebezpieczeństwa żadnego.
Jeden Till tylko,
pomimo konceptów i błazeństw swoich, znać zważał na szepty
i szmery, jakimi las
gra, i w czas zatrzymał okrzyk rycerzy, zasłyszawszy odgłosy
tajemnicze.
Po chwili podniósł się z ziemi.
— Cóżżeś wykombinował? — zapytali jednocześnie prawie
Szarł, don Manoel i
Bolechowic.

Till szepnął:

— Szli w rozsypce... obławą, jako to ze zwierzem upatrzonym
myśliwi czynią. Co
sądziś o tem, Jaśku?

— Być może, że Świdrygajło na łowy ruszył.

— Obrażon za nieforemne obejście się twoje z nim przy
pożegnaniu — dodał Till.

Być może i tak! — odpowiedzieli rycerze.

— Ostańcie tu — zawołał Till pośpiesznie — a na bacności
się miejcie! Jako
zachowywać się macie, niech wam powiedzą one zmurszałe
pni drzew, w

nieruchomości stojące. Wyteńczyć tylko słuch a ślepie
wytrzeszczyć!... ty zaś,
Szarlu kochany, w subordynacji źrebca swojego trzymaj, by
żadnej kantaty do
mojej kobyły nie śpiewał... i na mnie czekać... Nie
Świdrygajło mi się marzy!
To mówiąc, skokiem jelenia w zarośla się zaszył, że nie
zauważyli nawet, jako z
oczu im znikł. Bolechowic się pochylił, kawaler de
Vendendaelle trąbkę z dłoni
zrobił i do uszu przyłożył, ale szmeru żadnego nie ułapili i
najłżejszego liści
szelestu, jakby to nie człek skoczył, lecz puszystowłosa
wiewiórka. Do ziemi
przypadł czy węzem popelzał, to już tajemnicą Tilla zostało.
Radzi nie radzi, musieli pozostawieni rycerze zastosować się
do rozkazów
tillowych i kawecany na gęby sobie nałożyć, a wędzidła w
pyski koniom wsadzić i
zacisnąć, by żadnej konwersacji prowadzić z sobą nie mogły.
Uczyniwszy to, broń
opatrzyli i na czatach, w pewnej odległości od siebie, stanęli.
Zrazu nie bardzo
im dolegało przymuszone milczenie ono. Zwrócenie uwagi na
lasy, cichym szelestem
grające, nie pozwalało nudzić się wojakom, ale zbyt długie
upodobnianie się do
słupów soli nie w smak im wreszcie poszło, i kawaler de

Vendendaelle wyciągać się zaczął a ziewać głośno, don
Manoel do różańca się

zabrał i szeptania pacierzy, Jaśko zaś raz jeden tylko z polskiem: »psia krew!«
wyjechał i mruknął coś a pięście zacisnął, aż palce w stawach trzasnęły.
Słońce wysoko już nad horyzont się wspięło, przez błękity białe przesuwały się
obłoki, wiatr się obudził i konarami drzew zakołysał, że śpiewać zaczęły a
zawodzić, a każde pieśń inną wedle rodzaju swojego. Bo jakoże nie odróżnić
poważnego hymnu dębów od psalmu jodeł, łkań wiązów od głuchego sosen lamentu,
dreszczów osiny od brzóz płaczu, gwaru topoli od lip pacierza?... a czy suchy
szmer grabów nie będzie przedrzeźniał pełnego tonu buków stuletnich, libo
łaskotliwego gwizdu modrzewi? Żaden ci organ tak nie zaśpiewa, żadna kapela
królewska słuchu tak nie upieści, jak ona pieśń lasów... cicha, głęboka, z
nieskończoności płynąca, ginąca w nieskończoności. Potrzeba jeno znać duszę tych
puszcz litewskich, słuchać umieć, na szmerach tych piersią się położyć i pieśń
ich wchłonąć.
Las gra, sen kołysze rycerzy, ale walczą z przemożną jego siłą, oczekując
powrotu dobrowolnego wysłańca. Orzeźwiający chłód poranku roztopił się w
parnocie zbliżającego się dnia. Słońce wyssało wilgoć, przez wierzchy drzew już
patrzy, ogniem zieje.
Tilla nie było.

Przypieka żar sierpniowy, gorąco południa się zbliża. Wiatr
usnął i lasy
umilkły. W bezruchu stoją drzewa wszystkie a cisza taka, że
słyszczyć chrobotanie
robactwa w pniach spróchniałych, dzieciółów kucia, wesołe
nawoływania
rozigranych wiewiórek i brzęk pszczół około dziupli
sosnowej, z której
niejednabyś garść miodu wy-

brał. Złoto słońca przesiewa się przez liście, sosny okapują
bursztynem żywicy,
duszący zapach ziół przewiadłych unosi się w powietrzu, pot z
czoł rycerzy
spływa, rumaki niepokoją się. odganiają owad natrętny,
uderzając kopyty o
brzuchy gryzione, targając wędzidła, nie pozwalające zębami
pogrozić
napastnikom, to strzygą uszyna, gdy szmer jakiś omdlałymi
krzewy poruszy.

Wstrząsają się, krążą około pni drzew, piersi sapią, ogony
pracują.

Minęło południe, Till nie wracał.

Niepokój ogarnął oczekujących, zrodziła się myśl wypadku
nieprzewidzianego.

Skrzyżowały się spojrzenia rycerzy.

— Niema...

— Niema!

Ruch ramion i kłopotliwe poruszenie głowami.

— Może — bąknął kawaler de Vendendaelle — napotkał
druhów Świdrygajły, wysłanych

w pościg za nami i teraz, z wysokości sosny jakiej, nas obserwuje.

Bolechowic się wzdrygnął.

— A nie bądź-że prorokiem złym, bo ciarki przechodzą mi po grzbiecie — zawołał.

— Nie przypuszczam, by tak dobrowolnie wpadł w sidła, o których sam pierwszy

napomknął. Za przezorny jest! — wtrącił don Manoel.

— Chłód porankowy tulił lasy, gdy w milczeniu rozkazał nam oczekiwać powrotu

swojego, a tu już żar południowy minął i ku zachodowi pochyliło się słońce—

rzekł Bolechowic. — Konie nam siodłać potrzeba a z ratunkiem pośpieszać — dodał.

— Którędy? na wschód, zachód, północ czy południe? —

rzucił kawaler de

Vendendaelle.

Bolechowic odpowiedzi nie znalazł.

— Najprawdopodobniejsze jest, że zbłąkał się w puszczy — grand się ozwał. —

Wśród labiryntu drzew trudna jest obserwacja ruchu słońca i drogi przebieżonej.

Może w niewielkiej nawet odległości od nas krąży, słuch nastawiając, aleśmy, jak

głazy, milczeli, będąc za nadto rozkazowi jego posłuszni.

— Hukałby - odezwał się Bolechowic.

— Przy cytarze mu śpiewać, nie głosu dobywać w puszczy takiej, gdzie echo o pnie

się rozbija, a drzew pochłania gęstwina — odpowiedział don Manoel. — Tu tylko

podolać może puzon twej piersi, kawalerze de Vendendaelle, z której snadnoby

było bęben wojenny zrobić. Ryknij, Szarlu! — dodał do Francuza się zwracając.

— Cicho! cicho! — odezwał się nagle Bolechowic.— Krzewy szeleszczą trzeszczą

suche gałęzie, jakby pod stopami zmęczonego przechodnia.

Kawaler wypuścił dech z piersi, niby miech zepsutego organu, a don Manoel

szepnął, nasłuchując:

— Nie jego to krok lekki a posuwisty. Tak tylko ciężki dzik się przesuwa lub

żubr, odegnany od stada.

— Za łosiem byłbym — wtrącił kawaler de Vendendaelle. —

Talerzami rogów gęstwę

rozsadza, ciężki krok suche łamie gałęzie.

— Oszczepy do rąk! — szepnął Bolechowic

— Widzisz co?

— Sunie cień szary.

— Żubr?

— Tur? — padły pytania.

— Till! — zawołał Bolechowic, opuszczając broń na ziemię.

Z gęstwiny leszczyn wysunął się oczekiwany. Oddychał

ciężko, a rękawem ocierał

pot z czoła.

Radosne: on! — zabrzmiało wśród rycerzy.

Till runął na pień zwalonego drzewa, torbę borsuczą, której nie widziano

przedtem u niego, na ziemię rzucił i rzekł zdyszczanym głosem:

— Ewa Adamowi, a wy mnie bokiem wyleziecie. Psi chleb ten rycerski i fatyga dla przyjaźni. Zadowolenia mało, z honoru satysfakcja niewielka, a na wszystkie strony patrz, byś głowę na karku zatrzymał. Dobrze, że choć człek oną torbę zdobył, w której pieprzem i majerankiem kielbasa pachnie, a i gorzałki na jeden łyk się znajdzie.

— Co? co? gorzała? kielbasa?... — odezwał się, mile zdziwiony, kawaler de Vendendaelle, krok naprzód stawiając.

— No, no, no! — Till zawołał, za plecy kryjąc przedmiot pożądliwości Francuza. —

Trzymajcie go, przyjaciele! — do Jaśka i don Manoela się zwrócił — bo one rzeczy nie są do podziału.

— Patrzcie go! — zagrzmiął kawaler — co to za szelma z niego wierutna! Kazał nam dzień cały na miejscu stać, nos w las wetknąć, kamieniem w ziemię wrość, a sam pewnikiem do Trok nawrócił i spenetrował wszystkie kramy przekupniów. Skądżeś tych smakołyków dostał? Możeś je ściągnął ze śpizarni świdrygajłowej?

Till potrząsał torbę, na której boku trupia główka namalowana była, nie obca snadź rycerzom, bo zdziwienie na twarzach się ich odmalowało.

— Znamy tę »trupią główkę« — ostrzem spojrzeń mierząc dzisiejszego jej właściciela — odezwał się Bolechowic.

— Teraz poznajcie zawartość jej — Till odpowiedział — bom choć rzekł, że jest nie do podziału, ale widząc, że oczy się wam świecą, a ozorami mlaszczecie, czynię ofiarę z ofiary.

Tu z torby wydobyl woniejące kółko dwułokciowej kiełbasy i pełną blaszaną gorzałki.

Zgłodniałym rycerzom napłynęła ślinka do ust, ale ze zdziwienia przyjść jeszcze do siebie nie mogli.

— Spróbujcie... trutki niema, bo Hans Nuppel dla siebie te smakołyki przygotował, ale i przyjacielowi swojemu udzielił. Z własnej i nieprzymuszonej woli dam wam te przysmaki, tobie nawet, Vendendaelle'u, żałując tylko, iż ciebie na rycerza pasować już nie mogę.

— Hans Nuppel? — mruknął Bolechowic — a wżdy znam tego zbira! Podręczny to kat Hankego a postrach zamkowej załogi. Gdzieżeś go spotkał, że cię jeszcze obdarował tak obficie?

— Potem o tem, Jaśku mój miły!... zaśpiewam, jakby Danuta zaśpiewała, gdybyś na głodno pocałunkami ją darzył. Podziwiajcie wytrzymałość moją, który, głodny będąc jak pies, delicje takie w całości aż tu przywiozłem. Jazda... do pracy!

Nie potrzeba było dwa razy powtarzać. Wygłodzeni rycerze otoczyli wnet Tilla, bo

w pośpiechu wyprawy żadnego pożywienia nie wzięli byli z sobą, a suta ucza u Świdrygajły jeno już w mglistej pamięci została. Konie rycerskie choć bujną a soczystą posiliły się trawą, oni zaś jagód nawet zbierać nie mogli, na czatach stojąc a nasłuchując szmerów leśnych i z niepokojem na powrót Tilla czekając. Przechodziła więc z rąk do rąk zdobyczna blaszanka małego rycerza, sucha zaś kiełbasa w łakomych zębach trzeszczała, a choć pieprzu i czosnku

za dużo w niej było, smakowała, niczem delicye najprzedniejsze, i zanim jej nie unieśli, a ostatnim łykiem gorzały nie popili, nikt już nie nagabiał Tilla, o jego przygody pytając, jeden Jaśko tylko, aczkolwiek nie odstawał od uczy, zezem czasami nań spojrzął a brwi ściągnął. Snać mu się nie podobała owa wspomniana przyjaźń z Hansem, który, przygodnie gdzieś w puszczy tej napotkany, obdarował go torbą swoją, tak dobrze wszystkim, kto tylko bywał na zamku wileńskim, znaną, a zwaną »trupią główką« przez knechtów niemieckich, bo rysunek czaszki o oczodołach próżnych miała na sobie, a zamykała się na dwa piszczele ludzkie, trofeami Hansa, zdobytemi podczas jakiejś wyprawy litewskiej. Ale gdy

próżne żołądki przestały burczeć, gorzałka rozjaśniła umysły (bo na zaciemnienie zamało jej było), Jaśko rękę na ramieniu Tilla położył i rzekł: — Czas, byś nam o wyprawie swojej coś niecoś powiedział i... o tym Hansie!...

— Zaczny druh! — Till na to — i mnie i was posilił, godnego wspomnienia wart przeto!

— Potem o tem, ja teraz swoim własnym głosem zaśpiewam, a ty nam praw, czemś zasłużył na taki podarunek Hansa? — ozwał się znów Bolechowic podrażniony nieco.

— Praw! praw! — odezwał się Francuz — bo wiedzieć musimy, jak jest, i naradzić się, jak ma być?...

— Tylko ty, Szarlu — Till na to — do żadnej rady nie bierz się, boś zdatny do niej jak wół do królewskiego wozu. Słuchajcie tedy, przyjaciele moi, a baczcie, coby to było, gdyby Opatrzność we mnie światłego wam przewodnika nie dała.

Zaśmiali się, lecz nikt słowom Tilla zaprzeczyć nie mógł, a ten tak prawił:

— Owóż, pozostawiwszy was trosce o niepewność losów moich, darłem się przez zarośla, które mnie też darły nawzajem, i śpieszyłem bez wytchnienia za słyszany mi wciąż tętenty, które, gdziebądźbym się skierował, na prawo czy na

lewo, wciąż jednakowo dudniły. Nie chcąc odgłosów tych
stracić, parłem co sił
naprzód, co większe gąszcza a bujniejsze trawy wybierając, by
łbem niepotrzebnie
nie błysnąć, a dysząc jak miech kowalski, tak że gdybym miał
psią skórę, nie
przepuszczającą waporów, tobym już językiem wachlował a
ślinił, jak Sojna
jagajłowa. Wskazówką mi słońce było, zem musiał już o milę
dobrą odstać od was,
bo w kark piekło a rosy z traw poznikały. Słuch jednak ni razu
mnie nie zawiódł,
posuwałem się trop w trop za tajemniczymi szelesty, aż
wreszcie napotkałem
jeźdźca, który zwolna jechał, dookoła rozpatrując, jakby
śladów jakich na ziemi
szukał. Był to znajomy mi knecht z załogi wileńskiego zamku.
Acha, mam cię!...
pomyślałem. Nie sam tu być musisz, psi synu, choć mój
krewniaku z pochodzenia.
Nagle ten wstrząsł się, jakby coś uraziło słuch jego.
Rozciągnąłem się plackiem
na ziemi a bujne trawy wnet pochyliły się nade mną; głowę
tylko uniosłem i wzrok
na zwiady posłałem. Z ubocza wysunął się Hans, ze swoją
»trupią główką«, przez
plecy przewieszoną. Widocznie, że spotkali się przypadkiem,
co łatwo po
konwersacyi ich poznać było. »W najgęstszej czuprynie wesz
zorientuje się
lepiej, niż człek w tych lasach litewskich — Hans zabełkotał.
— Już trzeci raz

spotykam się z tobą, choć nie ciebie wypatrzeć mi kazano«.
»W ziemię się czorty
zapadły, czy co? Ławą

szeroką idziemy, a gnoju końskiego nawet napotkać nie
można« tamten odparł. —
Hans mruknął: »A przecie ni krewskim, ni wileńskim nie
pognali gościńcem, bo
ślady nóg końskich do tej zawiodły nas puszczy. Ośm par ich
było, a koń
Vendendaelle'a doły kopał«. — »I gwizdu naszych nie słysząc
— tamten dodał.—
Albo zabłąkali się w puszczy, albo tak, jak i my, na żaden ślad
nie natrafili«.
— Zaklęli na trzysta dyabłów niemieckich i rozjechali się, nie
patrzając na
siebie.
— Miałeś słuszność, Zygryda podejrzewając — przerwał
kawaler de Vendendaelle. —
Osaczanie nas zbirami takimi, nas, walczących w szeregach
Zakonu, to za szerokie
pole najpotworniejszym przypuszczeniom daje. Rodzi się
myśl, że dziewczkę
Wissebuta... on chce porwać!...
— Jezus Marya! — krzyknął Jaśko.
— Ubieżym go, klnę się na czternastu patronów kawalera de
Grinaldi — zawołał de
Vendendaelle.
— Wróżyłem na paciorach mojego różańca, czy ty, Jaśku, czy
Zygryd tryumfatorom

w sprawie onej będzie, i tobie los usłużył — don Manoel rzekł.

— Jabym nie miał odwagi do wróżby się takiej wziąć — odpowiedział B lechowic. —

Nimbym do końca doszedł, serceby mi w piersi stanęło.

— Toś się w Danutę wrzepił! — Till zawołał.

— Tillu! — prysnął Bolechowic — o czym i o kim chcesz tak się wyrażaj, tylko nie o miłowaniu mojem!

— Bądź dobrej myśli, Jaśku!... wždy pracujem dla ciebie — miękką a z rzetelną tkliwością Till odparł.

— Łeb-bym sobie rozwalił, gdybym nie miał tej myśli dobrej

— odpowiedział Jaśko.

— A dzięki ci za słowa twoje pocziwe.

Serdecznie uścisnął Tilla i zapatrzył się przed siebie.

— Teraz widzicie, przyjaciele moi — prawił Till dalej — żem nos miał i smród

zygfrydowy zwęszyłem. Ładniebyśmy wyszli, posłuch dając naleganiom jaśkowym i do

Krewa drąc się. Wpadlibyśmy w samo gniazdo szerszeni, a kupa tam ich być musi,

tylko w rozproszeniu po lasach się wałęsają, śladów naszych szukając. Ze dwie

nocki przesiedzieć nam tu teraz, by odebrać im wszelką odszukania nas nadzieję,

a potem wilczymi przesmykami ku Krewu podejść i w dubasowej przykucnąć

gospodzie. Wždy siedmnastu patronów... (trzech naszych, a Grinaldiego

czternastu) czuwa nad nami. Obawy niema!... tylko niech
większe dufanie Jaśko ma
w powodzenie sprawy własnej, a Danuta mu się nie wymknie.
Bolechowic słuchał terkotań Tilla z głową opartą o dłonie. Na
wspomnienie Danuty
wargi zacisnął, może dlatego, by westchnienie w piersi
powstrzymać albo nie
pozwolić łzom w oczach błysnąć. Jakiś obłok biały przewiał
przez czoło, niby
przesunięcie się smutku czy przyływ bólu. Dłoń drżała,
kurczyły się palce; wolą
silną hamował uczucia, które możeby w krzyk się zmieniły,
tak coś rozsadzało mu
piers.

— Nie dokończyłeś nam opowiadania — zwrócił się do Tilla
kawaler de
Vendendaelle.

— Pozostał jeszcze Hans Nuppel i torba jego, w
przyjacielskim upominku ci dana —
przypomniał don Manoel.

— A prawda, że to Odyssei mojej zamknięcie — westchnął
Till — ten wspomniany
przez was Hans Nuppel. Zacny druh!... mnie i was nakarmił,
choć może teraz
szczodrobliwości swojej żałuje. Owóż tedy, źle po-

wiedziałem, że, nakławszy na trzystu dyabłów niemieckich,
rozjechali się.

Psubrat tamten (krasomówczo wyrażając się) rozjechał się
tylko, Hans zaś

rozejrzał się dookoła i prosto konia skierował do miejsca,
gdziem plackiem się
rozłożył. Ziemi, pochłoń mnie! gromy niebieskie ubijcie! —
zawołałem w duchu,
bo całe nie na rękę byłoby mi teraz spotkanie z Nupplem; że
żywcem ze skóryby
mnie odarł, to jak amen w pacierzu! Dla uratowania żywota
swojego musiałbym albo
was zdradzić, albo pacierz za umarłych zmówić, o sobie
myśląc, słowem,
męczennikiem się stać albo świnią; pierwsze jest niemiłym
zaszczytem, a drugie
zyskownem łajdactwem, wybieraj tedy!... Płaszczę się, w
ziemię wkopuję, o
konwersacyi z nim myśląc, która mi się całkiem nie kleiła, a
Hansa wciąż
obserwując, który sunie wprost na mnie, zatrzymuje się,
zsiada z kulbaki i,
obracając się tyłem do mnie (nie mogę wam powiedzieć, jaki
mi szpetny afront
uczynił)... wreszcie lokuje się na zwałonym pniu drzewa i z
torby swojej dostaje
gorzały z kiełbasą. Wierzcie mi, wierzcie, ale tak mnie
burczeć w żywocie
zaczęło, a ślina z gęby się toczyć; taka wściekłość opadła, że
ja ryć się w
ziemię muszę, gdy ten kiełbasę zajada a gorzałką popija, żem
się na równe nogi
zerwał i, nie namyślając się długo, czekanikiem w łeb Hansa
mojego palnąłem.
Rymnął na wznak, kiełbasę z zębów wypuszczając, a ja za
torbę... Nie obarczyłem

jednak (tak zdaje mi się) sumienia swojego wypłoszeniem
duszy z ciała Nuppla.
Twardo siedzi dusza niemiecka, jak ziarno w gruszy zielonej.
Zamroczyłem mu
tylko pewnikiem w głowie, a siny bąbel na łeb wyskoczył.
Mam nadzieję, że po
godzinie nieprzytomności opamięta się i medytować będzie,
kto go »trupiej główki«
pozbawił,

a jeżeli zipnie, to tylko mu przyśpieszył spacer na tamten
świat, gdzie go z
utęsknieniem rogate dyabły czekają. Wiem tylko, że mi się
toporek popsował, nie
mogąc wytrzymać twardości łba hansowego. Patrzcie, jak
jeździ, w osadzie
nadwreżony!
— Dobrześ go trzepnął! — zaśmiał się kawaler de
Vendendaelle. — Widzę, że nie
omyliłem się, pasując cię na rycerza.
— Omyliłeś się, kawalerze! — odezwał się don Manoel. —
Może Till nie mógł
inaczej postąpić ze względu na bezpieczeństwo własne i naszą
sprawę, ale pasa
rycerskiego nie daje się za napad z poza pleców i to jeszcze
pod wrażeniem
kielbasy i gorzały, co zresztą uważam za fioriturę
krasomówczą.
— Nie to tylko miałem na myśli — odparł Francuz — lecz
całą wyprawę Tilla i

rezon jego w tem nie bardzo bezpiecznem przedsięwzięciu.
Przyznasz, grandzie
szlachetny, że wesoły piosenkarz stworzon jest nie do kopii
rycerskiej i
zmagania się z przeciwnościami, a jednak na niebezpieczną
wyprawę dla
bezpieczeństwa naszego poszedł. Że Niemca zakatrupił... no,
różnie o tem sądzić
można!.. ja tam tego za wielkie przewinienie nie wezmę, a i
Pan Jezus pobłażliwy
sąd wyda, gdy ten Nuppel z niemiecka doń zabełkoce. Jak tam
będzie, to będzie,
ja serdecznie dłoń twoją ściskam, słodkiej Elwiry śpiewaku!...
— No i ja z chęcią dłoń mu podaję — grand na to — bo, com
powiedział, to nie do
niego się stosowało, tylko do pojmwania przez ciebie
godności rycerskiej, co,
jak widzę, źle przeze mnie zrozumiane zostało.

To mówiąc, dłoń wyciągnął, darząc Tilla uściskiem
serdecznym.

Nie odstał od towarzyszków i Bolechowic, pewny będąc, że
niewprawna ręka śpiewaka
niewielką szkodę Hansowi przyniosła, choć mocno
nadwreżony czekanik pewne
wątpliwości nasuwał. Lecz nie z takiej przygody wychodził
cało Hans Nuppel.

Fizyonomię zsiekaną miał, jak rzeszoto, bo w boju zagorzały i
zadzierzysty, w
bijatyce każdej nieumiarkowany był, lecz łeb miał mocny i
gnaty twarde; że zaś

matka natura niedźwiedzią go obdarzyła siłą, sam pierwszy
laź w oczy i bez
miłosierdzia gruchotał kości przeciwnikowi. Do skrytobójstwa
jedyny, to też nim
się posługiwali nieraz wielmoże zakonni. Zwano go
»przybocznym katem Hankego«, a
jak jadowitej obawiano się zmii. Dużo krwi ludzkiej miał na
sumieniu swoim, a
że go ziemia święta dotąd na sobie nosiła, to tylko opiece
Belzebuba
zawdzięczał, bo na ścierwo takie Pan Jezus niebieski patrzeć
już nie chciał.
Nie mylił się Till co do zygfydowych zamiarów. Znał go już
dobrze! Rolą
wesołka, jaką odgrywał, w nikim nie rodziła podejrzenia, że
był badany; żart, z
ust nie schodzący, przy śmiałym rzucaniu, chociażby
najostrzejszej prawdy w
oczy, bawił, lecz nie gniewał i był podobny do specyału,
korzeniami zaprawnego,
podawanego nieraz na końcu uczyty, a tak potrzebnego dla
strawności żołądka. W
swojej masce błazeńskiej, z nie schodzącym uśmiechem na
ustach, obserwował
menażeryę ludzką i chwycił w lot odpowiedź każdą, daną na
jego docinek gryzący,
z której ziarno prawdy dobywał. Odpowiadający niby
dowcipem bryzgał,
odparowywał cięcia z rzeczywistym lub udanym spokojem,
ale nie wie-

dział, że z szat się odkrywał i jaśniejsze lub ciemniejsze
pokazywał strony swej
jaźni, a dla Tilla dość było jednego błysku oka, drgnienia
powieki, przelotnego
skurczu ust, by ich znaczenie zrozumieć, dobro lub zło
pochwycić, taką lub owaką
ułomność za bok ułapić, na głos się zaśmiać a szepnąć do
siebie: »Mam cię,
duszo!« Jak w kalejdoskopie przesuwały się przed nim tłumy
ludzkie i znikwały,
miejsca zostawiając innym, a jednak snuły się za nimi pasma
ich czynów, niby one
dymy z przepalonego ogniska, lekkie lub ciężkie, białe lub
brunatne, unoszące
się ku górze albo po ziemi pełzające, mając zapach żywiczny
lub woń gnojowiska.
Till śmiał się, ale po żuźlach poznawał lichy libo zacny
materyał. I możni tego
świata niby panowali nad nim, sypali złoto za żart udatny, za
piosnkę rozpustną,
myśląc, że w palcach swych mają wosk miękki, a nie
domyślali się wcale, że żart
ten i ta piosnka były w ręku Tilla złodziejskim do ich dusz
wytrychem.
Najdłużej ze wszystkich nie poddawał się Zygfryd. Poważny,
rycerski,
powściągliwy w picciu napojów wyskokowych, duszą całą
interesom zakonu oddany, z
szepem modlitwy na ustach, obdarzający Tilla przyjaźnią
szczerą, nie błysnął
przed nim najmniejszą skazą swej duszy. Lecz Till, dziecię
bezdolne, jak wiór w
świat rzucone, nie dowierzający i podejrzliwy był.

— Alboś święty, jak Michał Archanioł, alboś wierutny łotr! —
szeptał do siebie.

I pierwszy błysk w oczach komtura, schwycony, gdy mijał
przechodzącą Danutę,
pozwolił Tillowi przejrzeć tego archanioła. Ułowił nici, kłębek
sam się już
znalazł. Dłuższy pobyt na zamku wileńskim, zbliżenie się do
Bolechowica dokonały
reszty.

— Psu brat i kawaler — mruknął — a pachniał mi
archaniołem!

Pochylił się ku Jaśkom, Szarlom i don Manoelom.
Oszukał go jednak Zygfyrd, gdy kazał księżnej do Trok
wyruszyć. Snać
przewidywał, co się stanie, i trop zmylił. Lecz dość było
Tillowi tego kłamstwa,
by już dalsze kombinacye wysnuć i nie zabłądzić w labiryncie
zamysłów
zygfrydowych.

To też zaraz po wyruszeniu Bolechowica z przyjaciółmi do
Trok Zygfyrd do Hankego
się udał dla odbycia z nim narady i zapobieżenia pewnemu
wypadkowi, który byłby
nie na rękę polityce zakonu. Oczywiście, że przeinaczył rzecz
całą, bo nie mógł
przed nim się zwierzać z zamiarów swoich względem Danuty,
choć Hanke wiedział,
że ona to ma posłużyć do wydobycia Witowda z więzienia. W
przedstawieniu

zygfrydowem Bolechowic dowiedział się o tem wszystkim.
O zdrajcę nietrudno,
sama księżna zresztą (mówił), której zaufaniem Jaśko się
cieszył, a która,
zaniepokojona będąc w sumieniu własnem, mogła mu rzucić
parę słów nieogłędnych.
Myśl, powstrzymana nie w porę, w pół urwana, w pół nie
dosnuta, daje szerokie
pole domysłom.
I ten domysł przeraził Jaśka, a ślepiec tylko mógłby nie
widzieć, że nie dla
pięknych oczu księżnej na jej przesiadywał dworze, że choć w
poczuciu
sprawiedliwości, Niemce bił, broniąc Kiejstuta i Witowda
sprawy, krzyna tam była
i interesu własnego, a to, by na ich wdzięczność zasłużyć i
łącniej pozyskać
serce umiłowanej dziewczyny i pozwolenie na zabranie jej.
Tak zacnemu rycerzowi
nie mogła księżna odmówić, choć cale inne postanowienie
względem dziewczki
Wissebuta już zapadło. Dlatego to strwożyło się a
zaniepokoilo niewie-

ście serce pani nabożnej, dlatego odpowiedzi jej były łamane,
nieogłędne
półśłówka może, z czego wywnioskował przebiegły syn ziemi
krakowskiej, że
dziewki mu odmówić nie mogą, lecz dać nie chcą. Tajemniczy
wyjazd księżnej,

ucieczce się równający, upewnił go w onem mniemaniu.
Powziął więc zamiar szalony
napadu na orszak księżnej i odbicie Danuty. Skierowanie ku
Trokom Bolechowica
popsuło zrazu zamiary, ale u Świdrygajły rzecz się musiała
wyjaśnić i ku Krewu
myśl jego zwrócić. Kto wie, z jaką teraz kompanią do
ryzykownego weźmie się
przedsięwzięcia? Znaleźli się zmiennicy tacy, jak Grinaldi i
kawaler de
Vendendaelle, znajdują się i inni, którzy nigdy przyjaciółmi
Niemców nie byli, a
mieszkający w lasach litewskich, w onych dworcach
bojarskich, których wrota
podważał nieraz miecz krzyżacki, a słomiane strzechy
osypywały iskry niemieckich
pochodni. Lęku niema, by dokonać napadu mieli na obronny
zamek krewski, ale
nietrudno będzie wytłómaczyć księżnej, do której Bolechowic
łatwoby przystęp
znalazł, że nieuczciwa jest rzecz zdradzieckie podejście
Wissebuta, że, jeśli
księżna swojego nie zaniecha zamiaru, on, Bolechowic,
krzykiem wielkim czujność
jego obudzi i nie omieszka nawet o tem wszystkim wielkiego
zawiadomić księcia.
— A teraz zważ — ciągnął dalej Zygfyrd, nachylony nad
uchem Hankego — jaka
nieoczekiwana a groźna dla Zakonu rzecz tu zajść może.
Sprawą Witowda Bolechowic
się zajmie; zawiadomiona o wszystkim Danuta uśpi czujność
starego żórawia i do
Krakowa, nie do Malborga syn Kiejstuta wyruszy.

Hanke drgnął.

— W Krakowie wróg, w Malborgu przyjaciel!...

a kogo teraz przeciwko Jagajle postawisz? — dokończył komtur.

Milczeli chwilę.

— Mów... ty polityk, ja żołnierz! — odezwał się Hanke.

— Raz pierwszy zawiedzie nas przebiegłość — mówił Zygfryd — i w mgłach się rozplynie przygotowywany zjazd na Dubissie, prawne ustępstwo Żmujdzi, chrzest jagajłowy. Upominaj się wtedy o dotrzymanie słowa, gdy w Wilnie zobaczy sznur, w Malborgu pętlę, Witowda... w Krakowie.

— Ziemię i niebo poruszy — zawołał z niepokojem Hanke.

— Tylko Polskę, a już zbyteczne będą niebo i ziemia — rzekł Zygfryd.

— No i co? co... mów, bo ja...

— Nie polityk — dokończył Zygfryd — ale komendant wileńskiej załogi.

Nietrudno było już przyjść do porozumienia pomiędzy politykiem a żołnierzem.

Wyprawiono więc drabów trzydziestu ze stosownymi rozkazami. Trocki i krewski gościnnie mieli obsadzić i przeszukać lasy nadjeziorne, gdzie, według słusznego domysłu Zygfryda, dla dania odpoczynku sobie i koniom, poszukiwani ukryć się byli powinni. Na czele poszukiwaczy stanął Hans Nuppel, znający doskonale

wszystkie przesmyki leśne, jak zwierz, orientujący się w
puszczach zapadłych,
człek siły olbrzymiej, a kości niełomnych I wybór był dobry:
Hans nosem czuł
zwierza i, mimo zaginionych śladów wszelkich, około
legowiska krążył. Sto razy
oddalał się i sto razy powracał i dokonałby swego, gdyby
czekanik Tilla szyków
mu nie pomieszał.

Rozkazy, przez Hankego wydane za zbójów przebranym
knechtem niemieckim,
obostrzył Zygfryd: żołnierz chciał więźniów widzieć,
polityk... trupy. Żadne
podejrzenie nie padnie na rycerzy krzyża: zbójów nie brak w
puszczach
litewskich. Według obrachowania Zygfryda, rzecz cała
powinna być dokonana w
ciągu dwudziestu czterech godzin. Był dobrej myśli i czekał.
O zniknięciu Tilla
nic nie wiedział; zresztą nic a nic on go nie obchodził. Na
dworze jagajłowym
nie zjawił się, a dworu księżnej Anny nie było. Gdzieś wałęsa
się po ulicach
Wilna, a dziewczki bałamuci. Może, znudzony, pociągnął za'
niemieckimi pułkami do
Prus. To wiatr, nikt wiatru nie szuka.
Po wydaniu rozkazów wrócili do siebie na szklanekę wina
reńskiego. Zygfryd
lubował się napojem orzeźwiającym, Hanke tchem jednym
wypił i sięgnął po dzban:

nu, nu! — pod nosem mrucząc.
— Co tam »nukasz?« — zagabnął komtur.
— Że też zachciało się ci Hansa na czele tej wyprawy postawić.
— Mocny kat!
— Takiego zbira po raz drugi nie wyda już plemię pruskie.
— Obawy niema — rzucił Zygfyrd.
— Żywić nie będzie, gdy którego z tych kawalerów przyłapi!...
— I ja tak sędzę — odparł komtur.
— Pomorduje, gdy chwyci.
— To rzecz zwyczajna u niego?
— Co?...
— Nic — odpowiedział Zygfyrd, zbliżając szklanę do oczu i złotozielonemu przypatrując się napojowi.

Hanke spojrział na komtura.
— Nie bardzobyś się smucił — rzekł.
— Rzadko się rozczulam — odpowiedział Zygfyrd.
Spijali wino powoli, sennemi trochę mrugając powiekami, bo dawno północ minęła,
a niewystały napój ciężyc zaczynał. Hanke na zydlu drewnianym, jak na kulbace,
siedział, komtur o poręcz wygodniejszego sprzętu się oparł, lewą rękę na stole
położył, a prawą, z chwilowo opróżnionym puharem, ku ziemi opuścił. Panowało
milczenie. Myszy gdzieś chrobotwały po kątach, wiatr się zbudził i lekko kołysał
drzewami.

Po chwili Hanke wpatrzył się w drzwi wchodowe.

— Słyszysz?

Zygfyrd podniósł głowę.

— Kroki czyjeś — rzekł.

— Jakieś starcze, nierówne... szlapiące — mówił Hanke.

Słysząc szept rozmowy, pytania i odpowiedzi.

Wtem za drzwiami ozwał się głos strażnika, pilnującego izby:

— Światło u

komendanta jeszcze pali się, i jego wielmożność komtur nie wyszedł. Możecie

wejść, stary Fritzu!

Zygfyrd na równe porwał się nogi.

— Co? Co?... — krzyknął. — Stary Fritz tutaj? Jakże się dziwnie

zmieniła. Posępność znikła, a jakimś wewnętrznym światłem rozpromieniona,

błysnęła radością. Z ramionami wyciągniętymi, jakby do powitań czy uścisku,

okrzyknął stół i ku drzwiom śpieszył. Na ustach uśmiech, w oczach gwiazdy, a na

licach rumieńce żywe, nie te, jakimi wino maluje policzki; nie te, jakimi

namiętność wypowiada się, lecz urodzone z uczuć szlachetniejszych, gdzieś z

głębi duszy wydo-

byte, otrząśnięte z pyłu i pleśni, tych złych darów życia, ludzi i świata.

Nagle stanął, rumieńce znikły.

— Fritz... tutaj?

Zbladł.

— Może... ojciec...

Zachwiał się i kurczowym ruchem palców za stół się chwycił.
Drzwi się otworzyły, i wszedł człek stary bardzo, w długiej,
szarej kapocie,

przewiązanej pasem podróżnym. Wytartą, lisią czapkę w
trzęsącej się dłoni

trzymał, a błyskał łysiną szeroką, rzadkim wieńcem
spopieliałych włosów otoczoną.

Twarz wygoloną miał, pokrytą lat długich zmarszczkami,
zoraną, jak te pola orne,

po których wzdłuż i wpoprzek pługi i radła przejdą.

Krzaczaste brwi na czerwone

nasuwały się powieki, przygasłe oczy mętnym już blaskiem
patrzyły, z pomiędzy

których wydobywał się nos duży, suchy, zagięty ku dołowi, a
stepiony, jak dziób

starego orła, stając w przeciwieństwie do brody, która za
każdym poruszeniem się

warg bezzębnych, zbliżała się ku niemu, i jeno patrzeć, jako
się zetkną z sobą,

bo wązkie, sine, zapadłe usta niewielką już stanowiły do tego
spotkania

przeszkodę. Za każdym poruszeniem się żuchw dźwięk
młaszczący wypadał, a twarz

się tak przykro kurczyła, że człek niemiłej sensacyi doznawał,
uczucia grozy

niemal, patrząc na oną niszczącą potęgę czasu, na tę szpetność
starości.

— Zyg! — zawołał stary, ręce obie do Zygfryda wyciągając.

Zamlamlił, a siwe, suche oczy snąć dawno już nie widzianemi
nabrzmiały łzami.

Krzyżak skoczył i runął w objęcia starego piastuna.

— Ty tutaj?... aż tutaj... z ziemi nadreńskiej?

Do pocałunku rąk szukał, przed czym wzdragał się Fritz stary.

— Wielmożny... wielmożny... Jakże to?... Eee! nie wypada...

— powtarzał, broniąc

się przed uściskami komtura, ale widać, że rad był z powitania takiego, bo

rozchlipał się na dobre, aż łzy zaświeciły w brózdach twarzy, jak rosy na

skibach.

— Aż tutaj? — znów rzucił Zygfryd głosem wzruszonym. —

Praw, praw, piastunie mój

dobry, gołębiu siwy, jak się mają... ojciec? matka?

— Jak rydze, jak rydze! Zawsze w kupce z sobą, o tobie myślący...

— No, teraz siadaj! — głęboko odetchnął komtur. —

Komendancie! — do Hankego się

zwrócił. — Mój piastun, mój nauczyciel, mój opiekun... Co patrzysz taki

zdziwiony?

— Rzadko się rozczulasz — rzucił Hanke.

— Ale nie, nigdy! — odpowiedział Zygfryd, rozrzewnionym wzrokiem patrząc na

starego Fritza. Piękny był tym szlachetnym wyrazem uczuć dobrych, które gdzieś

drzemały na dnie jego duszy.

— Wielmożny... wielmożny — mlaskał Fritz, trzęsąc głową i pochylając się w

ukłonie przed Hankem.

— Teraz mów, mów bez końca — zaczął Zygfryd, krzesło poręczowe podsuwając

niespodziewanemu przybyszowi i siadając naprzeciw.

— Samolubie! — odezwał się Hanke. — Coprędzej chcesz wieści, radość ci sprawiających, a nie pytasz, czy nie głodny jest gość twój?

— Syt, syt — Fritz odpowiedział, usiłując się podnieść, ale Zygfryd go zatrzymał.

— Bez ceremonii, staruszkule! tylko bez ceremonii — rzekł. — Zasobna jest gospodarza naszego spiżarnia.

— Zjadłem jajek piętnaście na twardo, zanim przed grodzką opowiedziałem się bramą i syt, syt!...

— Więc wina dla kompanii.

— I dla konkokcyi, to tak!

Trzy szklanice stanęły na stole, i trzy kolejki poszły odrazu na zdrowie Fritza, komendanta i komtura.

Rozjaśniło się w głowach, rozegrzało się w sercach, a winem i gościem podniecony

Zygfryd przysunął się do starego piastuna tak blisko, że kolana z kolanami,

twarz z twarzą zetknęły się niemal, a wiadomości z rodzicielskiego domu

spragniony, pytania rzucał:

— Cóż ciebie aż tu przygnało?

— A tęskność za moim Zygiem.

— Poczciwy!...

— Pięć lat nie widziało się, a kostucha raz wraz w oczy spojrzy, jakby mówiła:

chodź, Fritzu! Jakże iść do niej, z Zygiem się nie zobaczywszy? Ot, i jakości wieczorem siedzieliśmy sobie na werandzie...

— Jak już wino oplatać ją musiało!... — przerwał komtur.

— Niczem las, taki ci w niej chłódek a cień — Fritz dodał.

— Ale... Siedzieliście na werandzie i co? — spytał Zygfryd.

— I westchnęliśmy wszyscy czworo...

— Jako czworo?

— Bo i Jakób Lumppuppel siedział z nami.

— Żyje poczciwy starowina? Mój nauczyciel —

zwrócił się do Hankego. — No mów, mów, Fritzu — dodał — a nie gniewaj się, że ci

przerywam..., ale bo widzisz, te wspomnienia, wspomnienia!...

Westchnął.

— Zmieniają się czasy, zmieniają się ludzie — szepnął. — No mów, mów!

Fritz zaczął:

— Siedzieliśmy sobie milczący, a każdy westchnął: »Czego ty wzdychasz?« — mać

pyta świętej pamięci ojca twojego...

— Jako: świętej pamięci? — spytał Zygfryd, blednąc.

— Pfu! — splunął stary. — Ojciec żyje, mać żyje,

Lumppuppel żyje, tylko dla

mnie, nic nie mającego już do roboty na ziemi, wszystko już ze świętą pamięcią

się łączy. Otóż: »czego ty wzdychasz« — pyta. »A ty czego«

— on na to. Z tem

samem pytaniem ja do Jakóba, Jakób do mnie się zwrócił, i

pokazało się, że ty

nam w świętej pamięci, nie!... prosto... w pamięci stanąłeś. Od
słówka wyszło
tak, że popłakaliśmy się, jak rzemienie, a rozszlochali, jak
koła u wozu, na to
wspomnienie o tobie. Ni dachu, ni słyhu od lat tylu o tobie
nie było, a żal,
jak chrzan, w sercu roście. Można napisać list, ale on
fizyonomii nie zobaczy, a
pierwszy lepszy pachół, z nim wysłany, choć zobaczy, to co?
Ani wyczuje, ani o
jej wyglądanu prawdy należytej nie powie. Tedy ja: »Dajcie
mi pozwolenstwo, a
pojadę do Zyga...« Ucieszyli się, ale zrazu nijako im było
ofiara moją przyjąć,
że to niby już stary jestem. Tedy jałem im perswadować, że mi
się cknii okrutnie
do ciebie, że i sobie wygodzę i im wygodzę, a śmierci nie
przyśpieszę, ni życia
nie zatrzymam, bo jedno i drugie już na

spotkanie z sobą idą. Tak tedy zgoda!... Nie podsadzili na
kulbakę nawet, sam
wlażłem i do Malborga po wiadomość, a stamtąd tutaj, i to
sam!

— Sam? — zawołał Zygfryd.

— Jak ćwiek w pietruszce.

— Przepyszne porównania twój stary Fritz miewa— zaśmiał
się Hanke.

— Zauważyła to wasza wielmożność?... — Fritz na to.

— Sam? w ziemie pogańskie? — zawołał z pewnem
niepokojem Zygfryd. — I żadna cię

zła nie spotkała przygoda?

— Raz tylko w Brandenburgii mocny drab jakiś zaszedł mi drogę i konia chciał pozbawić, alem się nie dał!...

— Co, ty? — spytali razem Hanke i Zygfryd.

— Nie dał się... i już!...

— Jakże to było?

— Woła: »Stój!«. Stałem. Za uzdę chwyta. Ja nic. Krzyczy: »Daj konia!« Ja na to: »Bierz!« »Z kulbaki!« woła. »Tak chcesz? dobrze!« Złazę z kulbaki. Zdziwiła zbója odwaga moja, zaczął się bacznie koniowi przypatrywać, w pysk dmuchać, pod chwost patrzeć, wodzić, przepędzać, aż prawi: »Feler ma! na nic! a kulbaka pod psem«. »A jużci« — ja na to. Tedy pyta: »Pieniądze masz?« »Jaj tylko pół kopy, na twardo ugotowanych « — mówię. Zrewidował mnie, jak knur koryto, jaja zabrał i zjadł zaraz, ostawiając jeno trzy pary, bo już więcej zjeść nie mógł. Ja tedy pytam: »Mogę jechać?« Dał pozwolenstwo. Na kulbakę tedy i w drogę, a pieniądze w poprędze zaszyte miałem, pod brzuchem konia — zaśmiał się.

— Cobyś, biedaku, bez swego kulasa zrobił? — zawołał Zygfryd. — Zbój był tamten, to prawda! ale zawsze chrześcijanin. Dopieroż na baczności musiałeś się mieć, przejeżdżając pogańskie ziemie Litwy!...

— Tak, tak! — westchnął Fritz. — Za Kownem zaraz
kulasowi mojemu nogi
przetracono, choć się ostro stawilem i mówiłem: bierz!
— I kto był ten poganin? — zawołał Zygfryd.
— Knecht z niemieckiego obozu, który pod Kownem stał.
Komtur wargi przyciął, Hanke odchrząknął.
— Jakżeś się tu dostał... bez konia? — spytał Zygfryd.
— Podarował mi go poganin jakiś, o tem zbereżeństwie
dowiedziawszy się. Do
swojej chałupy wziął, opatrzył, jak kawka dzwonnice, siodło
zaciejsze dał,
miedzianych pieniędzy garść, nakarmił, napoił, a gdym się
dziwował, rzekł: czem
jesteś, to jesteś, ale Krzyżakiem nie śmierdzisz...
— Zbereżnik! — zakrzyczeli obaj, Hanke i Zygfryd.
— Niedelikatny, ale dobry to był poganin. Katolikami ich
tylko zrobić, a święty
lud! — Fritz zamlaskał. — Jużem bez przeszkód do Wilna się
dostał, zajeżdżając
bezpiecznie do każdej chałupy litewskiej, drałując tylko, gdy
mi szepnął taki
poganin: tu libo tam stoi obóz niemiecki.
Zygfryd duży łyk wina wypił, a Hanke ostrogą buta skrobał
nogę stołka, na którym
siedział.
— Pięć lat — odezwał się po chwili komtur — jak nie
widziałem domu
rodzicielskiego, oddany świętej sprawie zakonu, wojnom,
poselstwom, mnich,
posłuszny

władzy swojej najwyższej. Jakże się tam mają, a przepędzają
czas, leniwo się
wlokący, jak?... mów!

— Po starości, po starości! Wszystko, jak dawniej— mlasnął
Fritz. — Aby świt,
już zielone trzaskają okiennice i otwierają się na krzewy
jaśminowe, a zapach
kwiatów wraz ze śpiewami słowików wiata do wnętrza.

Jegomość pamięta te słowiki,
te krzewy, te okiennice zielone?

— Pamiętam... pamiętam! — szepnął Zygfryd, przysłaniając
dłonią oczy, ażeby nic
tym przypomnieniom przeszkodą nie stanęło.

— Patrzyć już tylko — Fritz ciągnął — jak zaraz u słupca, na
schodach gankowych,
w białym czepcu na białych włosach jejmość się zjawi i: »cip-
cip-cip!« na
kurki...

— Mamme! — szepnął Zygfryd.

— A oto zaraz jegomość za jejmością się posunie, bo to bez
siebie nijak się już
obejść nie mogą, jedno bez drugiego polewki winnej nie
dotkną, a co lepsze
łakocie, to sobie zostawiają, mówiąc: »To dla ciebie«. »To dla
ciebie«.... »Ty
nie weźmiesz!« »Ja nie wezmę«... aż ci ich pogodzi stary
Nestor, siedzący pod
stołem, który, widząc swarzących się, zajdzie z tyłu, przednie
łapy na ławę
położy, pysk swój między dwie głowy wsunie i specyał ony
chwyci. Jejmość za
czepiec, a jegomość za brzuch się złapie, i śmieją się tak już
oboje, aż ci miło

na oną wesołość patrzeć. To też za jejmością jegomość wnet
sunie, w szlafroku
czerwonym, w mycce z kutasem na głowie białusiej, którą
mujesz, tę myckę,
pamiętać, Zygu?
— Chyba już inna jest? — rzekł Zygfryd. — Tamta, gdym ja
był, już stara była.

— To też, gdybyś ją włożył na patelnię, tłuszczu kilka
funtówbyś wytopił. Ale
jegomość przyzwyczał się do niej, bo gładko wchodzi na
głowę; a że tłusta...
siedzi dobrze i wiatru nie przepuszcza. Tak tedy, jak tylko
jegomość z dworu
wyjdzie, a w ganku się pokaże, białe gołębie do niego... i
prosto śniegiem go
obsypują. »Taube! Taube!« — głaskając je prawi jegomość, a
one: so! so!
odpowiadają i czekają na groch...
— Co za obraz! — zawołał Zygfryd, przyciskając silniej dłoń
do oczu. Ręka mu
drżała, jakby wciskała łyzy, a nie chciał, by przez kogobądź
były widziane.
Dawna, młodzieńcza przeszłość stawała przed nim, dziś
oblana blaskiem wspomnień,
opromieniona poezją tęsknoty, jak czarowne widmo, z grobu
powstające, choć stary
Fritz opowiadania swojego nie okraszał wdziękiem wymowy,
mlaskał, zacinał się i
całe prozaicznie rzecz swoją prowadził.
Hanke ze zdziwieniem na groźnego komtura patrzył.

Ten człowiek kochał... kochał do łez.
Dwie miał tylko świętości: ojciec i matka!
Trzy dni tylko bawił Fritz na dworze wileńskim. W ciągu tych
trzech dni żadnej
wiadomości nie było o Hansie.
Zygfryd zaniepokoił się.
Któregoś dnia nieporozumienie jakieś zająć musiało pomiędzy
Zygfrydem a Jagajłą.
Wielki książę był wzburzony, komtur zaciśnięte miał usta,
chłodny, ponury był, z
brózdą głęboką na czole, przez które przesuwały się jakieś
myśli niepewne, w
posepne kształtujące się obrazy. Prawdopodobnie o
pergaminie mu napomknął, a ten
z dzidą do niego skoczył. Kunigas odraczał wciąż ter-

min zjazdu na Dubissie, a powodem odkładań tych było, jak to
już zauważył stróż-
anioł wielkiego księcia, uwięzienie Witowda, spokój pewien,
że silny przeciwnik
usunięty został, a jednowładztwo nad Litwą zapewnione. Z
dniem śmierci króla
Ludwika, jeżeli nie oczy, to miecz krzyżacki na chwilę
odwrócił się od niej;
niewiadomo było, jak się stosunki ościennych państw ułożą,
kto tron krakowski
zasiądzie, cofając się zaś, pułki niemieckie już Kowno minęły,
a wypadki szły
szybko, i dzień jutrzejszy zagadkowem obliczem patrzył.
Wyczekująca była

polityka zakonu, wyczekujący był i wielki książę litewski, jak
najdalej
odsuwając chwilę przymusowego poddania się jarzmu
niemieckiemu. Zmujdź zalewali
Krzyżacy, ale to był gwałt, nie uprawniony podpisem jej
władcy. Lecz w ręku tego
władcy zostawało dziedzictwo kiejstutowica, uwięziony zaś
Witowd nie dawał
możności sprzymierzenia się z nim Zakonu, by nową wszcząć
zamieszkę.
Upłynęło dni dziesięć od chwili wysłania przez Hankego i
Zygryda Hansa na czele
zbiarów zbrojnych przeciwko Bolechowicowi, który
tymczasem z towarzyszymi swymi
posuwał się, według wskazówek Tilla, ku Krewu dalekiemu.
Powolna to a nużąca była podróż. Musieli unikać dróg
odkrytych, gościńców
uczęszczanych, przedzierać się przez puszcze, okiem
nieobjęte, ostępy zapadłe,
bagna i trzęsawiska, spotykając się ze zwierzem dzikim,
walcząc z głodem i
obawą, by nie spotkać zbójów, ich poszukujących, mając lęk
w duszy, czy nie
zabłądzili w tych lasach głuchych, ciemnych, przepaścistych,
czy, gdy się
spóźnią o chwilę jedną, nie popłacze im szy-

ków dłoń przebiegłego komtura, świadomego celu ich
wyprawy.

Bolechowica głuchy szął ogarniał, lub martwota kamienna.
Gdyby nie pewność

Vendendaelle'a co do pomyślnego zakończenia
przedsięwzięcia, nie spokój don
Manoela, nie żarty i beztroska Tilla i ta przyjaźń szlachetnych
rycerzy,
obwiesiłby się na pierwszej lepszej sośnie przydrożnej, lub łeb
z rozpaczy
roztrzaskał. Don Manoel dodawał otuchy, Vendendaelle
pewności, a Till twierdził,
że obwiesić się zawsze może, bo drzew nie zbraknie, ba!
przybywało ich wciąż
więcej, porytych od piorunów, od burz potrzaskanych, w
których to Jaśko swoją
upatrywał podobiznę i żywo odczuwał ból drzewa tak
spiorunowanego.
Posuwali się w głąb mało znanego sobie kraju, lecz ani razu
nie zmylili
gościńca. Tam człek jakiś, wydzierający pszczołom zapasy ich
miodne, spytany o
drogę do Krewa, dobrą im dawał wskazówkę; tam w kurnej
chacie Litwina znaleźli
gościńcę uprzejmą i radę nie do pogardzenia. Bolechowic znał
język litewski, a że
przy każdym spotkaniu się takim Niemcom naurągał,
żadnych więc nie wzbudzał
podejrzeń i zaprzyjaźniał się prędko.
Nieraz zakołatali do wrót jakiegoś bojarzyna i zmęczone
skrzepili członki, a
torby swoje w podróże zaopatrzyli zapasy. Raz nawet dwa
dni przebyli w dworcu
takim, a Jaśko rozrzewnił się i o mało na głos nie ryknął, gdy
weszła do izby, z
białym kołaczem na tarczy drewnianej, córka gościnnego
gospodarza, jako żywo

Danutę przypominająca. Złocisty warkocz, oczy bławatkowe,
koral na ustach, w
koralu perły, ruch i dźwięk całej postaci, tak to wszystko
podobne było do
ukocha-

nej dziewczyny. Zadrzał, jak liść, a serce stanęło w piersi; a
gdy tchnął, to z
takim jękiem okrutnym, że zatrzymały się na nim te oczy
bławatkowe, zdziwione,
pytające, a dobre, a słodkie takie. Nie było sposobu ukryć
wrażenia, nie
otworzyć serca swojego, nie wypowiedzieć się z bólu i trwogi i
nie powiedzieć o
smutnej doli Danuty, o miłowaniu swoim i niecnym
zamiarach Zygryda. Spłakało
się dziewczę, opowiadań tych słuchając, beknął i Jaśko, a
starego bojarzyna
pięść zacisnęła się gniewnie, aż zaklął brzydtko. To spotkanie
dobrze podziało
na Bolechowica. Na duchu się skrzepił i znowu fantazyi
nabrał, a taki gniew, a
taką nienawiść srogą do Zygryda poczuł, że, gdyby w tej
chwili na oczy mu się
nasunął, dźgnąłby go i ubił bez pardonu.
Posuwając się tak naprzód i naprzód, zajeżdżając do dworców
bojarskich i
wieśniaczych chat kurnych, poznali duszę tego ludu,
bezgranicznie prawą i
bezgranicznie smutną, zakutą w jarzmo niewoli, bez pragnień,
bez marzeń nawet

lepszego jutra. Z trwogą patrzyła taka chata kurna na taki
dwór bojarski; z
trwogą bojarski dwór patrzył na zamek kunigasów; wszyscy
zaś oczy zwrócone mieli
za brzegi Niemna, skąd szła groza i śmierć! Niewola lub
zagłada, innej nie było
przyszłości. To też tajemniczy szmer przebiegał przez te lasy i
puszcze, szmer,
w postanowienie jeszcze nie ujęty, lecz już krystalizujący się
w duszy tego
ludu: »gromadnego wyjścia w świat!« » Wyjść« szeptały
chaty kurcze; »wyjść!«
szeptały dwory bojarskie.
Niema mocy z niewoli się wyrwać, ujść śmierci. Ten szept
dobiegał z Wilna,
powtarzały go dęby dębom, bukom buki, w tym szepcie
rozpacznym błąkało się imię

Dowkonta, roznieśli je: Kinżgajło, Zwinbut, Trump, a biegł
szybko, biegł
wichrem... bo niósł nieszczęście!
W tych puszczech ciemnych, zapadłych nie zakrwawiło się ni
razu słońce koralem
zachodu. Szarzało niebo, mrok otulał lasy, i noc spływała. Aż
oto strona zachodu
poczerwieniała, koral słońca przez gęstoliście drzew prysnął,
las zalał się
złotem.
Zrzedniała puszcza.
Bolechowic ostrogę dał koniowi i na skraj jej pomknął.
— Krew!... — zakrzyknął.

Don Manoel, kawaler de Vendendaelle i Till skoczyli za nim.
W dolinie zarysowało się miasto i gmach zamczyska na
wzgórzu.

Bolechowic drżał, ściągał uzdę koniowi, rył boki jego ostrogą.
Miał wygląd orla,
który gotuje się do lotu.

Rumak siadał na zadzie, jakby rozkazów czekał, to przedniemi
kopyty zgarniał

powietrze pod siebie. Konie don Manoela i Szarla rżec
zaczęły, rycerze patrzyli
na Jaśka, do skoku gotowi.

— Nazad, w las! — zawołał Till rozkazująco, przebiegając
przed rwącym się
naprzód szeregiem trzech kawalerów, zapatrzonych na miasto,
rysujące się na tle
wzgórz, zieleni i purpura zachodzącego słońca. —

Przynajmniej ty, Szarlu —

dodał, głos zmieniając — cofnij się z łaski swojej, bo, jeżeli
gdzieś oczy

wypatruje szpieg zygfydowy, to, dostrzekłszy sylwetki Jaśka
czy Emanoela: pies

li to czy bies, wiedzieć nie będzie, ale po kolumnie figury
twojej nas

wszystkich pozna... Marsz! — krzyknął, dobytym mieczykiem
wywijając przed nosem
szerogowców.

Szarpnięte konie w tył cofnęły się, i znowu las pochłonał
rycerzy.

O późnym zmroku dopiero, który zaciera wyraźne kontury
przedmiotów, ciemnym a

dzikim wadołem jakimś zbliżyli się do mało gwarne-
go przedmieścia i zapukali do
znanej tylko Tillowi gospody Dubasa. Była to karczma nie
karczma, chlew nie
chlew, bo i ludzie, i zwierzęta niektóre pretensye do niej
rościćby mogli.

Francuz głową pokręcił, grand dłoń do nosa przytknął, taki
smród bił od tej
chałupy, nie spodobało się coś Jaškowi, bo usta skrzywił, brwi
ściągnął i
mruknął:

— Dobrze to locum dla zbójów i złodziei!...

— Dlatego was wiodę tutaj, złodziejskie zamiary mających —
Till odparł.

Drzwi otworzyły się, i właściciel siedziby na progu stanął.
Rzadko kto takby się dostosował do niej, jak ów Dubas Tilla.
Człek to był o
fizyonomii bydlęcej, podobny do wieprza, na dwóch stojącego
nogach, jeno w
kapotę ubranego, od której niemiły odór się rozchodził. Till
nie powitał go
nawet kiwnięciem głowy, zapytał tylko, czy wolną izbę ma, a
potwierdzającą
otrzymawszy odpowiedź, wszedł do środka i przy kaganku, o
łoju cuchnącym, z
zadowoleniem wielkiem na ławę się rzucił:

— Skąd ty go znasz? — Bolechowic spytał.

— Studyując obyczaje — odparł Till — kiedym ongi na
dworze jagajłowym bawił,
wpakowałem się raz do tej dziury niechcący. Okrutnie mi się
ten Dubas podobał,
bo to niby pół człek, a pół świnia, to jest: reguła, nie wyjątek.

Dubas nie rozumiał języka, w którym Till przemawiał,
posłyszawszy jednak
nazwisko swoje, domyślił

się, że rzecz szła o nim, zaśmiał się więc zadowolony, a
śmiech jego zupełnie
przypominał wesołe krząkanie wieprza.
Rycerze byli znużeni i głodni. Obsiedli stół dookoła i
podróżnych dobywali
zapasów. Bolechowica febra jakaś napadła, wypieki miał na
policzkach, a trząsał
się, że przyłożony nóż do twardej skorupy chleba dygotał,
wybijając nieforemny
werbel jakiś. Till zezem spojrzał na Jaśka, don Manoel wzrok
na nim zatrzymał,
kawaler de Vendendaelle westchnął, może na słodkiej Elwiry
wspomnienie. Na
dworze wyły psy.
Till zwrócił się do usługującego Dubasa.
— Co tak te psy wyją? — zapytał.
— Na księżyc, proszę wielmożnego pana — odpowiedział
Dubas.
Till rzucił pytanie, czy nie słyszał czegobądź o przyjeździe
księżnej
Witowdowej, ale sprawy ludzkie nie obchodziły handlarza
świń.
Posiliwszy się nieco, wstał z ławy.
— Psy wyją na księżyc — rzekł. — Wszedł wcześniej, niż się
spodziewałem. Pójdę
na zamek, może tam jakąś potrzebną mi wiadomość ułapię.
Spożywajcie darów

Bożych, a czekajcie na mnie. Ty tylko, Szarlu, w świetle
miesięcznym nie stawaj.

Czapkę na łeb wsadził, pogładził turkusową rękojęć
weneckiego sztyletu, który
miał za pasem pozłocistym, poprawił krótki mieczyk,
czekanik do rąk wziął i,
zbliżając się do progu, zanucił:

Choć smutkami dusza struta
Goryczą mnie poi,
Ukojenie mi da nuta
Tej piosenki mojej.

Z bólów życia, z cierni życia,
Z pragnień krwi wysnuta,
Obroni mnie od rozbicia,
Szczęście da, da nuta!...

Wyszedł, a tylko echo, jakby na pocieszenie stroskanego
Bolechowica, w rogu izby
odezwało się raz jeszcze ostatnim wyrazem niby od
niechcenia rzuconej piosenki.
Nóż przestał dygotać, zagłębił się z mocą w czarną przylepę
chleba, którą wnet
Bolechowic z wściekłością jakąś spożywać zaczął.
W izbie panowało milczenie, słycać tylko było w zdrowych
zębach rycerzy trzask
przeżuwanego jada i kiedy niekiedy dźwięczny łyk gorzałki.
Rozmowa się nie
kleiła. Czekano powrotu Tilla, a choć niewiele czasu od jego
wyjścia upłynęło,

wszystkim się zdawało, że bawi za długo i już trochę
niepokoić się zaczęli.
Bądź co bądź, niezbyt bezpieczna ta ponocna wyprawa była.
Gospoda Dubasa stała
na skraju miasta; droga do zamku wiodła przez pustkowie i
wądoły, nietrudno było
ukrytego w zaroślach zbója napotkać, a w razie spotkania się z
rzezimieszkiem
takim, ni żart sowizdrzalski, ni piosnka trubadura na nicby się
nie zdały.
Psy wyły, czas uchodził. Trwoga rycerzy wzrastała.
Zaniepokojenie zmieniło się w
lekki wyrzut sumienia, że pozwolono samemu Tillowi na
zamek się wybrać, że ani
Bolechowic, ani don Manoel, choćby w przebraniu za
pachołków, na towarzysza mu
się nie narzucili. Szarl jeden tylko w tym wypadku zgryzot nie
czuł, bo, jeżeli
wąłesali się gdzieś szpiegowie Zygryda, niezmierny wzrost
kawalera łatwoby mógł
zdradzić wycieczkowiczów. Kaganek pociemniał, z knota
nicianskiego utworzył się nos
indyczny i żarzył się, dławiając woń wydając.

Wycie psów nie ustawało, działając przykro na nerwy
oczekujących przyjaciół.
Bolechowic wyszedł na dwór.
Księżyc już był wysoko, miasto spało; musiało już być wedle
północy, albo po
północy, tylko okna odległego zamku jarzyły się światłem
czerwonym. W tych

światłach zatonął wzrok Jaśka.

Księżna!... Danuta!

Nie śpią...

Może wrzeczono pracownicy jakiejś ślizga się po
modrzewiowej posadzce izby; może

Danuta jedwabną nić snowa na nowy pas dla swej pani; może
przy krosnach rozlega

się jej głos słowicy, pełen tęsknoty, niepokoju, żalu?...

Tysiąc: może rodziło

się w myśli Jaśkowej, a kołysały tak duszą, rzewnemi
marzeniami ją wypełniając,

że się nie spostrzegł, jak ktoś go za ramię ułapił i siłą prawie
do wnętrza izby

wprowadził.

Był to Till.

— Aaa! jesteś! — trzy głosy ozwały się naraz.

— Christ ist erstanden! — zawołał wesoło Till. W samej
wjazdowej bramie zamku

dziób w dziób spotkałem się z Zygfydkiem.

Don Manoel i kawaler de Vendendaelle z miejsc się porwali, a
z ust Jaśka

wypadło:

— Jezus!

— Rozrzewnił się na mój widok — ciągnął wesoło Till—a
niech szczepę, jeżeli mnie

podejrzywa o przyaźń z wami, tem bardziej, gdy was z Trok
do Grodna wyprawiłem,

nie mogąc zaprzecić się, na wszelki wypadek, bytności swojej u
Świdrygajły; a żem

się tu znalazł, nie dziwota!... mam się do jednej z dziewczek
księżnej pani i

gdybym tutaj jej nie zastał, jużem postanowił

był dożywotnim plastrem ucho sobie zatkać. Ale wiedzieć wam, że Zygfydek z całym dworem kunigasowym tu przybył, księżna zaś nie w zamku mieszka, lecz za jego murami, w kamienicy, stosownie do jej godności urządzonej.

Bolechowic się poruszył.

— Nie ciesz się — dodał wnet Till. — Chciałem iść do niej, ale Zygfydek odradzał mi i rzekł: »Nie uda się to tobie, kochanie! bo wielki książe, z racyi pewnych, straż mocną tam postawił, że pod karą śmierci nikt tego zaczarowanego koła nie przestąpi«. »Pstrum brum — ja na to — Tilla nie puszczą?« »To idź, duszo moja — on do mnie — tylko mam nadzieję, że tu powrócisz, bo gdzież ci lepiej będzie, niż na jagajłowym dworze«. Widzicie, jak sam się naprasza, bym stróżował przy nim.

— Ale u księżnej byłeś, byłeś? — zapytał porywczo Bolechowic.

— Ładna wizyta! — Till zakrzyknął. — Bodajbym po raz drugi na świat się ten rodził! Przed samemi wrotami kamienicy nos w nos z Hansem się spotkałem.

Dreszcz przeszedł po ciele Jaśkowem.

— Żyje... ścierrrwo? — zacharczał.

— Z takim guzem o barwie biskupiej, ażem zakrzyczał przerażony: »A jakież to pies

tak cię poczęstował?!« Nie wiedział, ale miłe mu było to moje
miłosierdzie
chrześcijańskie.

— I byłeś? byłeś? — Jaśko pytał.

— Wedle rozkazu... nie puścił mnie do zamku.

Zapanowała cisza, mrok jakiś padł na dusze rycerzy. Czuli się
bezzadni.

Wiedzieli już, że Hans w dobranej kompanii obsadził
wszystkie przejścia, do mie-

szkania księżnej prowadzące. Badawcze spojrzenia na Tilla
się zwróciły, w

których czytelny widniał napis: najdź ratunek!

Till to zrozumiał.

— Siedzieć makiem — szepnął — ja muszę do Zygfryda
śpieszyć. Zali nie dobrze dla

was, że takiego opiekuna przy boku swoim mieć będzie?

Wiadomości

wam nie zbraknie. Z Wissebutem się zapoznam. No, uszy w
górze, do zobaczyska!...

Skoczył do drzwi, ale przed progiem zatrzymał się i rzekł:

— Ty tylko, Szarlu, nie wychodź na światło dzienne.

Znikł.

— Na króla Klodowika klnę się, że zdechnę w tej dziurze—
zawołał zrozpaczony

kawaler de Vendendaelle.— To ci mnie w kluby wzię!... ni
ku miesiącowi

westchnąć, ni słońcu Bożemu przypatrzeć się! A no, trudno!...
bez ofiary nie

masz ni miłości, ni przyjaźni.

Bolechowic runął na ławę.

— Co tobie? — zawołali obaj przyjaciele, podbiegając ku niemu.

— Nic, nic... zamroczyło mi się tylko w głowie. Ale ja czuję, czuję...

nieszczęście!

Nie wczasby tu była jakakolwiekbaż pociecha, owa zdawkowa moneta z kapitału bez wartości. Rozumieli to dobrze rycerze i okrom wyrazu: krzep się! nic innego do powiedzenia nie mieli. Bolechowic opadł na duchu, to snuł jakieś zamiary szalone, ale mitygował go rozważny don Manoel, dla lepszego zaś powodzenia sprawy obiecał przez noc całą po czternaście koronek do każdego z czternastu patronów swoich zmówić.

Kaganek zgasł, ciemność wypełniła izbę. Kawaler de Vendendaelle na ławie się rozłożył i po kilku głębokich westchnieniach chrapać zaczął. Wśród ciszy nocnej rozchodził się szmer przesuwanych paciorów różańca i nadludzką siłą tłumiony szloch piersi Bolechowica. Przed samem zjawieniem się Tilla na dworcu kunigasa w bocznej furcie muru, otaczającego część mieszkalną gmachu, od której klucz znajdował się zawsze u wielkiego księcia podczas jego bytności na zamku, stały dwie tajemnicze postaci, ściszym głosem rozmawiające z sobą.

— Jutro więc, gdy pierwszy mrok zapadnie, konie krzyżackie zatrzymają się w

»Czarnej Olszynie« o dwa stajania od zamku.

— Wedle rozkazu wielmożności waszej — padła odpowiedź.

— Ta furta przymknięta będzie, lecz nie zamknięta... Na skraju ścieżki, przy

»Źródliczku« z ludźmi swoimi się staniesz i czekać będziesz na gwizd. Wtedy

skoczysz i dziewczkę weźmiesz. Tylko bacz, że jako z dzbanem kruchym, kwiatem

wątlým, obchodzić się z nią masz, by silniejszym dotknięciem ręki nie ze-' trzeć

aksamitu jej ciała, puchu piersi, srebra ramion. Jak kwiat, niesiona być musi,

jak drogocenna urna z izb cesarskich.

— Wedle rozkazu wielmożności waszej.

— Dowiesz ją tak do Malborga i siostrze Amalii oddasz, tej... znanej

przyjaciółce zakonu. Dość będzie, gdy jej powiesz, że to od komtura Zygryda dar

niepokalany dla niebios... Upieści ją, uspoko... bo to woń, mgła, tchnienie...

Pamiętaj!

— Wedle rozkazu.

Cienie rozeszły się.

Słuchający rozkazów wązką ścieżyną, wijącą się j,od murami zamku, skierował się,

do stojącej w odległości pewnej, kamienicy księżnej Anny;

wydający rozkazy furte

zatrzasnął, zgrzytający klucz w zamku obrócił i krokiem
poważnym przeszedł
podsienia gmachu; zatrzymywał się co chwila, rozmyślając
nad czymś, a znać było,
że myśli palące przebiegały przez mózg, bo gorączkowe
wypieki oczekiwania
spełnień się marzeń jakichś paliły się na policzkach, blask
oczu rozjarzał się,
to przygasał, jakby w omdleniu na myśl zbliżających się
wrażen sercowych,
rozkoszy przewidywanej.
Szedł wolno i szeptał:
— Aksamit ciała, puch piersi, srebro ramion, zatracenie
pamięci, dreszcz,
ogień... i szął... szął!
Za pierś się chwycił, rozdarł szat ciężar na niej, jakby ratując
ją od pęknięcia
z napływu wzruszeń. Zaśnieżył biały płaszcz i ciężkimi
fałdami po ramionach ku
ziemi spłynął.
Był to Zygfryd; słuchającym zaś przed chwilą rozkazów jego
był Hans Nuppel.
Od dwóch dni bawił już wielki książę z dworem swoim na
zamku krewskim. Zjechał
na czas krótki pod naciskiem niby przeczuciowej jakiejś
trwogi Zygfryda i
lękliwych podejrzeń, tyczących się nieposzlakowanej
wierności Wissebuta, które w
pewnych odstępach czasu, jak krople zatrute, wsączał w
podejrzliwy umysł
kunigasa. Niejednokrotnie nawet lekka sprzeczka wybuchała
pomiędzy komturem a

wielkim księciem, gdy rozmowa, umiejętnie prowadzona,
zwróciła się na więźnia
krewskiego i ojca Danuty. Wielki książę bronił starego przy-

jaciela i mówił: »Wierny, jak pies«. Krzyżak na to: »I pies
czasami kąsa rękę go
karmiącą«, a gdy wielki książę drwił z rzucanych przez
łękliwego komtura
podejrzeń, ten szeptał przyjacielsko: »Nie twierdzę, tylko
ostrzegam!... my,
mnisi bogobojni, dobre czasami przeczucia miewamy«.
Kropla skały wydrążyła, miększe są od skał serca ludzkie.
Pomimo że cały żywot
Wissebuta składał się z szeregu czynów wierności, ślepego
posłuszeństwa i
nienawiści do Niemców, kropla niewiary wsączała się w
zabobonną duszę kunigasa i
spustoszenia w niej czyniła.
Wierność, żelazne poczucie obowiązku i oddanie się
bezgraniczne panu swojemu
widne były z tych źrenic omglonych. Warty stały, jak głazy, w
ziemię wrośnięte;
kute drzwi więzień ciężkie wrzeciądże dźwigały; domu, w
którym zamieszkała
małżonka Witowda, pilnowały straże pod wzmocnionym
nadzorem Hansa; księżnę,
odwiedzającą męża z dwiema dworskimi pannami,
codziennie sam Wissebut prowadził
do celi więziennej i, oparty o drzwi, powrotu jej czekał.
Wracała wzruszona,

tuląc do piersi towarzyszki obie, które kryły twarz swoją w
fałdy szat pani
zbolelej, szlochając i pocieszając strapioną. Tak bywało od
chwili przybycia
Anny do Krewa, tak było wczoraj, dziś i jutro tak będzie. Z
górných izb zamku
widział już dwukrotnie kunigas ten powrót niewiast; za niemi
szedł Wissebut z
ciężkim pękiem kluczów; odprowadzał do wrót, żegnał
ukłonem, należnym krwi
książęcej, i wracał. Nie umknąć Witowdowi z pod takiej
opieki starego żołnierza.
Przez krzyżackiego komtura przemawiała żółć, dawny
kowieński porachunek z
Wissebutem. Upewniwszy się o tem wszystkim, nie pozwalał
już sobie o Dubissie

wspominać; coraz częściej za dzidę chwytał i marzył o
otrząśnięciu się z jarzma
zakonu.

Wszystko szło według myśli kunigasa i wszystko szło według
myśli Zygfryda. Z
odwiedzina mi księżnej z dwiema pannami dworskimi oswoił
się Wissebut.
Przychodziła przed zmrokiem, wychodziła o zmroku. I jutro
tak będzie, tylko jedna
z tych dziewcząt nie będzie już Danutą, tylko nie ona na
zbolełe łono swej pani
głowę położy i ciemne sklepienie baszty więziennej opuści.
Gdy ta, brzemienna

dla dziejów Litwy i dla pożądań zygfydowych chwila nastąpi,
on, Zygfryd, niby
wypadkiem, znajdzie się w podsieniach zamku i drogę
Wissebutowi przetnie, i cień
swej postaci na twarze oddalających się kobiet rzuci i bąknie
nie domyślającemu
się podejścia żadnego żołnierzowi obojętnych słów kilka, a
może... może pewne
znaczenie mających, by wzrok starego żórawia, choć wiekiem
osłabiony, choć
oswojony z temi trzema postaciami niewieściami, w ruchu
jednej z nich nie
dojrzał zmiany jakiejś, jakiegoś pośpiechu nerwowego,
czegoś, coby rozszerzyło
mu źrenice, a wydobyło krzyk przerażenia z piersi. W
oswobodzonym Witowdzie
potężnego sojusznika zakon znajdzie, a on, przestraszną
zemstę na Wissebucie, na
tym znienawidzonym wrogu dokona. W ciemnym więzieniu
posepnej baszty Kiejstuta
Danuta zostanie w więzieniu, którego klucznikiem on teraz
będzie, pan jej życia
i pan jej ciała!...
Krew gorąca zalała mózg mnicha, lubieżne obrazy pieśczot
marzonych i rozkoszy
rozpełzały się, jak węże o złotopurpurowych łuskach, wiążąc
się w pierścienie
uścisków nierozrywanych, pożar żądry nieugaszony,
niszczyielski rósł w bezmiar.

Nie wracał do izb swoich. Dławiłaby go w tej chwili ciasnota murów, żar piersi jego powietrzeby wysuszył.
Przed zamknięciem bramy wjazdowej zbliżył się do wrót jeszcze otwartych i spotkał Tilla.
Nie zdziwił się, powitał go przyjaźnie. Till sam mu z wesołym śmiechem napomknął o nieudanej do Trok wyprawie Bolechowica, o uczie u Świdrygajły, i gdy zbici z tropu rycerze z zapytaniem zwrócili się do niego: gdzie mają teraz księżny szukać? — bryzgnął im konceptem: »Do Grodna ruszajcie, waszmościowie!«... I pognali do Grodna, a on za boki się brał i pił na umór i Świdrygajle noc całą przyśpiewywał. Sposób opowiadania Tilla nie nasuwał wątpliwości żadnych, a zatrząś trzewiami Zygryda, tak mu się ten koncept podobał. Nie chciał go jednak dopuścić do widzenia się z księżną, obawiał się jej słów nieogłędnych i Danuty złych przeczuć. Na barki wielkiego księcia ten zakaz zwał i: »idź« rzekł, lecz wiedział, że wróci. I czekał powrotu i pozostania już na dworze jagajłowym tego tułaczego gościa panów i książąt. Pierwszem zadaniem Tilla było zapoznanie się z Wissebutem, ale zaraz nazajutrz przekonał się o trudności tych zabiegów. Zjawienie się wesołego sowizdrzała obojętne było dla litewskiego dworu kunigasa, który fraucymeru nie miał, żart a

śpiew lubiącego. Oprócz Zygfryda i kilku Niemców,
towarzyszących komturowi.
otoczenie wielkiego księcia składało się z bojarów Litwy i
Żmujdzi, a oni
podejrzliwymi, jeżeli nie nienawistnymi oczami na każdego
cudzoziemca patrzyli.
Sowizdrzalstwo Tilla i jego wesołości nie przypadają do
posepnych dusz
litewskich: niezrozumiały pomruk był odpowiedzią na

rzucane pytania i lekkie wzruszenie ramion; Wojszwiłł
ogłuchł zupełnie, Wissebut
przystępu do siebie nie dawał, Sojna nawet odwracała się
tyłem, widoczną wzgardę
mu okazując. Lecz mniejsza o Sojnę i Wojszwiłła, Till
Wissebuta chciał ostrzedz
o grożącym mu niebezpieczeństwie, o tych niecnym
zamiarach mnicha krzyżackiego
względem jego Danuty ukochanej, tego ostatniego światła lat
jego starych,
zabranego już przez dwór księżnej Anny.
Daremny wysiłek!... Wissebuta nie przydybać na przechadzce
samotnej, a wstępu do
jego izby w baszcie więziennej bronił stróż z toporzyskiem w
ręce, na wszystkie
umizgi odpowiadający krótko:
— Idzi, kali grzecznie proszę, bo łupnę!
W sieni zaś leżała niedźwiedzica, z którą żadnej konwersacji
nie można zawiązać
było.

Till zaniepokoił się. Dobre jego intencje obracały się w niwecz, samotność zaś i nuda to niemiłe horoskopy dla paliwody takiego. Pozostawał mu tylko Zygfyrd, pociecha w strapieniu i najtrudniejszy przedmiot do badań mu potrzebnych.

Nie odstępował więc na chwilę komtura, który, oczywiście, nie zwierzał się przed nim z myśli swoich, Till zaś nie mógł, przez żart nawet, naprowadzać rozmowy na Danutę, lękając się, by Zygfyrd nie domyślił się roli, do której odegrania na dwór wielkoksiążęcy przybył. Dobrze przynajmniej, że wierzy w niemieckość jego duszy, nie domyśla się przyjaźni z Bolechowicem, nie odsadza od boku swojego.

Dzień minął, zbliżał się wieczór, zwyczajna godzina odwiedzin uwięzionego Witowda przez księżnę, wybrana

chwila do wykradzenia Kiejstutowica, której oczekiwał Zygfyrd z trwogą w sercu i pałającymi oczyma.

W górnej izbie zamku siedział kunigas, zajęty rozmową z komturem o mających nastąpić układach z zakonem. Till zaś z pergaminu trzaskającą pukawkę robił, która to zabawa wielce się Wielkiemu Księciu spodobała. Komtur był podniecony momentem zbliżającym się, wypieki na policzkach miał, suchość w gardle, którą

łagodził haustami popijanego wina; wzrok niespokojny biegł
co chwila ku bramie
zamkowej, przez którą miała wejść księżna z pannami. Nie
uszły uwagi Tilla ten
niepokój i gorączka Zygfrida: to o Danucie myśl tak działa na
niego, że ujrzy
ją, wzrokiem ogarnie, ukołysze w marzeniach. Dlatego tak
drży, i za okno płonąca
źrenicą wybiega a urywanym i podrażnionym głosem Jagajle
odpowiedzi daje. Wielki
książę nie zważał na to podniecenie nerwowe komtura: mówili
o stosunkach z
zakonem, a to się zawsze kończyło wspomnieniem Dubissy i
irytacją stron obu.
Pierwszy cień zmroku upadł. Brama się rozwarła, przed którą
z pękiem kluczków
stał Wissebut. Trzy niewieście postaci zarysowały się na tle
powietrznej
przestrzeni, przeszły przez dziedziniec zamkowy i skierowały
się ku baszcie
kiejstutowej. Za nimi posunął się Wissebut, starzec
siedmdziesięcioletni, z
miesiącem na głowie, mleczywem na brodzie, słuszny, suchy,
o barkach,
pochylonych ku ziemi. Na nogach łapcie, plecione z kory
lipowej, miał, na
biodrach pas, w ręku klucze. Weszli do podsieni, zniknęli w
szarości murów.
Mrok zapadł. Pożłota nieba na zachodzie zgasła. Komturem
potrzęsał dreszcz
nerwowy. Wtem Till się ozwał, unosząc pukawkę do góry:

— Jak trzasnę, wasza książęca mości, to aż Sojna gotowa
głosem ludzkim
przemówić, dziw ten zobaczywszy.

— Zabaw więc Jego Wysokość — rzekł Zygfryd, powstając
— ja za chwil parę
powrócę.

Skłonił się nisko i, według przyjętego zwyczaju, cofając się,
za próg wyszedł.

Till z podniesioną pukawką patrzył na Zygfryda, którego
słowa, jakby ze
ściśniętej krtani wypadły, a rękojeść miecza, na której rękę
trzymał, dziwnie
drgała w ujęciu dygocących palców. Kunigas uśmiechnął się i
mruknął:

— Pukawka Tilla z Dubissy twojej będzie!...

Trzask się rozległ.

Sojna skoczyła i zaczęła warczeć, a Till zwrócił się do
Wielkiego księcia i
rzekł:

— Najwyraźniej warknęła: arrrcydzieło!

Zygfryd wiedział, o jakiej godzinie dnia wchodziła i
wychodziła księżna. Zeszedł
na korytarz zamkowy właśnie w chwili, gdy trzy postaci
kobiece, pośpieszniej,
niż zwykle, opuszczały próg izby więziennej, a Wissebut
zatrząskiwał kute
wierzeje i ciężki, duży klucz w zamku obracał. Anna szła,
łkając, a prowadzące
ją panny, po których ramionach omdlałe ręce jej spływały,
tuliły się do piersi
pani, szepcząc, jak zwykle, słowa pociechy. Pomimo zmierzchu
dostrzegł komtur, że

jedna z tych panien nie miała lekkiego chodu Danuty, ni
wdzięku jej dziewiczego.
Uśmiech dzikiej radości przewinał się przez usta krzyżaka,
mijając ich, szepnął:
»Wolniej!« bo ruchy uchodzących nerwowe i przyśpieszone
były. Na to wszystko
jednak nie zwrócił uwagi oswojony z temi odwiedzinami
Wissebut; żadne
podejrzenie w jego spo-

kojnym nie powstało umyśle, zatrzymał się nawet dłużej przy
drzwiach
wieziennych, bo klucz dziwnie zazgrzytał czy jęknął i nie
odrazu obrócił się w
zamku. Może drgnęła ręka starego dozorczy, może zardzewiał
mechanizm zamknięcia i
stawił opór palcom zgrzybiałym. Wissebut zgrzyt klucza
słyszał; nie przytępiony
starością słuch komtura zachwycił krzyk krótki, urwany,
stłumiony przez ścian
grubość. Dziwny jednak ten zgrzyt Wissebutowi się wydał, bo
chwilę stał przed
zamkniętymi już wrotami i dopiero z zamyślenia się obudził,
gdy brzękły ostrogi
butów krzyżackich i zadudniły w pustce korytarza znajome
kroki Zygfryda. Założył
wrzeciądze, wyszedł z podsieni i zbliżył się do filaru, przy
którym stał komtur,
patrząc za odchodzącą księżną i jej dworkami, z których
jedna przykuwała do

siebie wzrok Krzyżaka. Wissebut miał przejść obok komtura, gdy ten zwrócił się ku niemu, jakby tknięty myślą, zbudzoną nagle w mózgu i wzrokiem dziwnym w źrenice jego uderzył.

Stary Litwin zatrzymał się i odpłacił również gromem spojrzenia.

Krzyżak lekko głową zakołysał i nie spuszczać wzroku z Wissebuta, mówił powoli, dobitnie:

— Zdaje mi się, że nie wam pilnować więźniów takich, jacy w kiejstutowej bywają baszcie.

Wissebut nie rozumiał znaczenia słów, odpowiedzi żadnej więc nie dał, tylko

nienawistne spojrzenie utkwiał w twarzy Krzyżaka.

Zygfyrd ciągnął.

— Wasza ręka drży przy zamykaniu wrót więzień takich, klucz zatrzymuje się w zamku i... zgrzyta!

— Klucz mój i ręka moja!... Nic wam do nich! — odpowiedział Wissebut.

Chciał odejść, ale zatrzymał go wzrok komtura... Zygfryd mówił dalej:

— Księżna odchodziła dziś więcej szlochająca, z większą czułością, niż zwykle, przygarniały się dziewczki do niej. Czy nie zauważyliście tego pa-nie do-zor-co?...

— To sprawa żalu księżnej i dziewczek jej usposobienia —
odpowiedział Wissebut.

— Żalu! usposobienia!... może... może!

— Czego wasza wielmożność chce ode mnie? — rzucił
zniecierpliwiony Wissebut.

— Dziwna myśl urodziła się w głowie mojej, panie dozorczo!...
że... że wam, po
latach długiej a tak wiernej służby, której znak mam jeszcze
tu, około piątego
żebra, należy się już spoczynek.

— Zbytek łaski — mruknął Wissebut. — Szkoda tylko, że nie
od waszej wielmożności
ona zależy.

— Kto wie, kto wie! — odezwał się komtur.

Wissebut lekkim skinieniem głowy pożegnał natręta.

Odchodząc, parę razy obrócił

się poza siebie i widział, jak Zygfyrd jakieś zagadkowe ruchy
palcami robił,

stawiał krok naprzód i zatrzymywał się, to za odchodzącym
wzrok posyłał

zagadkowy a pytający.

Nie bezmyślnie ta rozmowa przeprowadzona została. Chciał
zatrzymać Wissebuta, by

dać możliwość ucieczki Witowdowi. Nad bramą zamkową,
przez którą księżna wyszła,

Wissebut miał izbę sklepioną, skąd daleki rozszerzał się
widnokrąg. Mógł Witowd,

bezpiecznym się czując, za tę bramę wyjść z roli dziewczki
przebranej, a nieuważny

ruch lub krok, po męsku postawiony, zbudziłby czujność
dozorcy. Tego obawiał się

Zygfyrd. Te-

raz był spokojny. Zbiegowie uszli... Posnuł się mrok gęsty,
zacierający kontury
wyraźniejszych nawet przedmiotów.
Stał długo, nasłuchując, to w niebo patrząc, na którym
gwiazdy wypryskiwaj
zaczęły. Szeptał:
— Już u Czarnej Olszyny być muszą. Rwą naprzód konie
krzyżackie. Nie zgoni ich
pościg żaden! Teraz do kunigasa z podejrzeniem, zrodzonym
w mózgu moim.
Jagaił zabawiał się z Tillem i przy czerwonym świetle
kagańca badał misterną
budowę pukawki, gdy z trzaskiem drzwi się otwarły i wpadł
wzburzony Zygfyrd. To
nagle wejście nie podobało się Jagaile.
— Zwolna!... — rzucił przez zęby. — Tu dworzec wielkich
kniaziów, nie niemiecka
gospoda!
Komtur, niby zmieszany, zatrzymał się i o pół kroku w tył się
cofnął.
— Niech Wasza Wysokość mi przebaczy — rzekł — że może
podejrzeniu swojemu zanadto
dużo wiary dawałem, ale, pomimo perswazyi rozsądku, że
wzrok mój uległ
złudzeniu, pomimo ufności waszej w wierność psią
Wissebuta, choćbym się na gniew
Waszej Miłości naraził, muszę wypowiedzieć się z tego
przywidzenia straszego,
bo być może rzecz groźna dla was i... dla nas!
— Jaki cię upiór przeraził? — spytał kunigas, dwie słomki
rzucając poza siebie.

— Nie chciałbym się narazić na śmiech Waszej Wysokości,
ale jedna z dziewczek od
bram więziennych oddalającej się księżny... miała ruch męski,
krok męski...
Wielki książę jak słup stanął.
— Co?!
Zatchnął się.

— Może błąd, złuda zmysłów — szeptał przerażony Zygfryd
— bo mrok rzetelny świat
już pokrył, ale... zdawało mi się, że towarzysząca zawsze
księżnej córka
Wissebuta nie była dziś nią!
— Opamiętaj się! — przychodząc do siebie, odezwał się
Jagaił. — Przecie niejedna
jest dziewczka na dworze księżnej.
— Bogiem klnę się!... z Wissebutówną przysła, nie wysła z
Wissebutówną!
— A kto wyszedł? kto?! — zacharczał Jagaił.
— Więzień z Kiejstutowej baszty.
— Łziesz!... — wrzasnął kunigas. — To niemożliwe! —
dodał. — Jako?... dziecko
swoje w tej strasznej zostawiłby pieczarze... ojciec?
— Wróg Zakonu, a wy z Zakonem trzymacie. Witowd
nienawidzi nas... i was. A
mówią, że duch Kiejstuta błędzi w tej strasznej pieczarze i
szepce: pomścij!
— Służba! — krzyknął Jagaił.
Wojszwił w drzwiach stanął i kilku pachołków podręcznych.
— Wissebuta mi zwać!... Niech z pękiem kluczków przed
kiejstutową basztą stanie i

czeka na nas! Pochodnie zapalić!... Niech płoną jasno, bym
mógł wyczytać strach,
gdy wzrok mój z jego się wzrokiem spotka. Trupem spojrzę,
gdy dłoń do tego
bezpiecznego dzieła przyłożył, jeżeli oszukanym nie był... a mnie
oszukał!

Wojszwił z pachółkami wyszedł, kunigas trząsał się» |ak w
febrze, targał

jedwabny pas i szeptał, na Zygryda patrząc:

— Skłamałeś! skłamałeś!... Wissebut?... cha-cha-cha...

Krzyżak pochylił się,

nabożnie ręce na piersi złożyłi rzekł:

— Omyłka nie grzech... O, gdyby to była omyłka!

Cicho dzwoniły zęby w ruchliwych szczękach wielkiego
księcia, trzepał w palce,

za pas się chwycił, dawał i nie dawał wiary słowom komtura:

»Pies tak nie zeżże,

jak ty« — mrucał. — »Wissebut?... cha-cha-cha... a toćbym

w istność własną nie

uwierzył!«... Za łeb się brał, ramionami wzruszał, to patrzył na
Zygryda jakimś

wzrokiem politowania i wzdardy.

Ani Zygryd ani kunigas nie spojrzeli w tej chwili na Tilla,
którego twarz

śmiertelną się bladością okryła. Stała przed nim potworność
jakaś z obliczem

prawdy ohydnej, dla której wyrazu znaleźć nie umiał.

Okropna jasność olśniła

mózg jego; zrozumiał teraz całą podłość intrygi, lęk księżnej
przed

Bolechowicem, wyjazd jej tajemniczy i ono wykradzenie
Witowda, za pomocą gwałtu,
dokonanego na Danucie.
Krokiem szybkim, z pierśią dyszącą schodził Jagaił do
podziemi; za nim posuwał
się komtur, a dalej walił dwór cały, nie wiedzący nic o
wypadku, lecz coś
groźnego przewidujący. Za Zygfydem pośpieszał Till. Miał
czoło okryte potem
zimnym a przerażenie w oczach. Chwiał się, zataczał, rękoma
za ściany się
chwycił, a ledwie tchu mógł ułapić. Kołysały się pochodnie w
rękach pacholków,
poprzedzających wielkiego księcia; kłębił się dym czarny,
rwały się złote języki
ognia, bo szli szybko, przynagleni gorączkowymi krokami
idącego za nimi
kunigasa.
U wrót więziennych stał już Wissebut, oczekujący na
przyjście pana. Spokojną
miał twarz, jako człek o czystym sumieniu; najmniejszym
lękiem nie przyćmione
źrenice, jako nie poczuwający się do winy żadnej. W prawej
ręce pęk kluczków
trzymał, w lewej latarnię, w któ-

rej blasku słabym śnieżyła jego broda siwa i wążki wieniec
włosów na czaszce,
pooranej latami. Czekał na kunigasa, nie zadając nawet sobie
pytania, dlaczego

wezwany został z tym pękiem kluczków do tych wrót
więziennych? Słuchać, milczeć i
spełniać rozkazy to codzienna strawa niewolników. Lecz
światła pochodni, szmer
idących, niezwykle ruch jakiś i ciżba tłoczącego się dworu
narazie zdziwiły, a
później strwożyły Wissebuta. Groźna postać kunigasa,
szatański wyraz twarzy
bezczelnym krokiem stąpającego Zygfyryda błysnęły w mózgu
starego dozorca więzień
przypomnieniem rozmowy, z komturem prowadzonej. Co mu
mówił? większym szlochu
księżnej, o chodzie jej przyśpieszonym, silniejszym
przytuleniu się dziś panien
do jej łona i jeszcze... jeszcze... »Nie wam pilnować więźniów
takich!«

Roztrzaskały się pioruny nad głową Wissebuta... i gdy twarz
jego oblała krwawa
łuna pochodni, gdy stanął przed nim kunigas i gromem w oczy
uderzył, zbladła
twarz starca, a duże, zimne perły potu na czoło wystąpiły.
Przed mieczem
spojrzeń pana truchlał duch niewolnika.
Zygfyryd nie chciał, by zbyt długo przeciągała się ta niema
rozmowa spojrzeń, by
przed otwarciem drzwi więziennych, padły pierwsze słowa
pytań jagajłowych i
otrzeźwiły nie poczuwającego się do winy Wissebuta.
Wyřęczył więc kunigasa i
rzekł:
— Jego wysokość chce z bratem się zobaczyć... O-twórz-cie
no drzwi, pa-nie do-
zor-co!

Wissebut pytający wzrok na Jagaiłę zwrócił.
Wyczytał rozkaz spełnienia poleceń.
Drżącymi palcami objął wrzeciądze, drżącymi palcami otworu
szukał. Klucz
dygotał, uderzając o żelaziwo

zamka, wysuwał się z ręki zgnębionego strasznie
przezuciem starca. Widział to
kunigas, i gniew rozsadzał mu pierś; widział to Zygfyrd i
podjudzał gniew
kunigasa wzrokiem, który mówił o groźnej prawdzie jego
przypuszczeń. Klucz
zgrzytnął, Wissebut ramieniem drzwi podparł, które
westchnęły i otworzyły się.
— Panie dozorczo, naprzód! — rzekł mnich krzyżacki.
Stary przestąpił próg więzienia.
Weszli pachółkowie z pochodniami, za nimi kunigas, Zygfyrd
i dwór cały.
Izba była sklepiona, o czterech promieniach łuków gotyckich,
zbiegających się po
środku wklęsłego pułapu, skąd spływała na żelaznym
łańcuchu latarnia wenecka,
małe światło rozsiewając dookoła.
W jednym z załomów muru, przytulona do ścian, okapujących
wilgocią, kulila się
postać jakaś w stroju męskim, lecz o dziewiczym wyrazie
twarzy, wzrokiem
przerażonym patrząca na kunigasa, z którego piersi wypadł
jakiś charkot
zwierzęcy.

Wissebut, blady jak trup, zbliżył się do widma.
— Pan... pan — cichy, przebolesny szept zadzwonił. Nie
widziała nic, prócz kroku
kunigasa, jego warg zaciśniętych, z których wybiegał gruchot
zębów i uderzenie
szczęk.

Wissebut w głaz się zmienił. Pierś zdławił strach, oniemiało
przerażenie. Oczy
zwrócił na pana, i te okamieniały pod straszliwym wyrazem
wzroku jagaiłowego.

Było cicho, śmiertelnie cicho w mrocznych sklepieniach
więzienia; tylko suchy
szmer palących się pochodni grobowe przerywał milczenie;
tylko szybki oddech
piersi Tilla, szukającego podpory u ścian, łączył się z le-

dwie słyszany płaczem Danuty, niby szept wiatru z jękiem
zdroju; tylko głuchy
charkot piersi i gruchot zębów kunigasa zapadał w ciszę i
coraz groźniejszą i
coraz straszniejszą ją czynił.

Wielki ksiązę nie mówił nic. Oczy utkwiał w zbiegłe źrenice
Wissebuta i, patrząc
tak, a spojrzeniem zabijając, ruchem powolnym odwijał pas
jedwabny i zbierał w
garść skręty jego węzowe... i miał w palcach rozpasywał się
dalej z powolnością
jakaś oprawczą. Zygfryd widział te ruchy i ich znaczenie
rozumiał; czuł mękę

Wissebuta, któremu odebrano nawet prawo do krzyku, i z
dzikim wyrazem na ustach,

z rozkoszą jakąś wierzącą patrzył w kamienną, zbielałą, trupią
twarz skazańca, w
jego oczy nieruchome, martwe, podobne do dwóch grobów, ze
wspomnień nawet
wywianych. Nie była jednak ta twarz bez czucia, nie były te
oczy bez myśli, ani
bez krzyku ta jego pierś zapadła. Krzyczała poniewierką uczuć
ludzkich i krzywdą
za tyle lat służby nieskazitelnej; boleścią ojca, oddającego swe
dziecię w ręce
oprawcy; krzyczała bezruchem swoim, męką milczenia
krzyczała! Zwierz targnąłby
się i zawył, niewolnik miał głaz na ustach.
Przestała pracować lewa ręka kunigasa, w prawej był pas już
cały, którym wielki
książe miał cisnąć w twarz Wissebuta, gdy w tej chwili
Zygfyrd skoczył i
pochyłając się do nóg Jagaiły, zawołał:
— Panie!... o nic jeszcze dotąd nie prosiłem ciebie, dziś
proszę, modłę,
błagam... cofnij swój wyrok okrutny i daruj mu żywot!
Przewinienie wielkie,
grzech wielki popełnił... Dość będzie mu kary, gdy, łask
twoich pozbawiona i
widoku dziecka swojego pozbawion, w świat pójdzie, tułacz
bezdomy!... Na jego
miejscu pozostanie...

może bezwinna winowajczyni i wyjawi nam tajemnicę
ucieczki mściwego Witowda.

— Nie, nie! — wypadło z ust Wissebuta.

— Precz — zagrzmiął piorunujący głos Jagaiły.
Pęk kluczków wysunął się z rąk starca, które Zygfyrd ruchem
niedbałym podjął i za
pas sobie założył. Biały płaszcz krzyżacki, obojętnie rzucony
przez ramię, ukrył
to żelaziwo, by zbyt się nie nastęczało oczom patrzącym.
Groźny był rozkaz kunigasa, wyrok od śmierci straszniejszy.
Nie zauważył nikt, jak coś się otarło o ściany, jak szmer jakiś
wzdłuż korytarza
przebiegł; nie zauważył nikt, jak postać jakaś przypadła za
krzewem, rosnącym u
furty bocznej zamczyska, przez którą Wissebut wyszedł. Furta
przymknięta była,
lecz... nie zamknięta.
Cisza...
Wszedł księżyc czerwony.
Polatał wiatr lekki i o krzew trącał... krzew wzdychał, jakby
miał pierś ludzką.
Kroki... żelaza brzęk...
Do furty zbliżył się Zygfyrd, otworzył i rzucił wzrok w
przestrzeń.
Na tle błękitów, rozjaśniających się przez księżyc
wschodzący, rysowała się
postać oddalającego się Wissebuta. Wiatru nie było, a on się
chwiał, jakby nim
wicher trącał; ziemia w bezruchu stała, a przed nim kręcił się
świat.
— Na wichry, na burze, na pioruny... idź, wrogu! —
zawarczał Krzyżak.
Stał chwilę, furtę przymknął i wrócił do zamku. Ciężkie
klucze kołysały się u
jego boku i dzwoniły.

— Strach! strach! — wypadło z ust wysuwającego się z za krzewu Tilla.

Otworzył furkę, szybko przebiegł pod murem i zniknął w zaroślach wałów zamkowych.

Zdaleka, zdaleka fale powietrza przyniosły ryk rozbudzonej piersi Wissebuta.

IX.

Straszny klucznik.

W zajeździe Dubasa nie kładziono się do snu. Niepokój miotał Bolechowicem, że nigdzie długo miejsca zagrzeć nie mógł: aby na ławie przysiadł, zrywał się wnet i chodził po mrocznej izbie. Gdyby nawet który z przyjaciół jego chciał pięść pod głowę położyć i zdrzemnąć się nieco, przeszkadzałyby mu nerwowy, szybki krok Bolechowica, chrzęst zaciskanych pięści, kołysanie się stołu, na którym dzwoniły szklanice, trzask ławy, na której usiadał, by zerwać się na chwilę i bolesny swój spacer rozpocząć. Uspokajał go don Manoel, Vendendaelle upewniał, że Till nie zaśni sprawy i nie omieszka o grożącym niebezpieczeństwie zawiadomić, przyznawał im słusność Jaśko, ale dodawał wnet: — Balsamem byłyby mi słowa wasze, gdyby nie strach, który w mem sercu się rodzi i woła: niemasz nadziei!...

— To mówi strach, a strach to imaginacya, a imaginacya to nie kloc drzewny, który ułapić możesz, obejrzeć i przekonać się wszystkimi pięcioma zmysłami, że jest klocem, nie panną do drabanta — rzucił Vendendaelle.

— Wolej śmierć, niż taką męczącą niepewność — zawołał Bolechowic.

— Śmierć nie minie, wszelka zaś niepewność ma dwie fizyonomie — dodał Francuz. —

Dopóki w rękę pewności nie trzymasz, a przysiądz nie możesz, że tak jest, a nie inaczej, nie lamentuj, wiary nie trać, śmierci nie kuś, boć nie rycerska to rzecz liczyć trupy przed bitwy zakończeniem, boków sobie niepotrzebnie o stół nabijać, a nam miód wylewać ze szklanic. Till sprawy naszej pilnuje, Zygfryda maca, zapoznaje się z Wissebutem i jeno patrzeć, jako z wieścią dobrą tu wpadnie.

— Pst! — zawołał nagle Bolechowic.

— Piorun już ci się na głowę wali? — zadrwił de Vendendaelle.

Przeczulony słuch Jaśka zasłyszał kroki. Były szybkie, za szybkie na pośpiesznie nawet idącego człowieka. Zadudniło małe obejście gospody Dubasa, drzwi w sieni otwały się z trzaskiem, a później drugie, do izby, i na progu Till stanął, a był blady jak trup.

— Piorun! — zawołał Jaśko, przerażony wyrazem twarzy
Tilla, na której zawsze
śmiech tylko widział a żart.
Poskoczył... i zachwiał się, aż go w ramiona musieli chwycić
druhowie. Lecz
opamiętał się szybko, wzmógł się, spotęźniał i, patrząc w
widmową twarz. Tilla,
rzekł spokojnym, choć drżącym głosem:
— Mów! wszystko już przeniosę, jeżeli trupem nie padł na
sam widok twej
fizyonomii!...
— Przenieść potrzeba — zabełkotał Till — choć i fiksacyi
można dostać i padaczki
i tańca świętego Walentego i wściec się i zamrzeć i dwa razy
zmartwychwstać i
głupstwa pleść, jako ja w tej chwili czynię, bo

mi rozsądek się miesza, serce trzaska, że człekby wył, pił,
bił... Dajcie
szklanicę miodu, bo język mi kamienieje i obracać się nie
chce, a skóra cierpnie
na grzbiecie, że zdarłbym ją z satysfakcją wielką. Ale ty
słuchaj, Jaśku! i wy
słuchajcie a radźcie, bo ja już nie do rady.. Brrr... co za
zimnica mnie napadła
— trzepał Till, trzesząc się ręką nalewając sobie miód ze
dzbana i niosąc do ust
szklanicę, która mu w zębach dzwoniła.
Rycerze otoczyli go kołem. — »Co? co? co?« raz po raz
wrywało się pytanie,

jeden tylko Jaśko milczał, jakby nabierał mocy do
wysłuchania wieści strasznej.
Aż dziw brał patrzących w tej chwili na Bolechowica. Ręką
położył na pierś,
skurcz palców mówił, że coś gniótł, dławił, miażdżył, aż
tchnął jakimś ogromnym
westchnieniem zwycięstwa, onym spokojem męczenników,
którzy, zdjęci z koła
tortur, z uśmiechem czekają już śmierci.
— Praw, Tillu, praw!... wždy to się mnie tyczy, a ja pytam i
słucham spokojnie —
mówił Bolechowic.
I głosem drżącym, z urywanymi wyrazy, opowiedział Till
wszystko.
Dreszcz zimny przeszedł po ciałach rycerzy, zgroza oniemiła
usta, a Bolechowic
oddychał ciężko, jak tur raniony, walcząc z huraganem myśli,
które, jak gromy, w
mózgu się jego roztrzaskiwały.
— Danuta w ciemnicy... Klucze w ręku Zygfryda— szept
głuchy wypadł z piersi
Jaśkowej, gdy Till opowiadanie skończył.
Obraz straszny zarysował się w duszy Bolechowica.
— Teraz radźcie wy, bo ze mnie już głupi człek, żadnego
ratunku nie widzący —
mówił Till, za włosy się targając a miotając się po izbie, jak
kuna, w zatrzask

schwytna. — Gdyby nas zaraz wpuszczono do zamku i przed
oczy kunigasa

postawiono, w pyskbym lunął Zygfrydowi, jako mnie
widzicie, w pyskbym lunął i
rzecz całą w rzetelnem świetle przed kunigasem przedstawił,
jako ten zbój jest
sprawcą ucieczki Witowda, niedoli Wissebuta, nieszczęścia
Danuty, no i mojego
zarazem, bom ci nigdy trenów takich nie wydobywał z siebie.
Ale nie puszczą, nie
puszczą!... żeby mnie zjadły wszystkie wszy niemieckie, nie
puszczą!

— A klucze... w ręku... Zygfryda — szeptał Bolechowic.

Znowu dreszcz zimny przeszedł po kościach rycerzy.

De Vendendaelle spojrział na mruczącego coś don Manoela.

— Co tam mlaszczesz? — zapytał.

— Do jednego z patronów moich modlitwę specjalną,
ambicyę poruszając jego.

— Mrucz, mrucz... a czas uchodzi.

— A klucze w ręku Zygfryda — szeptał Jaśko.

Jak rozpalone głązy, padały te słowa na pierś przyjaciół.

Rozumieli znaczenie

okrutne, myśl przestraszna, jaka wiła się w mózgu jaśkowym,
mogącą go zmysłów

pozbawić i serce rozedrzeć, a czuli się bezradni. Panowało
milczenie. Wśród

ciszy słyhać było miotanie się Tilla, szept modlitwy

nabożnego Hiszpana,

sapanie potężnej piersi Vendendaelle'a i jakieś echo zakłete,
przez wszystkich

słyszane, choć już się nie poruszały usta Bolechowica:

— A klucze w ręku Zygfryda.

Na głowie Francuza włosy dębem stanęły, krew lodem ścięła
się w żyłach don

Manoela, Till blizki był

obłądu. Jakaś groza wiała z tego szeptu echa niewywołanego,
rzuconego w ciszę,
zakłętego w jęk, zgrzyt, ból. Nagle Bolechowic się poruszył i,
kładąc na piersi

duży znak krzyża, rzekł poważnie:

— W imię Ojca, Syna i Ducha Świętego. Spojrzeli na Jaśka
rycerze.

Drżał, ale mówił przytomnie, głosem pewnym, z zimnym
spokojem, do Tilla

zwrócony:

— Gdy wieść twoja nie pozbawiła mnie zmysłów odrazu,
szaleć już ni rąk łamać nie

będę. Jeżeli wszystko to, coś mówił, dobrzem słyszał, to...
zamku nie

zdobędziemy, nie staniemy przed wielkiego księcia obliczem,
ale... Boczna furta

dla jakiejś tam racyi przymknięta jest... lecz... nie zamknięta.
Czy tak?

— Tak — Till potwierdził — lecz cóż nam z tego?

— Oby tylko tak było! — rzucił Bolechowic.

— Wejść można... ale wyjść? — Till szepnął.

— Mniejsza o to!

— Mniejsza o to, i my powiemy — odezwali się don Manoel i
kawaler de

Vendendaelle — mniejsza o wyjście, byleby tego łotra...
tego...

— Stójcie! — przerwał Bolechowic. — Wy nie pójdziecie
tam!... to rzecz moja!

— Co?... co?

— Może uda mi się te klucze osiąść... a wtedy... Nie odbierajcie mi tej wiary, tego przedgrobowego snu... o niebie! Bóg wie, jak będzie! Wy na koniach, w pełnym rynsztunku rycerskim, w pobliżu tej furty, w cieniu olch, u podnóża zamkowego rosnących, czekajcie na mnie, czekajcie aż do rana. Jeżeli świt niebo osrebrzy, a mnie nie będzie... upomnieć się o mnie możecie lub nie. Wola wasza! Wiem tylko, że trupa mojego znajdziecie i szablę

moją... we krwi! Teraz... siodła na konie, do boków miecze! Spokój, z jakim te słowa Jaśko wymawiał, nie pozwalał rycerzom na żadną już z nim rozmowę. Najmniejsza zwłoka zgubą groziła, a nie było do rozpatrywań czasu. Dość jasno tylko przedstawiał się rycerzom szalony zamiar Bolechowica: wydobycia kluczków z rąk zygfydowych, choćby życia własnego ofiarą. Być może, że uda mu się oko w oko z tym mnichem krzyżackim stanąć, bój zwieść i... zamordować. Najszaleńsze przedsięwzięcia udają się czasami. Śmierć tego mnicha byłaby zbawieniem dla Danuty, dla niego zawsze grobem. Zygfryd był posłem zakonu, na wielkoksiążęcym dworze mord dokonanyby został: obraza pierwszego i majestatu zniewaga w śmierci tylko znalazłby zadośćuczynienie. Wiedzieli o tem rycerze i

Jaśko. Jeżeli zaś mówił o porwaniu Danuty, był to niepewny, słaby blask

błądzącej gdzieś zawsze nadziei.

Kawaler de Vendendaelle pochylił głowę i szepnął:

— Stanie się według woli twojej... a później... według mojej woli.

Wydobył miecza, na stali jego dwa palce położył i rzekł uroczyście:

— Przysięgam!... ty żyw, ja żyw; ty trup, ja trup! A don Manoel. dodał:

— Przysięgę tę i w mojem złożyłeś imieniu... amen!

Bolechowic wyciągnął ręce.

— Wiem, że na nicby była opozycja i protest wszelki. Jako wy, tak i ja znam

świętość przyjaźni, jej moc i siłę.

Do Tilla się zwrócił:

— Jakim gościńcem umykać, gdyby udało mi się tę nieszczęśliwą z ciemnicy

wydostać, nie wiesz? Ta boczna furta zamkowa w rozdoły i jary wiedzie. Jest-że

tam dla koni rycerskich ścieżyna jaka, bo nie uchodzić nam przez miasto. Nie

wiesz, Tillu?

— Jaby nie wiedział!

— Wiesz?

— Jedna, jedyna na szeroki gościniec kowieński wiedzie, tam, około tak zwanego

»Źródliszcza«.

— To dobrze! — uśmiechnął się Jaśko i dodał: — Nie liczy się trupów przed bitwy

zakończeniem. Zapamiętałem słowa twoje, Vendendaelle'u.
Wyszli z izby, dosiedli rumaków i przez wądoły, zbocza i
zarośla, okrążając
miasto i odchylając się od frontu zamczyska, zbliżali się ku
jego tyłom.

Północ była.

Przed chwilą uspokoił się zamek, i Zygryd opuścił wielkiego
księcia komnatę.

Jagał podejrzliwym okiem patrzył na komtura; nie mógł
przypuścić, ażeby ten

mnich krzyżacki żadnego udziału nie brał w ucieczce

Witowda, która w danej

chwili tak na rękę była zakonowi. Prawda, że do komnaty
kunigasa wpadł,

wzburzony tą wieścią, a raczej domysłem tylko; prawda, że
zaraz wydał groźny

rozkaz pościgu i gońców skierował drogą, ku Malborgowi
wiodącą, to wszystko

mówiło za nim. Nic jeno wiedział wielki książę, że konie
krzyżackie, unoszące

Witowda wraz z jego małżonką, parły ku Grodnu, ku Polski
granicom; że przez

Grodno i Czersk droga tym razem do Malborga prowadziła.

Gdy ochłonął z pierwszego wrażenia i gniewu porywu i myśl
ku Wissebutowi

skierował, niepojęta mu

się wydała zdrada tego sługi wiernego i sposób, na jaki się
zgodził, by ułatwić

Witowdowi ucieczkę. Wiedział, jaką miłością Danutę kochał;
wiedział, z jaką

nienawiścią na zakon patrzył. Ale Zygfryd właśnie tą
nienawiścią do Zakonu
tłómaczył Wissebuta występki: Witowd z Kiejstutem walczył
za starej Litwy prawa,
śmiertelne boje zwodził z Zakonem, z którym zawarł
przymierze, on, Jagaił, dziś
wielkie księżę litewskie; Witowd pod Trokami na czele
hufców żmujdzkich bronił
dziedzictwa swojego i łamał miecze Niemców, a on, wielkie
księżę Litwy, posłał
żelazne Niemców zastępy na pułki Litwy. Nienawiść do
Zakonu przeszła na tego
który z nim z sojuszem się związał, nienawiść silniejsza nad
przyrodzone prawa
miłości ojca do dziecka. W rozterce była myśl kunigasa:
wierzył i nie wierzył
komturowi, bronił i potępiał Wissebuta. Czekał powrotu
gońców, schwytania
Witowda, ale przeczucie mu mówiło, że na nic się nie zdadzą
zabiegi wszelkie.
Dla ochrony Litwy od zguby natychmiastowej, od nowych
walk z Witowdem, nie
rzucił mu się już z dzidą przeciwko pergaminowi, lecz na tym
pergaminie podpis
położyć wieczystego zrzeczenia się Żmujdzi, a później...
później... niewoli
Litwy.
Zagłębił się w krześle, chmurny jak noc, zimny jak głaz,
nieczuły nawet na
spojrzenie Sojny, która usiadła naprzeciw i czarne, ołzawione
oczy utkwiła w
posepną twarz kunigasa, jakby pytała:
— Co ci jest, panie mój miłościwy?

Znużony długą rozmową z wielkim księciem, Zygfyrd około północy dopiero opuścił izbę kunigasa.

Dwór spał, cisza zalewała komnaty i korytarze, tylko księżyc rozsypywał się blaskiem srebrnym po ścia-

nach i kamiennych płytach podłogi, łamał cienie słupów, do podsieni się wkradał,

zazierał do wylotów piwnic przez żelazne kraty okien.

W jakiej stronie nieba jest on teraz?

Całą potęgą swojego blasku oświetla basztę kiejstutową.

Mrok w niej... cisza! Białe pasmo księżyca przesącza się tam przez wązką

szczelinę okna, niby struna harfy niebieskiej. Na tej nici wątlej, na tej

strunie bezdźwięcznej może kładzie w tej chwili Danuta palce swoje i nurza się w

srebrze miesiąca, miesięcznie biała, miesięcznie smutna, ze strachem w duszy i

sercem jęków pełnem.

Tak myślał Zygfyrd, krokiem powolnym po schodach kamiennych idąc.

Zatrzymał się.

— Sama... bezbronna — szepnął — a taka piękna! Znowu krok zrobił i obtarł się o balustradę.

— Gdy wejde, przejmie ją strach... Rozszerzy oczy tak, w ciemność, te oczy

błękitów pełne i gwiazd, a teraz straszne, samotnością i przerażeniem straszne!

Potarł czoło.

— Bezsilna... bezbronna!... Ta bezsilność rozbija mnie i
odwleka chwilę upojeń
pożądanych. Czuć rozkosz i dawać rozkosz, wtedy dopiero
jest pełnia
szczęścia!... a tam ból, niepokój, strach!...

Wstrząsnął się.

Gwałt, dokonany w chwili takiej, podłością nawet Zygfydowi
się wydał.

— Nie, nie! — szeptał — najpiękniejsza z róż wszystkich,
maro mych nocy, krwi
mojej pożądanie, nie wezmę dzisiaj ciebie, nie skąsam ust
twoich, nie zgniotę

piersią śnieżnych wzgórz twojego łona, choć drzę cały
pragnieniem rozkoszy.

Ratunek ci niosę... słyszysz, rózo stulistna!... ratunek, za który
należęć mi

się będzie zapłata... Wyjdiesz ze mną... tylko bez trwogi, bez
krzyku! dziś

oporna, jutro żarem pocałunków zwalczona. U »Źródliczka«
w pewne ręce Hansa cię

oddam. On wie, dokąd cię zanieść, w czyje ręce złożyć. Tam
będziesz czekała na

mnie, a wiedz, że przyjdę po spłatę długu. Tylko cicho... nie
broń się, bo

wzbudzisz gniew, a gniew jest dzieckiem szatana.

Szeptał tak, idąc wolno, zstępując do korytarzy podziemnych,
dłonią okrywając

migotliwe światło kaganka, które, przesączaając się przez koral
krwi jego palców,

robiło z tej dłoni lampę rubinową. Szedł cicho, kierując się ku
baszcie

kiejstutowej; pod białym płaszczem zawieszono u pasa
dzwoniły klucze. Jeszcze
krok jeden i... drzwi więzienne, poza którymi znajduje się
Danuta.

Dreszcz wstrząsnął ciałem Krzyżaka, dech piersi się
wstrzymał, silniej się
zakołysał dzwon serca.

Do drzwi tych podszedł, stanął... Ucho przyłożył do
poczerniałych desek dębowych
i słuchał.

Cisza... ni westchnień nie słyhać, ni płaczu. Zdawało się
tylko, że jakby się
otworzyła furta zamkowa i miecz szczęknął.

Nastawił ucho.

Cisza...

To pewnie w innej gdzieś stronie zabrzękła halabarda
strażnicza, a echo aż tutaj
dźwięk jej przyniosło. Dziwne ma głosy noc i echa dziwne.

Na wałach przechadza
się straż, a szmer jej kroków o podziemia uderza, cichy,
ostrożny szmer, jakby
szukał tu wejść sobie

nieznanych. Musiał się wiatr zerwać i zajrzeć w wąską szyję
korytarza.

Zygfyrd z za pasa klucze wydobył.

Brzęknęły... i w tej chwili ucichły kroki, wiatr dech
wstrzymał, jakby chciał
zbadać kierunek drogi, którą ma iść.

Zamek zgrzytnął... podparte ramieniem drzwi się otwarły, i straszny klucznik wszedł do więzienia Danuty. Zerwała się, znać ze snu zbudzona. Przez korytarz wiatr przebiegł, aż płomyk kaganka zadrgał. Krzyżak drzwi przymknął. Zatrzęsły się pozostawione klucze zewnątrz korytarza i długo dzwoniły, uderzając o okucia żelazne. Zygfryd postawił kaganek we framudze muru i zbliżył się do Danuty, która przerażonemi oczyma patrzyła w twarz komtura. — Nie drzyj... nie lękaj się — szepnął głosem miękkim — idzie przyjaciel. Ujął za rękę, nie mogącą jeszcze przyjść do siebie dziewczynę, na łożu usiadł i lekko pociągnął ją ku sobie. Krzyknęła. Zygfryd uśmiechnął się. — Tu mur — szepnął, ogarniając Danutę tchnieniem gorącym. — Ni krzyk twój, ni płacz, ni rwanie się z objęć moich nie wywołają pomocy... — Panie!... — jęknęła. — Może będziesz wołała: ratunku? — szepnął, nachylając się ku niej. — Mur gruby, ściany nieczułe, żelaznych drzwi nie podważy wichr żaden, choć... Słyszysz?... jak po korytarzu szemrze i dróg szuka. Krzyk

na nic, łzy na nic, tylko ciche poddanie się woli mojej i wyjście ze mną z tej

ciemnicy. Dobrym ludziom cię oddam; w Maryi grodzie
umieszczę ciebie, róžo
wonna, róžo upajająca! Tam rozwijaj się i kwitnij.. a myśl o
tem i wiedz, że cię
miłuję, do utraty zmysłów miłuję!...
Ruchem gwałtownym ogarnął jej kibić i sięgnął usta do
wzgórz jej piersi
śnieżnych.
Targnęła się, odtrącając go od siebie dłońmi bezsilnemi.
— Nie próbuj walki ze mną — szepnął głosem dławiącym, a
ogniem dyszał. Nie
próbuj walki... bo cię zgniotę, złamię i posiądę!... Dopóki
władzę masz nade
mną, przez bezsilność swoją, szanuj mnie! Nie rwij się... nie
skomlij!... Ja...
tylko... na zadatek miłości... ucałować tve piersi chcę, chcę u-
ca-ło-wać tve
piersi!...
Jak gołębica piskłeta swe broni, tak ona ścisnęła ramiona i
ręce na krzyż
założyła, broniąc tych skarbów swoich. Rozpacz dodała sił,
napad... odwagi.
Zygfryda szął ogarnął.
Cicha beznadziejna walka rozpoczęła się wśród mroków
więziennych, oświetlonych
tylko słabym płomykiem pełgającego kaganka. Szelest płynął
wzdłuż murów,
dobiegał do drzwi, przy których cicho zadzwoniły klucze
żelazne. Krzyżak,
rozszałały żądzą, upojony wonią ciała dziewiczego, gniewny
za opór
nieprzewidziany, białym płaszczem, jak jaki potwór
skrzydlaty, owinął nie

poddającą się Danutę i piersią o pierś i czołem parł o jej czoło,
dyszący
ogniem, płomieniem ziejący. Głuchy, zwierzęcy charkot
wydobywał się z krtani
Zygryda; z piersi Danuty jęk pękającego serca. Ostatku
dobywa

sił, ostatku mocy... Krzyk beznadziejny: ratunku, ze
zdławionej piersi wylata.

Nagle...

Go to?

Jakiś wichr zatargał kluczami, dłoń czyjaś wyrwała pęk ich
żelazny z osady
zamka. Szarpnięcie było tak silne, zgrzyt wyrywanego klucza
tak głośny, że
Zygryd posłyszał ten zgrzyt i to szarpnięcie i ku drzwiom
skoczył.

Otworzyły się nagle... i strach jakiś rzucił Zygryda w tył.
Jak duch zemsty, jak widmo grozy, w czerwonym blasku
pełgającego kaganka, z
podniesionymi do góry kluczami... stał Bolechowic. Poznała
go Danuta... i...

— Jaśku!... — krzyknęła.

Poznał go Zygryd i czoło pobieliał mu strach.

Miecza nie miał, a przed nim stoi... śmierć!

Jak sęp, który szpony roztwiera, by na upatrzoną ofiarę się
rzucić, tak kleszcze

swych palców rozczapierzył i skoczył do gardła Bolechowica.

W tej chwili czarne koło furknęło nad głową krzyżaka.

Brzęknęły klucze, gwizd ostry przeszył powietrze pęk żelazny
trzasnął w twarz

komtura.

Cios był straszny.

Krzyżak rozwarł ramiona, ryknął... Pręgi sine wystąpiły na czoło, skronie, policzki; nabrzmiały, pokryły się granatem... i pękły, krwią bryzgając.

Komtur zachwiał się i z głuchym łoskotem runął na ziemię. — Za mną... do Polski!... — zawołał Bolechowic, w silne ramiona porywając Danutę.

Kurczowym ruchem objęła go za szyję, jęk tłumiąc i płacz tłumiąc, z piersi się wydzierający.

Przez ciche korytarze unosił Jaśko zdobycz swoją. Wybiegł z podziemia, przebiegł pomiędzy słupami krużganków, przesunął się u ślepych murów zamczysku i znalazł się u furty. Otworzył ją kopnięciem nogi i, unikając blasku księżycowego, by go nie wydał w ręce stojących gdzieś na wałach strażników, skrzył na lewo i w dół skoczył pomiędzy olchy i wierzby, rzadkimi grupami, w dolinie, u podnóża zamkowego rosące. Jeszcze nie przycichły kroki Bolechowica, jeszcze nie odwiązał splecionych na szyi rąk Danuty, jak z cieniów olch i wierzb wysunęły się na koniach postaci rycerskie i otoczyły ich oboje.

— Jesteś?

— Jesteś?

— I z nią?... — splątały się pytania.

— Błogosławiony niech będzie Pan niebios! — zawołał Bolechowic.

— ...i Bonawentura, patron mój święty, do którego ambicyi przemawiałem — dodał don Manoel.

— Zygryd? Zygryd?... cóżeś z tym łotrem zrobił? — pytał kawaler de Vendendaelle.

— Trup! — odpowiedział Bolechowic.

— Miecz swój daj, z tej krwi go otrę, bo cuchnąć musi...

— Czaszkę mu roztrzaskałem kluczami więzienia Danuty — rzekł Jaśko.

— To ci z niej się wysypać musiało żab, ropuch i innych nieczystości — głową chwiejąc, odezwał się Till.

Danuta tuliła się do piersi Jaśka, błędnie oczyma patrząc na otaczających go rycerzy.

— Na koń!... czas uchodzi; gród może się rozbudzić — zawołał Bolechowic.

Dosiadł rumaka, Danutę przed sobą na łęku posadził i zwrócił się do Tilla: —

Prowadź!

— Przez »Źródliszcze« na trakt kowieński, a stamtąd w bok!

— Marsz!... Rumaki pomknęły...

W tej samej chwili, gdy głucho zabrzmiały tętenty kopyt, z furty zamkowej wypadł

Zygryd, straszny, krwawy, bo krew zalewała mu policzki, bo plamy krwi miał jego

płaszcz biały, i piersi, i ręce. Runął był od potężnego ciosu
ręki Bolechowica i
stracił przytomność. Ale twarda jest dusza niemiecka.
Dźwignął się... Zbudził go
szał wściekłości.
Wypadł z podziemia. Otwarta furta wskazywała, którą wróg
umknął.
Skoczył i schwytał uchem tętent kopyt i szczęk mieczów. Ha!
ku »Źródliczcu«
pędzą, innej niemasz tam drogi. U »Źródlicza« czeka Hans z
kamratami, choć nie
na nich czeka. Trzeba dać znak umówiony, że wróg idzie,
zbudzić czujność, do
boju wezwać.
Dwie dłonie, w konchę złożone, do ust przytknął, w płuca
powietrze wciągnął i
dmuchnął w szczelinę rąk.
Gwizd dziki rozdarł powietrze raz, drugi i trzeci...
Zygryd uniósł głowę... i słucha.
Cicho!...
Nagle szum... huk... i gwizd... i krzyk... i gwar burzy... grzmot
młotów...
mieczów cięcia... jęk... klekot... i cisza!...

Zygryd patrzy, nie pędzi nikt z wieścią klęski lub
zwycięstwa.
Zygryd słucha... żaden od »Źródlicza« już szmer nie dolata,
a tak blisko,
blisko do tej błotnistej doliny, gdzie Hans stał, przez którą
gnali Bolechowice.

Komtura szął ogarnia, rozdyma gniew pierś. Nabrzmiące żyły
na skroniach znów
sączyć zaczęły krew. Płaszcz na ramiona zarzucił, w dół
skoczył i biegł ku
olszynom i dalej ku »Źródliczcu«, gdzie przed chwilą wrzał
bój.

Księżyc osrebrzył groble, osrebrzył moczary, w których coś
kotłuje się i wre, i
pluska, i wzdycha, i tonie ciężko.

Zygfyrd przeciera oczy. Mary wytwarza sen z gorączki: kilku
knechtów zrąbanych

leży, kilku tonie w bagnach zepsutych wód i krwawi; dwa
konie rzeżą w drgawkach

śmiertelnych, trzeci w jelitach się swych płacze i rży. Hans z
odrabaną głową od

tułowia rzyga posoką krwawą.

Włos się zjeżył na głowie komtura, poznał uderze nie ręki
Vendendaelle'a.

Nie mylił się.

Obosieczny miecz Francuza błysnął w oczy zastępującemu
drogę Hansowi. Cios był

okrutny!... głowa z prawem ramieniem oddzieliła się od
kadłuba.

Zygfyrd stoi i patrzy, jak senny. Oczy zalewa mu krew,
dlatego tak krwawe widma

się roją. A wkoło cisza... rozsiewa czary noc letnia. Przez
ocean błękitów

księżyc płynie, na świat patrzy i na ludzi.

Ryk wypadł z piersi komtura. Różę wonną, różę upajającą
unoszą wiatr, grom unosi,

a gromu tego i wiatru tego nie schwytać. I zaskowyczał, jak
pies... i szaty roz-

darł i plunął krwią. A wkoło cisza, czary rozsiewa noc letnia.
Przez ocean
błękitów księżyc płynie, na świat patrzy i na ludzi. Z piersią
dyszającą stał
Zygfryd długo na krwawem poboju, sam krwawy, z
piekłem w duszy, z zemsty
pragnieniem. Gdyby w tej chwili miał pod ręką swoją tych,
których nienawidził,
nie masz męki, jakiejby im nie zadał, krzyku, jakiegoby z ust
ich nie wydarł,
rozdierałby piersi i żywe, drgające serca jeszcze gniótłby i
dławił i czułby
rozkosz, słysząc, jak w rękach jego pękają.
Straszny szaleńcem, który mózg mu zalewał, ze skrzepami krwi
na szatach i czaszką,
z której koralowe sączyły się krople, przestąpił próg
jagailowej komnaty.
Kunigas jeszcze nie spał. Siedział, zanurzony w krześle, w
zadumie głębokiej.
Sojna warknęła; kunigas podniósł oczy.
— Na chram wszystkich bogów litewskich! — krzyknął,
zrywając się z siedzenia. —
Co ci się stało, komturze? co ci się stało?...
— Tak to na dworze Waszej Wysokości przyjmują posłów
Zakonu — tłumiąc ryk w
krtani, odezwał się komtur.
Osłupiałemi oczyma patrzył kunigas na widmo krwawe. Sojna
węszyła, obchodziła
dookoła Zygfryda i zlizywała z podłogi krew niemiecką.

X.

Gościńcem kowieńskim.

Po takim ciosie, jakim Bolechowic Zygryda poczęstował, nie
każda dusza ludzka
zdolna jest w ciele je-

szcze przebywać. Na wylocie też była i dusza komtura, przez
czas pewien w
zupełnej nieświadomości stanu swojego pozostawała, ale
przemogły siły fizyczne,
twarda czaszka nie pękła, zmysły do przytomności wróciły i
gdy raz się porwał na
nogi, to już na nich potrafił się utrzymać. Do niepoznania
zmienił się tylko:
pręgi, zrazu krwawe, później sine, a teraz żółto-zielone,
barwiły się na czole,
skroniach i całej fizyonomii komtura, że wyglądał, jak dzban
chiński o
przedziwnej malaturze potworów i smoków. Głowa,
spuchnięta potwornie, masą
bezkształtną na twardym karku siedziała, ni to bania na
gnojowiska kupią, ale
medyk, przybyły z Malborga, obmacawszy sumiennie czaszkę
krzyżacką, żadnego w
niej nadwreżenia nie znalazł i rzekł z dumą:
— Niemiecki głów... to miedziany głów!
Nawet febra dwa dni tylko potrząsa komturem i poszła precz.
Pomajaczył trochę o
Fritzu, Hansie; o werandzie, otoczonej winem, coś zabełkotał i
do przytomności

powrócił. Mienił się, co prawda, kolory różnobarwnymi, jak obraz cudowny, lecz ona cudowność zniknęła szybko, tak że po tygodniu bez mała pozostały tylko:

zieloność majowa, złocistość jesienna; trochę nieforemny jeszcze kształt policzków i ból w kościach. Po dniach dziesięciu był już na posłuchaniu u

Wielkiego księcia i o Dubisie napomknął.

— Wygój się, bo z fizyonomią taką nie składnie ci przed Wielkim Mistrzem stawać

— odparł Jagaił.

— Świadczyć ona będzie o przychylności Litwy do nas, a Zakonowi na baczności

kaze się mieć. Oczekuje was Konrad Czolner z pergaminem lub... z mieczem.

— Groźnie! — mruknął kunigas.

— Wybór waszej Wysokości zostawia.

— Wiem, co bym wybrał, ale Bóg mi tego odmówił — westchnął Jagaił.

Coś się musiało ważnego stać w stosunkach

międzynarodowych, bo od Wielkiego

Mistrza na ręce komtura list przyszedł, dopominający się stanowczo spełnienia

przyrzeczeń jagaiłowych.

Kunigas wiedział dobrze, że opór wszelki i zwłoka prowadziły do wojny z Zakonem.

Nie omieszkanoby teraz i Witowda na stronę swoją

przyciągnąć i kazać mu się

upominać o dziedzictwo wydarte. W dniu więc oznaczonym
przez Konrada Czolnera,
ze świtą swoją i strażą przyboczną, pod opieką kilkudziesięciu
rycerzy
krzyżackich, wielki książę ku Dubissie wyruszył.
Poranek otrząsał się z mgieł, złota źrenica słońca przezierała
przez lasy
milczące, bujne rosy srebrzyły się na łąkach, co było
zapowiedzią dni pogodnych.
Stępią posuwał się orszak Jagaiłowy, konie parskwały i rzucały
wesoło głowami, co
nieco dziwiło przesądnego kunigasa, boć pomyślnej to drogi
wróżba była, a on
jechał na stypę, nie na weselną biesiadę. Lecz ono parskanie
rumaków dobrze
podziało na humor pana: mniej chmur miał na czole i
mniejszą posepność w
oczach.
Orszak, na milczący rozkaz Zygryda, skręcił w dolinę ku
łąkom moczarystym,
główny opuszczając gościniec, i zbliżał się ku groblom
nizkim. Podczas suchego
lata można było tędy przejeżdżać, omijając duży zakręt
gościńca. Wiedział o tem
wielki książę i nie sprzeciwiał się rozkazowi; lubił nawet te
mokradła, świecące
oczyma jezior, a »Źródliczami« zwane, porośnięte wikliną i
olszyną, rojące się
od ptactwa wodnego, gwarne od żab rehotu lub dzwoniące
jękami, pełnymi
melancholii i smutku. Lecz za ledwie zbliżyli się ku onym łą-

kom wilgotnym, jak konie niepokoić się zaczęły, a zapach
ohydny zdławił dech w

piersi. Wielki ksiązę do Zygryda się zwrócił:

— Co za woń ścierwa tu się rozchodzi? — rzekł.

— Trupy gniją — odpowiedział ponuro komtur.

Przebiegli pędem to straszne miejsce walki Hansa z
Bolechowicem.

Teraz dopiero kunigas dowiedział się o mordzie strasznym;
nie Niemcy tylko

napastnikami byli, lecz jacyś zbroje nieznani, oczywiście dzieci
pogańskiej

Litwy. Domyślił się teraz kunigas, dlaczego Zygryd drogę tę
około »Zródliszcz«

obrał: nowa krzywda Zakon spotkała, nowe skargi popłyną
wzdłuż i wszerz świata,

uzasadniające podbój Litwy. Spochmurniała twarz Jagaiły,
górną wargę zadrgała,

poruszona bólem jakimś. Wjechali znów na gościniec i drogą,
wśród lasów ciętą,

posuwali się ku Kownu.

Pomimo zapasów żywności, jakie na wozach ładownych za
wielkoksiążęcym ciągnęły

orszakiem, nieraz z gościńca głównego zbaczał kunigas ku
dworom znajomych sobie

bojarów, by w izbach przestronnych do uczy z nimi zasiąść,
albo noclegiem

stanąć i ze »swoimi« o codziennych pogadać sprawach. Nie
wszędzie jednak dworce

pokłonem niskim witały pana swojego. Im bliżej byli ziemi
żmujdzkiej, tem więcej

spotykali wsi opuszczonych, o drzwiach zabitych i wrotach
wyłamanych. Jakaś

pustka wiała i smutek z tych osierociałych siedzib ludzkich.
Nieraz robiły
wrażenie, że przeszła nad nimi burza jakaś i pozostawiła
ślady swej grozy
niszczącej. Ale nie było znaków uderzeń piorunowych;
słomiane strzechy nie
wichrzyły się, potargane przez płąsy wiatrów; dworce
sosnowe nie naruszone
stały, tylko

nieład w izbach i sprzęty pogruchotane mówiły o jakimś
napadzie zbójckim, o
jakimś gwałcie bezecnym. Krwawe plamy rdzawiły sosnowe
deski ścian; strzaskany
miecz albo ostroga krzyżacka zabłąkały się wśród izb tych
pustych. Nie dziw
żaden!... Zbliżano się ku Żmujdzi, której panami były wojska
zakonne.

Pierwszego dnia podróży, przed samym zachodem słońca,
jeden z pachołków, który o
kroków parę w las zboczył, natknął się na trupa knechta
niemieckiego. Padł on od
ciosu maczugi, bo czoło miał wklęsnięte, czerep rozbity.
Nazajutrz znowu dwóch
takich napotkano w milowej odległości od siebie, a każdy miał
to wklęsnięcie
strasznego, to uderzenie nie od miecza, nie od topora, lecz od
pałki litewskiej.
Dnia trzeciego, nad wartko płynącym strumieniem, zabielał
płaszcz krzyżacki.

Głowa rycerza w purpurowym nurzała się piasku; pięść, silnie skurczona, trzymała naczynie gliniane; hełm na płytkim dnie leżał. Szybkie nurty trącały o blachy i dzwoniły. Zachwiał się Zygfyrd, w martwe oczy męża onego zajrzawszy. Poznał jednego z mnichów, należących do załogi kowieńskiej. Był nim szlachetnie urodzony Heinrich von Freudenpohl. Znać odstał od swoich i, spragniony, chciał wody z potoku zaczerpnąć. Pochylił się do źródła i cios go spotkał, do tamtych ciosów podobny. Na dzień następny, a był to już czwarty dzień podróży, znowu zawałił im drogę trup niemieckiego rycerza. Przyjrzano mu się bliżej. To samo wkłęśnięcie czoła, to samo uderzenie maczugi litewskiej. Zanim błysnęły wieżyce Kowna, ośm takich trupów spotkano. Próżne były domysły, nadaremne wywiady! Widno tylko było, że owym gościńcem kowieńskim... szła zemsta. — Nie miecz, lecz pałka drewniana, nabijana że-

laznymi gwoźdźmi, te ciosy straszliwe zadaje — rzekł komtur. — Ja gdzieś broń tę widziałem, tylko... Przypominał, lecz nie dopisała mu pamięć. Kowno zajęte było przez wojska zakonne. Wielki książę nie chciał nocą na zamek wjeżdzać i więźniem się czuć w grodzie własnym. Nad brzegiem Wilii, prawie przy

samem jej rzuceniu się w ramiona niemnowe, w pobliżu
czarodziejskiej doliny,
srebrnymi strumieniami zraszanej, a pełnej woni, kwieciami i
pieśni, stał duży
dwór bojarski, gdzie przemieszkiwał Jawnut stary, z czasów
olgiardowych jeszcze
mąż rycerski. Ilekroć wiosną wielki książę do Kowna
zjeżdżał, nie omieszkał
nigdy na »słowiczą noc« do tego dworca się wybrać.
Dziwowali się wszyscy
zamiłowaniu pańskiemu w tych pieśniach bardów
wiosennych, ale mu żaden uczony
śpiewak tak nie dogodził, tak duszy nie roztkliwił, serca nie
rozkołysał, jak ci
minstrele przedziwni, ukryci w krzewach nadniemeńskich,
gwiżdżący, kwilący a
rozmiłowani w czarach nocy majowej. To też, choć nie
słowiczy to czas był, ale
dla wspomnień dawnych, dla snów tu prześnionych, rozkazał
orszakowi do tego
dworca Jawnuta nawrócić.
Zachrzęszczały zbroje rycerskie, zadudniły kopyta końskie,
odezwała się nawet
surma, zwiastująca przybycie dostojne, a nikt nie wychylił się
z chat kurnych,
ni mąż dorosły, ni dziecię, ni niewiasta, by przyjrzeć się
orszakowi pana, do
wielmożnych stóp się pokłonić. Nad żadną z tych chałup
kmiących nie zjawiał się
dym szary, u wrót żadnych pies nie zawarczał stróżliwy,
nawet bociany opuściły
gniazda swoje, szukając miejsc ludniejszych i gwaru głosów
ludzkich. Takim

samem opuszczeniem powitał kunigasa i Jawnuta dwór stary;
tylko echo odbiło od
ścian chrzęsty, tętenty i dźwięki

surmy, ale nikt drzwi nie otworzył, niczyje kroki nie odezwały
się z wnętrza izb
pustych, potrzeba było samemu podwoje wyłamywać i rzucać
berwiona sosen w
wielkie palenisko komina.

Gdzież są... Jawnut i służba i wieś cała?

Kunigas nie pytał. Posępny wzrok jego zanurzył się w czarne
głębie lasów, które
wśród ciszy największej wciąż szemrzą gwarem
nieskończonym, szelestem
tajemniczym, podobnym do morza oddechu, do piersi
ludzkich westchnień.

Zapadła noc...

Nad bory księżyc wzniosł się i srebrem osypał duże kolisko
lasów, wśród których
stał dom Jawnuta i świroń i sernica i inne budynki
gospodarskie. W izbie
biesiadnej zapłonął stos berwion sosnowych, powiał zapach
żywiczny, ściany oblał
purpurą. Wesóły trzask ognia i huk płomienia, drącego się
murowaną szyją nad
dach pokrycie, rozruszały spochmurniałą kompanię
wielkiego księcia. Pachołkowie
zaczęli ściągać stoły, na krzyżownicach oparte, długimi
obrusami nakrywać i
przygotowywać panu wieczerzę. Pomędzy wielmożami
dworu swojego i zakonu

dostojnikami zasiadł kunigas do biesiady. Win ni miodów
syconych, według swojego
zwyczaju, nie trącił, lecz i do jadła leniwie się zabierał, choć
pieczeń żubrza
i łapy niedźwiedzie prosiły się same do ich jak
najśpieszniejszego spożycia.
Przy każdej niemal uczcie, gdy służba zbyt opieszale dania
mieniała: »Brucho
hraje« — odzywał się; teraz milczący siedział i nie dojedzone
odsuwał mięsiwa, a
gdy pan milczał, milczeć musieli wszyscy goście biesiadni,
więc nie dziw, że się
apetyty skurczyły, że misy, pełne dań przednich,

schodziły prawie nietknięte ze stołów, że nie dopite konwie
miodów i win
zadowolona zabierała służba.
Ponieważ dwór Jawnuta znajdował się w obrębie postojów
wojsk krzyżackich,
Zygfyrd, dla bezpieczeństwa kunigasa, u wrót niemiecką straż
postawił, choć
żadnego niebezpieczeństwa nie było w tej pustce leśnej, przez
którą tylko mógł
żubr przejść samotny, do miodnych barci niedźwiedź się
dowiedzieć lub łeb z
gęstwiny wychylić łoś ostrożny, a w czujne nozdrza dym
wciągnawszy, umknąć
cicho, na grzbiet kładąc płaskie talerze rogów.
Milcząca uczta i lasów cisza nawiewała sen na oczy panów
biesiadujących i straży

czuwającej. Tamci drzemali, chwiejąc się nad misami, jadła
pełnemi, ci oparci o
toporzyska halabard. Kunigasowi tylko ni razu powieki się nie
zmrużyły i
mającemu nadzór nad wartą Johanowi de Kirke, krewniakowi
Hankiego, któremu teraz
straż poruczono nad niebezpieczeństwem osoby wielkiego
księcia.

W lasach cisza i we dworze cisza...

Stos drzew się rozpałił i płonie równym, spokojnym
płomieniem; wolno sącą
biesiadnicy miód z dzbanów, wino z kielichów; rzadko czyja
piers silniej
odetchnie lub szcęknie miecz, nieuważną ręką trącony;
pęcznieją tylko komary,
uczujące na karkach rycerzy, i muchy, opite uronionemi
kroplami napojów, włoką
brzuchy ociężałe albo się topią w szklanicach i puharach.
Ni razu jeszcze Zygfyrd w takim usposobieniu wielkiego
księcia nie widział.
Jeżeli sam nie mówił, lubił, by inni mówili i do swobody a
wesołości zachęcał.
Dziś Zygfyrd czuł, że odezwanie się każde byłoby zgrzy-

tem niemiłym; nie nasuwał mu się zresztą żaden przedmiot do
rozmowy, stosowny w
chwili obecnej, w zbolącej zaś czaszce snuły się myśli bolące a
wspomnienia
ostatnich dni i wypadków zółć burzyły. Poruszać ich nie
chciał, a zapomnieć nie
mógł.

Była chwila jakiejś dziwnej a męczącej ciszy. Żadna ręka nie wysunęła się do dzbana, niczyje usta nie pochyliły się do kielicha. Zadumał się kunigas. Jedną rękę na stół położył, drugą ku ziemi opuścił. Bezzarostna a ściągnęła twarz jego nieruchomie posągowa była. Zagłębił się w poręczu krzesła i patrzył przed siebie oczyma, które albo nic nie widzą, albo widzą bardzo daleko. Nie przerywa się takiej zadumy pana. Za głośnemby się wydało potarcie dłoni o dłoń, piersi westchnienie, najlżejsze poruszenie się na ławie. Nagle rozległ się trzask, głuchy, daleki... Kunigas podniósł oczy i w okno spojrział. Za nim spojrzeli wszyscy. Cisza!... nie powtórzył się już szmer żaden ni szelest. Dziwny jednak ten głos był. Dotąd brzmi w uchu, choć milczenie rozlało się znów dookoła. Nagle Zygfyrd się porwał. — Co ci, komturze? — wielki ksiązę zapytał. — Nic nie wiem... ale coś mnie podjęło z ławy tej! — Cha-cha-cha! — zaśmiali się niemieccy rycerze, patrząc na przełęczoną twarz komtura. — Słyszeliście?! — mówił Zygfyrd. — Trzask złamanej gałęzi... — A... ja... — Co... ty? — Trzask litewskiej maczugi...

Na te słowa Zygryda wszyscy podnieśli się z ław. Wstał i kunigas.

Wyszli przed dwór.

Srebrzyście księżyc świecił, o halabardy oparta straż drzemała.

— Gdzie Johan? — krzyknął Zygryd. Rozbudzeni strażnicy nie znaleźli odpowiedzi.

— Był tu, wyszedł za wrota — rzekł jeden z nich po chwili namysłu.

Rzucono się do wrót.

— Christ! — krzyknął Zygryd, który stanął nagle i głowę w dłonie pochwycił.

O kroków kilkanaście pod dębem rozłożystym, leżał Johan de Kirke w kałuży krwi.

Straszliwe wkleśnięcie czoła mówiło, że jedna i ta sama ręka mordercy cios

śmiertelny i jemu zadała.

Kto żyw, w las ruszył. Zbój niedaleko być musi, latarnia niebios pościg ułatwi.

Przetrząsano krzewy, szukano w zaroślach, wdzierano się na strychy budynków, do

piwnic opuszczonych zazierano, lecz nie natrafiono na ślad żaden maczugi

litewskiej. Przygnębienie było ogólne; jakiś strach przed czymś nieznanem, a

groźnem, jak gniew Boży. Zrazu słychać było szepty, a później klątwy i domysły

najdziwaczniejsze. Jeden tylko Zygryd stał milczący, z przymrużonemi oczyma, z

tchem w piersi zapartym, jakby rozplątywał zwiłkane myśli.

Aż oto głuchy,

urywany a przepojony strachem dziwnym z ust jego szept
wypadł:

— Wis-se-but!...

Kunigas wyprostował się i piorunowym wzrokiem zmierzył
Zygfyryda. Po chwili
głosem rozkazującym a groźnym zawołał:

— Precz z lasów!... kto o krok jeden postąpi dalej, śmierć mu!
Rozkazał ze stanowisk zejść wartom niemieckim, a Litwinom
na straży stanąć.

Dziwny rozkaz... i dwojako był rozumiany. Jedni sądzili, że
oszczędzał

Wissebuta (jeżeli on to był) i nie chciał go na zemstę

Niemcom oddać, inni, że

dla bezpieczeństwa głów niemieckich to robił, które z trwogą
pewną zagłębiały

się w cienie leśne. Nikt nie śmiał wielkiemu księciu się
sprzeciwić, nawet

Zygfyryd, który to drugie mniemanie podzielał.

Nic snu już nie zamąciło do rana. Zabobonny strach trzymał
Niemców w domostwie

Jawnuta; lada szmer lub suchych ścian trzaskanie, a trwożne
otwierały się

powieki, dłoń wyciągała się do miecza.

Nie mylił się Zygfyryd. To mściwa Wissebuta maczuga
roztrzaskiwała łby

krzyżackie.

Wygnyany przez wielkiego księcia i grą podstępłą komtura,
stary sługa Olgierdów

znalazł się u »Źródliszcza« w chwili, gdy Bolechowic,
unoszący Danutę, napotkał

Hansa, który, posłyszawszy ostrzegawczy gwizd Zygryda, z kamratami swoimi przeciął drogę rycerzom. Zawiązał się bój... Bolechowic udziału w nim nie brał. Przerażona Danuta, jak koliber w kielich kwiatu, w pierś jego się wtuliła, że ani po miecz sięgnąć, ani topora dostać nie mógł. Ciężar walki z przeważającą siłą Hansa na don Manoelu i Vendendaellu spoczął, bo Till się stropił, że języka w gębie zapomniał i trzymał się boku Bolechowica, krzycząc: — Umykaj... ja z tobą! Ale nawet umknąć nie można było, bo ze

wszech stron otoczyli ich zbirowie Hansa, a błysk szabli hiszpańskiej i francuskiego grom miecza przystępu broniły do bezbronnego rycerza, a za każdym błyskiem jęk wylatywał, a za każdym gromem trup padał. Walczyli mistrze, świadomi niebezpieczeństwa i grozy; walczyli z siłą, lecz i ze spokojem burzy, która, zanim w huraganów szła się zmieni, oczyma błyskawic patrzy, za gromem grom ciska, śle piorunowe ciosy, zabija i grzmi, a potem woła wichry, by zmiotły kurz ziemi. Don Manoel był straszny, kawaler de Vendendaelle przerażający. Tamten piersi

rozpruwał, ten roztrzaskiwał czerepy. Gwizd szabli Hiszpana
łączył się z głuchem
warczeniem francuskiego miecza; kolisty błysk otaczał
bezczywnego Bolechowica,
którego rumak, trzymany na wodzy ręką silną, słupił się, to
przysiadął, w gwar
walki dzikie rzucając rzenie. Waliły się ciężkie ciała
knechtów, pod miecz
Vendendaelle'a Hans się dostał i z głuchym rykiem a
przepołowionym kadłubem
runął na ziemię.
W chwili tego zamętu i krwawego żniwa śmieci z cieniów
olch wyszedł Wissebut.
Kto byli rycerze, nie pytał, widział tylko, że z nimi bój
wiedli... Niemcy!
Runął w ciżbę z tą straszną maczugą swoją, a nie człowiekiem
się czuł, lecz
ból, krzywdą i zemsty upiorem. Gdy tamci rąbali
napastników, on ustępującym z
poła walki łby rozwalał; tamci po rycersku bój wiedli, ten, jak
zwierz, szalał.
Ludzie i konie padali pod ciosami broni jego... aż śmierć
położyła kres walce, a
opary ziemi i krwi zasłoniły świat przed nim. Posłyszał tylko
krzyk:
— Do Polski!...
I cztery cienie mężów zbrojnych przemknęło przed jego
oczyma.

W jednym z nich Bolechowica poznał, mówiła mu o nim
Danuta.

Wspomnienie o niej rozdarło mu pierś.
Chramie niebios!... dojrzał Danuty głowę złotą, wtuloną w
ramiona Bolechowica.
Chciał krzyknąć, ale uniosły ich konie, a w uchu mu dzwoni,
dzwoni dźwiękiem
radosnym głos Jaśka:
— Do Polski!
— Do Polski! — powtórzył, wyciągając za nimi ramiona.
I oto gościńcem kowieńskim szedł do Polski. Daleką drogę
obrał, lecz tą drogą
wałęsały się luźne Niemców zastępy, tą drogą posunie się i...
Zygfyrd, a on
zemstą dyszał.
Szedł lasami, nie opuszczając głównego gościńca. Tam knecht
niemiecki, zwabiony
urodą dziewczyny nieopatrzonej, zbierającej jagody w lesie,
podsunął się do
niej... i dostał się pod cios jego maczugi; tu rycerz krzyżacki
odstał od swojej
kompanii i szukał wody u stoku, by piersi ugasić pragnienie.
Nie, Niemcze! nie
dla ciebie zdroj ziemi litewskiej, wody jej kryształ!... I głuchy
trzask pałki
zmałcił ciszę lasów, a znajome wykroty drzew, dziupla sosen,
jamy borsucze i
lisie chroniły krwawego mściciela od pościgu.
Przed przyjazdem kunigasa do dworu Jawnuta on był już tam,
wiedząc, że pan do
starego przyjaciela na nocleg zajędzie. Na Zygfyryda czatował,
lecz ten z izb nie
wychodził. Nawinał się de Kirke i śmierć znalazł. Wtem gwar
usłyszał, gromadne

wejście z dworu sług i panów. Uskoczył w las, lecz w
miejsowości owej nie było
wykrotów ni jam. Słyszał szelest pościgu, przeszukiwanie
gęstwin, nawoływania i
klątwy. Krzyżactwo,

tylko klęło, nie Litwini... o, nie Litwini! Patrzą, biegają,
szukają... a nie
jego nogom starym w ucieczkę się bawić. Pod jedną z sosen
stał okrutny,
groźny, widny... i czekał wyroku losu. To dziwne, że go nie
spostregli! Byli
tak blisko, że słyszał oddechy piersi i chrzęst zaciskanych
pięści wściekłych i
widział ruch i zamęt i słyszał słowa Zygryda: »Wis-se-but« i
chciał wyjść,
oddać się w ręce kunigasa... aż oto zabrzmiał rozkaz pana:
— Precz z lasu!... kto o krok jeden dalej postąpi, śmierć mu!
Ha! może nie dowiedział wzrok jego stary, lecz mu się wydało,
że kunigas go
dojrzał i wrócił mu ufność zachwianą, wiarę odjętą... i dlatego
rozkaz taki
wydał.
Ogromny szmat ziemi przeszedł, od Krewa do Kowna!...
ogromny szmat! Jak lis, się
czaił, jak wilk, zachodził, zdmuchnął żywotów dziewięć, nie
licząc kompanów
Hansa, posiał trwogę i strach. Nie zostawać mu teraz, bo szept
zygfrydowy

szeroko i daleko pójdzie. Żmujdź zalewają Niemcy, a mają
słuch ostry, wzrok
bystry, a w uszach jego dzwoni Bolechowica wołanie:
— Do Polski!... do Polski!
Krwawym gościńcem jechał Jagaił. Zbliżając się do ziem
zakonnych, czuł
przestach, który przygasił blask jego oka, a barki pochylił.
Owiał go strach
zabobonny, co nie uszło uwagi baczego Zygfryda. Pochylił
się więc z głębokim
szacunkiem i rzekł:
— Wnet się skończy udręka waszej miłości. Już widzę
błękitny pas rzeki i braci
zakonnych namioty białe.
— Nie widzę chorągwi Wielkiego Mistrza, więcej nad
namiotami braci — odezwał
się kunigas.

Zygfryd nic nie odpowiedział, choć brak ten dostrzegł.
Niebo było rozjaśnione, w powietrzu cisza. Z pewnej
wyniosłości, na której się w
tej chwili znajdował orszak wielkoksiążęcy, doskonale widać
było duży zakręt
szybko płynącej rzeki, z wyspą po środku, usianą namiotami
białymi i szachownicą
stojących nieruchomie wojsk krzyżackich. Żaden szmer nie
doleciał do uszu
jadącego kunigasa, żaden dźwięk rozkazu, na widok
zbliżającego się pana Litwy,
nie obił się o słuch jego. Jeszcze sto kroków do rzeki; już ostro
zarysował się

brzeg jej i czarnym pasem most się nad jej falami wyprężył.
Jakby kto wraził grot ostry w pierś wielkiego księcia, taki żar
uczul we
wnętrzu, gdy, zbliżywszy się ku Dubissie, oddzielającej
Żmujdz od ziem
zakonnych, żadnego powitalnego nie zauważył ruchu. Na
wyspie, gdzie spotkać się
mieli dwóch państw władcy, widniały liczne namioty
Krzyżaków, znać, że wojsk
zakonnych nie mała była potęga, że zaimponować nią chciano
małej garstce drużyny
kunigasowej.
Przez most, rzucony naprędce, a łączący brzeg żmujdzki z
wyspą neutralną,
przesunął się orszak jagaiłowy cicho i pokornie, nie lękiem,
lecz jakimś
smutkiem owiany, i wjechał pomiędzy dwa szeregi żelaznego
zastępu rycerzy. Rosłe
konie niemieckie, jednakowej maści skarogniadej, stały
nieruchomie, jakby były z
kamienia kute; drzewca kopii, oparte w tulejach, świeciły
grotami ostrymi i w
szare pasy rysowały skłon nieba; śnieżyły białe płaszcze
mnichów, a każda pierś,
tym płaszczem okryta, miała na sobie krzyż czarny. Jagaile się
zdawało, że
wjechał na jakieś cmentarzysko wielkie, w aleję grobowców.
Dookoła panowała
cisza i jakaś nieruchomość

kamienna. Nie zawarczały bębny, ni trąby się ozwały a tylko,
gdy ten szereg
krzyżów się skończył, podjechał ku wielkiemu księciu Litwy
wielki marszałek
Zakonu, Konrad Wallenrod, tłumacząc nieobecność wielkiego
mistrza Konrada
Czolnera łowami, wyprawionymi przez cesarza Niemiec. Nie
odmawia się zaproszeniu
cesarskiemu, tem bardziej, że wielki mistrz był wielkim
łowów amatorem. W
zastępstwie więc swoim wysłał marszałka wielkiego.
Drgnął wielki książę Litwy na tę krótką a lekceważącą
przemowę. Tu ważą się losy
jego państwa, a wielki mistrz poluje; władca Litwy, wezwany
przez wielkiego
mistrza, przybywa z dalekiej stolicy swojej na pogranicze
ziem zakonnych, a ten,
wbrew zobowiązaniom, pana marszałka w zastępstwie swoim
posyła, by przyjął
podpis, stwierdzający wieczyste oddanie Żmujdzi w ręce
Zakonu i... hołdownictwo
Litwy.
Jagań uczuł tę zniewagę i lekceważenie. Krew zakipiała w
żyłach jego i skrzepem
ból w sercu osiadła. Brwi ściągnął, wargi zacisnął, za siebie i
przed siebie
spojrzał i uczuł się bezradny i bezsilny. Za nim zawarł się
szereg krzyżów,
przed nim stał Konrad Wallenrod i prosił, by raczył wejść do
wnętrza namiotu, w
którym pergaminowy zwój czeka na podpis i pieczęć. Ha!
gdyby tu tylko szło o

jego własną dumę, nie pieczęć, lecz ostrze miecza położyłby
na pergaminie, ale
Jagaił wiedział, że, gdyby się dał unieść ambicyi i obrazę za
obrazę cisnął w
oczy Krzyżakom, otworzyłby wrota Litwy potokowi
krwawemu i przybliżyłby
zniszczeń chwilę, którą odsuwał w przyszłość daleką, lepszym
może oddając ją
losom.
Błady więc i milczący, niezgrabnemi literami, lecz
własnoręczny położył podpis.
Zabierali mu Niemcy kró-

lestwo ziemskie, królestwem niebieskiem darząc go w zamian.
W ciągu lat czterech
miał czoło swoje chrztem świętym naznaczyć.
Uroczystą ucztą obchodzili mnisi ten dzień swojego tryumfu.
Wielki księżę
wywinął się od niej. Wiedział, że trucizny nie dadzą,
przynajmniej silniejszą
nad tę, jaką ją spożył. Lecz musiał przetrwać jad, jaki miał w
sobie, własnej
duszy ból ukołysać, nie patrzeć na opijaczone twarze
mnichów, hardych i pysznych
z odniesionego zwycięstwa. Nie pomogły namowy Zygfryda,
ni prośby pana
marszałka, pozostał sam w namiocie swoim. Przy stołach
Niemców brzmiały okrzyki
i wiwaty, a jemu dziwny wyśnił się sen.
Gdy z sercem zbolałem siedział zagłębiony w krześle swoim,
a świat widziany

zniknął z przed oczu jego, jakaś biała postać królewskiej
dziewicy stanęła przed
nim, okryła go szatą złotą, złote berło do rąk mu dała, a do ust,
gorączką
spalonych, podsunęła krzyż... I on ten krzyż ucałował i berło
wziął złote... I
owiał go wicher jakiś i postawił na polu, usianem krzyżackimi
trupami. A później
posłyszał pieśń potężną, niby hymn wieków, śpiewający
chwałę jego imienia.
Obudził się.
Grały trąby i bębny, ziemia drżała, klekotało powietrze od
grzmotu
nieustającego.
Kunigas wyjrzał z namiotu.
To wielki marszałek Zakonu robił przegląd wojsk. Szły pułki
za pułkami, niby
mury ruchome, ściany żelazne, ramię przy ramieniu, tarcza
przy tarczy, miecz
przy mieczu. W pewnych odstępach grzmiały działa.
— Kto ich pokona? — szeptały blade usta wielkiego księcia.

XI.

Czas płynie.

Śmierć króla Ludwika pozbawiła Zakon możnego opiekuna.
Jak się na przyszłość
stosunki w sąsiedniej Polsce ułożą, kto zajmie tron piastowski,
trudno było o
tem przesądzać. Pretendentów nie brakło: niejeden z
Piastowiców marzył o grodzie

krakowskim, do którego też rzetelne miały prawa i dwie córki
króla Ludwika, na
zasadzie umów, z panami Małej Polski zawartych. Zakon
korzystał z bezwładu i
rozterek, jakie zapanowały w Polsce. Wzmacniał się
wewnątrz, rozrastał się na
zewnątrz, urastał w pychę i pewność niezmożonej potęgi
swojej. Zdobywszy Żmujdź,
zapewniwszy sobie lennictwo Litwy, mniej już dbał o
wypadki, rozgrywające się w
Polsce sąsiedniej, w której, po ustąpieniu Zygmunta
Luksemburskiego, po
zrzeczeniu się praw do tronu mazowieckiego Ziemowita, tron
ten objęła dziewiczej
piękności Jadwiga, haimburskimi ślubami z Wilhelmem
związana. Aż oto, jak grom,
wśród Krzyżaków wieść gruchnęła o rozwiązaniu tych ślubów
młodej królowej Polski
i oddaniu jej ręki Jagaile, którego już Jagiełłą zwać zaczęto,
wieść groźna,
podobna do chmury, piorunami brzemiennej, płynącej
zdaleka, płynącej cicho, lecz
która w szal burzy rozpasnąć się musi. O zwycięstwie swoim
nie wątpił jednak na
chwile jedną Zakon potężny, palącym policzkiem tylko był dla
mnichów krzyżackich
chrzest Jagiełły, nie w Malborgu, lecz na zamku krakowskim
dokonany, nie przez
nich, lecz przez kler polski, co umniejszało ich misyjną
zasługę w obliczu
Rzymu i kwestyonowało rację ich bytu. Wielki mistrz zębami
zaczisnął, gdy,

zawiadamiając go o tej chwili uroczystej, pogański książę,
obecnie król polski,
na ojca go chrzestnego poprosił. Dużo ironii w tem
zaproszeniu było i pierwsze
otrząśnięcie się z pod władzy Zakonu. Konrad Czolner
odmówił ojcowstwa,
niedyspozycją się wykręcił, wewnętrznym tylko gniewem
zawrzał i zemstę
poprzysiągł.
Gdyby nie Rzym, zaciążyłby potęgą miecza krzyżackiego nad
nowochrzcieńcem, lecz
wtedy zaparłby się posłannictwa swojego i zerwałby musiał z
całym ówczesnym
światem katolickim. Za mądry był, by mógł tak wielki błąd
popęłnić. W zwykłą się
poszył pokorę i oddał się pod moralną opiekę Jadwigi, która,
jako pani nabożna,
stawała nieraz po stronie Zakonu, nie chcąc dopuścić do
zbrojnego starcia z
Polską; widząc jednak nieprawość jego, nie szczędziła mu
napomnień, groźb
nawet, mówiąc: »Dopóki żywię, nie podniesie się miecz
polski na was, lecz gdy
zamknę powieki, lękajcie się gniewu Bożego«.
Bili się w pierś, a korzyli się przed słowami temi mnisi
obłudni, lecz nie
potraçał ich sercem lęk: w wieżowym skarbcu malborskiego
zamczył ile grzechów,
tyle złota mieli, a za to złoto wojsk najemnych krocie, a na te
krocie składało

się rycerstwo chrześcijańskiego świata, dumne, pyszne,
zahartowane już w boju
niejednym. Wyczekać tylko chwili potrzeba, swoje krzywdy
zebrać i zanieść przed
tron papieski, przekonać świat cały o niecnym zamiarach
Polski, krzywdzącej
mnichów niewinnych.
Lecz nieskładnie im było mierzyć się dziś z królem już
katolickim, którego przez
czas tak długi urabiali na modłę swoją. Nie wyzywającymi,
lecz wyzwanymi być
chcieli. Na tronie polskim siedziała córka Ludwika, pro-

tektora ich niegdyś, a pana katolickiego, korzyli się więc przed
nią i zabiegali
o jej łaskę, niewinnie oczernionych udając.
Jedna tylko wieść przejęła ich niepokojem.
Oto Jagiełło pogodził się z Witowdem.
Jeśli wielkoksiążęcy tron Litwy Kiejstutowicowi w udziale
przypadnie, nie tak
łatwo opanować go przyjdzie Krzyżakom, ujarzmiona Żmujdź
nawet głowę podniesie,
a pomoc Polski może żelazną zaporą dalszym zdobyciom
zakonu stanąć. Ale Jagiełło
bał się Witowda, jego zdolności wojennych, jego
wielkopańskich zamiarów.
Krzyżacy potrafili tę bojaźń króla na swoją korzyść wyzyskać;
przez posłów,
bawiących na dworze krakowskim, nieufność jego podwoić, a
uczynili to z całą

właściwą im przebiegłością. Gdy król nie od tego był zrazu,
by tron wileński
Witowdowi przekazać, zbyt widoczna była radość wysłańców
zakonu, aby pewnych
podejrzeń nie wzbudziła w umyśle królewskim; gdy zawahał
się w zamiarach swoich,
wyraźne niezadowolenie zauważył na twarzach posłów, a
później nacisk i zbyt
natrętne wstawiennictwo za znienawidzonym przez nich
Witowdem. Za dobrą monetę
brał Jagiełło tę grę przebiegłych mnichów; obawiał się
oszukany być i poszedł
na lep ich zamysłów. Zraził się do Witowda i nie tylko
upragnionego przezeń
wielkoksiążęcego tronu Litwy mu nie dał, ale nie powrócił mu
nawet Trok jego
ojczystych, oddając je we władanie bratu swojemu,
Świdrygajle. To oburzyło
Witowda i głuchym napełniło żalem. Pozostawione mu zamki
poleskie nie
wynagrodziły Trok utraconych, a cóż już mówić o stolcu
wileńskim?
Dumny orzeł nastrzepił pióra.

Nie tylko Troki, lecz Litwę całą postanowił zdobyć nocą
swojego oręza.
Ale niełatwo było o sojuszników księciu bezdomnenu:
Żmujdz w rozproszeniu, Litwa
nie jego i jawnie przy królu swoim opowiadająca się, zostawał
jeden tylko Zakon,

nie odmawiający nigdy pomocy upadłym książętom litewskim.

Zakon! Zły duch Litwy, śmiertelny wróg Kiejstuta!

Wiedział Witowd, że wszelka pomoc Krzyżaków nieraz krwią serca opłacaną

zostawała, że brud jakiś przylegał do stóp, przestępujących progi malborskiego

zamku; że jakaś klątwa ciążyła na tych, którzy sojuszniczą dłoń podawali mnichom

onym, lecz bezsilnym się czuł i samotnikiem na swojej ziemi poleskiej, którą mu

z dzierżaw swoich wydzielił Jagiełło król. Gorąca krew, rwąca się do czynu,

bojów i sławy, płynęła w żyłach Witowda. Długo się wahał, długo zwlekał, zanim

przez posłów swoich pierwsze stosunki zawiązał z Zakonem, na co mu listem,

pełnym uczuć przyjaznych, odpowiedział Konrad Czolner, ubolewając nad krzywdą,

nad niesprawiedliwością losu, obiecując mu dopomódz w zamiarach jego całą potęgą

swoją, i zapraszał w gościnę do Malborge wraz z żoną i dziećmi dla ochrony

rodziny przed zemstą Jagiełły i dla koniecznych pertraktacji w mającym się

zawrzeć sojuszu.

Słodkie słowa wielkiego mistrza skusiły Witowda; lekkie przypomnienie, że

wydobycie się z baszty kiejstutowej zawdzięcza bolejącemu nad krzywdą każdą

Zakonowi, zrobiły swoje. Zresztą w danej chwili mało go obchodziła znana

przeniewierczość Krzyżaków: szło mu o Wilno, jako o stolicę państwa, o urok władzy, zwracającej na siebie oczy poddańczego ludu, a potęgę już

sam stworzy siłą swojego ramienia i wytrwałością woli żelaznej. Wiedział, że nie oddadzą mu Żmujdzi, że stwierdzić będzie musiał własnym podpisem jagiełłowe jej ustępstwo Niemcom, lecz dwoje pacholąt ma, które, do lat doszedłszy, mogą nie uznać ojcowskiego podpisu, a walczyć ich nauczy; wiedział, że jarzmo hołdownicze na jego twarde barki nałożą i zaciskać się z dniem każdym będą, ale jarzmo się nosi dopóty, dopóki hardego nie wstrząśnie się karku, dopóki się mocy nie poczuje, a ona już w piersi jego rośnie. Tak, olśniony własnymi marzeniami i sojuszem z Zakonem potężnym, osadziwszy zamki poleskie niewielką załogą wojsk swoich, z żoną i dziećmi, w otoczeniu życzliwych sobie bojarów litewskich, hukem trąb i okrzykiem witany, wjechał w mury wspaniałego Malbarga. Zalało się krwią serce Witowda, gdy na samej granicy Żmujdzi i ziem zakonnych, wysunąwszy się z cieniów leśnych, jak widmo, jak mara, stanął Dowkont. Nie mówił nic, najmniejszym ruchem ręki nie zatrzymywał jadącego przodem syna Kiejstuta,

tylko, na swojej krzywuli wsparty, spojrzął mu w twarz. Tego
wzroku nie
zapomnieć nigdy, przenigdy!... to nie oczy patrzyły, siwe,
zapadłe oczy
ostatniego arcykapłana Litwy, to patrzył ból całego ludu,
któremu wydarto ziemię
z pod stóp, niebo z nad głowy; to patrzyło głuche, nieme,
okamieniałe pytanie:
»Dokąd ty jedziesz, synu Kiejstuta?... tam wróg Litwy, jej
męczeństwo, jej
grób!« Pobladła twarz Witowda, tysiąc gromów roztrzaskało
się w jego mózgu, ale
zawrócić już nie mógł. Zbliżał się ku niemu powitalny orszak
rycerzy zakonnych z
wielkim mistrzem na czele; warczały bębny, huk dział kołysał
się w powietrzu,
otwierały się wrota nieznanej, tajemniczej przy-

szłości, do której on młode, silne ręce wyciągał i dyszał
piersią, przepelnioną
marzeniami potężnymi. Przejechał zimny, niemy, blady,
pozostawiając za sobą
Dowkonta, opartego na swej krzywuli, zasłuchanego w płacz
borów, w konający
szmerem długim ich jęk.
Żmujdź zalewali Krzyżacy, potęga Zakonu zaciążyła nad
ziemią nieszczęśliwą.
Ogromne obszary lasów przetrzebiał miecz krzyżacki, waliły
się święte ołtarze,
święte gaje znikały, coraz więcej powstawało miejsc
obronnych, a na ruinach

prastarych świątyń pogańskich wystrzelały ku niebu wieżyce kościołów, budowanych z cegły czerwonej, uwieńczonych krzyżem Chrystusowym, prawdziwym godłem męki dla ludu ujarzmionego. Pożar powstania, ten ostatni wysiłek dusz i ciał zmęczonych, przygasał, we krwi zatopiony. Pustoszały wsie i miasta, lud usuwał się w lasy, przyczajał się w głębinach puszczy, żadnego już ratunku dla siebie nie widząc. Jakże mu walczyć z potężną siłą niezwyciężonego Zakonu, przed którym hołdownicze głowy jego własni pochylali książęta? nie byłaż gromem dla tego ludu wieść o zaprzędaniu przez kunigasa Żmujdzi całej Zakonowi znienawidzonemu? o pozostawaniu Litwy dożywotnio tylko w rękach jagaiłowych, która po śmierci wielkiego księcia prawem miecza do rąk krzyżackich przejść miała? Jeszcze czas pewien wierzono w siłę Witowda; wždy nie dlatego tylko ucieczką się ratował, by, wolność zdobywszy, o swoim dziedzictwie zapomniał? ale zaginęła o nim wieść wszelka, a może nie przedarła się przez puszcze głucho, oddzielające te tłumy zropaczone od świata, gdzie wrzało życie i tlił choć słaby promyk nadziei. Aż oto padł cios: przed synem Kiejstuta otwo-

rzyły się gościnnie wrota Malborga. I zagaśł ostatni blask nadziei.

Wieść tę przyniósł Dowkont.

Nie było Trumpa i Kinżgajły, którzy z tajnymi poleceniami arcykapłana do Wilna

ruszyli, bo dziwne, a nieprawdopodobne głosy dobiegały stamtąd, którym wierzono

i nie wierzono, a które tajemniczy lęk w serca rzucały. Oto sąsiednia Polska na

tron swój wezwała wielkiego księcia Litwinów; za tron polski kunigas ustępował

Litwę Zakonowi, czem zyskiwał pokój dla nowonabytego królestwa. Teraz już nic

nie odwróci gromu, zawieszzonego nad rozbitym państwem Olgierdów i Gedyminów...

Zbliżało się panowanie Niemców, posiew śmierci, zagłada nawet imienia Litwy

prastarej.

Dreszcz przerażenia wstrząsnął ludem nieszczęsnym, patrzyli w twarz Dowkonta,

niemy strachem przejęci. Nie znał nikt źródła tych wieści groźnych, rodziły je

szelesty lasów, dopełniały serca trwożne, a może nie tak trwożne, jak zmęczone

lat długich nieszczęściem. Wysłani więc zostali Trump i Kinżgajło dla schwytania

wieści prawdziwych, bo jakieś głosy błędzić już zaczęły o walnej wyprawie Zakonu

na Wilno wielkoksiążęce.

Pod wodzą Dowkonta zbierały się tłumy, to morze rozproszonych, nie chcących się

poddać władzy niemieckiej. Zapadłe lasy, puszcze obłądne schroniskiem ich były.

A coraz więcej przybywało ich z dniem każdym; czekały tylko rozkazów arcykapłana, by wyjść gromadą wielką z tej ziemi niedoli i nowej ojczyzny sobie poszukać. Dwa lata pracował Dowkont z towarzyszami swoimi i nieodstępna od boku jego Biruta, by powstrzymać te tłumy od czynu rozpaczego, a nową ojczyznę im dać, bo szał te rzesze ogarniał, zaraza samobójcza

szerokiem rozprzestrzeniała się kołem, myśl śmierci zbiorowej pochłaniała dusze zwątpiałe. Bywały wypadki, że podpalano wsie i świątynie i rzucono się w ogień, wszystko trawiący. Możeby nie sprzeciwiał się i Dowkont tym czynom szlachetnego szaleństwa (w myśli jego wciąż stała postać Towcigina), gdyby nie Biruta, która była uosobieniem wiary i jakiś czar rzucała w serca zbiedzone. A dziwne słowa jej były, a miały w sobie moc cudotwórczą, przed którą kruszyły się dusze, pozbawione już wiary. Przybiegały do niej dzieci kwilące i niewiasty rozplakane; pochylały się głowy starców, krzepiły się serca młodzieńców. Jakiś talizman spokoju i otuchy ukrywała w zanadrzu swej szaty. Dotknięty usta, niósł ukojenie, pochmurne rozpogadzał czoła, pierś, klątwa ziejąca, poruszała się westchnieniami

ulgi. Każdy czuł, że jakaś zmiana we wnętrzu jego istoty
zachodziła, że
tajemniczą potęgę miał ów talizman Biruty. Zrazu, nie widząc
go, całowano;
później dopiero, gdy dar łaski widocznie już dusze ogarniał,
gdy wiara w życie i
życia zrozumienie zajęły miejsce żądzy śmierci, biała ręka
Biruty pokazywała
umocnionym już na duchu ów talizman tajemniczy...
Był nim... krzyż, na krzyżu... Chrystus!
I dziwne!
Nikt nie zadrżał przed tym znakiem, widzianym tak często na
piersi krzyżackiej.
Był to Bóg Sprawiedliwości i Prawdy; zbawienie niósł
wierzącym, niewiernym
zgubę. A oni byli... wierni!
Widział to Dowkont.
Chmura przesuwiała się przez jego stare czoło, bieleły usta...
lecz nie odbierał
Birucie tego talizmanu, zbiedzonemu ludowi wiary nie
odbierał w jakiś daleki
świt,

w jakiś blask daleki. Musi on w coś wierzyć, by żyć, a on
chciał jego życia. To
życie przynosił mu ów talizman Biruty. Ona jedna, jedyna, jak
biały posąg
nadziei, stała wśród tłumów.
Po długim oczekiwaniu powrócili Trump i Kinżgaił i dziwną
wieść przynieśli, tak

różną od głosów, te zapadłe puszcze przebiegających. Z
ogromną siłą wojsk
krzyżackich i krajów zachodnich rycerstwem licznym szedł
Witowd na Wilno.

Naczelnym wodzem wyprawy był marszałek Zakonu,
Engelhard Rabe, w zastępstwie
Konrada Wallenroda, który w Malborgu, przy dogorywającym
wielkim mistrzu

Czolnerze został. Ku temuż Wilnu, z dalekiego Krakowa,
posuwała się garstka

rycerzy polskich pod wodzą podkanclerzego koronnego
Mikołaja Moskorzowskiego,

by, zajmą oba zamki wileńskie, przy pomocy znajdujących
się tam wojsk

litewsko-ruskich, dać odpór napastnikom. Polska idzie na
Niemce bronić Wilna,

bronić Litwy! Dawniejszy wielki książę, dziś król Polski,
Jagiełło, rzuca swój

miecz na szalę wypadków; z krwią litewską ma polska krew
się połączyć... raz

pierwszy!

Dziwne uczucia tłoczyły się do duszy starego Dowkonta,
słuchającego tych słów

Kinżgały i Trumpa. Najmniejszego błysku nadziei, ni wiary
w możliwość zwycięstwa

nie można było dostrzedz w posepnych oczach arcykapłana. Z
Polski szła garstka

rycerzy, na zamku wileńskim oczekiwał jej przybycia
wiecznie pijany Świdrygajło,

dziś wielkie książę litewskie, a przeciwko nim szedł niemal
cały świat ówczesny,

szedł... na jedno wezwanie Zakonu. Z Niemiec posuwali się
grafowie i baronowie,

wiodący za sobą tłumy szlachty rozbójniczej, z rozpusty
znanej i dzikości
obyczajów; rycerstwu Frań-

cyi bitnej przewodził sławny w dziejach, ambitny i
niepokalany kawaler de
Boucicat; mglista Anglia na czele niezrównanych łuczników
swoich postawiła
Henryka Derby, księcia Luncastru, po latach dziewięciu
uwieńczonego koroną
królewską. A ono rycerstwo wszystkie »pałało uniesieniem
religijnem przeciwko
Litwie pogańskiej, zemstą przeciw krwawemu tyranowi,
Jagielle, współczuciem dla
pogńebionego przezeń Wilhelma «. Niemała była praca
Zakonu, moc oszczerstw użyli
i kłamstw, zanim katolicki świat się poruszył przeciwko
katolickiemu już
królowi. Witowdem osłaniali zamiary swoje mnisi obłudni:
przeciwko bratu szedł
brat, za wielka więc krzywda być musiała.
Nie wiedział stary Dowkont, po czyjej stronie prawda była,
wiedział, po czyjej
stronie była siła. Szła z Niemiec, przewodzili jej Krzyżacy, to
dość, by czoło
mu zbladło, a w piersi stanęło serce.
Powiódł oczyma po tłumach. Widział twarze zmizerowane,
spojrzenia beznadziejne,
nie wierzące w żadną już moc zbawczą. Z zapadłych oczu
głód patrzył, szalone

pragnienie ucieczki przed tą grozą, idącą z zachodu,
błyskającą od Malbarga
krwawą łuną pożarów, poprzedzaną brzękiem oręża i
kajdanami niewoli. Nikt nie
wierzył w zwycięstwo wojsk Jagiełłowych, potęga Zakonu
omraczała umysły
wszystkie, bo poza nią stał świat cały. Nie była to »wielka
wojna«, lecz wielki
jej początek, pierwszy grom zbierającej się burzy dziejowej.
Strach powiał przez tłumy w lasach zebrane.
— W świat! w świat! — odezwały się wołania.
I Dowkont ruszyłby w pustynie wschodnie, nowej ojczyzny
ludowi swojemu poszukać,
gdyby nie Biruta, której głos zapanował nad głosami
wszystkimi a dzwonił:

— Do Wilna!...

Po co? na co?

— Życie chwycić... lub śmierć!

W tem »chwyceniu życia« był ostatni przebłysk nadziei, wiara
w cud.

I ruszyli ku Wilnu drogami obłądnymi, przez które tylko
zwierz dziki chodził,

ruszyli po ten nadziei błysk ostatni!

W Malbörgu panował ruch niezwykły, do bram zamkowych
tłoczyło się wezwane na

»wojnę świętą« rycerstwo zachodu, garncami przesypywało
się złoto. Imponowała

Witowdowi ta potęga Zakonu i pomoc świata. Widział się
panem Wilna, o przyszłość

się nie trwożył. Marzył, że, gdy siądzie na tronie wielkoksiążęcym, potrafi już utrzymać się na nim, jeżeli zaś złe losy nie pozwolą jemu samemu otrząść się z jarzma niemieckiego, to testamentem śmiertelny bój pacholętom swoim przekaze. Dziś wiedział tylko, że sprawą jego potężny Zakon się zajął, że, choć naczelny kierunek wyprawy wziął w ręce swoje marszałek Engelhard Rabe, w trzy wielkie armie podzieliły się siły wojenne: »gościnno«-pruską, inflancką i witowdową. Zaciągi ze Żmujdzi i ziem ruskich pod jego stanęły wodzą. Księżna Anna przemieszkiwała wraz z dziećmi na zamku malborskim. Codziennym gościem u niej był Zygfryd, ku któremu tkliwie jej nakłaniało się serce, jako, że jemu zawdzięczała oswobodzenie męża z niewoli jagiełłowej i czułą nad pacholętami opiekę. Izba, którą zajmował komtur, łączyła się z komnatami księżnej. Pacholeta Witowda miały swobodny doń przystęp. Z uśmiechem zawsze je witał Zygfryd, na ręce brał, podnosił do zbroic, zawieszonych na ścianach, na mie-

czach grał, uderzał w tarcze, sadzał na siodła rycerskie, a takim gwarem wesołym klekotała nieraz ta izba, że echo tej zabawy uderzało o drzwi komnaty księżnej,

a uśmiech tkliwej wdzięczności jej piękne usta okraszał.
Dziatwa lubiła
słodycze. Miód z pasiek zakonnych słodszy był nad inne
specyały. Ukryty w
plastrach woskowych, zapachem nęcił i przezroczystością
bursztynu. Codziennie
przed snem biegły pacholeta do »wujcia« Zygryda i
rózowymi dziobkami spijały
ten miód krzyżacki Żegnał je zawsze krzyżem i słowami:
— Miejcie sen cichy!
I powracały pod skrzydła matczyne, marząc o plastrach
miodowych.
W przeddzień wyjścia wojsk pierwszych ku granicy
litewskiej, wieczorem już
późnym wszedł do Zygryda wielki marszałek Zakonu,
Konrad Wallenrod. Zastał go
siedzącego w jakimś rozrzewnieniu, tak rzadko na twarzy
komtura widzianem, w
ręce list trzymał, który pieśczośliwie do piersi swojej
przygarniał.
Marszałek uśmiechnął się i usiadł przy komturze.
— List — rzekł — domyślam się od kogo.
Zygryd poruszył się.
— Nietrudny domysł, bracie marszałku! — odpowiedział.
— Z taką tkliwością — ciągnął Konrad Wallenrod — przytula
się tylko do łona list
kochanki...
— Albo ojca — dokończył Zygryd.
— Znając ciebie, to chciałem powiedzieć. Co pisze stary?
— Wyruszył do Malboga, chcąc zobaczyć się ze mną,
pożegnać i pobłogosławić
przed wyjściem na Litwę wojsk naszych. O, jaka radość wśród
gwaru bojo-

wego unosić z sobą błogosławieństwo ojcowskie, jego miłość i jego pamięć. Nie śmieję się, bracie marszałku! człowiek, żyjący na ziemi, musi coś ukochać; tego prawa nie jest pozbawiony mnich nawet, choć w zakon swój jest zapatrzony tylko i on, przed wszelkimi uczuciami, pierwszeństwo mieć musi. Nie wiem jeno, czy na czas zdąży z błogosławieństwem swoim mój stary. Jutro wyrusza armia inflancka, pojutrze witowdowa, a później nasza z rycerstwem zagranicznym. Z tą ostatnią idę ja!

Westchnął.

— A chciałbym ucałować ręce ojcowskie... kto wie, po raz ostatni może — dodał szeptem.

Marszałek się poruszył. Widocznem było, że w gardle mu uwięzły słowa, z jakimi tu przybył.

— Zostać możesz — po chwili się odezwał — taka jest wola konającego mistrza.

— Zostać? — spytał Zygryd zdumiony.

— Ważną misję poleca ci do spełnienia umierający.

— Słowa jego są rozkazem i to w takiej chwili, gdy duch zrzuca ziemską powłokę — odpowiedział komtur.

— Wiem o tem, że tak jest i tak być musi — zaczął znów marszałek. — Tylko rozkaz

jego przypada na chwilę, w której serce twoje jest
rozmiękczone uczuciami
rodzinnymi. Zgrzytem więc wydać się może.

— Nie trwóż się, jeżeli tylko o dobro Zakonu chodzi.

— O tem tylko myśli umierający.

— O czem-że ja mogę myśleć... żyjący...

— Kamienny mąż z ciebie. Spokojną mieć będzie śmierć
Konrad Czolner.

— Patrz, list chowam — rzekł Zygfyd. — Jestem znów
zimny, nieubłagany sługa
Zakonu.

— Witowd marzy... — zaczął Konrad Wallenrod.

— O tronie wielkoksiążęcym — dodał Zygfyd.

— Nie tylko dla siebie — ciągnął marszałek — a powinien
być ostatnim władcą
Litwy.

— Dlaczegoż nim ma nie być?

— Spadkobiercami jego my być musimy...

— Któż temu przeszkodą staje...

— Dwoje pacholąt jego...

Tu skrzyżowały się spojrzenia Krzyżaków.

— Dalej — rzekł Zygfyd.

— Witowd na tronie litewskim zasiądzie, jako już pan
katolicki — ciągnął

marszałek. — Oczy całego świata obrócone będą na niego.
Po chwili, jakby do siebie, szepnął:

— Umysł bystry, ręka silna, wódz miary niepowszedniej.

Chrzecijańskiemu już

księciu nietrudno będzie

o sojusze, o zapewnienie następstwa tronu synom swoim.

Zdobyta przez nas Litwa z

rąk naszych się wysunie...

i przyszłość Zakonu... niepewna!

— Mylisz się!... niezmierzona jest jego potęga — rzucił komtur.

— Za Litwą pogańską nie ujmie się świat, za chrześcijańską Rzym stanie.

— I przeciw Rzymowi pójść można — rzekł sucho Zygfyd.

— Mnisi! — rzucił marszałek.

— Zdobywcy! — dodał komtur.

— Zdobywać i tracić, dziecinna to gra! — mówił

Konrad Wallenrod. — Przyszłości terażniejszość powierzać nie jest sprawą rozumu.

Wznosząc Witowda, grunt mu z pod nóg usunąć, to dzieło godne mądrości!

— Wyraźniej, bracie marszałku!

— Do ciebie zachodzą pacholeta Witowdowe?

— Nie wolno im nigdzie zachodzić, tylko do mnie.

— Czy szczury biegają po tej izbie? Co za skok? — rzucił Zygfyd.

— Umierający mistrz wielki przysyła ci truciznę... na szczury

— rzekł marszałek.

Tu ruchem powolnym wyjął z zanadrza mały zwitek bibuły i dodał:

— Działa łagodnie... w miodzie... Szczury miód lubią.

I podał go Zygfydowi.

Była chwila wahania się i niepewności ze strony komtura.

Przed oczyma tego

mnicha krzyżackiego zarysowały się pacholeta witowdowe, z taką ufnością do wyciągniętych jego ramion biegnące, chwytające gęste krople słodkiego miodu, które on na drewnianej łopacie im podawał; w uchu zadzwonił jakiś szczebiot ptaszęcy czy śpiew dzwoneków loretańskich srebrzysty, perlisty, anielski.. Przez czoło przesunęła się chmura, gęste ściągnęły się brwi. Marszałek stał przed Zygfydem i przymrużonemi oczyma, a z lekko drwiącym uśmiechem patrzył na cichą walkę, jaką kamienny ten człek wiódł z sobą. Pomimo jednak tego wahania się i kłótni myśli, ręka komtura powoli, bardzo powoli zbliżała się do bibulastego zwitka Wallenroda. Dotknął go wreszcie, wziął w palce, zatrzymał chwilę w powietrzu i schował w zanadrze.

— Śmierć lekką mieć będzie nasz mistrz wielki — rzekł Konrad, głowę schylając.

— Amen! — odpowiedział komtur.

Krokiem poważnym opuścił marszałek komnatę. Zygfyd, oparty o stół, stał długo i patrzył przed siebie.

Zgładzenie ze świata dzieci witowdowych leżało w planach dalekiej przyszłości

Zakonu. Witowd własnoręcznym podpisem zatwierdził przynależność Żmujdzi do ziem

zakonnych, uznał się hołdownikiem z reszty pozostałej Litwy, która, w razie

bezpotomnego jego zejścia ze świata, los Żmujdzi podzielić
miała. Był to
warunek, mówiący o zapobiegawczości Zakonu, lecz niezbyt
groźny dla Witowda.
Miał chłopiąt dwoje, sił pełnych i zdrowia, rozwijających się
bujnie pod okiem
troskliwej macierzy. Życie przed nimi, nie śmierć, a przed nim
bój rycerski,
stawianie zrębów gmachu potężnego państwa, rzucenie pod
stopy swoje pęty, dziś mu
nałożonych przez los zawistny, twórcza dla przyszłości praca,
nie zejście
bezpotomne. Myśl zbrodni, przed którąby pobladło czoło
największego zbrodniarza,
nie powstawała w szlachetnym umyśle Witowda. Może cień
trwogi dalekiej rodził
się w sercu matki, lecz w żaden kształt wyraźny nie
zarysowała się ta bojaźń jej
niewyraźna. Zamek dzwonił od szczęku mieczów, tecz i od
pieśni nabożnych;
żelazna zbroja okrywała pierś mnichów, lecz i Chrystusów
krzyż na niej połyskał.
Mimo to, jak kokosz, czuwała nad pisklętami swojemi, jakby
się obawiała, by cień
skrzydeł jastrzębich nad ich nie zakołysał się głowami.
Podczas snu nawet dłoń
mieczyną wyciągała się ku nim. Służba pilnowała wejść i
wyjść. Nikt, bez
opowiedzenia się, nie miał prawa przekroczenia izb księżnej,
do nikogo nie wolno
było pisklętom się

przygarnąć, jeden tylko Zygfyrd wyjątek stanowił, lecz
względem niego
zaciągnięty był dług wdzięczności; przyjaźnią darzył,
nieufności nie wzbudzał.
Jak on kochał ten drobiazg jej, jakim dzieckiem się stawał ten
mąż poważny,
ilekroć z wyciągniętymi rączkami biegły ku niemu, witając go
srebrzystym
grzechotem śmiechu. Brał je w ramiona, na barki sadzał,
dawał drewniane miecze i
zacięte walki z nimi zwodził.
— Bij Niemca — wołał — ot tak, po litewsku!... niech swojej
grzędy pilnuje, a
nie idzie do cudzego prosa!
Słyszała te okrzyki Anna i mówiła mu nieraz:
— Bicz kręcicie na siebie...
A bój trwał, dyszały piersi chłopiąt, koralem barwiły się
jagody, w błękitnych
oczach złote zapalały się gwiazdy. Tupot, gwar, śmiech
zapełniały wtedy izbę
zygfrydową, i nieraz, znużone zabawą, snem ujęte, na rękach
swoich przynosił
skarby matczyne ten rycerz-mnich, mąż krwi i żelaza.
Ruszyła armia inflancka, ruszyły wojska witowdowe, a
później wspaniałe rycerstwo
zachodu i pułki krzyżackie; pociągnęli Niemcy pod wodzą
margrafa swojego,
myrzeńskiego Fryderyka, i grafowie Schwarzburg, Gleichen i
Plauen; Francuzi pod
przewodem głośnego na świat cały bohatera Boucicaut;
Anglicy i Szkoci pod wodzą

Duglasów. Siedmdziesiąt tysięcy zbrojnych ruszyło na
zdobycie tronu wileńskiego
Witowdowi. Nie tylko drogi wszystkie i gościńce, lecz i rzeki,
mające swój bieg
ku Wilnu i Grodnu, zaroily się od tłumów o piersiach
żelaznych. Nigdy tak Niemen
nie wzdychał, nie ugiwały się tak fale Wilii, jak w onym roku,
w którym
zamierzony został stanowczy podbój Litwy,

zemsta nad Jagiełłą za wydarcie Jadwigi Wilhelmowi, za jego
chrzest krakowski,
za to moralne upokorzenie Zakonu. Zbitemi skutami płynęły
tarany i kusze, tak
zwane: »osły« i »niedźwiadki«, »żółwie« i »kozy«; ruchome
wieże drewniane,
żelazne i kamienne kule do dział, puszki, na hakach
wspierane, i »armaty
ziemne«, które, w ziemię wkopane, ziały ogniem straszliwym.
Brzegiem rzek
posuwały się oddziały wojsk strażniczych, rzekami — one
machiny wojenne,
przeznaczone do burzenia murów fortecznych, rozwalania
kutyh wrót zamkowych.
Nie brakło i beczek smolnych dla niecenia pożarów i pęt
żelaznych dla
spodziewanych jeńców i sznurów szubienicznych. Krzyżacy
pewni byli, że sam
Jagiełło król na obronę swojej stolicy litewskiej ruszy.
Zapadła więc umowa

między zakonem a wodzami wojsk zaciężnych, żeby w razie,
gdyby król polski lub
który z braci jego dostał się do niewoli żołdowników, za
okupem został wydany w
ręce Krzyżaków. Na „pięćset grzywien oceniona została
głowa Jagiełły, a po sto
braci królewskich. Nie dla potrzeby zaopatrzone się w tyle
materiału wojennego i
taką wojsk masę, lecz dla rzucenia grozy na śpieszące ku
Wilnu pułki polskie.
Świdrygajło, który zaszedł drogę pod Kownem hufcom
krzyżackim, chcąc bronić
Niemcom przeprawy przez Niemen, rozgromiony przez
Engelharda został. Nie mogła
znieść grzmotu puszek Litwa i Ruś i pierzchnęła. Świdrygajło
ku Wilnu się
cofnął, wolne przejście nieprzyjaciołom zostawiając. Przeciw
tej masie wojsk
śpieszył Mikołaj z Moskorzowa na odsiecz nękaney stolicy
Litwy. Garść była tych
wojowników, przeważnie ziemi krakowskiej synów, ale nad
nimi unosiły się słowa
błogosławieństwa

Jadwigi, wiodło ich poczucie świętego obowiązku zbratanej
już z Polską Litwy,
pokazanie panu, tak niedawno pogańskiemu, jak zwyciężać
lub ginąć umieją ci,
którzy za króla go sobie obrali.
Miał i Bolechowic z tymi pułkami iść, ale coś go
powstrzymywało. Czy żonka

młoda, czy dzieciak, który zakwilił w kolebce i już drobne
rączyny ku
pieszczotom ojcowskim wyciągał, czy troska o gospodarstwo,
przez stryjców mu
nadane, a pańskiego wymagające oka?
Nie powstrzymałaby go Danuta od spełnienia obowiązku
rycerskiego; oderwałby
piers swoją od przytulonych objęć dziecka, i nie na to go
stryjce zacnym kawałem
ziemi obdarzyli, by dla zbiorów jesiennych, dla ciepła komina
rycerskiej krwi
swojej ojczyźnie pożalował.
Zmierzch zapadł w tej jego wsi, niedaleko Krakowa
położonej, w której mu lat
parę z umiłowaną żonką spłynęło, niby marzenie, niby sen
złocisty, niczem nie
przerwany. Na kominie duży stos palił się ogniska, przy
którym grzał się
Wissebut stary, który po latach włóczęgi dotarł wreszcie do tej
krajiny
podkarpackiej i, jak duch zamierzchłej przeszłości, stanął w
drzwiach domu
Bolechowica. Jaki krzyk wonczas wstrząsnął ścianami temi,
jakie rześiste łzy
połały się z oczu Danuty i Jaśka, gdy opowiadał im przygody
swoje, gdy mówił o
tym krwawym gościńcu kowieńskim, którym szedł, zemstą
dyszący, nie widzący przed
sobą nic, nic, okrom swej krzywdy śmiertelnej. Teraz dopiero
dowiedział się
Jaśko, że, choć straszny był cios, zadany przezeń Zygrydowi,
nie pozbawił go
jednak żywota.

— Żywie ten... zbój! — wyszeptał. — Snadź stokroć gorszą śmierć przeznaczyła mu Opatrzność, gdy

wonczas z ręki mojej nie zginął. Nie daj Bóg, bym ciebie teraz pod murami Wilna napotkał; nie daj Bóg, byś żywcem w ręce mi się dostał, zapłaciłbyś mi za każdy krzyk Danuty, za każdy dreszcz jej ciała, za każdą kroplę jej potu. A mam nadzieję, mam... zobaczyć się jeszcze z tobą, czarcie, w mniszą szatę odziany! Zaciskał pięście, ale niedługo srogi gniew na jego kołysał się czole, bo jasny płomień ogniska blaskiem złotym oblewał śliczną twarz Danuty, która, w ramionach swoich senną dziecinę kołysząc, nuciła jakąś piosnkę litewską, uśmiechając się do ojca, do męża, do... syna! Przed paru dniami dopiero, jak Wissebut w te ich progi zawitał. Ciche, spokojne życie w tym domu polskim, do którego kmić, nie nękaną przez bojarzyna, szlachcic przez kunigasa, zachodził, jakąś bajką mu się wydało, czemś nie z tej ziemi, nie z tego świata. Sen miał na oczach, z którego otrząść się nie mógł.

— Zbudźcie mnie! — powtarzał, lecz wnet dodawał: — nie, nie budźcie!...
piękniejsze, niż życie, są sny.

A jakże mu się szeroko źrenice otwarły, gdy posłyszał z ust
Bolechowica, że na
tronie Polski Jagaił siadł, wielki księżę Litwy, pan srogi.
Skulił się, zmałał,
bladość okryła mu twarz.

Wyszeptał:

— Co będzie z wami, dziatki, żeście przyjęli wygnańca
jagaiłowego?

— Tu Polska, ojczyzno! a ona żywotem darzy, nie śmiercią —
odpowiedział Bolechowic

— a Danuta dodawała:

— Dobry król ten król Jagiełło, a świętą małżonkę pojął, która
ociera łzy, a
jeno miłowanie w sercu swem nosi...

— Zbudźcie mnie, zbudźcie! — szeptał Wissebut, powieki
przecierając.

Dzieciak usypiał, litewska pieśń Danuty coraz ciszej dzwoniła
w mroku
wieczornym.

— Jak te lata płyną — odezwał się Jaśko, rozmiłowanemi
oczyma na Danutę patrząc.

— Dawno-li to, jako w tej izbie, przy tem samem ognisku,
siedzieli don Manoel,
kawaler de Vendendaelle i Till, miód popijając i gaworząc o
minionych już
nieszczęściach naszych. Zaciągnąłem nie wypłacony dotąd
dług wdzięczności, a
gdym im mówił o tem, zacne ich dłonie ściskając: »Nie
kłopotcz się — Vendendaelle

rzekł mi na to — okaza się znajdzie ku temu przy pierwszej
lepszej wojnie z

Krzyżakami; do domu twojego przydybię, na Niemce idąc, i
dawne czasy przypomnim

i starą przyjaźń odnowim. Jakem syn Francyi, nie rzucam
słowa na wiatr!« — I

zaklął na króla Klodowika, a przysiągł, że nawet słodka
Elwira nie zatrzyma go w

uściskach swoich. To samo i don Manoel mówił, tak mu się
spodobał dom nasz

gościnny.

— Łatwiej to rzec, niż z zamorskich krain aż tu przydybać —
wtrąciła Danuta.

— Z zamorskich, nie z zamorskich, bo Francya, zda się, za
Karpackimi górami

jest zaraz — rzekł Bolechowic.

— Obiecował i don Manoel i Till zawitać do nas przy
pierwszym odgłosie wojny —

przypomniała Danuta.

— Tak, tak, alem więcej Francuzowi wierzył, niż im. Oni
obiecowali, lecz mówili,

jeżeli pozwoli Bóg!... a Vendendaelle kłął się, że dla niego ni
ziemskich, ani

niebieskich przeszkód niema. A pan z Moskorzowa ku

wileńskiej już dyba stolicy, z pod Kowna Niemcy Świdrygajłę
przeznali, ja

wysłuchuję tętentu konia Vendendaellowego, a tymczasem.

— Co... tymczasem? — dał się głos słyszeć, głos znajomy i w
oknie otwartem na

podwórko pokazała się twarz kawalera.

— Szarl! — krzyknął Bolechowic — i porwał się z miejsca.
W tej chwili tumult jakiś wypełnił dziedziniec domu
szlacheckiego, dał się
słyszeć szcęk szabel, rżenie koni i śpiew przy brzęku strunic.
Do uszu
jaśkowych doleciał znajomy tak dobrze głos Tilla i strofka
gromko śpiewanej
piosenki:

A otwórz-że, Jaśku, wrota,
A otwórz je nam!
Jadą pany, nie hołota,
Stukają do bram;
A gdyby ci się wydało,
Że dostojnych jest zamało,
Znajdzie się król sam,
Boga mi! król sam!

Jaśko w drzwi runął, poskoczyła za nim i Danuta z
dzieciątkiem na ręku, które,
gwarem zbudzone, szeroko błękitne oczęta rozwarło i trzepać
rączętami zaczęło,
jakby dzielając radość rodziców. Posunął się i stary
Wissebut i wyrzwał za
drzwi...

Nagle się cofnął, plecyma o ścianę się oparł i w przerażeniu
patrzył przed
siebie.

W otoczeniu panów koronnych i gości cudzoziemskich,
między którymi Bolechowic
don Manoela, Tilla i kawalera de Vendendaelle rozpoznał, stał
król Jagiełło. Nie
mówił nic, znać wielkie wzruszenie zamknęło mu

usta. Podeszedł tylko do Wissebuta, drżącymi rękami ujął jego głowę i, całując, do swojej piersi królewskiej przygarnął.

Wissebut runął na klęczki.

— Wierny... wierny... wierny — szeptał król.

— Rab twój, panie! do końca żywota rab.

— Przyjaciel, Wissebucie! — tak mówił chrześcijański król, który winnym

przebacza, a skrzywdzonych o przebaczenie prosi.

— Skądżeś ty, panie, tutaj, skądże wy tutaj jesteście? — pytał oszołomiony

Bolechowic, na króla patrząc, to na przyjaciół swych dawnych.

— Wieść to mnie doszła — rzekł król — że do domu twojego przyszedł pątnik

litewski, że jest on rodzicem żonki twojej, że mu na imię Wissebut. Nie dośćże

tego było, bym kubrak na się wziął, przydybał tutaj i biedną, siwą, starą tę

głowę do serca swojego przycisnął? A teraz ty, kawalerze — do Vendendaelle'a się

zwrócił — głos zabierz i mów, jakieś się tu dostał.

— »Wojna!« — zaczął kawaler de Vendendaelle — »A z kim?« — pytam wysłańców Zakonu,

werbujących rycerstwo do siebie. — »Z Litwą pogańską, a przeciw królowi

polskiemu«. — »A no, pójdę, jeno za królem się polskim opowiem«. — Tak samo i

don Manoel uczynił, z którym spotkałem się jeszcze w granicach Francji; po

drodze Opatrzność pozwoliła nam Tilla ułapić, odbić paru rycerzy, do Krzyżaków śpieszących, i przez Śląsko ku Krakowowi pociągnąć. Wczoraj stanęliśmy na grodzie wawelskim, a skoro król jegomość dowiedział się, że jedziem do ciebie, pomyślał chwilę i rzekł: »Ja z wami, panowie rycerze!... u tego Bolechowica jest druh, którego obłapić muszę«. — A żem łeb w okno twoje

wsadził, to jeno dlatego, żem przez gorącość o kroków kilka naprzód się wysunął przed orszakiem królewskim, by ciebie najpierwszy powitać. Teraz, wasza królewska mości — do Jagiełły się zwrócił — krokiem naprzód postąpcie, a prosto do izby biesiadnej, bo baraninę czuję i coś wedle zapachu gorzały. — Zatem prowadź nas, gospodyni miła — zawołał Jagiełło — a kawalerowi zawodu nie uczyn. A cóż to za koźlątko przy piersi masz? — spytał, do dzieciaka się pochylając. — Jak len litewski, takie włosięta, jak niebo polskie, takie ślepięta. A niechże się chowa na chwałę Litwy i Polski, które małżeńskim, nierozzerwalnym węzłem połączyć mi się marzy. I przestąpił próg, zasromaną prowadząc Danutę, i zasiadł ławę drewnianą przy szlacheckim stole Bolechowica, a gdy misy wonnem zadymiały mięsiwem, gdy ostry

zapach korzeni po izbie się rozszedł, uśmiechnął się król Jagiełło i rzekł:

— Brucho hraje!...

I, o dziwo! pierwszy puhar napoju winnego wychylił w tym domu polskim.

Rozwiązały się języki, a było o czym wspominać i mówić, a gdy się nieco w

głowach zmaćilo i czupryny kurzyć zaczęły, gdy Till hulaszczą pieśń jakąś

zaintonował, do wtóru mu Szarl ryknął, don Manoel pomógł, Bolechowic podtrzymał,

taki się gwar zrobił, a głosów pomieszanie, że klekotały niskie ściany

Bolechowica domu, a król jegomość głową trząś z rozweselenia wielkiego: »Je-

je!« — pokrzykiwał, jako to w łaźni zwykł był czynić, gdy łaźiebny wiechciem go

smagał(). Jeno Wisse-

() Historyczne.

but miał sen na oczach i do Jaśka i do Danuty się pochylając, szeptał:

— Zbudźcie mnie, zbudźcie! Nagle Till zaintonował:

»Elwiro! Elwiro!...«

— Cicho! — krzyknął kawaler de Vendendaelle, i melancholijnemi oczyma powiódł dookoła.

— Co tobie, Szarlu? — Jaśko spytał.

— Zdradziła — odpowiedział kawaler.

XII.

Wizya przyszłości.

Kończył się sierpień. Zielone lato oddawało berło swoje złotej jesieni. Lasy, otaczające Wilno, stały jeszcze w pełnej gęstwie swych liści, lecz już barwa szmaragdowa zlewała się z żółtym topazem; gdzieniegdzie wplątywały się nici czerwonego koralu, ale złota i czerwieni mniej było od tej zieleni, zszarzałej wprawdzie i przewiedłej, lecz bujnej jeszcze i walczącej uparcie z upominającą się już o prawa swoje jesienią. Z dniem każdym widać było jej pochod zwycięski, coraz więcej plam brudnym przybywało drzewom, lasy szarzały, błękitniały bory, a byle wiatr silniejszy z Ponarskich zaleciał gór, ni wiązy, ni graby, ni dęby, ni buki nie miały już mocy listków wszystkich na gałązkach swoich utrzymać: zrywały się z ramion osłabłych i, ni to bezduszne motyle, wirowały długo, długo w powietrzu, zanim opadły na ziemię, barwne, lecz bezsilne, podbijane tchem jakiejś piersi niewidzialnej.

Dni były ciche, ciepłe, niebo wypogodzone, w bezruchu stały bory i lasy, jeden

tylko obłok srebrzysty przesuwiał się przez błękity, a i ten się
zadumał i
zatrzymał nad ognistą kulą słońca, zsuwającego się powoli ku
granicy zachodu,
może zachwycony pięknością tego globu dalekiego, może
oddany rozkoszy jego
pocałunków palących, a może z wyżyny swojej coś dojrzał,
czego jeszcze oko
ludzkie dopatrzeć nie mogło.
Do wrót od tak dawna nie widzianego domu swojego zbliżał
się Dowkont z Birutą.
Te same drzewa, ten sam czerwony dach gontyny i cisza ta
sama. W gaju, rozbity
ongi przez topór arcykapłana, leżał dotąd nie tknięty,
kamienny posąg Perkunasa,
a u stóp jego suchy, bezlistny, bławatkowy wianek Biruty,
który ongi, z rozkazu
ojca, miała złożyć u stóp bóstwa, lecz sił jej zabrakło.
Gaj był zaciszny, rzadko tu kiedy zachodził wiatr, uschły więc
liście bławatków,
słońce wyssało kolory, lecz spoczywał na miejscu swem
dawnem nie tknięty, nie
naruszony, nie zmieniony w kształcie swoim, jak nić cienki,
kruchy, jak
szczęście ludzkie. Białe śniegi osypywały go zimą, złote liście
jesienią,
zmienił się w pył, w popiół, ale rysował się wyraźnie na
stopniach kamiennych
straconego dziś boga piorunów.
Dowkont przeszedł około posągu, nie spojrzawszy nań nawet,
zatrzymał się dopiero
na pierwszym stopniu schodów, do domu prowadzących.
Oparł się o baryerę, w

zamknięte drzwi się wpatrzył i jakby nie miał odwagi czy sił
wejść do wnętrza,
jakby dla piersi tchu potrzebował, prawą ręką o baryerę, a
lewą o krzywulę się
opierając, usiadł na stopniu i w głęboką zapadł zadumę.

Biruta zatrzymała się nad dostrzeżonym tym wiankiem
umarłym. Niebieskim niegdyś
świecił błękitem, przeplatany gdzieniegdzie białymi
kwiatkami rumianku. Bławatki
na polu, rumianek rwała u źródła za franciszkańskim
kościółem.

Zabiło serce, westchnienie pierś poruszyło.

Jak to dawno!...

Za Wilią rozciągał się łąn zboża i bławatków, za murami
klasztoru barwiły się
kępki wrzosu i śnieg rumianków. Bławatki rwała z Danutą,
rumianek...

Rozszerzyły się źrenice zamyślonej.

Ona wróżyła, on nigdy!

Razu pewnego wiatr uniósł listek, palcami jej zerwany, listek
uleciał i do warg

jego przylgnął... Nie strącał go, trzymał długo, aż wchłonął
usty w zapamiętaniu

się jakimś. Uśmiechnęła się i powiedziała mu, co uczynił.

— Myślałem, że sakrament... — szepnął.

To wszystko dziś tak żywo stanęło w jej pamięci... ach!

Przez myśl jej przesunęła się Danuta, wspólne zabawy,
przedranne z nią

wycieczki, i piosenki, i śmiech, i rozbawionych ech kłótnie.

Plątały się tam

razem i inne wspomnienia: źródło za murami klasztoru,
spotkanie tam ojca
Serafina, idącego po wodę dla braci; jego słowa o Bogu, o
niebie, o aniołach.
Czar owiewał ją wtedy, zapatrzenie się w świat dobra, piękna i
prawdy. Nieraz,
nie wiedząc o tem, na jego ramieniu jej ręka spoczęła, jej
głowa o jego pierś
wsparta, i pozostawali tak w ekstazie czas dłuższy, dopóki
słońce nie zaszło,
nie umilkł dzwonek kościelny. A potem... noc strachu, noc
śmierci!
Łzy potoczyły się po jagodach Biruty, serce zatrzy-

trzymało się w piersi, pobladły usta, rumieniec zgasł i ból,
szarpiący ból nią
zachwiał.
— Gdzie twój grób? — mówiła, zwracając oczy na siniejący
w oddali kościół
franciszkański. — Gdzie twój duch? — szeptała ku niebu
żrenice podnosząc.
— Biruto! — dał się słyszeć głos ojca.
Podbiegła.
— Na murach Wysokiego Zamku ruch jakiś...
Spójrz!
Tu powstał i ręką wskazał na zamek.
— Czy widzisz? — ciągnął dalej. — Zaroily się blanki
wszystkie od ludu
zbrojnego... Biegną... patrzą, jakby dziw jakiś ujrzeli. A
może... może... w

blasku zachodzącego słońca zamigotały błyskawice mieczów
krzyżackich,
opasujących ten gród, i ty mi raz jeszcze na to patrzeć kazałaś
i w tych borach
dalekich lud wygłodzony zatrzymać, nawiedzona snami, nie
mogącymi się nigdy
wcielić. Spójrz!... na górnej wieży podniosła się chorągiew
Litwy... Ruch się
wzmaga... zmienia się w szum, w grzmot...
W tej chwili jedyne działo, jakie Świdrygajło na zamku swoim
miał, westchnęło z
wieży. Grom zatrzęsł powietrzem, głuchy gruchot potoczył się
po górach, za barki
echa wziął, wstrząsnął, aż krzyknąć musiały, i w tejże chwili
ze Świętoroga
Doliny śpiew zabrzmiał.
Śpiewało głosów tysiąc, piersi tysiąc...
Na murach i wieżach zamkowych zachwiały się chorągwie
litewskie i pochyliły się
ku dolinie. W rytm pieśni wpadał grzmot działa, a bramy
Dolnego Grodu rozwarły
się na ścieżaj.
Biruta gorączkowym ruchem chwyciła ojca za rękę

i krokiem szybkim, o ile na to Dowkontowi sterane pozwalały
siły, zeszła ku
Dolinie Świętoroga.
Wypełniały ją hufce rycerskie, wiódł je mąż lat średnich,
rosłej postawy,

pięknego a marsowego oblicza. Złotą buławę miał w ręku,
stalowy pancerz na
sobie, po którym tygrysia spływała skóra; płaszał pod nim koń
siwy, złotym
kropierzem okryty, i targał wędzidła a rżał. rzeniem swem
witając wypływające z
bram zamkowych zwarte pułki litewskie. To pan z
Moskorzowa wiódł hufce polskie,
to pieśń »Bogu Rodzica«, pieśń rycerska raz pierwszy
odezwała się w murach
stolicy Litwy.

— Polacy! — krzyknęła Biruta.

— Towciginy! — szepnął ponuro Dowkont.

Śpiesząc ku Wilnu, gdzie według słów Biruty miał jakiś cud
się objawić, zabierał

języka o sile krzyżackich i witowdowych wojsk. Trzy wielkie
armie szły na

stolicę Litwy, niezliczone wozy toczyły się za nimi, a od
szkut, berlin i łodzi

przewozowych nie było widać złotych wód Niemna, błękitów
Wilii. A tutaj?... Parę

tysięcy kopii, tyleż mieczów i tyle piersi ludzkich.

Chmura okryła czoło Dowkonta, pierś Biruty oddychała tchem
wiary wielkiej.

W dziedzińce zamkowe wpłynęły pułki polskie, zawarły się
bramy za nimi. Ostatni

błysk słońca zakołysał się na ostrzach grotów rycerskich i
zapadł mrok.

Spóźnione odezwały się dzwony. Wśród ich pieśni zmieszanej
słuch Biruty

odróżniał śpiew dzwonu franciszkańskiego kościoła.

Szczupła garstka wojsk polsko-litewskich w trzeciej części
nawet nie dorównywała

sile, jaką wiódł Zakon. Od wiosny już chodziły słuchy o wielkiem zbiorowisku wojsk w Malborgu krzyżackim, o mnogich zastę-

pach zachodniego rycerstwa, zbierającego się w ziemi pruskiej; o zastawionym u samych gianic Litwy, z niebywałym dotąd przepychem »stole czestnym«, przy którym zasiedli nowomianowani członkowie tego stołu, odtąd duszą i ciałem zaprzędani Zakonowi. Huk trąb i łoskot bębnow uderzył o mury prastarego Kowna; zda się, że szybciej popłynęły fale Wilii i Niemna, jakby gnane przestraczem, pędzone przeczuciem złowrogiem. Nietrudno było języka zabrać o tej potędze, jaka na Litwę zwalić się miała. Swidrygajło, dziś wielki książę litewski, nie zasypiał sprawy. Na pierwszą wieść o wojnie, której celem ostatecznym było zdobycie Wilna i osadzenie Witowda na tronie wielkoksiążęcym, ażeby rozdzielić siły Zakonu i utrudnić zdobycie stołecznego grodu, wzniósł pośpiesznie na jednym z placów miejskich zamek trzeci, drewniany, obwarowany wałem ziemnym i przekopami rowów i fos, w których nie brakło dołów wilczych, najeżonych palami, na szpic ściosanymi, poza tem skutym żelaznymi hakami ostrokół się piętrzył, palisadą wzmocniony, nagromadzone

zaś karcze dębów i sosen, o korzeniach, jak węże, poplątanych
z sobą, u każdych
wrót stosem wielkim leżały, by w razie wywalania bram,
módz niemi wejście do
wnętrza zamczyska zatarasować. Nie dwa, lecz trzy zamki
musieliby teraz oblegać
i zdobywać Krzyżacy; zmniejszały się napór sił
nieprzyjacielskich, a zyskanie
na czasie stanowiło już niemałą wygraną dla małej garstki
obrońców.

Niezlą miał myśl Świdrygajło, stawiając ten gród trzeci.
Rozdzielał siłę wrogów;
dwa stare a potężne zamki bronił od jednorazowego szturmu
wszystkich wojsk
sprzymierzonych: okrążyć zaś je i osaczyć, bez zdobycia

pierwszego, niełatwo było. Broniącym się chodziło o
wytrzymanie oblężenia do
nadejścia zimy.

Wiosna i lato zeszły zakonowi na przygotowywaniu się do
wyprawy; poczty wojsk
zacieężnych i zagranicznego rycerstwa ścigały się niezbyt
pośpiesznie do Maryi-
Grodu; dopiero w połowie sierpnia rozpoczął się marsz ku
Litwie, uwieńczony
zaraz na wstępie rozgromem sił Świdrygajłowych. Nie
próbował już wielki książę
stawiać czoła w polu otwartym nieprzyjacielowi groźnemu,
pośpiesznie ku stolicy

się cofnął, w której murach się zamknął, oczekując przyjścia
spodziewanych
posiłków polskich.

Drobiazg, przez Moskorzowskiego przyprowadzony,
niewielką otuchą natchnął
wielkiego księcia. O bitwie walnej pod samymi murami
Wilna, do której wydania
pan podkanclerzy zachęcał, nie pozwalał sobie nawet mówić
Świdrygajło.

— Gdybyś ty wiedział, jak łupią Niemce, nie występowałbyś z
mową taką do mnie —
do Moskorzowskiego się zwracał i jako wódz naczelny wcale
inaczej rzecz całą
obmyślił.

Nie sprzeciwiał się pan podkanclerzy, lecz poddał się bez
szemrania rozkazom
wielkiego księcia.

Nowozbudowaną warownię na placu miejskim objął pod
bezpośrednie dowództwo swoje
sam Świdrygajło, jako, że według ówczesnego mniemania,
mniej drewnianym budowłom
szkodziły kule armatnie, niż zamkom murowanym. Kamienne
libo ołowiane pociski z
dział kruszyły i nadwierały mury, uderzając zaś w ściany
drewniane, odskakiwały
bez większej szkody dla nich, płaszcąc bale dębowe, a z
posad nie wzruszając,
czem je wzmacniały tylko i odporniejsze na nowe uderzenia

robiły. Jeżeli zaś kule ołowiane z większą mocą, niż
kamienne, uderzały, to

grzęzły w ścianach, żelaznym je okrywając pancerzem.
Szczególnie Ruś nie lubiła
zamków murowanych, większą ufność w drzewie, niż w cegle
pokładając, a że
przekonanie jej i sam Świdrygajło podzielał, dla większego
więc bezpieczeństwa
osoby swojej i większej ochoty do walki pułków ruskich,
zamknął się w warowni
miejskiej, przez siebie zbudowanej.
Potężny rozmiarami zamek dolny, inaczej »Krzywym
Grodem« zwany, zajął Kazimierz
Korygieł, młodszy brat króla Jagiełły.
W większej części z drzewa się on składał, parę baszt tylko i
kawał muru z
kamienia miał i cegły. Do jego przestronnych izbie, podziemi i
dziedzińców
schronili się mieszkańcy miasta, piwnicznym sklepieniem
powierzając bogactwo
swoje. Fortecą i przytułkiem był on Gród-Krzywy. Fala
ludzka, złożona z kobiet,
dzieci i starców, zalewała dziedzińce wewnętrzne; siły
mężczyzn, nie steranych
jeszcze latami, lecz do wojskowej nie należących załogi, użyte
były do posług
stosownych, jakie dana chwila wymagała. Ogromne budowle
tego zamczyska mieściły
też w sobie obfite zapasy żywności; całe stada wołów i owiec
oczekiwały smutnego
przeznaczenia swojego.
Najmniej na niebezpieczeństwo narażony był ten Gród-
Krzywy. Ze wschodu bronił go
Zamek Wysoki, z zachodu warownia Świdrygajły. Po
zdobyciu tej ostatniej dopiero

mógł nieprzyjaciel skutecznie do jego murów się zbliżyć,
obłędnicze wieże
przystawić i grzotnąc taranami w wierzeje.
Ostatnią już ostoją, po upadku dwóch grodów poprzednich,
był Zamek Wysoki.
Dopóki dwa pierwsze się

trzymały, ten na mniejsze od nich niebezpieczeństwo był
narażony. Od
skuteczności pocisków armatnich chroniło go wzniesienie; od
szturmów doraźnych
stromość góry. On czuwać miał nad dwoma niższymi
grodami, słać posiłki, otuchy
dodawać wytrzymałością swoją. Niewielka tam, lecz pewna
siebie załoga być
musiała. To też zaraz po nadejściu wojsk polskich odbyła się
narada wojenna, i
obrona tego ważnego stanowiska powierzona została
podkanclerzemu koronnemu, a
litewskiemu od niedawna staroście, panu Mikołajowi z
Moskorzowa, który pod swoją
wodzą dwa tysiące kopii rycerskich miał, z których część
pewną pozostawić w
Krzywym-Grodzie musiał, jako że Korygieł zwrócił się do
pana Mikołaja i rzekł:
— Słysz, Moskorzowski, taka trwoga na Litwę i Ruś przed
Niemcami padła, że z pół
tysiąca kopijników swoich mi daj, bom ci niepewny jest
wytrzymałości moich
żołnierzy.

Pięciuset więc rycerzy w Krzywym - Grodzie zostało, i jakiś
duch lepszy w
żołnierstwo korygiełowe wstąpił.
Nazajutrz luna krwawa pokazała się nad Wilnem.
To z rozkazu Świdrygajły miasto podpalone zostało.
Stolica Litwy ówczesnej w większej swej części z domów
drewnianych, a lepianek
ubogiej ludności się składała; gdzieniegdzie tylko dom
murowany wystrzelił, albo
pałac bojarski. Miasto było rozległe, lecz drewniane; ulice
kręte, wąskie, a
opuszczone przez ludność, która co zamożniejsza z dobytkiem
swoim w Krzywym-
Grodzie się ukryła, biedota zaś w lasach, które dawały dobre
schronisko szpiegom
wojsk nieprzyjacielskich i ułatwiały

mu zdradzieckie podsunięcia się pod zamek miejski. Zakłębiły
się więc dymy, fala
ognia na szerokiej rozlała się przestrzeni, tak że gdy pierwsze
pułki krzyżackie
na okolicznych pokazały się wzgórzach, już tylko wiatr
popioły zamiatał,
patrzyły tylko trzy twierdze groźne zamków wileńskich,
opuszczone pałace panów,
zamożniejszych mieszkańców kamienice i osamotnione
cerkwie i kościoły, jękiem
dzwonów rozhovor z sobą wiodące. Nie potrzebowały więc
wojska zakonne zdobywać
miasta, które płomienie zżarły, wiatr rozwiął; nie
potrzebowały wyrzynać,

ludności, broniącej gniazda swojego, lecz odrazu do oblężenia
twierdz przystąpić
i zabrać się do szturmów.

A z lasów dzień po dniu, godzina po godzinie wyłaniały się
pułki piesze i konne,
czarne krzyże na płaszczach białych, czarne orły na
proporcach złotych i konie,
jak lwy, i rycerze, jak dęby, i miecze, i tarcze, i lśniące groty
na kopiach
nieprzeliczonych, i w banie cerkiewne rozdymane przez wiatr
płaszczki krzyżackie
i z ramion spływające skóry tygrysy kawalerów galijskich i
lśniące kołczany,
pełne łuków i strzał, na barkach niezrównanych strzelców
książęcia Lancastru. Co
godzina pułk inny, barwy inne, inne sztandary i znamiona. A
oto jazda witowdowa
na małych, żmujdzkich koniach wyroiła się z lasów z szumem
i brzękiem, niby rój
pszczelny, wygnany z barci sosnowych. Dookoła biegło
wrzenie głucho, niby pomruk
burzy dalekiej, niby w kolebce chmur gromów ziewanie. Nie
było końca temu
wyładowywaniu się sił wojennych Zakonu, aż Świdrygajło
mruknął, że »już za dużo
jest tego ścierwa«, Korygieł zaś obserwował lecące wrony i
kruki, które
obsiadały wieże kościołów, mury i baszty zamków i sze-

roko rozwianą płachtą chwiały się nad spalonego miasta
gruzami. W dalekich

lasach odezwało się wycie wilków, głuche, przeciągle,
żałosne. Korygiełł
wzdrygnął się i na Moskorzowskiego spojrzął, ale pan Mikołaj
głową jeno pokręcił
i rzekł:

— Wyją psi syny, nie wieda tylko człek, na czyje to gnaty
zębiska swoje ostrzą.

A gdy ksiązę Korygiełł, złowróźbną jakąś trwogą zdjęty,
zapytał:

— Jakże ty myślisz, Moskorzowski, podołamy-li mocy takiej?
Pan Mikołaj wása podkrecił i odparł:

— Ano, potańczym drabanta. Wždy nie na pacierze aż z
krakowskiej przybylim tu
ziemi.

A ze wschodu, zachodu, z południa i północy płynęły te roje
zbrojne i murem
żelaznym otaczały stolicę Litwy. Głucho warczały bębny, niby
porozumiewanie się
stad żubrzych; tu i tam odzywały się surmy, niby zbliżających
się do siebie ryk
turów. Czasem rozległ się huk działa i długiem echem
gruchnął po górach: pusty,
lecz ostrzegający strzał, niosący wieść groźną obleżonemu
grodowi, że łańcuch
się zamknął.

Aż oto w dniu września on pierścień żelazny zebranych już
wojsk wszystkich
rozluźnił się, rozszedł i w trzy wielkie koliska się zmienił.

Pierwsze posunęło
się od zachodu i otoczyło miejski zamek Świdrygajły.

Przewodził niem marszałek

Engelhard z krzyżactwem pruskiem i »gośćmi«
zagranicznymi, pomiędzy którymi

znajdował się książę Lancastru, Henryk Derby, z
przesławnymi łucznikami
angielskimi, którym celności oka najznakomitsi zazdrościli
strzelcy. Od wschodu
ku Wysokiemu Zamkowi podsunęli się Krzyżacy inflanccy z
mi-

strzem swoim na czele i wnet okopali się wałem ziemnym, na
którym zaczęły
potworne paszcze działa. Przed Krzywym-Grodem sam
Witowd stanął z rusko-
litewskimi pułkami, strzegąc łączności tej warowni z miejskim
zamkiem
Świdrygajły. Wiedział syn Kiejstuta, że zdobycie Krzywego
Grodu stanowiło o
losach dwóch zamków. W nim, jako najprzestronniejszym,
zgromadzona była
największa siła zbrojna, bo okrom wojsk, znajdowała tam
przysłisko i ludność
miejska, która stanie w dobytku swojego obronie i dzieci żon.
Niełatwa walka
będzie z potęgą rozpaczy, tem bardziej, że miejski zamek
Świdrygajły, w broń i
żołnierza zasobny, w każdej chwili do dania zagrożonym
pomocy był zdolny.
Wiedział także książę litewski, że wielkie zapasy żywności
nagromadzone tam
były, a w razie ich braku spławną Wilią dostarczone łatwo być
mogły. Dla
odcięcia więc dowozu, częścią wojsk swoich osadził północną
granicę miasta i

Wilię mostem przegrodził i okrył siecią pałów. Z niezmierną
rozważą i zegarową
akuratnością przygotowywano się do szturm. Oprócz
taranów i wież ruchomych, z
których napowietrzne mosty rzucano na mury obleżone,
czterysta hakownic i dział
kilka ustawiono wokoło murów i parę armat ziemnych, nieraz
do dziewięciu sążni
długości mających. >Gdy taki potwór zagrzmiał, słyszałeś go
w dzień na mil pięć,
w nocy na dziesięć« — mówią kronikarze współcześni. Po
dokonaniu obleżenia
wszystkich trzech zamków, rozpoczął się szturm walny.
Był to jednak fortel nieprzyjacielskich wojsk.
Ciskano kule na Wysoki Zamek, które niewiele szkody
potężnym jego murom czyniły,
ale na baczości załoga mieć się musiała, bo taki ruch
panował w woj-

sku obleżniczem, jakby lada chwila kapitalny nastąpić miał
szturm.

Tak samo było i z miejskim zamkiem Swidrygajły.
Ruszyły maszyny wojenne, ruchome potoczyły się wieże;
celne strzały łuczników
angielskich niejednego zmiotły żołnierza z zębanych baszt
zamku; wszystko
zdawało się zapowiadać rozpoczęcie walki, tymczasem na
groźbach kończyła się
rzecz cała, a żołnierz we wzrok i słuch się zamieniał,
wyczekujący, niepewny,

podniecony. Lecz oną groźbą boju, udanymi ruchami wojsk,
niejednym działa
pociskiem, który zaklekotał na spadzistym dachu zamczyska,
albo roztrzaskał się,
kamienny, na przypadkowy głaz natrafiwszy z granitu:
odwracano uwagę wodzów i
rycerzy od Krzywego Grodu, całą ich czujność skupiając na te
ruchy
przygotowawcze i groźne i tym sposobem dając możność
Witowdowi uderzenia siłą
całą na Krzywy-Gród. Działa i hakownice skierowane były na
dwa zamki krańcowe, a
tarany waliły w ściany Krzywego-Grodu, ruchome wieże
podsuwały się pod mury,
spadały mosty napowietrzne, na których wrzał bój, huczały
topory, ciężkie padały
miecze i groza unosiła się śmierci.
Ruś z Rusią, Litwa z Litwą walczyły.
Jeżeli gdziebądź na okopy się już wdarto, a smoła i wrzątek
chybiały celu i bez
szkody spływały po karkach atakujących, okrytych
»żółwiami«; gdy pierwszy okrzyk
zwycięzców zabrzmiał na blankach już zdobytych, wtedy
uderzył miecz polski i
tryumfatorów przedwczesnych w przepaść strącał, a
Świdrygajło, zrozumiawszy
podstęp oblegających miejski zamek jego, błyskawiczne
wycieczki czynił ku
Krzywemu-Grodowi, mie-

szła szyki Witowda, które, wypierane z palisad zamku, od tyłów niepokojone, odstępowały w nieładzie, dziesiątkowane przez szablę polską, rąbane przez toporników Świdrygajły, zmęczone walką i szturmem, ochraniające tarany swoje i wieże, by w nieprzyjaciół ręce nie wpadły. Uratowany gród, w fosach trupy, na murach krew i niespokojny lot kruków, czekających na łup krwawy.

Dni pięć już ta walka trwała, jakby próba obronnych sił zamku. Witowd przyszedł do przekonania, że na nic wszelkie zakusy; że nie uścić czujności Świdrygajły; że na zdobytych już nieraz wałach i murach kładł się miecz polski i swoje: nie pozwalał! powiadał. Podejściem tedy a zdradą umyślił ksiązę ten gród zdobyć.

Przed bojem każdym, zanim przyjdzie do grzmotni orężnej, a nieraz do zwania się pięści z pięścią, podjudzali się nawzajem żołnierze dla dodania sobie otuchy a pohańbienia wroga. Wyzwiska od głodnych psów, a wieprzów opasłych, zarazy morowej i wszy żydowskich krzyżowały się w powietrzu; sojusznicy Krzyżaków wymyślali nieraz od ścierwa niemieckiego, a jako w onej wojnie litewskiej, w której przeciwko bratu brat stawał, nie przebaczano nawet krwi własnej i wołano na głos cały:
— Podły Rus z ciebie, kiedyś boku króla lackiego się uchał...

Na co padała odpowiedź:

— Lepszy od Niemca Lach, a tyś spaskudził krew ruską,
gnojem się pruskim
smarując.

I tak ono wymyślanie trwało, dopóki nie wyszedł rozkaz
wodzów rzucenia się na
siebie.

Znając tedy Witowd ów zwyczaj szermierki przed-

bitewnej, umyślił porozumieć się z podlejszymi rotmistrzami
wojsk ruskich,
których więcej, niż Litwinów w korygiełowych pułkach było.

Próba zdrady

niekoniecznieby się z Litwą udała: niczyjego zaufania nigdy
jeszcze Litwin nie

zawiódł, inaczej z Rusią było, która scharakteryzowała sama
siebie w znanem

powszechnie, aczkolwiek z czasów późniejszych nieco,
powiedzeniu:

— Jakoj ty wiry, kozacze?

— Jakoj tobi treba!...

Owóż w dniu piątym szturm, gdy pomimo zdobycia bram i
blanków niektórych za

pomocą sznurów, drabin i mostów napowietrznych, szabla
polska przegnała precz na

poły już zwycięzców; gdy Litwa usunęła się z murów, a jeno
maruderzy ruscy

zostali z rotmistrzami swoimi: pedjechało ku nim kilku
rotnych z pułków Witowda

i po bratersku, a w ten sens się odezwali:

— Gdy brat brata dźwierz za łeb, to niema między nimi
miłowania żadnego, ni
przyjacielskiej rozmowy; gnaty sobie łamią a rozdzierają
pyski; ale, gdy
sierzystość minęła i choć chwilowa zapanowała spokojność,
brat z bratem
uczciwie pogaworzyć już może i gorzałką do niego przepić,
która długim żywotem
darzy i od nagłej a niespodziewanej śmierci chroni.
Podejźmy tedy do siebie i
jako bracia rodzeni, przed jutrzejszą pogawędźmy potrzebą.
Sam Korygieł w przemówieniu onem nijakiegoby
uwodzicielstwa nie dostrzegł.
Tedy, po pertraktacyach, a drożeniu się pewnem, strony obie
broń na bok
odłożyły, dla bezpieczeństwa i zaufania dowodu i
Korygiełłowicze do połowy
zsunęli się wałów, Witowdowicze zaś do połowy pogramolili
się w górę i, »raz
maty rodyła«

przepili do siebie, dającym żywot długi napojem, a
chroniącym od nagłej i
niespodziewanej śmierci. Snadź smakowita gorzałka, a słowa
kuszące były
wysłańców Witowdowych i niemalem grosiwem a nęcącemi
obietnicami poparte, bo
zdradziecka Ruś Korygiełły zobowiązała się podczas szturmu
jutrzejszego podpalić
wewnętrzne budowle zamku i w chwili rozgardyaszu, zamętu i
trwogi bramy

otworzyć. W brudnej robocie onej nie maczali rąk Litwini; ze strony ruskiej nawet, zrazu tylko kilku znalazło się nicponiów, lecz myśl niegodziwa, spotęgowana trwogą przed masą wojsk niemieckich, dotąd jeszcze nie biorących prawie w walkach udziału, jak zaraza, rozeszła się pomiędzy pułkami ruskimi, pokryta milczeniem, związana słowem tajemnicy przez sprzysiężonych.

Nadszedł dzień szósty walnego do Krzywego-Grodu szturm. Marszałek Engelhard, oblegający zamek miejski Świdrygajły, nie forsował wojsk swoich, siłę ich zachowując na główny moment walki, gdy po upadku Grodu Krzywego, całą potęgę na Wysoki Zamek rzucić potrzeba będzie. Nie szło mu wcale o zdobycie świdrygajłowej warowni, coby bez dużej nie obeszło się straty. Niech Witowd rzuca wojsk swoich szeregi, rusko - litewskie dziesiątkuje pułki, z dniem każdym zmniejsza bojową zdolność swej. armii, toć przecie oczywista wygrana zakonu, mającego prawa dyktować. W razie oporu i dąsów Kiejstutowica z powodu, zbyt uciążliwych warunków, przez Zakon stawianych, można rzucić na szalę wypadków świeże, silne, nie zmęczone zastępy krzyżackie i... pogrozić i... zgnieść niezdolne już do boju hufce książęce. Ograniczał się więc pan marszałek na stratę-

gicznych ruchach swej armii oblężniczej; w niepewności a
udręczeniu wojska

nieprzyjacielskie trzymał, czem do rozpaczy Świdrygajłę
doprowadzał, który nawet

uczciwie upić się nie mógł, całodziennym niepokojem
trawiony, zdenerwowany

czuwaniem ponocnem.

Witowd tymczasem do kapitalnego szturm przystąpił.

Huknęły działa, czterysta hakownic sypnęły gradem kul.

Przytoczone maszyny do

murów zamkowych rozkołysanymi waliły taranami; ruchome
wieże szukały miejsc

słabszych i mniej obronnych, by mosty móżdż rzucić i
żołnierze na piętra wyższe i

blanki wysadzić; haki sznurowych drabin czepiały się
gzymsów i skarp, na całym

froncie Krzywego-Grodu wrzał bój bezlitosny, niemiłosierny,
ohydny. Grzmot

dział, szczęk mieczów, huk toporów, wycia, jęki i krzyki
napęłniły powietrze;

wały grodu i ściany zamczyska pokryły się ruchomą masą
jakichś potworów

pełzających, na których żelazne głowy i barki, żółwiami
okryte, sypały się głązy

ciężkie, smolne toczyły się beczki, ogniem ziejące i dymem,
pryskał wrzątek z

przewracanych kadzi miedzianych. Tu czerep rozbity krwią
bluzgał i walił się ze

zdobytego już muru w przepaść, tam się tarzały krwawe
kadłuby w śmiertelnym

uścisku walki bez pardonu. Ryczały gardła rzezane, rzeżyły
piersi dławione, a
tam drabiny, do murów przypięte, nagle z siłą potężną w tył
odrzucone, usiane
żołdactwem, jak szarańczą żdźbła zboża, padały z trzaskiem
głuchym,
przygniatając śpieszące do szturm szeregi. Nieustający
grzmot, charkot i
krzyki, i przekleństwa, i wodzów nawoływania, i samego
Witowda piorunujący głos:

— Naprzód, naprzód, po trupach i głazach, przez ogień, dym i
krew! Naprzód,
naprzód!
Daremny wysiłek!
Przez mury, wały, ganki i krużganki przebiega błyskawica
szabel polskich; tylko
gwizd słyhać i ziewanie śmiertelne i charkot rozbitych piersi.
Książę Korygieł, zagrzany walką upartym bojem podniecony,
sam z mieczem w ręku,
z gromem rozkazów na ustach, przebiega szeregi, rozdziela
ciosy, widny zawsze,
potężny i niezmożony. Gdzie tylko zmniejsza się siła oporu,
walka niepewną się
staje, tam w czas się zjawia i upadłego podtrzymuje ducha, a
za nim szabla
polska, dech huraganu i siew śmierci. Muszą walczyć i
zwycięzać, sami, bez
ogładania się na pomoc Świdrygajły, bo nigdy jeszcze tak nie
zacieśnił się

łańcuch wojsk krzyżackich około jego warowni; nigdy tyle
pocisków z kusz nie
padło, co dzisiaj; tyle nie gruchnęło o dachy kul działowych;
nigdy łucznicy
angielscy nie postąpili tak blisko palisady zamkowej i nie
sypnęli taką zamiecią
strzał. A oto piechota najemna za tarany i drabiny się wzięła.
— Baczność!...

Niech Krzywy-Gród sam dzisiaj walczy.
Rozszerzone źrenice, pochylone postawy. W bezruchu stoją
szeregi świdrygajłowe,
w szturmowym marszu okamieniały pułki krzyżackie. Boju
nie masz, a groza zawisła
nad zamkiem. A tam ryk, szal, piekło!...
Słońce przewaliło się na drugą stronę nieboskłonu, szernione
od kurzu ziemi,
wielkie, krwawe, a bój nie ustawał. Witowd, gniewny, że tyle
wysiłeków znów
zmarnowanych, że tyle piersi zmęczeniem dyszących, tyle
żywotów straconych, a
ręce bojowników coraz słabsze

ciosy już niosły, już miał wydać rozkaz odwrotu... gdy nagle
słup ognia buchnął
i dym czarny wielką kolumną się skręcił i baldachimem
ruchomym okrył Gród-
Krzywy.
Pożar!
Wewnątrz zamku zabrzmiały okrzyki:
— Gore! Gore! Gore!

W ogniu stanął gród cały. Co chwila nowe wybuchały
płomienie, rozwijały się dymy
czarne, a krzyk grozy rósł w bezmiar.
— Do bram! — zagrział głos Witowda. Huk toporów
zatrząś powietrzem.
— Zdrada! — dały się słyszeć głosy wewnątrz zamczyska.
Trzask, łomot... Dębowe runęły wierzeje.
A wtedy fala przerażonego ludu, wewnątrz palącego się grodu
zamknięta, dławiona
przez żar, duszona przez dym, z uciekającym przed biczem
płomieni żołdactwem
zdradzieckiem, runęła w bramy rozbite, do których parły się
tłumy wojsk
witowdowych. Nie pytano: kto swój, a kto nie swój? Tłoczono
się, bito, targano.
Zwarły się kupy.
I rozpoczęła się rzeź.
Kto żyw był, to żyw; kto uciekł, to uciekł; nie uciekli tylko
rycerze polscy:
pięciuset było i pięciuset padło!
Zagrzmiała surma...
Krzywy-Gród został zdobyty.
— Gzy widzisz? — rzucił Dowkont do przytulonej u ramion
jego Biruty.
— Wieczny odpoczynek racz im dać, Panie — szepnęła
poblądłymi ustami.
— Krzyki rzezanych ciał aż tu płyną; straszny być musi odlot
dusz...

— ... A światłość wiekuista niech im świeci na wieki wieków,
amen! — dokończyła

Biruta.

— Co to za modlitwa?

— Moja...

— Za umarłych?

— Za żyjących w wieczności...

— Gdzie twój cud, Biruto?

— Nie poddał się jeszcze zamek Świdrygajły — odrzekła.

— Zaleją go Niemcy...

— Pozostanie Giedyminów gród na górze.

— Gdy trzy armie się złączą? trzy gromy uderzą? Spojrzał na zapatrzoną w niebo.

— Milczysz?...

— Ja wierzę, ojczy!

— Przeklećci bądźcie, bogowie! którzyście nie mieli sił do odwrócenia klęsk od

ludu mojego — rzekł Dowkont.

— Błogosławiona bądź, Wiaro! upadłym, do podniesienia się moc dająca — szepnęła

Biruta.

— Niech imiona wasze, bogowie bezsilni, zczesną na wieki wieków z pamięci

ludzkiej — mówił dalej Dowkont.

— Niech na wieki wieków żywie moc Prawdy, że nie zginą ci, co w Ciebie wierzą...

Ukrzyżowany!

— Lud mój w rozproszeniu chce uciec z ziemi niedoli, a nie wie, dokąd iść!

— Przyjdzie miłość, moc przyjdzie... Niech lud twój ukocha dających miłość i

moc; w dniu szczęścia i niedoli wierny im pozostanie, a zbawion będzie!

— Ni jemu, ni mnie nie pozwolono skonać, Biruto!

— Nie umierają żyć pragnący; wierzący nie ukuszą śmierci.
Taki dwugłos dzwonił ze szmerem spadających liści
jesiennych, gdy upadał Gród-
Krzywy, a wielki marszałek Zakonu na gruzach Wilna z
pułkami swoimi się kładł,
witowdowe zaś rotę krwią zalewały płomienie.
W chwili największego zamętu, szału i grozy wojennej z
cichego domostwa
Dowkonta, nad Wilią, w górze ukrytego, wysunęło się
jeźdźców czterech i ruszyło
w tłumy walczące: Byli to: don Manoel, Bolechowic, Till i
kawaler de
Vendendaelle. Jedyna chwila to była, w której wśród zgiełku
walki mogli do
Wysokiego Zamku drogę sobie utorować. Szable w rękę,
konie puszczone na wiatr.
Marsz, marsz!... Kto drogę im zajdzie, ten trup!
Niespodziewany ten atak zmieszał bojowników Witowda.
Ogrom konia Vendendaelle'a
i grom jego miecza strach rzucał. Rozstępywały się pułki,
opieszających czy
śmielszych tratowały kopyta i rozganiały ciosy szabel.
Marsz! Marsz!...
Po drodze stromej ku Wysokiemu parli Zamkowi.
Tętent kopyt straż zbudził. Uderzono na trwożę, lecz wnet
zabrzmiął powitalny
śpiew surmy.
Poznano rycerzy.
Bolechowica oczekiwał pan z Moskorzowa.
Spadł most zwodzony, otwarły się wieżeje.

Przybyło trzech obrońców jednemu już grodowi, na który
zwali się teraz cała
potęga krzyżacka.

Zapadła noc.

Narada w namiocie Engelharda, narada w żołnierskiej pana
podkanclerzego izbie.

— W czas przybywacie, rycerze zacni — mówił

pan starosta litewski — bo teraz już na barki nasze zwali się
cała potęga
zakonu.

— A Świdrygajły warownia? — Bolechowic zapytał.

— Na jej zdobycie nie zużyje sił swoich pan marszałek. Jako
morze wyspę, otoczą
ją pierścieniem Krzyżaków. Nie ruchnąć się jej, bo fale się
wzburzą i zaleją.

— A iluż tu nas jest? — rzucił Jaśko.

— Pięciuset padło przy szturmie do Krzywego-Grodu, który
zdradą kniaź Witowd
wziął. Walczyli w płomieniach, zginęli w płomieniach. Gdyby
nie pożar na tyłach,
a wróg i zdrada przed nosem, widziałbyś mnie w czerwieni,
nie szacie żałobnej.

— Daj im Bóg królestwo niebieskie — szepnął Bolechowic.

— Nadzieję mam — odparł starosta — że z wojskowymi
honorami powitał ich Michał
Archanioł w niebiesiech...

— To nas... jest.. teraz...

— Tysiąc pięćset rycerstwa, zwiększonego o trójcę waszą, bo
on czwarty towarzysz

się nie na wiele, zda się, nam przyda — rzekł pan Mikołaj, na Tilla patrząc.

— Dowcipem odpowiedziałbym wam, panie starosto — Till na to — ale zbrakło mi

konceptu, boście dobry humor popsuli niefortunnym mniemaniem o mnie, bez praktyki. Zły z was wódz, przedwcześnie ducha odejmujący żołnierzom.

— Nie widziałem ci jeszcze żołnierza z cytarą — Moskorzowski odparł.

— To nie sądźcie o jego walorze przedwcześnie — rzekł Till.

— Nadaje się sposobność próbunku. Na spenetro-

wanie zajętego grodu przez wrogów wysyłam trzech straceńców... czwartym aspan będziesz.

— Uważaj mnie, panie starosto, za ubitego już i pogrzeb w pamięci swojej.

Zaśmiano się i wrócono do tematu przerwanej na chwilę rozmowy.

— Tysiąc pięciuset... i nas trzech — szepnął Bolechowic.

— Zamarkuj mnie, jako dziesięciu waleczników razem wziętych, to trzynastu! — wtrącił Vendendaelle.

— Ja za dwóch stanę... masz i piętnastu! — dodał Manoel.

— Zawždy nieco Litwy i Rusi przy sobie macie — do Moskorzowskiego Bolechowic się zwrócił.

— Litwy nie mam, a paruset żołnierzy ruskich pozbyć się muszę, zdrady się obawiając.

— Zatem tysiąc pięciuset... i my — rzekł Bolechowic.
— Tem większa w razie zwycięstwa zasługa.
— A chwała w razie klęski — Jaśko dodał.
Nie mylił się pan z Moskorzowa, mówiąc o warowni
świdrygajłowej, jako o wyspie,
unieruchomionej przez fale morskie. Z pierwszym błyskiem
świtu zbrojne oddziały
Engelharda oddzieliły ją murem żelaznym od Krzywego -
Grodu, co wpierw niełatwo
było uczynić, dopóki w korygiełłowych znajdował się rękach.
Teraz z ruchów wojsk
wszystkich znać było, że cała potęga zakonu na Wysoki
Zamek uderzy. Ku niemu
posunięto działa wszystkie, ku niemu swe paszcze potworne
skierowały armaty;
zbliżyły się wieże i tarany, błysnęły topory w potężnych
pięściach knechtów
niemieckich, linią długą rozwinęła się wspaniała konnica
francuska pod wodzą
kawalera Boucicaut, hrabia Derby podprowadził

łuczników swoich. A oto piechota inflancka szeregami
spokojnymi otoczyła
skaliste stopy Wysokiego Zamku, od strony zaś Krzywego-
Grodu słychać było huk
oskardów, rozwalających mury zbyteczne, a nadniszczone w
szturmie ostatnim,
czyniąc przystęp łatwiejszy do »Turzej-Góry« Giedymina, na
której szczycie, z
wyniosłej baszty zamkowej, na czerwieni proporca śnieżył się
koronny orzeł

polscy. Z tej strony góry zamkowej miały się posunąć rusko-
litewskie pułki

Witowda, wzmocnione piechotą niemiecką.

Lada chwila oczekiwał srogiego najścia tej szarańczy pan z
Moskorzowa, ale gdy

tarcza słoneczna wzniosła się ponad lasy, malowane już
złotem jesieni, przed

bramą zamkową odezwała się trąba herolda, i przed panem
Mikołajem stanęło trzech

posłów krzyżackich, z propozycją zgody, od marszałka
Engelharda przybyłych.

— Warunki? — spytał wódz polski.

— Lekkie, lekkie — odpowiedział Lenard, komtur elbląski —
jako wszystko, co z

bogobojnego serca zakonu wychodzi.

— To znaczy — rzekł podkanclerzy — gród wam oddać, broń
i zapasy żywności na

użytek wasz ostawić, powierzone mi rycerstwo w niewolę
wam zaprzedać, a samemu

na pal się wsadzić, czy tak?

— Może to wszystko nastąpić, nie dobrowolnie tylko —
odpowiedział, wzdychając,

komtur. — My zaś, jako chrześcijańscy rycerze...

— A jam ci nie chrześcijanin? — oburzył się starosta.

— Niepewny, niepewny, lecz w tej chwili o sobie tylko
mówimy, obecnych

pomijając.

— No dalej, dalej, bom ci jeszcze śniadania nie kosztował —
mruknął

Moskorzowski.

— Pozostawiamy wam — rzekł komtur — przy pełnym, wojennym rynsztunku, przy oddaniu należnych wam honorów, drogę swobodną do Polski.

— Jako... tak... bez bitwy?

— Można i po niej.

— Bez zwycięstwa naszego?

— O sny nam nie chodzi.

Zamyślił się chwilę pan Mikołaj... nagle trzasnął w palce i rzekł:

— Propozycja na propozycję...

— Słucham pokornie — pochylając głowę i ręce na krzyż składając, rzekł Krzyżak.

— Proponuję wam tedy, ażebyście się kupą całą z Litwy do waszego Malborga

wynieśli. Drogę ostawim wolną, nie będziecie zaś się

fatygowali w przyjmowaniu

honorów.

Krzyżak uśmiechnął się.

— Ilu was jest? — spytał.

— Obrachujesz po pierwszym szturmie.

— Bez żartu, panie podkomorzy!

— Sto tysięcy. Wiedz, gdyś ciekawy!

— Trupy! — mruknął komtur, lecz tego nie dosłyszał pan Moskorzowski.

Wyprostowały się tylko zgięte postaci Krzyżaków, i

chrzęstnęły zbroice. Weszli,

udając pokornych, wyszli z dumą i pychą, białe płaszcze na harde zarzucając

ramiona.

Po chwili wstrząsnął Wysokiego Zamku ścianami dział gruchot.

Pan Mikołaj przeżegnał się, dobył szabli, ucałował wyryty krzyż na stole i wziął

się do pracy.

Znać wielki marszałek Zakonu, nie zadowolony z wyniku
poselstwa, a odpowiedzi
wodza polskiego, chciał jednym zamachem gród zdobyć.
Ryknęły potwory ziemne,
puszki i działa wszystkie, aż osypała się polepa ścian w
wewnętrznych zamku
izbicach. Kamienne i żelazne kule, ciskając się, jak padalce,
uderzały o granity
i odskakiwały bezsilne. Zamieć strzał łuczników angielskich
nie pozwalała
obrońcom długo na blankach i murach pozostawać, a po
stokach góry Giedyminowej
darły się zastępy żelazne, pewne zwycięstwa.
Niegroźne jednak były pociski armat i dział, odległość zamku
drwiła z ich
nośności. Płaszały • po dachach i brukowanym dziedzińcu,
roztrzaskiwały się w
czerepy kamienne, zwirowemi ziarnami plując, ołowiane zaś
płaszczyły się i
siadały na twardych granitach. Ta zamieć strzał, te tańce kul
czyniły wrażenie
ulewy, o potwornych kroplach deszczowych, a gwizd
pocisków miał w sobie coś z
wichrów i szалу burzy, a łomot ich o głazy i dachy miedziane
z piorunów coś i
gromów. Mimo to wszystko on potop żadnej szkody nie czynił
twardym murom
zamczyska.

Groźniejsza stokroć była fala wojsk pieszych od wschodu i zachodu, południa i północy, drąca się po spadzistości góry. Na nią to głównie uwagę zwrócił wódz polski; na nią czekając, drgały gorączką walki w rękach rycerzy szable święcone, naciągnięte łuki, oszczepy i topory. Ale nim przyszło do walki ręcznej, stosy głazów ciężkich, jak zbrodnie ludzkie, poruszyły się na krańnikach murów i ruszyły na szturmujących, a po ceglach ścian spływały węże ogniste kul smolnych, lunął war z kotłów i bzyknęły wyprężone kusz struny. Nieludzki krzyk rozdarł powietrze, skotłowały się prze-

rażone szeregi i odskoczyły od ścian, lecz parte mocą tłoczących się z tyłu zastępów coraz nowych, gnanych niemiłosiernymi rozkazami wodzów, znów do ścian się przywarły, ciskając na mury haki sznurowych drabin, lub z ramion własnych czyniąc nadciągającym szeregom stopnie ku niższym piętrům fortecy. A tu płyną węże ogniste, palącym gradem spadają; leje się wodny war, skrzypią kręcone kusz korby i sypią pociski śmiertelne. Groza ogarnęła te tłumy, parte naprzód, a zatrzymywane przez mur twierdzy, piętrzące się, jak fale, a oblewane żarem

ognia. Krzyki, przekleństwa, mieszały się z hukiem dział;
płonące, żywe
pochodnie błyskać zaczęły i siać przestach. Tu i tam
rozpoczął się bój pomiędzy
swoimi, walka o życie, samoobrona przed śmiercią.
Z tego zamieszania i sprawności obrońców skorzystał pan
podkanclerzy i posłał
szabel dwieście dla zrobienia zamętu większego.
Przerażenie ogarnęło tłumy.
Rzuciły się w tył.
Zamęt, kotłowanie się, duszenie, a okrutna spadzistość
zdobytej już góry nie
pozwałała cofać się w porządku. Wijący się w bólach chwyтали
za nogi
uchodzących, czepiali się pasów i szat, czasami ślepcy
okrutni, z oczami
wypalonemi, z obliczem potwornie obrzękłym, a coraz więcej
szabel połyska, grzmi
coraz więcej toporów, aż runęła w dół ta skotłowana masa ciał
ludzkich,
zgnieciona własnym ciężarem. Na dobitek wszystkiego
Świdrygajło, korzystając ze
zwrócenia uwagi wojsk, warownię jego oblegających, na on
bój przy Zamku Wysokim,
olbrzymie przybierający rozmiary, wysunął się z Litwą swoją,
lekki jak wicher,
szybki jak grom, i ude-

rzył na tyły. Nie był to bój rzetelny, ale szarpnięcie wilcze, os
ukłucie, nie

siegające trzew, lecz żądeł tysiącem wpijające się w ciało,
niemniej jednak
okrutne i bolesne, że chwilowy popłoch zapanował w
szeregach niemieckich i zanim
się opamiętali i na głos rozwścieczonego Engelharda w
bojową rozwinęli się
linie, już Świdrygajło do warowni swej uskoczył, zamknął się
w niej, plunawszy
raz jeszcze strzał chmurą w pyski niemieckie. Do stu trupów
krzyżackich
rozciągnęło się na Świętoroga Dolinie, padł rodzony brat
Witowda, Towciwił,
którego śmierci mszcząc się, rozkazał Witowd, wziętego przez
siebie w bojach
poprzednich, księcia Narymunta, a druha Świdrygajłowego,
na wiązcie blizkim za
nogi obwiesić.
Bystre oko Moskorzowskiego dostrzegło ten manewr
wielkiego księcia.
Niespodziewane rzucenie się Świdrygajły na hufce
Krzyżaków i tyły wojsk
witowdowych, co powstrzymało rozpoczęty już atak od strony
Krzywego-Grodu na
górze zamkową, dało możność panu Mikołajowi rzucenia
szabel więcej na zachodni
stok góry i zadania potężnej oblegającym klęski.
Zbliżająca się noc położyła kres walki.
Z lasów żarłoczne wysunęły się wilki.
Nie miały dostępu do zwłok poległych rycerzy, więc wyc
zaczęły.
Oparty o słup gontyny, stał Dowkont i nieruchomymi oczyma
śledził przebieg

bitwy. Kiedy niekiedy tylko źrenice podnosił i zatrzymywał na
malinowym
sztandarze Polski, jakby oczekując upadku jego. Ale walka
przygasła, niemieckie
usunęły się pułki, a stoki zamkowe zaczerwieniły się krwawo
w blasku
zachodzącego słońca, wśród stratowanych zaś traw czerniały
ka-

dłuby rycerskie, jakiś gnębiący ziew płynął z tej góry
straszliwej, a na
szczycie baszty, na wstędze malinowej, śnieżnymi piórami wiał
ptak lechicki.
— Widzisz!... widzisz!... — szepnęła Biruta, wskazując na
atak odparty, na stosy
trupów niemieckich.
Gorzki uśmiech niewiary poruszył sine, zwiędłe usta
Dowkonta. Widział ogrom
wojsk, nie biorących jeszcze udziału w bitwie. Kamienne
milczenie było
odpowiedzią na gorący szept Biruty.
Obrachunek strat nie wypadł na niekorzyść Polaków. Nikt nie
zginął, trochę tylko
żeber połamanych było, parę nosów spłaszczonych, temu i
temu rozeszły się nieco
stawy w kościach, lub gnaty okrutnie bolały, lecz
wystarczyłoby dwa dni spokoju,
by na trzeci: »chodź, jucho Niemcze!... a jakem uczciwy
człek, pyski ci
spiorę!...«
Najwięcej krwawił Bolechowic.

Nie strzymał i z don Manoelem i Szarlem na ochotnika skoczył. Wydało mu się, że w szeregu walczących Zygfyda dostrzegł, więc rypnął ku niemu, a juści, że za nim obaj kawalerowie poszli. Ale nie Zygfyd to był, lecz jakiś drab okrutny, który zręcznym ciśnięciem maczugi obie nogi Vendendaelle'a podbił, że ten zachwiał się i runął, ciężarem swoim knechta jakiegoś waląc, drab zaś ów ku rozciągniętemu na ziemi kawalerowi wnet skoczył i w kark grzmotnął toporem potężnym.

Nie!... cios straszliwy otrzymała pierś Jaśka, który podbiegł i ochronił powalonego drucha. Stalowa tarcza pękła, pękła zbroja kowana, takie cięcie było okrutne; ostrze toporu miało jeszcze sił tyle, że pasem szerokim rozpruło pierś całą i możeby drab to cięcie powtórzył, gdyby nie pchnięcie miecza don Manoela, który mu

z trzew żywot wypruł. Z matczyną troską opatrywał kawaler ranę Bolechowica, a skomlił, litując się, jakby go mniej, podbitą maczugą, nogi bolały, lecz Jaśko rad był, że choć w części spłacił dług przyjaźni, i spojrział na don Manoela, jakby sromając się, że jemu jeszcze coś niecoś jest dłużeń.

— Jaśku, nie szafuj kapitałami, boć przecie i ja jestem —
zaśmiał się Till.

Mniej spokojnie noc przeszła, niż spodziewali się oblężeni.
Nawoływania jakieś a
krzyki, nawet huk samopałów odzywały się na stokach góry.
Moskorzowski na
baczności się miał, bo lękał się podejścia i napadu nocnego.
Wreszcie, gdy one
głosy i łomoty strzałów nie ustawały, wysłał podjazd
niewielki, by zabrał w
sprawie onej języka. To knechty ściągali trupy zabitych
towarzyszy i odganiaли
precz wilki natrętne, ostrzące na gnaty niemieckie zębiska
ostre.

Trzy dni było spoczynku; znać Niemiec się skrobał i
reparował. Ale na czwarty
znów się zawierucha rozszalała. Nowe, świeże pułki do
szturmu ruszyły, a jakby
na pośmiewisko dla tłuszczy, a strach chcąc rzucić na polskich
obrońców zamku,
zasadzoną na drzewcu kopii głowę czyjaś nieśli przed sobą,
widną przez załogę
całą, okrytą sinością śmierci, ze sztucznie otwartymi oczyma i
wargą do śmiechu
przymuszoną. Dostrzegł ono bezecne igrzysko pan starosta; a
znaczna to głowa być
musiała, gdy ją nie prosty knecht, lecz mnich krzyżacki na
drzewce wsadził i
jechał tak z nią na koniu, bogatą kapicą okrytym, na czele
szeregów, do szturmu
idących.

— Czyjaż to? — pytał Bolechowic, przypatrując głowie onej.

— Ktoś ważny musiał zginąć w boju przedonegdajszym i na takie pohańbienie

poszedł — rzekł Moskorzowski.

— Trwożą nas bezecniki losem męża onego — dodał Jaśko.

— Psubraty!... — zgrzytnął kawaler de Vendendaelle.

— Niegodni pasa rycerskiego, chamy! — rzucił don Manoel.

A głowa, płasając, zbliżała się ku murom zamkowym.

Nagle dech zatknął się w piersi pana starosty, a twarz zbladła.

— Kto to? Kto to? — spytały na raz trzy głosy rycerskie.

— Korygieł!... — krzyk wypadł z piersi Moskorzowskiego().

Jakaś groza padła na ono pohańbienie głowy królewskiego brata i jedna myśl, jak

nić ognista piorunu, przebiegła szeregi polskie. Zadudniły dziedzińce od rwącego

się do walki rycerstwa, zagrzmiały kopyta końskie i tysiąc szabel brzękło,

tysiąc kopii pochyliło się u boku, a z piersi wszystkich grom wypadł:

— Pomsty! Pomsty!

Daremno powstrzymywał pan starosta rwące się naprzód szeregi, nie było posłuchu,

a wždy to nie może być, by nie słuchano wodza. Więc rzucił się ku bram, które

otworzyć rozkazał i, krzyż Pański w powietrzu szablą rysując:

— Za mną! — krzyknął.

() Historyczne.

Wichr, burza...

Coś się zważyło potęgą huraganu, runęło grzmotem
spienionych wód, i wszelkie
tamy, wszelkie zapory znikły. Książęca głowa Korygiełły
znalazła się w rękach
Bolechowica, niosący ją rycerz krzyżacki padł od strasznego
ciosu szabli pana
starosty, a kawaler de Vendendaelle na czele rozszalałej jazdy
polskiej parł z
góry knechtów niemieckich w piekło zatracenia. Uciekających
gnał strach
paniczny, ciskali miecze, dzidy, topory, byle dalej, dalej od tej
błyskawicy
szabel polskich, gromu miecza Francuza, pogoni duchów,
broniących krwi królów
swoich. Gdyby nie ten szal, ten strach, nie ta podłość
krzyżacka, łatwo byłoby
Witowdowi, pomknąwszy od Krzywego-Grodu, zdobyć
zamek opuszczony. Lecz księciu
litewskiemu za niskie takie zwycięstwo się wydało. Czuł
szlachetność porywu
rycerzy polskich, nędzę swych sojuszników i nie dał rozkazu
do szturmu.
Pojmował, że może w tej chwili mdleje gwiazda jego pożądań,
ale duch jego gnał
razem z hufcami polskimi, czuł wzniosłość ich lotu, rozkosz
tryumfu i wzmagał
się, piękniał, szlachetniał...
Dowkont i Biruta widzieli płaszcz biały Krzyżaka i głowę
Korygiełły wysoko,
wysoko w błękity na ostrzu kopii wzniesioną. Teraz Biruty
twarz zbladła,

przygasłe oczy okryła chustą. Dowkont zimny był,
beznadziejny, posepny,
pozbawiony już wszelkich złudzeń. Zasunął się w cień dębów,
z przytuloną do stóp
jego Birutą i już ni razu oczu nie zwrócił ku wzgórz
zamkowemu. Wrzał bój,
płynęły gdzieś jęki, padały gdzieś trupy, a oni nie wyszli z
mroków świętego
gaju, dwa nieszczęścia, dwa sny rozwiane.
Biruta szeptała:

— Panie, zachowaj wiarę moją!
W czasce Dowkonta krążyła myśl:
— Niemasz piorunów na skruszenie oręza niemieckiego.
I zaszumiały liście dębów głosem wołającym znękanego ludu:
— W świat! w świat! bo skreca głód wnętrzości, niewoli
jarzma już nie znieść!
Zaszło słońce, złoto-tóżową poświatą tylko świeciły góry.
Biruta ze spuszczoną
głową na piersi przestąpiła próg domostwa, krokiem
powolnym posunął się Dowkont
za nią, na chwilę tylko na kamiennym stopniu się zatrzymał i
spojrzał na Wysoki
Zamek.
Malinowa wstęga proporca chwytiała ostatnie blaski
zachodzącego słońca; na niej
się śnieżył, chwiejąc się ruchem falistym, ptak lechicki.
Dowkonta ogarnęło zdumienie.
Nadszedł październik, czas chłódów, deszczów i wichrów
północnych. Dnia pewnego

ten wicher napędził chmury szare i sypanął śniegiem drobnym.
Codziennie się
powtarzały szturmy do Wysokiego Zamku, codziennie się
zbliżały działa ku jego
murom, windowały się wieże, na strzał pewniejszy posunęli
się strzelcy książęcia
Lancastru, aż w połowie października uderzyły tarany w mury
zamkowe, ściany
pękły, pokazały się szczyby olbrzymie, blizkie armaty
dokonywały dzieła
zniszczenia. Malą garstką walecznych, lecz rósł w
dwójnasób duch rycerstwa
polskiego. Zginą, lecz nie ujdą; nie Polski to już, lecz bratniej
Litwy obrońce.
Nie było żołnierza w wojsku napastniczym, któryby murów
zamczyska piersią swoją
nie dotknął; nie było miejsca w obrębie Góry Turzej, gdzieby
nie położył się w
grób

trup krzyżacki. Lecz mury się waliły, a szczybów nie było
czasu naprawić;
zamiast głazów wypełniały je piersi rycerskie; padały jedne,
zjawiały się
drugie, trzecie, dziesiąte, i bój trwał, bój nieskończony. Dla
zmniejszenia
szkodliwości pocisków dział zbliżonych okrywano mury
skórami bydłecemi, jako, że
»miętkość ich objęć« zmniejszała uderzenia kul kamiennych.
Zamek się nie

poddawał, a od głodu, chorób i szabel polskich tajała potężna armia zakonu.

I znowu przed Moskorzowskim stanęli posłowie Engelharda z propozycją zgody, z

przedstawieniem niemożności utrzymania się w napół już zniszczonym zamku. Po co

walki? przelew krwi chrześcijańskiej, gdy armia zakonu nie dziś, to jutro progi

jego przestąpi?

— Obrachowaliśmy dni już wasze — mówił Lenard, komtur elbląski.

— Obwiesiłbym tych rachmistrzów za błędy w rachunku — odpowiedział pan starosta.

— Wejdzem do zameczka, panie starosto, wejdzem!

— Po trupach! — przerwał konwersację pan Mikołaj.

— Gotujcie trumnice na jutro! — odpowiedział wysłaniec Engelharda.

Straszliwe jutro!

Ruszyła cała potęga zakonu. Tchu piersi nie miały, ramiona spoczynku. Sypały się

gruzy, żelazne skorpiony osiadały ścian mury, coraz celniejsze były strzały

łuczników angielskich. Jeden z tych pocisków ugodził w serce kawalera de

Vendendaelle'a. Miecz wypadł z ręki, ramiona się rozskrzyżowały, i u stóp

Bolechowica padł rycerz szlachetny. Srogo śmierci przyjaciela mścili się

don Manoel i Jaśko, Till nawet za miecz chwycił i szalał na murach. Pod wieczór

bój przycichał, konał jękami, omdlewał w uściskach nocy, aż
rozlał się ciszą
złowróbną.
Staneło serce w piersi Biruty, Dowkont milczący był, jak głąz.
Noc... cisza...
— Nie!...
Zdaleka, zdaleka słychać klekot głuchy i szczęk orężów
głuchy.
— Niemcy zajmują zamek, sypią grudy na grób Litwy —
szepce Biruta.
— W świat! W świat! — brzmi wołanie w duszy Dowkonta.
Świt...
— Jak straszno spojrzeć na Zamek Wysoki...
Odwagi!...
Wyszedł przed dwór, wsparty na ramieniu Biruty.
Chwiała się wstęga malinowa na szczycie baszty, w świtaniu
śnieżył się na niej
ptak lechicki...
Dowkont przeciera oczy.
Ptak płąsa...
Wyteża słuch...
Ni szczęku oręża, ni tętentu kopyt, tylko w powietrzu dzwoni
pieśń: Bogu
Rodzica! Potężnie jakoś, zwycięsko...
Uderzyły dzwony świątyń wszystkich, milczące dotąd.
Dowkont chwycił rękę Biruty i, jakimś szalem uniesiony,
pognał ku Dolinie
Świętoroga.
Niema wojsk, cisza.
Uszli...

Lasy, góry, rzek fale, uwolnione z halabard Krzyżaków,
mówią:

— Uszli! Uszli!

A dzwony biją, a z coraz potęgą większą dzwoni pieśń.
Dowkont drży, suche źrenice oczu zapadłych łzy zalewają.

Siwa, stara głowa

kapłana powoli, powoli pochyła się ku piersi Biruty. Usta
drżą, lecz szepcą:

— Biruto, ty miałaś talizman jakiś... Daj, daj mi go, niech
ucałuję!...

I z wielkiem łkaniem przytulił do warg swoich krzyż
Chrystusa.

— Polska, Litwa... — szepnęła Biruta.

— Na wieki razem, na wieki, na... wieki! Zdziesiątkowane
wracały armie

krzyżackie, wieść klęski niosąc umierającemu Mistrzowi. Za
nimi posuwał się

Witowd, chmurny, jak noc, posepny, jak duch ludzki... bez
Boga. Czarne

wspomnienia wielkiego a przegranego boju tłumił

wszystkimi siłami duszy; myśl

zwracał ku jaśniejszym obrazom, ku wspomnieniom

cieplejszym.

Żona... dzieci...

Dzieci!...

— Śpijcie spokojnie! — szeptał do nich Zygfryd, gładząc
złote główki pacholąt,

które przed chwilą na jego kolanach siedząc, zajadały miód
wonny.

Było to w dniu pierwszym otrzymania wiadomości o
zdobytym Grodzie-Krzywym i

krwawej rzezi, dokonanej przez wojska Witowdowe, i było to
w dniu, w którym

przybył ojciec Zygryda, stęskniony za synem, kochający i kochany nad życie.

Pacholeta miód smoktały, gdy w drzwiach zygrydowej izby błysnęła uśmiechnięta, jowialna twarz starca.

Zygryd się porwał.

O! co za słodycz powitań, co za krwi tętno, stuk serca!...

Pacholeta tymczasem miód smoktały.

— Siądź, mój ojczy! siądź a spoczniy, ja tylko uspię te skarby matczyne, by sen miały spokojny...

Pacholeta mrużyły powieki, senne były; na czole miały krople potu, gorące usta, gorące na twarzy rumieńce...

Ujął je Zygryd w ramiona i zaniósł macierzy.

Księżnej nie było, za chwilę przyjsć miała. Chciał więc ułożyć jej drobiazg w pościeli miękkiej, ale nie chciały iść z rąk jego. Za szatę się chwyciły,

ciężkie głowy na pierś pochyliły, drobnymi palcy trzymając mocno suknię zakonną.

Straszliwy uścisk!

Chce się uwolnić z niego...

Nie sposób... nie sposób... nie sposób!

Kurcz palców silny, główki ciężeją, dech piersi gorący, jak żar.

Cisnąłby na pościel miękką te pacholeta o włosach złotych, pogruchotałby dłonie,

nie mogące się oderwać od szaty jego, gdyby nie starej niani obecność, śmiejącej

się z bezowocnej walki rycerza.
— Pomóż! — jakimś nie swoim głosem wyszeptał.
Wzięte teraz, pochyliły się bezwładnie, ale nie wiedziały
niana stara, że to
była śmierć...
Zygfyrd drgnął lekko i skoczył do izby swojej...
Nagle stanął, jak wryty.
Z opuszczonemi dłońmi ku ziemi, z głową w tył pochyloną
przez poręcz krzesła,
bezwładny, z trupa bladością na twarzy, leżał ojciec...

Koratur podbiegł, pochylił się... patrzy...
Stary ojciec miód lubił... na ustach szklila się słodycz tylko co
spożytego
nektaru, który przed chwilą sączyły pacholeta Witowda.
Ryk głuchy wstrząsnął ścianami izby. Krzyk drugi zabrzmiał
w dalekich komnatach
Anny.
W tej chwili drzwi się otwarły i wszedł Konrad Wallenrod.
Przeraził go obłąkany wzrok komtura.
— Christ! — krzyknął.
— Twój miód zabija — wrzasnął Zygfryd. Dobył miecza, ku
piersi swojej zwrócił i
sercem runął na ostrze.
W korytarzach szmer, nóg tupotanie; bieżą szukać kogoś.
Domyślił się Konrad
Wallenrod, kogo szukają i dokąd bieżą, i wypadł na
korytarze...
— Mistrz wielki kona — słyhać w mroku szepty braci.
Marszałek przebiegł izb kilka i wpadł do komnaty Konrada
Czolnera.

W ostatniej chwili uchodzącego życia Czolner dźwignął się,
siadł na łożu i
szeroko otwartymi oczyma w dal jakąś patrzył.
— Wali się... pada... przygniata go klątwa ludów—
urywanym, dławionym głosem
mówił. — Dwa miecze niosą... długie... świecące... nasze
miecze!... Miecze
śmieją się... urągają potędze wielkiego mistrza!... Krew...
trupy... trupy!...
Jezus!... szarpia je kruki białe, żelazne konie depcą...
Pierś zdławiło rżenie głuche.
Wallenrod pochylił się nad umierającym.
Porwał się... wrzasnął:

— Ratujcie zakon!...
I padł, białą pianą konwulsyi okryty.
Nie wiedzieli bracia, szepczący nad umarłym pacierze, że przed
duszą konającego w
mękach Czolnera stanęła krwawa wizya Grunwaldu, jako
dopełnienie ślubu krwi,
zawartego pod Wilnem w r. .

KONIEC.